

PLATE 10  
1911-1912

JOANN  
CHANAY

T O ,

O C Z Y M

N I E

V E S Y

JOANN CHANEY

TO, O CZYM  
NIE WIESZ

Przełożyła  
Joanna Szczepańska

ZYSKI S-KA  
WYDAWNICTWO

JoAnn Chaney  
To, o czym nie wiesz

Tytuł oryginału  
*What You Don't Know*

ISBN 978-83-8116-156-5

Copyright © 2017 by JoAnn Chaney  
Published by arrangement with Flatiron Books  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2017

Redakcja  
Paulina Wierzbicka

Projekt graficzny okładki  
Krzysztof Kibart  
[www.designpartners.pl](http://www.designpartners.pl)

Opracowanie graficzne i techniczne  
Przemysław Kida

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo  
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań  
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67  
faks 61 852 63 26  
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90  
[sklep@zysk.com.pl](mailto:sklep@zysk.com.pl)  
[www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

# Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

KORYTARZ

TO NIE JEST KONIEC

RUSZAJ DO PRZODU

ZJADACZ RESZTEK

POLOWANIE

PEŁNE KOŁO

MY NIE POPEŁNIAMY BŁĘDÓW

DWIE PIECZENIE NA JEDNYM OGNIU

W PORZĄDKU, W PORZĄDKU, W PORZĄDKU

TO, O CZYM NIE WIESZ

NIKNĄC W MROKU

Podziękowania

*Dla mojej mamy i ojca,  
którzy zawsze mówili,  
że powinnam pisać*

# KORYTARZ

HOSKINS

19 grudnia 2008

Jeśli byłby to film, zaczynałby się od takiego ujęcia: dwóch mężczyzn gramoli się ze starawego, brązowego samochodu. Mają na sobie tanie garnitury i kiepskie buty. Jeden z nich nosi kapelusz, czarną panamę, co sprawia, że wygląda trochę jak podróżnik w czasie z roku 1920. Ale to nie czasy prohibicji i to nie Miami; jesteśmy w Denver w roku 2008. Na zewnątrz jest zimno, dlatego mężczyzna w panamie wygląda głupio. Tego jednak byś mu nie powiedział, jeśli chciałbyś zachować swój tyłek w stanie nienaruszonym. Choć może wygląda śmiesznie, facet ten jest nędznym skurwysynem. Możesz to poznać po jego oczach. Być może myślisz, że kapelusz dała mu jakaś kobieta, zachęcając, by go włożył, i mówiąc, że będzie w nim świetnie wyglądał. Byłbyś jednak w błędzie. Gość nazywa się Ralph Loren<sup>1</sup>, co brzmi jak kiepski żart, ale nim nie jest, bo nikt nie może namówić do niczego detektywa Lorena, *nikt*, nawet jeśli jest ładną i młodą kobietą o wielkich cyckach. Loren nie ma poczucia humoru — nie można powiedzieć, że jest ono dziwaczne czy wredne; po prostu wcale go nie ma. Już w chwili narodzin brakowało mu tej części jestestwa. Życie jest trudnym zadaniem, które niełatwo wypełnić bez odrobiny uśmiechu, ale nie można



kęsknić za czymś, czego się nigdy nie posiadało. Tak się przynajmniej mawia.

Ale powinniście spojrzeć na drugiego mężczyznę, tego, który gramoli się z siedzenia pasażera. Jest to facet o szerokich ramionach i ze śladem zarostu na twarzy. Człowiek ten mija samochód od strony maski, nie zważając na zwały brudnego śniegu przy krawężniku, przez które brnie niczym pług. Pożaluje tego później, kiedy już będzie siedział za biurkiem, a mokre i lodowate skarpetki będą ziębiły mu palce. Paul Hoskins jest typem człowieka, który nie myśli zanadto nad tym, co robi, a potem żałuje swoich decyzji. Zawsze taki był i zawsze taki pozostanie, po kres czasów, amen.

— Wreszcie się do tego zabieramy, co? — mówi Hoskins, unosząc wzrok i patrząc na dom, który chcą odwiedzić. Jest wielki i zbudowany z cegieł, wyższy niż szerszy, z dużym wykuszowym oknem od strony ogrodu. To budynek w tradycyjnym stylu, nie taki, jakie zazwyczaj można znaleźć w Denver. Większość domów wybudowano tutaj w pośpiechu w latach osiemdziesiątych, bo z zewsząd — a zwłaszcza z Kalifornii — zaczęło napływać do Denver mnóstwo ludzi. Tutejsi mieszkańcy twierdzą, że przyjezdni to kretyni, którzy fatalnie prowadzą. Ten zaś konkretny budynek nie wygląda na kupiony w okazyjnej cenie, co wyróżnia go spośród domów w sąsiedztwie. W schludnych kępach posadzono wokół niego drzewa i krzewy, choć listowie już wyblakło i zbrązowiło. Pomędzy gałęziami zawieszono świąteczne lampki. Z tyłu domu znajduje się staw zrobiony z drewnianych listewek, z miejscem do przycumowania i łodzią dla dwóch osób. W stawie są ryby i żaby, ale teraz powierzchnię wody pokrywa warstwa lodu. Hoskins zastanawia się, czy wszystko to trzeba wymieniać każdej wiosny i czy przyjeżdża tutaj samochód dostawczy z pojemnikami chłodzącymi pełnymi fauny. — Czas, by dostać tego złego faceta?

Loren wzdycha, odchylając klapę marynarki, i poluznia pasek

przytrzymujący pistolet u jego pasa, by móc sięgnąć po broń tak szybko, jak będzie to konieczne. Ci dwaj gliniarze są detektywami i partnerami; pracują razem już od dawna i będą to robić dalej, choć szczególnie za sobą nie przepadają. Ale muszą trzymać się razem, bo są skuteczni, współpraca im się udaje, a to nie zdarza się tak często, jak człowiek by sobie tego życzył. Dobre partnerstwo w pracy jest jak dobre małżeństwo, a jak wszyscy wiedzą, trudno stworzyć udany związek. Jednak nawet w najlepszych małżeństwach coś może pójść bardzo źle.

— To cholerny czas — mówi Loren. — Jeśli nie będę musiał więcej oglądać tego gnojka, umrę szczęśliwy.

Przemierzają długi podjazd, schludnie oczyszczony ze śniegu za dziesięć dorców przez dzieciaka sąsiadów, i podchodzą do frontowych drzwi. Są dębowe, duże i solidne, zaś przez ich przydymioną szybę nic nie widać. Jest wczesnie, jeszcze przed siódmą, a wokół panuje cisza. Wnętrze domu wygląda na ciemne i puste, ale Hoskins wyczuwa delikatny zapach parzonej kawy i burczy mu w żołądku.

— Gotowy? — pyta Loren.

— Tak.

— Tak? — przedrzeźnia go Loren. — Nie masz jaj czy co? Ten twój piskliwy głos sprawia, że mam ochotę strzelić cię w maskę.

Hoskins nic na to nie odpowiada. Słyszy takie obelgi od Lorena od dziesięciu lat i nauczył się już, że najlepiej po prostu zbywać je milczeniem. Najbezpieczniej. Loren potrafi kogoś obrazić, ale nie umie przyjąć rewanzu. Ostatnia taka akcja miała miejsce trzy lata temu, gdy Hoskins sarkastycznie wyraził się o matce Lorena — tak postępujesz, gdy chcesz kogoś wkurzyć, gadasz coś o jego matce, nawet jeśli jej nie znasz, nawet jeśli nie żyje — a

ten złamał mu nos. Było dochodzenie i upomnienie. Parę wizyt u policyjnego psychologa. Ale wciąż musieli pracować razem. Jeśli Hoskins nauczył się czegoś o swoim partnerze, to tego, że lepiej milczeć. Nie chodzi o to, że bał się Lorena. Podczas walki poradziłby sobie, ale gdyby miało do niej dojść i w ruch poszłyby kastety (tak to sobie wyobrażał Hoskins, odkąd miał dziewięć lat), to lepszym wyjściem było milczeć, jeśli nie miało się nic do powiedzenia. Jego ojciec mawiał, żeby częściej trzymał gębę na kłódkę i miał rację: cisza ułatwiała wiele spraw, czyniła je prostszymi.

Loren dzwoni do drzwi, naciskając kciukiem świecący przycisk tak mocno, że aż bieleje mu palec, a potem natychmiast zaczyna pukać. Nie grzeszy cierpliwością. Jest jak garnek wrzącej wody na kuchennej płycie albo balon napompowany do granic wytrzymałości. Walenie jego pięści w drzwi wywołuje silny, głuchy odgłos, który sprawia, że Hoskinsa boli głowa, ale nic nie mówi.

Mija chwila — trzydzieści sekund, może parę minut, Hoskins nie wie — nim drzwi stają otworem. Hoskins wyobrażał sobie, że o tej porze dnia Jacky Seever będzie w szlafroku kąpielowym albo w slipach, lekko zażółconych w kroku, ale mężczyzna jest jak zawsze w garniturze. Seever jest tym typem faceta, który kosiłby trawnik w garniturze; prawdopodobnie nawet śpi w tym cholerstwie. Garnitur jest trzyczęściowy, w monotonnym kolorze szarości i granatu; spodnie i marynarka oraz kamizelka ze srebrnym zegarkiem wystającym z kieszeni. Ubranie jest znakomicie uszyte i kosztowne; Seever wygląda w nim niczym lew salonowy. Być może to właśnie z powodu tego stroju Hoskins tak bardzo nienawidzi Seevera — sam nie może sobie pozwolić na kupno czegoś podobnego, nie z pensji policjanta. Ale to nie jedyny powód. Garnitur Seevera i jego paznokcie, które są starannie przycięte i wypolerowane, oraz jego włosy z przedziałkiem po prawej stronie i spryskane lakierem tak, że stwardniały jak beton. I okulary — Jezu Chryste,

okulary w drucianej oprawce ze szklami, które przyciemniają się w jasnym świetle. Była to pierwsza rzecz, za którą Hoskins znienawidził Seevera. Każdy, kto zakłada takie okulary z własnej woli, jest dupkiem. Hoskins dorastał w ubogiej rodzinie i odczuwa naturalny wstręt do gości, którzy puszą się jak pawie, epatując swoim bogactwem. Seever jest jednym z takich właśnie ludzi, a nawet gorszym, bo ma pieniądze, a poza tym jest podstępna żmiją. „Trele-morele — jak zwykł mawiać jego staruszek. — A po łacinie trelus-morelus”.

— Policja? — mówi Seever. Zawsze prosi wszystkich, by mówić mu Jacky, ale Hoskins nie potrafi tego zrobić. Dla niego ten wszawy dupek nigdy nie będzie nikim innym, jak tylko Seeverem. — Dość wcześnie, nieprawdaż? Czy mogę w czymś pomóc?

— Ty tłusty skurczybyku — mówi Loren łagodnie, dając krok do przodu, tak że Seever musi się cofnąć i zrobić miejsce, żeby policjanci mogli wejść. Seever jest niewysokim mężczyzną; nie byłby w stanie ich powstrzymać, więc tego nie robi. — Wiesz, dlaczego tu jesteśmy.

Na kamizelce Seevera widać sproszkowany cukier, a pomiędzy kostkami dłoni ślady po dzemie truskawkowym. Niechluj. Ostatnio jadał więcej i z większą częstotliwością. Obserwowali, jak Seever nurkuje do wnętrza restauracji i stacji benzynowych, wychodząc z parującymi posiłkami na wynos i pojemnikami z dietetyczną colą. Seever je, bo jest zdenerwowany. Kiedy się zorientował, że policja go obserwuje, próbując przyłapać na gorącym uczynku, jego apetyt jeszcze się zwiększył. Tak było również w ostatnim tygodniu. Brzuch Seevera niczym balonik zwisa nad paskiem spodni, sprawiając, że guziki tweedowej kamizelki są napięte. Ubiór ten pasowałby komuś o lepszej figurze. Kiedyś dobrze na nim leżał, ale teraz już nie; koszula nie maskuje dolnej partii jego brzucha, pokrytej szorstkimi

czarnymi włosami i purpurowymi rozstępami.

Hoskins podąża za swoim partnerem do wnętrza domu, czekając dość długo, aż w rękach Seevera znajdzie się kawałek papieru. Nakaz rewizji. Napisano w nim, że policja szuka marihuany, ale ich tak naprawdę głównie obchodzi narkotyki. Nie miałyby dla nich znaczenia, nawet gdyby kuchnia była zbudowana z cegieł Mary Jane. Musieli jednak znaleźć sposób, żeby dostać się do domu Seevera. Szykowali się na to już od tygodni, chcąc przyłapać go na czymś więcej niż na faszerowaniu się żarciem i drapaniu po tyłku, a ten nakaz to najlepsze, co mógł dać im sędzia Vasquez. Najlepsze, co mógłby dać im każdy sędzia, bo żaden z nich nie lubi Lorena, choć on na to leje. Czasem jednak taka sytuacja komplikuje sprawy, tak więc to Hoskins poprosił o nakaz, to on musiał sztucznie się uśmiechać i wyjaśniać sytuację, to on musiał zebrać o pomoc. Ale tak to już było z Lorenem, i to zawsze. Gdy Loren czegoś chciał, ktoś inny musiał mu to zapewnić.

— Marihuana? — mówi Seever, trzymając nakaz pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Wygląda to tak, jakby trzymał kawałek zużytego papieru toaletowego. Czyta nakaz, śmiejąc się, co przypomina odgłos pękającego szkła.

— Niczego takiego tutaj nie znajdziecie.

— W porządku — mówi Loren. Uśmiecha się, albo przynajmniej ściąga wargi, odsłaniając zęby, co sprawia, że wygląda bardziej jak wściekły pies niż człowiek. — Czuję, że znajdziemy to, czego szukamy.

Seever zamyka frontowe drzwi, odcinając ich od porannego jasnego światła i Hoskins przez chwilę nic nie widzi. To niedobrze. Żaluzje są opuszczone, wnętrze domu jest ciemne. Jego oczy nie mają czasu, by przywyknąć. Hoskins zastanawia się, czy Seever zdaje sobie z tego sprawę, czy wykorzysta ten moment, by pozbyć się marihuany albo zabić dwóch

gliniarzy, którzy przyszli, żeby zamknąć go na resztę życia. Ale on się nie rusza, stoi tylko w drzwiach z rękami zwisającymi po bokach, bo tak naprawdę niezależnie od tego, jak się zachowuje i co mówi, jest tchórzem.

— Gdzie chcecie zacząć? — pyta Seever. Jest grzeczny, obojętny. — Na górze? Gloria jest u swojej matki na weekend, więc jeśli możecie...

— Korytarz, gdzie jest dostęp do węzłów sanitarnych — mówi Loren. — Chcę go zobaczyć.

Ale miejsce to jest zalane, wypełnione wodą i jakimiś bliżej nieokreślonymi kawałkami czegoś, pływającymi w tłustych kłębach. Hoskins, stojący przy włączniku umiejscowionym w podłodze, obserwuje na czarnej powierzchni wody trzy odbicia ludzkich postaci. Macha rękami, a jego bliźniacze odbicie robi to samo.

— Pompa się zepsuła — mówi Seever. Uśmiecha się. Przebiegle, jak myśli Hoskins. Jak gdyby udało mu się wystrychnąć wszystkich na dudka. — Miałem zamiar wezwać hydraulika, ale jeszcze nie zdążyłem.

Loren zanosi się mokrym kaszlem, zasłaniając usta pięścią. Złapał przeziębienie, które nie tak łatwo przejdzie, nie o tej porze roku i nie po tym całym czasie, który spędził na dworze, siedząc w samochodzie, obserwując Seevera i czekając na dzisiejszy moment. Hoskins i Seever stoją cierpliwie, podczas gdy Loren kaszle i ociera usta starą chustką, którą wyciągnął z kieszeni.

— Myślisz, że jesteś bardzo sprytny, nieprawdaż? — mówi Loren. — Myślisz, że nabiłeś wszystkich w butelkę, ale ja cię przejrzałem.

— Co takiego? — odpowiada Seever, ale jego wzrok prześlizguje się po kątach pokoju. Wygląda jak przyparty do muru pies, w szeroko otwartych oczach widać przerażenie. A to dopiero początek.

— Ten otwór odpływowy należałoby wymienić — odzywa się Loren. Zdejmuje kapelusz i wręcza go Hoskinsowi. Potem także płaszcz, po czym majstruje przy węźle krawata, poluźniając go. — Na twoje szczęście wiem, jak to się robi. Mój stary był hydraulikiem i brał mnie nieraz, żebym pomagał w robocie.

— Zamówię kogoś.

— Nie, udrożnię to cholerstwo od razu — mówi Loren, bo wie, co znajduje się pod podłogą i stojącą na niej wodą. — Zaoszczędzę ci trochę grosza i nie będzie trzeba nikogo wzywać. Poza tym spieszy mi się. A tobie, Paulie? Musisz jeszcze gdzieś dzisiaj być?

— Nie.

— A ty, Seever? — Na zębach Lorena widnieje czarna plamka, wprost na przodzie. Granulka kawy albo odrobina pieprzu. — Masz ważną randkę?

Seever potrząsa głową. Przebiegły uśmieszek już zniknął z jego twarzy.

— Znakomicie — oświadcza Loren. Przychyla się, rozwiązuje buty i zdejmuje je. W lewej skarpetce ma dziurę, przez którą wystaje duży palec. Rzuca buty, a jeden z nich trafia w bok pralki. Potem siada, spuszcza nogi do kwadratowej dziury w podłodze i powoli opuszcza się do wody. — Naprawię to błyskawicznie, a potem poczekamy, aż się udrożni. Może mógłbyś mi przynieść trochę kawy, Seever? To byłoby miłe.

Ten dom wywołuje u Hoskinsa gęsią skórę, choć sam nie wie dlaczego. Może to przez ten dziwny zapach wilgoci, który od czasu do czasu wyczuwa, a który przyczaił się pod wonią sosnowej choinki lub waniliowym zapachem świec, a może to przez tę górę szklanych wazonów do kwiatów w garażu, która sięga niemal sufitu, zakurzona i brudna. W końcu Hoskins dochodzi do wniosku, że najbardziej niepokoją go zdjęcia. Są wszędzie, oprawione w

ramki i lekko matowe, a większość przedstawia Seevera. Jego żony nie ma na wielu z nich — to ona je robiła, zezując do czarnego pudełka, klikając i utrwalając wizerunek męża z tysiąc razy. Pewnie gdyby mieli dzieci albo chociaż psy, byłoby inaczej. Ale zamiast nich jest Seever w okularach słonecznych, trzymający w obu rękach lśniącego pstrąga. Seever w Disney World, stojący niezgrabnie w cieniu wielkiej piłki do golfa. Seever w Wielkim Kanionie, na moście Golden Gate. Zawsze stoi blisko czegoś ważnego, mając za plecami jakieś pomniki. Hoskins czuje się zdenerwowany widokiem oblepiającej cały dom twarzy Seevera i jego świńskich oczu, które obserwują każdego, kto przechodzi.

Kiedy w łazience Hoskins wyciera palce w idiotyczny malutki ręcznik, starając się omijać szorstkie, haftowane na nim róże, dostrzega zdjęcie umieszczone na dolnopłuku. Dlaczego ktoś chciałby, żeby ludzie ze zdjęcia gapili się na niego podczas wypróżniania, przechodzi zrozumienie Hoskinsa, ale co on tak naprawdę o tym wie? Nic. To oczywiście fotografia Seevera. Tym razem pozował na tle własnego domu, mając za sobą ceglane ściany i wielkie okno z wykuszem; widać też wyraźnie numery domu, przybite obok drzwi. Seever uśmiecha się, szeroko rozłożywszy ręce, a w jednej z nich, na którą włożył białą rękawiczkę, trzyma bukiet czerwonych goździków.

Jest przebrany za kłowna.

— Lubię odwiedzać dzieciaki w szpitalu — powiedział im Seever kilka tygodni temu, kiedy jeszcze nie zaczął być nerwowy, kiedy jeszcze myślał, że śledzący go dwaj gliniarze to jakiś żart. Widział, jak zatrzymują się samochodem, obserwują go, on zaś zaczynał z nimi pogawędkę, plótł coś o pogodzie albo jak wypadną Broncos w następnym sezonie. Pewnego razu poszli jego śladem aż do jednej z restauracji, których był właścicielem, a on zaprosił ich na lunch. Usiedli za stołem, Hoskins i Loren po jednej stronie, a



Seever pod drugiej; jedli pieczeń, groszek na maśle, szarlotkę i pili kawę. — Fakt, że te dzieciaki się uśmiechają, sprawia, że czuję się dobrze.

Wiedzieli wszystko o jego pracy wolontariusza; obserwowali go w szpitalu, jak wchodzi do sal, gdzie przebywały dzieci albo czekające na poprawę zdrowia, albo choćby na wydłużenie czasu ich bardzo krótkiego życia. Były wśród nich takie, które prawie nic nie ważyły i nie miały włosów, dzieci poparzone i bite, te, które snuły się po szpitalu, i te, które leżały ze złamanymi nogami. Najpierw myśleli, że Seever to zboczeniec, na dodatek pedofil, ale tak nie było. Dzieci go lubiły, a on robił dobrą robotę. Seever był szajbusem i pojebem, ale z dziećmi radził sobie świetnie. W kostiumie prezentował się bardzo naturalnie, podskakiwał, przyciskał swój nos i wyginał balony tak, że powstawały z nich zwierzątka.

— Dlaczego kłown, Seever? — zapytał Loren, wsypując do kawy łyżeczkę cukru. Wydawał się autentycznie tym zaintrygowany. — Większość dzieciaków cholernie się ich boi.

— To nieprawda — odrzekł Seever. — Górny guzik jego koszuli był rozpięty, a Hoskins zobaczył złoty krzyżyk wiszący w zagłębieniu jego szyi. — Maluchy uwielbiają kłowny.

— Nie byłbym tego taki pewien.

— Och, wszyscy kochają kłowny — powiedział Seever, mrugając. — Oni są przyjaciółmi wszystkich. Kłown mógłby uniknąć kary za morderstwo.

Nim woda odpływa, mijają cztery godziny. W momencie gdy zaczyna być widać lekko brudną podłogę, posyłają technika na dół. Ma na sobie plastikowy kombinezon i maskę oraz żółte rękawiczki. W ręku trzyma małą łopatę, taką, jakiej używa się w ogrodzie do sadzenia kwiatów. Ale on nie sadi kwiatów. I nie szuka marihuany.

Jest na dole mniej niż dziesięć minut, kiedy nagle rozlega się jego frenetyczny krzyk. Tym razem do dziury wskakuje Hoskins. Zawija nogawki spodni i brodzi w kierunku kucającego w najdalszym kącie technika.

— Śmierdzi tutaj — mówi technik. — Staraj się nie wymiotować. Nie tutaj, na dole.

I rzeczywiście śmierdzi, i to cholernie. Hoskins zaczyna myśleć o tym, jak jego była żona wyrzuciła na śmietnik surową wieprzowinę, mówiąc, że mięso się zepsuło i że nie mogą go już jeść. Śmietnik stał w letnim słońcu przez kilka dni, więc mięso powoli gniło w gorącu, wypełniając okolice zapachem, od którego wywracały się żołądki, a psy wariowały.

— Co to jest? — pyta Hoskins.

Technik pokazuje na podłogę, na kawałek darni, tam, gdzie rozgrzebał trochę błota. W tym miejscu widać fragment materiału. Flaneli, niebieskiej i białej. Prawdopodobnie to część podkoszulka. Większa jego część wciąż tkwi w ziemi, niewidoczna dla obserwatorów. A poza kawałkiem materiału, częściowo w niego zawinięta, leży ręka. Jest do tego stopnia przegniła, że w niektórych miejscach Hoskins widzi kość, choć są jeszcze pozostałości skóry, poszarpanej, szerniałej i poskręcanej na krawędziach niczym papier tknięty ogniem.

— To tutaj — woła Hoskins, cofając się. — Znaleźliśmy je.

Nad jego głową słychać odgłosy przepychania się i tupanie. Rozlega się krzyk przerażenia, po czym odzywa się Loren. Hoskins nie może usłyszeć słów, ale rozpoznaje znajomy ton partnera. A potem poprzez głos Lorena przebija się jakiś dźwięk wydawany przez Seevera. On płacze.

# SAMMIE

29 grudnia 2008

Jeśli Sammie Peterson nauczyła się przez lata jednej rzeczy, to brzmiała ona tak: wszyscy myślą, że ładna dziewczyna to debilka.

Takie właśnie zdanie mają na jej temat. Ona to wie, czuje te wszystkie myśli, które krążą wokół mężczyzn pochylonych nad pracą. Unoszą się nad ich głowami niczym dymki z komiksów, tak że może je odczytać. Zaprosili ją, by mogła obserwować ich pracę w korytarzu, by lepiej poczuła klimat przestępstwa i patrzyła, co się dzieje, a potem wiernie przedstawiła to w swoich artykułach. Ale jej się tu nie podoba. Pomieszczenie jest zbyt małe, zbyt ciasne. Nie pomaga nawet to, że zdarto większą część podłogi i wyniesiono pralkę i suszarkę, tak że korytarz nie jest już pod domem, ale stał się jego częścią. Miejscem, gdzie mężczyźni mogą stać wyprostowani i oparłszy ręce na biodrach albo założywszy je na piersi, mogą patrzeć, co pozostawił tutaj Seever. Obserwują Sammie, gdy odważa się wejść do korytarza. Ona czuje ich spojrzenia na swoim tyłku, piersiach i ustach, ale prawie wcale nie patrzą jej w oczy. Słyszy, jak rozmawiają, choć nic nie mówią na jej temat. Szepczą między sobą, paląc papierosy na zewnątrz albo idąc do swoich samochodów. Nie lubią jej nie tylko dlatego, że pracuje dla „Posta” — a wszyscy gliniarze nienawidzą węszących reporterów — ale także z powodu Hoskinsa. W obecności innych ludzi mężczyźni ci są ostrożni; zachowują się tak, jakby wcale się nie znali i nigdy ze sobą nie rozmawiali, nawet wówczas, gdy mogliby się już z tym nie kryć. Zresztą

wszyscy wiedzą, co oni myślą.

— Mówiłeś komuś? — zapytała całkiem niedawno. Leżeli w jego łóżku, telewizor był włączony, ale przyciszony. Sammie lubi, by telewizor grał, gdy uprawiają seks, lubi, gdy pokój wypełnia migające światło. — Mam na myśli, czy mówiłeś im o nas?

— Dlaczego miałbym to robić, księżniczko? — zapytał. — Nikomu nic do tego.

— Wygląda na to, że ludzie wiedzą.

— Jacy ludzie?

— Wszyscy.

— Prawdopodobnie Loren — rzekł Hoskins i uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu nie było nic miłego ani swojskiego. Hoskins był dobrym facetem, a ten uśmiech nie był jego. Ale potem Sammie mrugnęła i było po wszystkim. — Ten facet wie wszystko i nie umie trzymać gęby na kłódkę.

— Możliwe.

— Jest w porządku — powiedział Hoskins, sięgając po szklanekę wody stojącą na nocnym stoliku. Sammie żałowała, że nie widzi teraz jego twarzy. — Nie ma się czym przejmować.

Ale ona przejmuje się czymś innym — tym, że jej mąż może dowiedzieć się o Hoskinsie. Nie, nie obawia się Deana, nie boi się, że zrobi coś złego, ale nie chce go zranić. Nie chce widzieć wyrazu jego twarzy w chwili, gdy się dowie. Jeśli wszyscy inni wiedzą, to dotyka to ją o tyle, że wie, co mówią. Słyszała to.

Suka.

Dziwka.

Faceci myślą, że pieprzy się z Hoskinsem i dzięki temu dostała się do domu Seevera, może obserwować śledztwo i pisać artykuły do „Posta”, robiąc z nich głupków, bo tak postępują wszystkie kanale z mediów. Wszyscy mężczyźni obecni przy dochodzeniu lubią Hoskinsa, uważają go za równego gościa, ale nie są głupcami. Zdają sobie sprawę, co się dzieje. Wszyscy wiedzą, jakie babki Hoskins zazwyczaj podrywał, a Sammie jest z zupełnie innej ligi. Jest laską, strzałem w dziesiątkę i mogłaby celować dużo wyżej. Pieprzy się z Hoskinsem tylko dlatego, żeby móc się dostać tu i ówdzie, tak mówią między sobą. Ssie jego fiuta tylko po to, żeby mieć materiał do artykułów.

I to prawda. Przynajmniej w jakiejś części.

Ale Sammie nie przyznałaby się do tego, nawet gdyby ktoś przyłożył jej pistolet do głowy i zmusił do wyznania prawdy. Nie jest szczególnie dumna z tego, że idzie do łóżka z Hoskinsem, że przed nim gra, a potem wraca do domu i okłamuje męża. Robi to dlatego, że chce być lepsza od innych reporterów i opowiedzieć bardziej interesującą historię. Poza tym nikt nie rozumie, jaką pozycję zajmowała w prasie i na czym polegała jej praca. Pisanie nudnych recenzji książek i głupot o lokalnym pokazie psów, podczas gdy chciała zrelacjonować coś naprawdę dobrego, coś, co miałoby znaczenie. Coś, co robiłoby różnicę. Słyszała, jak wydawca przydzielał ludziom zadania, ale ją zawsze pomijał, a ona wracała do tworzenia kawałka o klubie robótek ręcznych w Highlands Ranch, który ofiarował koce bezdomnym, albo pisała o psie z protezą. Całe życie marzyła o byciu reporterką; sądziła, że będzie sławna, że odniesie znaczący sukces. Kiedy zatrudniono ją w „Poście”, była pewna, że tak się stanie. Wszystko będzie już odtąd proste. Ale nic w życiu nie jest proste, zaś ona była cierpliwa. Długo czekała, a kiedy dostrzegła okazję, złapała ją.

Faktycznie jednak krępuje ją, że wszyscy ci mężczyźni mówią o niej, przywołują jej imię i traktują chłodno, podczas gdy ona po prostu wykonuje swoją pracę najlepiej, jak potrafi. I co z tego, że wliczony jest w nią seks? Gdyby Sammie była mężczyzną, nikt nie zwracałby na to uwagi. Prawdopodobnie pogratulowałiby, dali nagrodę. Kontakty z Hoskinsem pozwalają jej każdego ranka przedostać się za policyjny kordon, podczas gdy inni dziennikarze marzną, stojąc na ulicy daleko od domu Seevera z notesami, magnetofonami i kamerami. Niektórzy nawet ustawili przed domem przyczepy kempingowe i składane stoliki, na których stoją czajniczki z parującą kawą i talerzyki z zimnymi pączkami. Na zewnątrz są też dziennikarze o znanych nazwiskach, którzy przylecieli z Nowego Jorku albo Los Angeles. Rozbili namioty w ogródkach i spędzają tutaj cały dzień w nadziei, że coś się zdarzy. Sammie słyszała, że niektórzy sąsiedzi Seevera naliczają im opłaty za uzyskanie pozwolenia na rozbicie namiotu i dostęp do toalety. Ale ona ich mija — wszystkich — i idzie zobaczyć, co dzieje się w środku. W jej głowie już powstaje artykuł, podczas gdy kolejne ciało jest chowane w zapinanym na suwak czarnym worku i wynoszone z domu.

Jest jeszcze coś, czego nauczyła się Sammie: jeśli już chcesz się z kimś pieprzyć, niech to będzie przynajmniej ktoś ważny.

I tak mężczyźni szepczą między sobą, wykopując kolejne ciała, zaś Sammie wciąż pisze i wciąż pieprzy się z Hoskinsem. Kontynuuj to, co działa, jak to się mówi.

Dziwnie jest znajdować się w domu Seevera, będąc otoczonym przez te wszystkie przedstawiające go fotografie; widzieć kuchenne ścierki, które jego żona powiesiła na haczyku obok zlewu, nim była zmuszona opuścić dom, i ceramiczną choinkę, wciąż stojącą pośrodku pokoju z krzywo przypiętymi lampkami. Prawdopodobnie jednak jest to dziwne tylko dla Sammie, bo

kiedyś pracowała dla Seevera. Było to lata temu, może nawet w innym życiu, jeszcze przed college'em, pracą i małżeństwem. Sammie była kelnerką w Don's Café, jednej z restauracji Seevera. Pracowała już miesiąc, zanim pierwszy raz go zobaczyła. Zatrzymał się i przyglądał otoczeniu, upewniając się, że wszystko idzie dobrze. Nosił elegancki tweedowy garnitur wyglądający na drogi, zaś jego paznokcie były wypolerowane i czyste. Był przystojny, o gęstych brwiach, z głęboko osadzonymi oczami i wydatnymi ustami, ale już wtedy Sammie dostrzegła miękkość jego podbródka, delikatność ciała i wiedziała, że najpewniej kiedyś przytyje; takim był typem. Kiedy widziała go po raz pierwszy, Seever nie powiedział do niej ani słowa — zjawił się w restauracji w godzinach największego ruchu i był zbyt zajęty wydawaniem poleceń, ludzie zaś biegali w tę i w tę między stołami z tacami pełnymi pieczonych antrykotów i kukurydzy w śmietanie, pomidorów i piżmianu.

Jej właściwe spotkanie z Seeverem miało miejsce dopiero za drugim razem. Wszedł do restauracji, wyciągnął rękę i przedstawił się jej. Nosił wtedy kostium kłowna. Przebrał się, by swoim niezdatnym tańcem i niekształtymi zwierzątkami z balonów zabawiać dzieci. Wyglądał głupio; większość mężczyzn czułaby się niezręcznie w takim przebraniu, ale on wydawał się tym cieszyć. Tak właśnie było. Uwielbiał sprawiać, że dzieciaki się śmiały i klaskały w ręce, nawet jeśli żartował z siebie. Jedna mała dziewczynka zostawiła swój talerz z naleśnikami i zaczęła tańczyć z Seeverem. Obracał ją i obracał niczym balerinę, aż jej spódniczka wirowała, zaś jej samej ze śmiechu aż brakło tchu. Sammie obserwowała ten taniec wraz z innymi klientami, w jednej ręce trzymając dzbanek z kawą. Na jej twarzy gościł uśmiech. Uśmiechali się zresztą wszyscy, ale Seever zwrócił uwagę właśnie na Sammie, bo dostrzegł jej spojrzenie — oczywiście, że tak, zawsze się przyglądał, nawet jeśli patrzył na coś tylko kątem oka.

— Lubisz dzieci? — zapytał, podchodząc do niej, gdy czyściła stoliki. Pochylił się, podniósł z ławy jakieś puste opakowanie i podał je Sammie.

— Nie bardzo, kiedy krzyczą — odpowiedziała z uśmiechem. — Ale pana taniec z tą małą był naprawdę słodki.

— Samantha, tak?

— Wszyscy mówią mi Sammie.

— Podoba mi się.

Potem zrobił dla niej psa z dwóch różowych balonów, choć najbardziej przypominał on po prostu dwa różowe balony. Ale Sammie nie powiedziała tego Seeverowi. Gdy popołudnie już minęło, zanim wyszedł, dał jej na pożegnanie żółtą stokrotkę, którą miał zatknietą w klapę.

Hoskins powiedział Sammie, że w tym czasie Seever już zabijał, choć zachowywał dużą ostrożność, wybierając ofiary przypadkowo. Celował w ludzi, których nikt by nie szukał, w ludzi, którzy w żaden sposób nie byli z nim powiązani. Jakiś czas później stał się leniwy i niestaranny, zaczął myśleć, że jest niezwycięzony i pozwolił, by Carrie Simms umknęła, a wtedy cała sprawa zaczęła powoli wychodzić na jaw. Sammie czasem zastanawia się, co myślał Seever, gdy dawał jej stokrotkę. Czy miał zamiar zabrać ją do swojego domu, związać, a przed zabójstwem robić różne paskudne rzeczy, tak samo jak to robił z wieloma innymi dziewczynami? Ale kiedy myśli o Seeverze — o Seeverze, którego, jak sądziła, znała, o facecie w drogim garniturze i z promiennym uśmiechem — nie potrafi sobie wyobrazić, by mógł kogoś zamordować. Zajmuje się przecież pisaniem, a przecież o wszystkich twórcach mówi się, że mają żywą wyobraźnię. Ale oczywiście Sammie, jak zresztą wszyscy, wyrosła na telewizji, filmach i książkach, i wie, że zły bohater to ten, którego najmniej podejrzewasz, ten, który wydaje się



najmniej winny — to facet, który dużo się śmieje, otwiera kobietom drzwi i nigdy, przenigdy nie jest niegrzeczny.

Jak dotąd z korytarza wyciągnięto siedem ciał — pięciu kobiet i dwóch mężczyzn. Wszyscy liczyli, że na szczęśliwej liczbie siedem się skończy i że nie znajdą już nic więcej poza nieczystościami i robactwem. Siódma ofiara została wydobyta przedostatniego dnia. Kępki rudych włosów wciąż lepiły się do zdeformowanej czaszki, a punkrockowa koszula zwisała z klatki piersiowej. Później się dowiedzieli, że dzieciak nazywał się Kenny Fitz; uciekł z domu, jak robił to już tysiąc razy wcześniej, z tym że tym razem nie wrócił. Później matka Fitz dała Sammie jego zdjęcie, tak by mogło ukazać się w „Poście” wraz z jej artykułem, a Sammie nienawidziła na nie patrzeć. Była to fotografia z przeszłości, prezentująca szczerzące się w uśmiechu chłopca, który pewnego dnia miał skorzystać z propozycji przejażdżki wozem faceta w tweedowym garniturze. Sammie chciałaby móc cofnąć się w przeszłość, ostrzec dzieciaka, powiedzieć mu, by wracał do domu, uściskał matkę i jakoś się pozbierał. Ale to niemożliwe i Sammie ma jedynie nadzieję, że Kenny Fitz nie wiedział pod koniec, co się dzieje, że nie był już świadomy, gdy Seever okręcał przedłużacz wokół jego szyi i zaciskał po raz ostatni. Miała nadzieję, że w ostatnich chwilach myślał o czymś dobrym. O swojej matce. Albo o psie, który wciąż śpi na jego łóżku, pysk mu drga, a łapy przebierają w powietrzu.

— Komuś zależało na tym dzieciaku. Ktoś go kochał. Wiesz, skąd to wiem?

Hoskins powiedział to, gdy ciało chłopaka wsunięto już do plastikowego worka i wyniesiono, ale jeszcze nie ustalono, kim był. Hoskins jadł mało i spał niewiele, widziała to po jego twarzy i ciemnych workach pod oczami.

— Chodzi o zęby. Ten dzieciak ma niezłe. Mnóstwo wypełnień. Nosił też

aparatu. Ładne zęby kosztują. Ktoś za to zapłacił. Ktoś, kto go kochał.

Następnego dnia znajdują ósme ciało. Sammie jest wówczas w kuchni i nalewa sobie filiżankę kawy, słuchając, jak jeden z techników narzeka na swoją pracę.

— Kiedy wydmuchuję nos, wychodzi z niego jakieś czarne świństwo. Tutaj na dole jest obrzydliwie. Nie wiem, jak długo jeszcze to wytrzymam.

— Przykro mi — mówi Sammie. Zastanawia się, ile razy dziennie wypowiada to słowo. — Brzmi to okropnie.

— I o tym właśnie powinna pani napisać. Jakie pieprzone gówno jest tam na dole. Czuję, że utknąłem w koszmarze, z którego nie mogę się obudzić.

Niedługo po tym, jak zaczęła się pojawiać w domu Seevera, Sammie odkryła, że najlepsze, co można zrobić, to pozwolić tym facetom się poskarżyć. Początkowo próbowała ich przekonywać, że wykonują przecież swoją pracę, że za to, iż schodzą do korytarza i wykopują ciała, dostają pieniądze. Ale nie było tak, że ktokolwiek z nich oczekiwał, że będą im płacić za nic. Kiedy przedstawiała im swoje argumenty, mężczyźni wpadali w złość. Sammie nauczyła się więc trzymać język za zębami, zachowywać postawę pełną współczucia i mówić „przykro mi”, kiedy zaczynały się skargi. To działało znacznie lepiej.

— Wkrótce to się skończy — mówiła.

— Mam, kurwa, taką nadzieję.

Ktoś znajdujący się w korytarzu krzyczy coś niezrozumiałego, aż Sammie podskakuje przestraszona i uderza biodrem o bufet — na tyle mocno, że będzie miała siniaka. Ignoruje ból i wsadza głowę do pralni, gdzie stoi grupka podekscytowanych mężczyzn, którzy gestykują, unosząc pięści.

— Znaleźli kolejne ciało — mówi technik, wyglądając zza jej ramienia. Jego oddech ma woń wilgotnej tektury. — Kurwa. Jest ich więcej.

Sammie odwraca się powoli i wraca do kuchni. Jej kubek z kawą jest przewrócony, choć Sammie nie pamięta, jak to się stało. Kubek kołysze się na ladzie bufetu, jak gdyby popychał go duch. Sammie chwytając papierowe ręczniki, rzuca je na wyłożoną płytkami podłogę — starając się nie zwracać uwagi na ożywioną rozmowę, która dobiega z sąsiedniego pomieszczenia — i wyciera parującą kałużę.

# HOSKINS

5 stycznia 2009

Ekipa dochodzeniowa pracuje w domu Seevera, przekopując korytarz i katalogując wszystko, co wydobywają spod ziemi. To powolna, niewdzięczna robota. Jak dotąd znaleźli jedenaście ciał, a szukano ich tylko w jednym kącie pomieszczenia, w części o powierzchni kilku stóp kwadratowych. Nazywają ją kwadrantem numer jeden. Dziewięć ofiar to kobiety, z których jedna pasuje do opisu dziewczyny zaginionej w Fort Collins w 1988 roku. Dwadzieścia lat, myśli Hoskins. Ilu ludzi zabił Seever przez ten czas?

— Nikogo nie uśmierciłem — zarzeka się Seever.

Są razem we trzech. Hoskins, Loren i Seever. Jesteśmy rodziną, myśli Hoskins. Wszyscy moi bracia są tutaj ze mną. Znajdują się w pokoju przesłuchań, który jest ciasny i klaustrofobiczny, zaś klimatyzator wydmuchuje to zimne, to ciepłe powietrze, przez co temperatura nigdy nie jest odpowiednia.

— To wszystko jedna wielka pomyłka.

— A więc tych jedenaście ciał, które wykopaliśmy w twoim domu, to wytwór mojej wyobraźni? — pyta Loren.

Siedzi naprzeciwko Seevera przy małym metalowym stoliku, mając przed sobą filiżankę kawy. Seeverowi nie zaproponował niczego do picia. Hoskins stoi przy drzwiach z rękami założonymi na piersi. Nie może przestać myśleć

o ostatniej ofierze, którą wykopali. Miała sznur na przegubach dłoni i szalik owinięty wokół szyi, którego jeden koniec wepchnięto jej do ust. Zadławiła się nim, powiedział koroner, i szalik zatkał większą część jej gardła. Ciało miało na sobie fragmenty mory. Na materiale widać było wzory rozkwitających maków.

— To wszystkie, które znaleźliście? — pyta Seever. Zgodził się na rozmowę z nimi bez obecności prawnika i przysługującej mu obrony. Nie jest głupi, tylko szalony.

— Więc ciał jest więcej?

— Och, jestem tego pewien.

— Jak wiele jeszcze znajdziemy?

— Zero.

— Jak wiele osób zamordowałaś?

— Wszystkich tych ludzi.

Hoskins przesuwając palcami po wargach. Są wysuszone i popękane. Jego ręce czuć zapachem mydła z posterunkowej łazienki — taniego i popularnego, ale dobrze znanego. To nie pierwsze przesłuchanie Seevera i nie będzie ono ostatnim. Potrwa to jeszcze długo. Seever jest świętoszkowatym skurwysynem, lubi pogrywać w różne gierki, bawi się z nimi. Kluczy, czasem mówi prawdę, ale najczęściej kłamie, wymyślając głupoty dla własnej rozrywki. Jacky Seever został aresztowany, jest winny, nikt zdrowy na umyśle nie może myśleć inaczej — ale nadal pozostaje wyluzowany. Ulizane włosy odsłaniają jego czoło, zaś na twarzy widnieje beztroski uśmiech, jak gdyby nie miał powodu do zmartwień. Zupełnie jakby się spodziewał, że wkrótce pójdzie do domu, odsunie kuchenne krzesło i zabierze się do jedzenia obiadu.

— Co robiłeś z ich palcami? — pyta Loren. To dobre pytanie, istotne, bo każdej z ofiar wykopanej z korytarza brakuje przynajmniej jednego palca. Przy lewej ręce, przy prawej, to zależy. Seever nie był wybredny. Tego szczegółu nie zauważyli, a Hoskins podchwycił go od Sammie, która chciała napisać o tym w swoim artykule. Sammie wierzy, że należy mówić wszystko, niczego nie zatajając, tyle że nie chodzi jej o dobro ogółu, ale o własne. Chciała podać informację o palcach do publicznej wiadomości, serwując ją niczym kelner na srebrnej tacy, który podnosi pokrywkę przy dźwiękach fanfar.

— Palce?

— Tak, milczku. Masz jakieś dziwaczne zboczenie na punkcie palców? Wygląda mi na to, że preferujesz środkowe — wtykałeś je sobie w dupę, żeby mieć orgazm?

Seever się uśmiecha. Lubi mówić, nieraz dużo, ale Hoskins ma poczucie, że nigdy nie wyjawi prawdy, choć może to i tak nie ma znaczenia.

— Mam pytanie — odzywa się Hoskins. Mówi coś po raz pierwszy, ponieważ to Loren peroruje podczas przesłuchań; jest w tym lepszy, wie, o co pytać. Hoskins jest niczym fasada, wsparcie, gdy zachodzi potrzeba, a także świadek, gdy coś idzie nie tak. Ma oko na Lorena, dba, żeby tamten się zachowywał.

— O co chodzi? — pyta Seever. Ma zielono-brązowe oczy, a w lewym, pod źrenicą, widać jasną złotą plamkę.

— Dlaczego ukrył pan te wszystkie ciała w korytarzu z węzłami sanitarnymi? — pyta Hoskins.

Jeśli to przesłuchanie się wkrótce nie skończy, jeśli nie można będzie wyjść z tego pokoju, to Hoskins chyba zwymiotuje. W ten sam sposób czuł

się w kostnicy, patrząc z daleka na ofiary leżące na metalowych stołach o zagiętych krawędziach — gdyby z ciał wydostawała się krew lub inne płyny, nie byłoby bałaganu.

— Dlaczego trzymałeś je w domu?

Seever mruga.

To pytanie za milion dolarów. Sammie zadała je Hoskinsowi poprzedniej nocy, gdy leżeli w jego łóżku. Pomiedzy jej udami znajdowała się miska z mieszanką suszonych owoców i orzechów, a chociaż Hoskins nienawidził jedzenia w łóżku i znajdowania resztek uczyty w pościeli, pozwalał na to Sammie.

— Gdyby Seever nie trzymał tych martwych ludzi...

— Ofiar — poprawił ją. — Albo nieboszczyków. Tak powinnaś ich nazywać.

— Dlaczego zakopywał ich pod swoim domem? Seever nie ma żadnego dobrego wyjaśnienia dla tego faktu. Nikt nawet nie pomyśli, że mógłby być niewinny.

— On nie próbuje nikogo przekonywać, że jest niewinny — odrzekł Hoskins. — Niczemu nie zaprzecza.

Sammie miała na sobie jego koszulę, której kołnierzyk luźno zwisał na jedno ramię. Hoskins przeciągnął palcami po jej klatce piersiowej, przesuwając je ku zagłębieniu powyżej delikatnej kości. Sammie zamknęła oczy, odrzucając głowę, tak że widać było piękną linię jej szyi. Zawsze się zastanawiał, o czym ona myśli.

— Czy schodziłeś czasem do korytarza, żeby złożyć im wizytę? — pyta teraz Hoskins łagodnie. Do uszu wdziera mu się dźwięk przynaglenia i może

się wydawać, że Hoskins patrzy teraz na Seevera przez lornetkę, ale z odwrotnej strony. Wydaje się, że Seever jest gdzieś daleko i wygląda na niewielkiego, choć tak naprawdę znajduje się po drugiej stronie stołu, niecały metr dalej. Hoskins myśli, że jeśli wyciągnąłby rękę i chciał chwycić Seevera, jego dłoń trafiłaby tylko na powietrze. — Schodziłeś tam, triumfowałeś, śmiałeś się i onanizowałeś?

Seever przełyka ślinę, czemu towarzyszy suchy, trzaskający odgłos. Potem odwraca wzrok.

— Jak to zrobiłeś? — pyta Loren, zaś Hoskins słyszy w jego głosie niecierpliwość, to ukryte, charakterystyczne, pełne złości brzęczenie. Być może Seever nie jest w stanie tego wychwycić, ale to nie on pracował z Lorenem przez ostatnie dziesięć lat i to nie on nauczył się oceniać jego nastrój, który trzeba mierzyć niczym temperaturę wody, w której za chwilę chcemy się zanurzyć. — Skąd ich zgarniałeś?

Seever pochyła się, opierając się łokciami o stół. Ma na sobie pomarańczowy jednoczęściowy kombinezon, jaki noszą więźniowie. Z przodu jest brudny i wysmarowany zaschniętym jedzeniem. Seever zawsze bardzo dbał o swoje ubranie, a teraz całą tę troskę szlag trafił. Pobyt w więzieniu nie służy grzecznym chłopcom. Seever opiera łokcie na stole. Wygląda na to, że ma ochotę mówić i Hoskins spodziewa się, że znowu usłyszą kolejne kłamstwa, gierki i przechwałki, ale zamiast tego Seever mówi prawdę.

— Znajdowałem ich tam, gdzie mogłem — zaczyna. — Nigdy nikogo z nich nie atakowałem. Wszyscy szli ze mną do mojego domu, bo tego chcieli.

— Jak rozumiem, oczekujesz, że uwierzę, iż ci ludzie chcieli zostać związani i zabici? — pyta Loren.



Seever nie odpowiada, tylko wybucha śmiechem, cienkim chichotem, który wwierca się w mózg i nie daje o sobie zapomnieć. To właśnie prowokuje Lorena do wybuchu. I to właśnie powiedzą później swemu szefowi — Seever zaniósł się śmiechem i cały czas śmiał się jak maniak, czego Loren nie mógł znieść. Ale problem leży nie tylko w zachowaniu Seevera, Hoskins zdaje sobie z tego sprawę. Przez ostatnie siedem tygodni śledzili Seevera, obserwując go i czekając na jego spotkanie, aby mogli go wreszcie aresztować.

Na trop naprowadził ich anonimowy telefon; jakaś kobieta podała im nazwisko Seevera i jego adres. Twierdziła, że Seever coś kombinuje i że widziała, jak do jego domu wchodzi ludzie, ale nigdy z niego nie wychodzą. Zaczęli więc obserwować, jak chodzi do pracy, do baru i do domu, przez lornetkę widzieli, jak siada na skraju wanny albo zaciska palce na muszli klozetowej. Zaczęli go śledzić, bo brakowało innego podejrzanego, nie było żadnych tropów, a oni musieli coś zrobić. Miasto gwałtownie domagało się wyjaśnienia sprawy. W samym Denvermetro w ciągu ostatnich siedmiu lat odnotowano dwadzieścia trzy zaginięcia. Ludzie co prawda zawsze znikali, ale nie w taki sposób jak teraz — bez świadków i ciał. Pojawiły się opowieści o sektach i czcicielach szatana oraz o handlu żywym towarem. Hoskins słyszał te historie na własne uszy i śmiał się z nich, bo wszystkie one były beznadziejnie głupie. Musiało być jakieś wyjaśnienie zniknięcia wszystkich tych ludzi, myślał Hoskins. Rozsądne i racjonalne.

Toteż z powodu jednego telefonu zaczęli śledzić Seevera. Mogli tego zaprzestać w każdej chwili, było jednak coś, co skłaniało ich do kontynuowania działań. Seever był bowiem dziwaczny. Było w nim coś nieprawidłowego. Powiedział to Loren. Jego zdaniem Seever coś ukrywał, zajmował się czymś niegodziwym. Loren nie był pewien, że to Seever stał za zniknięciem wszystkich tych zaginionych ludzi, ale koleś wyglądał

podejrzanie. A Lorenowi można było ufać. Miał nosa do tej roboty, umiał poznać się na ludziach. Seever nie podobał się Lorenowi. Nie podobał mu się sposób, w jaki ścisnął dłonie i trzymał je w spoconym uścisku ciut za długo; nie odpowiadało mu to, że po nałożeniu przezeń żelu na włosy ząbki grzebienia pozostawiały na nich widoczne ślady. Loren chciał zapuszkować Seevera za coś, za cokolwiek, nawet jeśli nie byłaby to duża rzecz. Pragnął bowiem widzieć, jak ten koleś się wije, chciał zaśmiać mu się w twarz, wrzucić go do celi ubranego w śmieszny garniturek i pozostawić tam, by spał na pryczy i sikał w ubikacji, w której nawet nie można było usiąść. Och, mogli go aresztować za picie — Seever lubił wychylić parę kieliszków przed powrotem do domu. Mogli go zatrzymać przynajmniej z tuzin razy, ale Hoskins namawiał Lorena, by poczekali.

— Nie jestem pewien — perswadował Hoskins. Zazwyczaj parł do przodu bez zastanowienia, niczym czołg — przygotuj się na znaczną prędkość, odwróć wzrok, jeśli będzie ci się chciało wymiotować — ale tym razem było inaczej. Istniała jakaś dręcząca wątpliwość. Mrowienie w palcach, które podpowiadało Hoskinsowi, żeby zwolnić, poczekał. Jeśli Seever odpowiadał za coś poważnego — im dłużej go obserwowali, tym bardziej Hoskins był pewien, że tak jest — a oni przymknęliby go za wcześnie, wyslizgnąłby im się z rąk. Seever miał pieniądze, miał przyjaciół; ludzie go lubili. Policja mogłaby go zatrzymać za prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu, ale potem musieliby dać mu spokój, bo w przeciwnym razie Seever mógłby twierdzić, że go prześladują, że polują na niewinnego obywatela, oni zaś już nigdy nie byłiby w stanie przyłapać go na czymkolwiek. — Lepiej zaczekać.

— Bzdura — powiedział Loren, mocno uderzając dłonią o kierownicę. Siedzieli w jego samochodzie, zaparkowanym przed jedną z restauracji Seevera. Obserwowali, jak zamglone figury poruszają się za szybą, jedzą i

śmieją się, a czasem po prostu nic nie robią. — Jeszcze dzisiaj moglibyśmy mieć go za kratkami.

— Drobny zarzut nie sprawi, że będziemy mogli wejść do jego domu — odparł Hoskins, bębniąc palcami po desce rozdzielczej auta i gapiąc się jakby ze znużeniem na białe paski namalowane na asfalcie. — Powiedzmy, że to on kryje się za zniknięciem tych wszystkich ludzi. Tego się jednak nigdy nie dowiemy, jeśli nie postawimy nogi w jego domu. Będziemy kompletnymi dupkami, jeśli pozwolimy, by wyślizgnął nam się z rąk.

Loren nie akceptował poleceń i nie lubił, gdy mówiono mu, co ma robić. Hoskins dowiedział się tego zaraz po tym, jak zostali partnerami. Loren godził się na coś jedynie wówczas, gdy uznawał to za swój pomysł. Hoskins nauczył się więc z nim pogrywać; to on pociągał za sznurki, choć musiał to robić delikatnie i ostrożnie. Żaden z poprzednich partnerów Lorena nie obrał takiej strategii postępowania; Loren miażdżył ich i współpraca kończyła się fiaskiem. Aż do czasu, gdy nastał Hoskins. Ponieważ partnerstwo nie działa w przypadku dwóch warczących psów, jeden z nich musi odgrywać rolę smyczy.

Loren zaczynał się zastanawiać, snuł rozważania, a potem poszedł do ich szefa, Blacka, i oświadczył, że przemyślał sprawę i doszedł do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie poczekać, obserwować Seevera i w odpowiednim czasie go przyskrzynić. Szef zgodził się dać mu więcej czasu. Potem gratulowano Lorenowi takiej przezorności, wyczucia, kiedy trzeba się wycofać, znakomitego instynktu. Loren zaś jak zawsze nie wyprowadzał nikogo z błędu. Hoskins nie był szalony — tak wyglądało życie z Lorenem. Tego należało oczekiwać. Trzeba było ofiarować Lorenowi wiele, by otrzymać niewiele, zaś zaszczyty nie były dla Hoskinsa tak ważne jak porządne wykonywanie swojej roboty. Cel uświęca środki albo, jak zwykł

mawiać jego ojciec, nieważne, co wkładasz do ust, bo wszystko i tak w konsekwencji będzie głównem.

— Bądź bądź, bądź cicho — szeptał Loren, kiedy siedzieli nocą w aucie zaparkowanym w pobliżu domu Seevera, próbując nie zasnąć. — Polujemy na króliczka.

Na początku było to śmieszne, ale potem już mniej.

Siedem tygodni na Elmer Fudd, siedem tygodni obserwowania, jak Seever pakuje sobie jedzenie do ust, przystaje przy krawężniku, by sprawdzić e-maila albo pogawędzić z sąsiadami. Wszyscy oni wydają się lubić Seevera i uważają go za cholernie dobrego faceta. To wszystko prowadziło donikąd. Loren potrafił perswadować, ale nie byłby w stanie przekonać Blacka, by pozwolił im śledzić tego faceta w nieskończoność. Potrzebowali przerwy. I taka się nadarzyła; dziewiętnastoletnia dziewczyna, Carrie Simms — jedyna osoba, której udało się zbiec z korytarza z węzłami sanitarnymi.

Zanim jednak Simms pojawiła się na posterunku, Hoskins poświęcił sprawie siedem tygodni, pięćdziesiąt godzin w każdym z nich, a czasem nawet więcej. Bywały noce, gdy Hoskinsowi śniło się, że Seever wślizguje się do jego łóżka. Jego ręka była gorąca, a dotyk kuszący. Dłoń Seevera prześlizgiwała się po udzie Hoskinsa i dotykała fiuta. Nieważne, jak zaciekle Hoskins walczył, i tak nie mógł się pozbyć intruza. Nie tylko śledzili Seevera, ale zdołał on dostać się do ich umysłów niczym pasożyt. Hoskins wiedział, że ten właśnie fakt był powodem, dla którego Loren wyskoczył ze swego krzesła i uderzył Seevera prosto w twarz, rozbijając mu nos tak mocno, że aż trysnęła krew. Loren nie zrobił tego, bo Seever był zabójcą — aresztowali wcześniej setki mężczyzn, którzy zrobili swoim żonom i dzieciom czy zupełnie obcym ludziom straszne rzeczy — ale dlatego, że był niczym refren okropnej piosenki powtarzany w nieskończoność. Był jak

paskudny smak w ustach, którego nie da się usunąć. Jak plama na dywanie, której nie można wywabić.

Hoskins chwyta Lorena za koszulę i odciąga w tył. Zataczają się niezdarnie, a Seever piszczy, jedną ręką zasłaniając rozbity nos. Patrzy wprost na Hoskinsa, ponieważ Loren ma zamknięte oczy. Porusza wargami, licząc od dziesięciu do zera. Policyjny psycholog poradził mu, by robił tak, gdy czuje, że traci nad sobą panowanie.

— To nie koniec! — krzyczy Seever. Jego głos jest niski i brzmi dziwnie z powodu krwi, która spływa mu do gardła i cieknie po wargach aż na kołnierzyk więziennego kombinezonu, ale Hoskins świetnie rozumie, co mówi Seever. — To nigdy nie będzie koniec.

# SAMMIE

21 lutego 2009

Trzydzieści jeden. Tyle właśnie ciał mają po przekopaniu korytarza. Podwórko jest przeorane, a betonowa podłoga w garażu została rozbita na kawałki, które potem usunięto.

— Nienawidzę tego sukinsyna — mówi Hoskins. Jest zmęczony, pod jego oczami widać ciemne worki. Spędził z Seeverem mnóstwo czasu. Przesłuchania trwały godzinami. Tym razem rozmawiali tylko oni dwaj, bo Seever nie chciał mówić w obecności Lorena. Hoskins nie mówi Sammie wiele, ale ona wie, że Seever zdradził, gdzie należy kopać pod garażem i że znaleziono tam szkielet. Wie też, że Seevera przewieziono z powrotem do jego domu, tak by pokazał miejsce w ogrodzie, w którym ukrył jeszcze jedne zwłoki. — Jeśli spędzę jeszcze choćby jedną minutę w jego towarzystwie, zwariuję.

Sammie nic nie odpowiada, bo zawsze lubiła Seevera i nie może uwierzyć, że to on jest zabójcą. Nigdy jednak nie wiemy, do czego zdolni są inni ludzie, myśli Sammie. Na przykład jej mąż. Dean nie jest głupi; wie, że coś się dzieje, obserwował ją. Nie ufa jej i to ją dręczy, choć nie powinno, bo niby dlaczego miałby jej ufać? Wystarczy popatrzeć, co ona robi — jemu, swojemu małżeństwu. I Hoskinsowi. Sammie nie może zapomnieć o Hoskinsie, który jest zmęczony i marudny przez większość czasu. Poza tym nie jest w nastroju na seks, ale wciąż uparcie tkwi przy Sammie. Jest tym typem mężczyzny, który potrzebuje kobiety w swoim życiu. Gdyby spotkali

się kilkanaście lat temu, Sammie prawdopodobnie byłaby żoną Hoskinsa, a nie Deana. Myślenie o tym sprawia jednak, że Sammie czuje się idiotycznie, bo dlaczego zawsze musi myśleć o swoim życiu w kontekście mężczyzn? Od momentu swego pierwszego pocałunku w siódmej klasie zawsze z kimś była i możliwe, że jest typem podobnym do Hoskinsa — nie potrafi żyć bez drugiej osoby przy boku. Ale ona nie ma jednego mężczyzny, tylko dwóch, i to się wreszcie wyda — prędzej czy później, to tylko kwestia czasu. Dean zadaje pytania, a Hoskins naciska na nią, by złożyła pozew o rozwód i z nim zamieszkała. Sammie nie potrafi zdecydować się na żadne rozwiązanie, bo musiałaby kogoś zranić i to byłoby bardzo złe. Po raz pierwszy w życiu Sammie nie pragnie więcej. Byłaby szczęśliwa, gdyby wszystko zostało tak, jak jest. Ale potem Hoskins dokonuje wyboru za nią, mówiąc, że poznał kogoś innego i że to poważna sprawa.

— Jak ma na imię? — pyta Sammie. Nie sądziła, że sprawy potoczą się takim torem. To ona powinna z nim zerwać, zawsze tak to sobie wyobrażała. Nie powinno to się stać podczas obiadu, w obecności pary siedzącej przy sąsiednim stole. Ludzie ci jedli w milczeniu, ale Sammie zdawała sobie sprawę, że przysłuchują się ich rozmowie. Wiedziała, że z jej strony nie będzie żadnych łez i krzyków. Hoskins wybrał idealne miejsce, by uciec bez szwanku. Bez scen.

— To nieważne.

— Dla mnie ważne.

Ale właściwie dlaczego?, myśli Sammie. Czy nie na to właśnie czekała — na szansę czystego wycofania się z tej relacji i powrotu do małżeństwa? Nie ma na co czekać. Nie ma po co kolejny raz chodzić do domu Seevera; są inne historie do napisania. Czas się zbierać.

— Nie podoba ci się, że spotykam się z inną kobietą? — mówi Hoskins,

uśmiechając się. — Ty wracasz do domu do męża, ale to nie jest okay, że ja mam dziewczynę?

— Nigdy tego nie powiedziałam. Chcę tylko znać jej imię.

— Jeśli nie chcesz, żebym spotykał się z kimś innym, wprowadź się do mnie. Zostaw męża.

— Nie mogę tego zrobić. Wiesz, że nie mogę.

— Owszem, możesz. Spakuj torbę z ubraniami i odejdz. Mogę kupić ci wszystko, czego potrzebujesz. — Oto cały Hoskins, myśli Sammie. Chce być bohaterem. Gdyby mieszkał na Dzikim Zachodzie, nosiłby biały kowbojski kapelusz, a ona, przywiązana do torów kolejowych, krzyczałaby, że pociąg zaraz utnie jej głowę. — Zaopiekuję się tobą.

Sammie myśli, że nie ma innej kobiety. Nie może być. Przez ostatnie miesiące Hoskins spędzał każdą chwilę zajęty albo Seeverem, albo nią. Nie miał czasu, by spotykać się z kimś innym. Wymyślił to, by Sammie zrobiła się zazdrosna i odeszła od Deana. Hoskins chce się ustatkować, powiedział jej to już wcześniej. A ona zastanawia się, dlaczego zawsze spotyka mężczyzn w takim typie. Tak było przez całe życie — spotykała mężczyzn, którzy chcieli więcej, niż ona mogła im dać. Gdzie są ci faceci, którzy nie chcą niczego poza seksem i rozrywką, a potem odchodzą?

— Muszę iść — mówi Sammie, zdejmując serwetkę z kolan i rzucając ją wprost na sałatkę, a potem przyciskając tak, że słychać, jak pod naporem jej ręki trzeszczą liście sałaty.

— Słuchałaś tego, co mówiłem? — pyta Hoskins.

— Tak.

— I co?



— Nie wiem.

— Nie wiesz czego?

— Nie wiem.

— To wszystko? — mówi Hoskins. — Zrywasz ze mną?

— Nie.

— Więc odejdz od niego. Zamieszkaj ze mną.

— Nie mogę.

— Nie rozumiem.

I nie zrozumiesz, myśli Sammie. On nie wie, co to znaczy mieć za męża miłego człowieka, który przez większość czasu czyni ją szczęśliwą, a potem mieć Hoskinsa, którego mogłaby pokochać, tyle że ona nie jest w stanie opuścić Deana. Taka decyzja byłaby bowiem nieodwracalna. A co gdyby na dodatek okazało się, że to była niewłaściwa decyzja? Nie dałoby się jej już cofnąć. Sammie tkwi pośrodku i tak jest bezpieczniej. Ma swoje ciastko, a jednocześnie może je zjeść, jak powiedziałyby jej matka, oczywiście gdyby o wszystkim wiedziała. Gdyby jednak odkryła prawdę, chybaby umarła. Umarła ze wstydu. Nigdy już nie byłaby w stanie pokazać się w kościele — oto, co by powiedziała. „Mam córkę dziwkę i nigdy nie pójdę do nieba”.

— Jak zgaduję, dostałaś to, czego chciałaś? Swoje historie, dzięki czemu dobrze wypełniłaś zadanie, a teraz jesteś gotowa zakończyć znajomość?

— Nie. — Sammie potrząsa głową, przygryzając opuszkę kciuka. Prawda jest jednak taka, że faktycznie otrzymuje interesujące zlecenia na artykuły, a Dan Corbin uważa ją za poważną dziennikarkę. Dzwonią do niej reporterzy z innych gazet, mając nadzieję, że wycisną jakieś informacje; pytają o jej kontakty, źródła informacji. A jeszcze niedawno to ona wykonywała takie

telefony. Wszystko to zawdzięcza Hoskinsowi, ale kiedy o tym myśli, coś jej w środku twardnieje. Sammie jest sknerą, niechętnie rezygnującą z czegokolwiek, by spłacić swój dług. Zwłaszcza że wie, czego chce Hoskins — a on chce jej. — Tak to wygląda.

— Skłamałabyś w każdy możliwy sposób, by dostać to, czego chcesz — mówi Hoskins i wstaje tak gwałtownie, że rozlewa napój. Woda cieknie po wszystkim, a kelner rusza na pomoc, chcąc uratować posiłek. Ale to wszystko wydaje się dziać bardzo daleko, zupełnie oddzielone od bieżącej chwili. — Boże, jesteś ohydną suką.

Później, w domu, Sammie rozplakała się na wspomnienie słów Hoskinsa. Nie chodziło o to, że nazwanie jej kłamcą było bolesne, bo Sammie była kłamcą i dobrze o tym wiedziała. Ale kto nie jest? Zabolą ją nazwanie ohydną, bo ona taka nie jest. Przez całe życie wszyscy mówili jej, jak bardzo jest ładna, jak urocza. To część jej osobowości, tak jak odciski palców albo plamka na prawym udzie. Uroda była jedyną rzeczą, na którą Sammie mogła liczyć, była jej zapleczem, kiedy wszystko inne szło źle. Nikt nigdy nie nazwał jej ohydną, a to boli, choć jakaś część Sammie myśli, że Hoskins ma rację, bo ona taka właśnie jest. Wszyscy to widzą, ale mówią jej coś przeciwnego.

— To nie koniec — mówi Hoskins niejasno, nie patrząc na Sammie, ale ponad jej ramieniem, i to ją boli. Gdyby nie byli w miejscu publicznym, gdyby para obok nie przyglądała im się teraz całkiem otwarcie, nawet nie udając, że pilnuje swoich spraw, gdyby kelner nie sprzątał stolika, wycierając mokre ślady, Sammie może nawet zaczęłaby krzyczeć. Słowa te nie są bowiem słowami Hoskinsa. Wypowiedział je Seever i Sammie wiedziała to od Hoskinsa. To był slogan Seevera, który powtarzał za każdym razem, gdy rozmawiali. — To nigdy nie będzie koniec.

Potem Hoskins wychodzi. Odwraca się i opuszcza restaurację, wkraczając w ciepło popołudnia. Para pośpiesznie wraca do swego posiłku, a kelner wyciera stół. Wszyscy są zajęci i nikt nie patrzy na Sammie. „Idźcie stąd, ludzie, nie ma na co patrzeć”. Sammie czuje się tak, jakby ją spoliczkowano. Jest oszołomiona i pragnie, by ktoś na nią spojrział, nawet jeśli zrobi to z litości. Nikt jednak tego nie robi. Czuje się tak, jakby w ogóle jej tu nie było.

# GLORIA

17 marca 2009

We wtorki Gloria chodzi do sklepu spożywczego, a potem napełnia lodówkę plastikowymi torebkami z zieleniną, odtłuszczonym mlekiem i mieloną kawą. Wciąż nie przywykła do robienia zakupów dla jednej osoby — to bardzo dziwne nie kupować rzeczy, które jadał Jacky; ziemniaków, serów i galonów lodów. I czerwonego mięsa. Ona sama teraz rzadko je jada. Zdarza się, że w ogóle zapomina o posiłku. Kiedy wchodzi do kuchni na poranną filiżankę herbaty i znajduje pomieszczenie bez jakichkolwiek śladów czyjejś obecności, zdaje sobie sprawę, że nie jadła nic przez cały dzień. To nigdy nie przestanie jej dziwić, bo jedzenie nie jest czymś, o czym człowiek może zapominać. Z tego powodu zakupy robione w warzywniaku są niewielkie, a i tak niektóre produkty się marnują. Sałata w pojemniku na warzywa zamienia się w czarną breję, mleko warzy się i kwaśnieje.

Dziś jest wtorek, ale Gloria nie ma zamiaru kupować jedzenia. Zamiast tego idzie do domu, do dużego domu znajdującego się na północno-wschodnim rogu Sycamore Street. Wzniesiony z cegieł budynek stoi na ćwierćakrowej działce. Naprzeciwko drzwi wejściowych rośnie prawie dziesięciometrowy iglak. Posadzenie go kosztowało małą fortunę, zaś korzenie pewnego dnia naruszą fundamenty i kanały ściekowe, ale Gloria powiedziała kiedyś Jacky’emu, że chciałaby mieszkać w domu z wielkim drzewem naprzeciwko drzwi wejściowych, a on zachował tę informację na później. Jacky zawsze miał pamięć do takich spraw i uwielbiał niespodzianki.

Gloria faktycznie była zaskoczona, kiedy Jacky kupił ten dom, a jeszcze bardziej zdumiało ją, gdy po tygodniu od momentu wprowadzenia się do niego obudziły ją odgłosy, które wydawali mężczyźni sadzący drzewo w ogrodzie. Jacky lubił ją uszczęśliwiać. Mawiał, że to główne zadanie mężczyzny — sprawiać, by żona się uśmiechała.

— Przepraszam cię za wszystkie te chwile, kiedy przeze mnie płakałaś — powiedział na tydzień przed aresztowaniem. Gloria pakowała się wtedy, starannie składając ubrania i zwijając skarpetki, by włożyć je do zapakowanych już do torby butów. Przez lata swego małżeństwa bardzo dużo podróżowali i Gloria stała się ekspertem od pakowania. Kosmetyki w dużej torbie z izolacją cieplną, która miała je zabezpieczać przed wytryśnięciem czy pęknięciem, któremu łatwo by ulegały, gdy lecieli do Denver. Pudełko na biżuterię, którego przegródki chroniły naszyjniki przed splątaniem. Skarpetki wetknięte w buty, tak by zaoszczędzić miejsce.

— Co powiedziałaś? — Była zajęta pakowaniem, starając się pamiętać o wzięciu wszystkich niezbędnych drobiazgów, które wkłada się do walizki w ostatniej chwili. Gloria wybierała się na wycieczkę ze swoją matką. Chciały zobaczyć Łuk w St. Louis albo odwiedzić ojca w Chicago. Podróż była pomysłem Jacky’ego. Później Gloria zdała sobie sprawę, że był tak nieugięty co do tego wyjazdu, bo wiedział, co nastąpi, i nie chciał, by Gloria była świadkiem jego aresztowania. — Przepraszam, nie słuchałam cię.

— Przepraszam za wszystkie te sytuacje, kiedy przeze mnie płakałaś — powtórzył Jacky powoli.

Siedział na fotelu pod oknem wychodzącym na ich cichą ulicę. U zbiegu ulic zaparkowano samochód, w tym samym miejscu, w którym stawiano go przez kilka ostatnich tygodni. Gloria mogła dostrzec ramię człowieka siedzącego za kierownicą. Jego palce bębniły o deskę rozdzielczą. Gloria nie

rozmawiała z Jackym o samochodzie i mężczyznach, którzy wciąż kręcili się wokół, ale wiedziała, że mąż zdaje sobie sprawę z ich obecności i z faktu, że są glinami. Poznawała to po ich ubraniu, po tym, że przejeżdżając obok niej, odwracali wzrok. Byli małżeństwem od trzydziestu lat, ale Jacky wciąż uważał, że Gloria jest nieuważna, że nie dostrzega drobnych rzeczy. To był ich stały żart i Gloria przyzwyczaiała się do niego, ale oczywiście zauważyła gliniarzy, ich rozbiegane oczy i marynarki, które były ciut za luźne w pasie, tak by można było ukryć broń. Gloria wiedziała zatem, że coś jest na rzeczy.

— O czym ty mówisz? — zapytała, ale Jacky nie odpowiedział. Czasem tak się zachowywał, przechodził od jednego tematu do drugiego, zanim Gloria zdążyła złapać, o co mu chodzi. Mąż zignorował jej pytanie i... zaczął pomagać w pakowaniu, a Gloria przypomniała sobie, co powiedział, dopiero gdy zadzwonił z więzienia. Płakała często na początku ich małżeństwa, ale po aresztowaniu Jacky'ego — wcale.

Tylko dom... Jej dom. Jacky kupił go, bo restauracje znakomicie prosperowały. Powiedział, że dom jest inwestycją na przyszłość, a wynajem mieszkania jest jak spuszczenie pieniędzy w toalecie. Na początku nie było to ładne miejsce — dywany były brudne, ściany pokrywały lepzące się tapety, zaś w kątach pokoi czaiły się pająki — ale Jacky stwierdził, że upiększanie domu będzie zadaniem Glorii. Miała dzwonić do wykonawców, sprzątaczy, kupować meble, zasłony i ozdóbki. Dopieszczać ich gniazdko, jak to określił. Gloria myślała, że spędzą tu resztę swojego życia, będą mieli dzieci, zestarzeją się i będą narzekać na drugie piętro ze względu na sztywne kolana. Będą rozprawiać o sprzedaży domu, ale skończy się tylko na gadaniu. Ale żadna z tych rzeczy nie nastąpiła. Nigdy nie mieli dziecka, niezależnie od tego, jak bardzo się starali, ilu lekarzy odwiedzili. I oto Gloria ma czterdzieści dziewięć lat, zajmuje zagracony pokój, jej mąż siedzi w więzieniu, a piękny dom jest pusty. Nie o takim życiu marzyła, ale jest ono,

jakie jest, i nie zanosi się, by coś się miało zmienić.

Policja mówi, że Gloria nie będzie już tutaj mieszkać. Tyle lat spędziła, planując, kupując farby i przemierzając sklepy z meblami. Boli ją myśl, że nie będzie już miała domu, który tak dobrze służył podczas Bożego Narodzenia, kiedy jadalnia zatłoczona była przyjaciółmi i rodziną, a wysokie na piętnaście stóp drzewo świeciło za oknem. Latem robili grilla na tyłach posiadłości, dzieciaki sąsiadów ganiały po ogrodzie, łapiąc żaby, a ich języki były czerwone od lodów. Pastor Ed zawsze mawiał, że dobre wspomnienia pomagają przeżyć gorsze momenty. Ale to było, zanim Jacky został aresztowany, zanim pastor Ed wziął ją na stronę i delikatnie zasugerował, że być może lepiej się stanie, jeżeli Gloria będzie się modlić w domu, a Jezus zawsze jej wysłucha, niezależnie od tego, gdzie będzie się znajdowała. Nadstaw drugi policzek — tego ją zawsze uczono, dlatego nie chodziła już więcej do kościoła. Zostawała w domu, w niedzielne poranki oglądała nabożeństwa w telewizji i modliła się przed każdym posiłkiem i snem, ale nie pragnęła niczego więcej, niż zobaczyć wszystkich znajomych martwych, ukaranych przez Jezusa za to, że odwrócili się od niej w trudnym czasie. Ona czekała, uzbrojona w cierpliwość, ponieważ On odpłacał. Prędzej czy później każdy dostanie to, na co zasługuje.

— Kiedy będę mogła wrócić do domu? — zapytała parę tygodni temu. Miała już dosyć swojego mieszkania. Znajdowało się w budynku z mieszkaniem na wynajem, ale było to rozwiązanie równie złe, jak zatrzymanie się w motelu. Nawet gorsze. Nocami Gloria zastanawiała się, ilu ludzi spało w jej łóżku, używało wyszczerbionych garnków i siedziało na twardej kanapie.

— Co pani ma na myśli? — zapytał jeden z gliniarzy. Było ich dwóch. Zawsze pojawiali się w parze, niczym małżeństwo. To oni siedzieli przed ich

domem. Jeden był młody i przystojny, a drugi wredny. Nigdy nie mogła zapamiętać, jak się nazywają, i nawet nie próbowała. Nie lubiła ich. — Nie może pani wprowadzić się tam z powrotem.

— O czym pan mówi? To mój dom. Jestem jego właścicielką.

Dwaj mężczyźni popatrzyli na siebie Wyglądali na ubawionych. Nienawidziła ich za to. Jakby była dzieckiem, które domagało się czegoś, czego nie mogło dostać, ale jeszcze o tym nie wiedziało.

— Dom zostanie zburzony, pani Seever — powiedział młodszy policjant. Ten przynajmniej był uprzejmy, nie tak jak ten drugi, który zawsze przyglądał się jej z dziwnym uśmiechem na ustach. — Całkowicie zburzony.

— Nie, nie zostanie.

— Obawiam się, że tak.

— Jacky powiedział, że mogę tam mieszkać, nawet gdy on jest w więzieniu.

— Jacky nie ma obecnie zbyt wiele do powiedzenia — odrzekł starszy policjant. Loren, przypomniała sobie. Detektyw Loren. Wykrzywił usta, a ściągnięte wargi odsłoniły jego zęby i dziąsła. — Traci się prawo głosu, gdy człowiek morduje ludzi.

— Nie rozumiem. Przecież ja tam mieszkam.

— Jak zgaduję, pani kochany mąż nie powiedział pani, że jesteście kompletnie splukani — odparł Loren. — Jego prawnik sprzedał wszystko, by zapłacić za adwokata. Dom, samochód. Wszystko, co posiadaliście. Nie sądzi pani chyba, że ten przemiły adwokat bronił Jacky'ego z dobrego serca, prawda?



Gloria zacisnęła dłonie na torebce, aż paznokcie wbiły się w skórę.

— Ale wszystko, co posiadaliśmy, należało także do mnie — rzekła. — Nie mógł niczego sprzedać bez mojej wiedzy.

— Formalnie rzecz ujmując, nic do pani nie należy — odrzekł Loren. — Pani nazwisko nie widniało na żadnych dokumentach, więc Jacky mógł robić, co tylko mu się podobało. I zrobił. Bez informowania pani o tym.

Gloria zrozumiała, że Loren miał rację. To Jacky zawsze dbał o wszystko — o finanse i papiery, ona nigdy się tym nie zajmowała. Ani razu. Nie miała pojęcia, ile mają pieniędzy, jak układają się ich interesy. Zawsze łatwiej było wierzyć, że wszystko jest dobrze, bo wygląda na to, że tak jest, a ona nigdy o nic nie pytała, dopóki karty kredytowe działały, a czeki miały pokrycie. Jacky kupił dom bez jej udziału, jako niespodziankę, a do dealera samochodowego zawsze jeździł sam. Jedynym dokumentem, który podpisali wspólnie, był akt małżeństwa, a wszystko to, co robił za nią Jacky, teraz obróciło się przeciwko niej.

— Ale restauracje — zaczęła, po czym zamilkła. Jej noga nie postąpiła w żadnej z nich, odkąd Jacky został aresztowany. Nie zadzwoniła nawet, by sprawdzić, co tam się dzieje. Było tyle innych spraw, którymi należało się zająć, a Jacky zapewnił ją, że o wszystko dbają menedżerowie i że ona nie musi się o nic martwić. „Wyjdę stąd, zanim się zorientujesz — powiedział podczas jednej z jej wizyt w więzieniu okręgowym. — Nie musisz nawet ruszyć palcem. Nie martw się”. — One też przypadły?

— Tak — odrzekł młodszy policjant, rzucając jej współczujące spojrzenie. Byłaby gotowa go za to zabić.

— Kto kupił dom? I restauracje? — zapytała. — Odkupię je. Należą do mnie.

Pożałowała tych słów już w chwili, gdy je wypowiedziała. Pomyślała — nie, już wiedziała — że nie może być dłużej naiwna, że faktycznie nic im nie zostało. Jeśli Jacky sprzedał dom i restaurację za jej plecami, opróżnił także ich konta. Jeśli miała szczęście, mąż zostawił jej tyle, by wystarczyło na krótki czas. Kogo próbowała oszukać? Jacky przebywał w więzieniu, ale ona w jakimś sensie również. Była w więzieniu, które zbudowała własnymi rękami. W więzieniu zbudowanym z całkowitej i absolutnej głupoty.

Naiwniak, tak nazwałby Glorię jej ojciec. Z lubością cmokałby przy tym ustami. Przeklęty naiwniak.

— Restaurację sprzedano nowym właścicielom, zaś dom kupiła jakaś tutejsza fundacja zajmująca się poprawą jakości życia w Denver. Mają w planach zburzyć dom — powiedział młody policjant. Wyglądał na zakłopotanego. — Całkowicie zrównać go z ziemią. Słyszałem, jak mówili, że chcą tam zrobić plac zabaw. A może miejski ogród.

— Dlaczego chcą to zrobić? — załkała.

— Bo ich czeki mają pokrycie i mogą sobie na to pozwolić — odrzekł Loren. — A ludzie powinni zapomnieć o tym, co się stało.

— Zapomnieć o czym? — spytała Gloria. Wycierała wargi chusteczką, chcąc usunąć szminkę, której zapomniała nałożyć. Jej dolna warga zaczęła krwawić.

— Muszą zapomnieć, że pani mąż jest skończonym psychopata.

— Jacky nigdy nikogo nie skrzywdził.

— Tak pani myśli? — powiedział detektyw Loren. Gloria popatrzyła na młodego policjanta, mając nadzieję, że on powie coś więcej. Był o wiele sympatyczniejszy. Ale on stał przy drzwiach z rękami założonymi na piersi, obserwując swojego partnera. — Czy pani wie, co pani słodki, nieszkodliwy

mężuś powiedział nam parę tygodni temu?

— Nie.

— Jedną z dziewczyn, które zabił, była Beth Howard, o ile pamiętam. Czy mam rację, Paulie?

Młody policjant wzruszył ramionami.

— Tak czy inaczej wracała do domu z siatką pełną zakupów. A pani mąż, uprzejmy mężczyzna, zaoferował jej podwiezienie. Ona przyjęła propozycję. Może było gorąco albo dziewczynę czekała długa droga, albo pani mąż udawał, że ją podrywa. Albo dziewczyna była po prostu leniwą idiotką. Tego nigdy się nie dowiemy.

— Nie rozumiem, dlaczego pan mi to mówi — powiedziała Gloria, przyciskając mocniej torebkę, jakby czerpała z tego pewne pocieszenie.

— Tak więc Jacky zabrał Beth Howard do domu, gdzie zrobił to, co zrobił. Nie będę podawał szczegółów — jestem pewien, że czytała pani gazety. Wie pani, czego się dopuścił.

— Nie wiedziałam. — Gloria umilkła, przelękając ślinę. W gardle coś jej utknęło, coś gorącego i ciężkiego, ale wolałaby raczej zadławić się na śmierć niż prosić tych ludzi o jakiś napój.

— Paulie, podałyś pani Seever coś do picia?

Młody policjant oddalił się i wrócił po chwili z puszką coli. Gloria przyjęła ją, zacisnęła ręce na aluminium, lecz nie zrobiła ani łyka. Puszka była ciepła.

— No więc na czym to ja skończyłem? Ach tak. Panna Howard nie żyje, a ja jestem pewien, iż wszyscy się zgodzą, że pani mąż ma z tym coś wspólnego. — Gloria sądziła, że to niemożliwe, ale detektyw Loren

wyszczrzył zęby w uśmiechu, a jego wargi rozciągnęły się tak bardzo, że wydawało się, iż górna część jego głowy po prostu się rozpadnie. — Tak na marginesie, panna Howard była nauczycielką w przedszkolu. Kiedy zaginęła, wszystkie dzieci z przedszkola napisały do nas list, tak ją kochały. To było naprawdę wzruszające, prawda, Paulie?

— To nie ma nic wspólnego ze mną — odrzekła sztywno Gloria.

— Proszę poczekać, to nie koniec. Czy wie pani, co zrobił Jacky, zamordowawszy pannę Howard?

— Muszę już iść.

Ale ten cholerny glina o wrednych oczkach nie miał zamiaru pozwolić jej odejść, aż wysłucha wszystkiego, co miał jej do powiedzenia.

— Jacky wsunął ciało dziewczyny pod wasze łóżko. Przesypiała pani osiem godzin, leżąc zaledwie kilkanaście centymetrów nad młodą kobietą, którą zabił pani mąż. — Kropla potu widoczna na czole Lorena spłynęła mu do oka, więc wytarł ją nieuważnym gestem. Gloria zdała sobie sprawę, iż Loren napawa się tym, że ona aż się skręca. Potem będzie mógł opowiedzieć o tym kumplom przy piwie. Gloria prawie słyszała, jak bawią się jej kosztem. — Jacky lubił mieć swoje ofiary blisko, nawet jeśli już nie żyły. Cholera. Może gdyby pani postarała się nieco bardziej i czasem schyliła, znalazłaby pani kogoś z zamordowanych, a mąż nie byłby teraz w więzieniu.

Gloria nic nie odpowiedziała. Czuła, że nadchodzi migrena, i to ta z najgorszych, w trakcie której spędzała dziesięć godzin w łóżku z okładem na oczach. Zastanawiała się, czy nie chwycić puszkę z colą i nie rzucić nią Lorenowi w twarz, celując w czoło. Chciała zranić go do krwi za zrzucanie winy na nią.

— Oczywiście może pani pojechać do domu i zabrać swoje rzeczy —

powiedział detektyw Loren. — Ale nie ma żadnego cholernego sposobu, by mogła pani mieszkać tam dłużej.

I oto dzisiaj jest wtorek, zwyczajowy dzień zakupów. Gloria idzie po podjeździe domu, jakby wciąż był jej własnością. Klucze podzwaniają w jej dłoni. Podchodzi do drzwi wejściowych. Przy krawężniku zaparkowano samochód. Jego silnik wciąż pracuje, dzięki czemu działa klimatyzacja — jak na marzec jest ciepło — a dwaj policjanci nie siedzą w gorącym aucie. Jeden z nich podnosi rękę, a ona odpowiada kiwnięciem głowy, choć wolałaby raczej pokazać mu środkowy palec. Gliniarze są teraz zawsze w pobliżu. Obserwują dom i będą to robili do czasu, aż zostanie zniszczony. To strata czasu, myśli Gloria, bo dlaczego po prostu nie pozwolić menelom i złodziejaszkom grasować po posiadłości aż do momentu rozbiórki? Słyszała, że ludzie próbowali się tutaj włamywać, bo chcieli wypisywać sprayem na ścianach jakieś wulgaryzmy i kopniakami robić dziury w drzwiach. Albo chcieli coś ukraść, jakąś rzecz należącą do patologicznego Jacky’ego Seevera, a potem pokazać ją znajomym.

Gloria otwiera drzwi i wchodzi do środka. Ostatnim razem była tutaj tydzień temu. Zamówiła ciężarówkę, a dwóch młodych ludzi wyniosło wszystko, co pokazała. Załadowali rzeczy, by je stąd wywieźć, choć dało się wyczuć, że są zdenerwowani. Słyszeli wszystkie historie o domu, zaś korytarz z dostępem do węzłów sanitarnych wciąż jest widoczny, mimo że policja zasłoniła dziurę plandeką i oddzieliła to miejsce taśmą. Pracownicy firmy przewozowej spakowali wszystkie zdjęcia Glorii oraz zestaw chińskiej porcelany z ząbkowanymi brzegami i wizerunkiem gałązki ostrokrzewu widocznym w środku każdego naczynia. Wszystkie meble z pokoju gościnnego, ładny wiklinowy zestaw z koronkową narzutą. Spała tutaj czasami, kiedy Jacky zbyt głośno chrapał albo gdy bezsenność szczególnie dawała się jej we znaki, a ona nie chciała budzić męża. Łóżko w pokoju

gościnnym było wygodniejsze niż to w sypialni.

— Policja potwierdziła, że paru sąsiadów skarżyło się na nieprzyjemny zapach dobiegający od czasu do czasu z państwa domu. Czy to prawda?

To pytanie padło z ust reporterki, której imienia Gloria nie pamiętała. Spotkały się dwa miesiące temu. Kiedy dziennikarka poinformowała, że jest z „Posta”, Gloria usiłowała zamknąć przed nią drzwi, potem jednak dziewczyna dodała, iż uważa, że Jacky jest niewinny i że niesłusznie przypisuje mu się winę. Właśnie dlatego Gloria wpuściła ją do mieszkania, posadziła w maleńkim salonie i poczęstowała kawą oraz chrupiącymi maślanymi ciasteczkami z niebieskiej puszkki.

— Pamiętam pewną rzecz, która zdarzyła się raz czy dwa. W upalne dni.

— Okay.

— Zawsze mieliśmy w domu problem z gryzoniami — powiedziała Gloria. — Jacky rozkładał trutki, a myszy chodziły po ścianach i zdychały.

Dziennikarka zmarszczyła brwi i założyła kosmyk włosów za ucho. Była młoda, bardzo ładna. Jej płaski brzuch świadczył o tym, że nie miała dzieci, może nawet nie była jeszcze zamężna. Gloria nie pytała — mogłoby to zostać uznane za impertynencję.

— Myszy?

— Tak. Staw na tyłach domu przyciągał wszelkiego rodzaju szkodniki.

— Czy pani mąż mówił o tym? O myszach?

Gloria usiadła wygodnie na krześle. Było to paskudne siedzisko, obite czarną skórą, ze srebrnymi guzikami na poręczach. W zamyśle miało być w południowo-zachodnim stylu, ale w praktyce było po prostu brzydkie. Głowie uderzyło to, że dziewczyna, która popijała podaną jej kawę i grzecznie

częstowała się ciasteczkami, wcale nie wierzy w to, że Jacky jest niewinny, i prawdopodobnie uważa, że Gloria też kłamie.

— Tak. Tak mi powiedział Jacky.

— A pani mu uwierzyła?

Gloria mocno przygryzła wewnętrzną stronę policzka. Na tyle mocno, że miejsce to było podrażnione i spuchnięte przez cały następny dzień, zaś na zranionej skórze utworzyła się rana, która przysparzała Glorii cierpienie przez tydzień.

— Dlaczego miałabym mu nie wierzyć?

— Pani mąż przyznał się do zamordowania trzydziestu jeden osób, pani Seever. W waszym własnym domu — powiedziała reporterka. — Trudno mi uwierzyć, że nie wiedziała pani, iż coś się dzieje.

— Policja nie uznała mnie za osobę podejrzaną, jeśli o to pani chodzi.

— Nie, wcale nie o to.

Gloria popatrzyła na dziennikarkę.

— Wygląda pani znajomo — powiedziała. — Czy nie spotkałyśmy się wcześniej?

— Nie sędzę.

— Jacky uważałby, że jest pani urodziwa — oświadczyła Gloria. — Byłby zainteresowany bliższą znajomością.

Po tych słowach reporterka bardzo szybko opuściła mieszkanie.

Wewnątrz domu jest chłodno i cicho, ale czuć w nim stęchły zapach, typowy dla pomieszczeń zamkniętych przez dłuższy czas. Gloria zabrała stąd już wszystko, co chciała, lecz wciąż miała zamiar wrócić, by się pożegnać.

Była w tym domu szczęśliwa.

Gloria idzie na górę. Powoli, bo w ciągu ostatnich kilku miesięcy zaczęły ją boleć kolana. Kieruje się ku sypialni, która znajduje się za drugimi drzwiami po lewej stronie. Stoją tam ozdobione aplikacjami metalowe lampki, które Gloria kupiła od handlarza antykami, oraz duże łóżko z oparciem wykonanym z drewna czereśniowego. Kiedyś czytała, że naturalnym zachowaniem mężczyzn jest spanie po tej stronie łóżka, która znajduje się bliżej drzwi, tak by móc chronić swoją połówicę. Ale to ona spała na tym miejscu.

Gloria zastanawia się, co ten fakt mówi o ich małżeństwie.

Przykłęka i unosi róg kołdry, by zajrzeć pod łóżko. To nie jest wygodna pozycja. Szorstki dywan z długim włosiem drapie ją w policzek. Z bliska widać na włóknach dywanu małe czarne plamy. Brud albo pozostałości po kosmetykach do makijażu. Jacky narzekał, kiedy Gloria temperowała swoją kredkę do oczu, a wiórki lądowały na ziemi, bo potem trudno je było usunąć, nawet po dokładnym czyszczeniu dywanu.

Pod łóżkiem nie ma nic poza kilkoma kłębuszkami kurzu, wsuwkami do włosów i książką. Wciśnięto ją głęboko pod łóżko i Gloria musi mocno wyciągnąć rękę, by po nią sięgnąć. Jej palce bezskutecznie przesuwają się po grzbiecie książki, zanim wreszcie udaje się ją wyciągnąć. To lektura przeznaczona dla kobiet w ciąży. Zawiera porady dotyczące porannych mdłości i kolki, karmienia piersią i wyboru odpowiednich pieluch. Gloria nie pamięta, by ją kupowała, ale tak właśnie musiało być, bo nikt poza nią i Jackym nie wiedział, że przez wiele lat starali się o dziecko. Większa część znajomych uznawała ich za parę, która zrezygnowała z posiadania dziecka, zadowolając się rolą cioci i wujka dzieci innych ludzi i wydając pieniądze na podróże oraz dobre wino. Ale się mylili. Gloria przez bardzo długi czas



pragnęła dziecka, a potem było za późno. Jej wewnętrznych organów nie ominęło działanie czasu i nic nie można już było zrobić. Chociaż teraz, myśli Gloria, okazuje się, że to dobrze, że ich marzenie się nie spełniło.

Przeogląda książkę, popatrując na strony pełne słów i rysunków przedstawiających srom, który wygląda bardziej jak przekrojona na połowę truskawka niż cokolwiek, co może znajdować się pomiędzy nogami kobiety. W domu jest ciepło i duszno. Gloria kładzie się na podłodze, umieszczając głowę na przedramieniu. Podłoga jest twarda, ale Gloria i tak zaczyna drzemać, bo w pokoju jest ciepło, ona jest zmęczona, a poza tym jest w swoim domu. Prawie zasypia, gdy pod łóżkiem coś się porusza. Gloria otwiera oczy i widzi, że z odległości paru cali wpatruje się w nią młoda kobieta o twarzy w kształcie serca, mysio-brązowych włosach, ubrana w błękitną sukienkę z nadrukowanymi wzorami gałązek białych kwiatów. To Beth Howard, Gloria to wie. Beth Howard, dziewczyna, którą Jacky trzymał pod łóżkiem. Jest ładna, mimo że nie żyje; jednak jej twarz jest skurczona i przypomina pomarszczone jabłko, które za długo leżało w ciemnej szafce. Ale oczy są żywe, szalone i lśniące. Wyglądają jak dwa kawałki marmuru wciśnięte w ludzką twarz.

— Zabrał mi wszystko — syczy dziewczyna. Gloria siada gwałtownie, a mięsień w prawym ramieniu boli ją dotkliwie. Błyskawicznie odsuwa się od łóżka, chwyta książkę z podłogi i wreszcie siada w fotelu, który zawsze stał w kącie pokoju. Stąd widzi, że pod łóżkiem nie ma nic, zupełnie nic, a już na pewno nie leży tam martwa dziewczyna. To była sztuczka jej wyobraźni.

Gloria ze znużeniem opada na oparcie fotela, podciąga nogi i opiera czoło na kolanach. Siedząc tak, wygląda jak dziewczyna, młoda i bezbronna. Dziewczyna, którą kiedyś była. Dziewczyna, która chowała się za tapczanem, gdy ojciec skierował w twarz matki lufę pistoletu.

Gloria ma zamknięte oczy i głęboko oddycha, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Wdech nosem, wydech ustami, tak jak uczyła ich nauczycielka gimnastyki w szkole średniej. A potem czuje ten zapach. Zapach, na który skarżyli się inni, a którego ona nigdy nie zauważyła. Zapach zgnilizny, mdły, wilgotny zapach mięsa gotowanego razem z robakami.

To tylko moja wyobraźnia, myśli Gloria. To wszystko jest tylko w mojej głowie. Tak naprawdę nic nie czuję.

Czeka, aż nieprzyjemne wrażenie minie, opierając głowę na rękach i zasłaniając nimi oczy. To przypomina jej wycieczkę do zoo, na którą wybrała się jako młoda kobieta. Kiedy stała przy klatkach z małpami, czuła woń mokrego gorąca. Jej gardło zaciskało się. Ten koszmarny zapach w końcu jakoś opadł ku ziemi. Nadal był wyczuwalny, ale już można go było znieść. Gloria myśli, że tym razem jest tak samo, ale zapach wciąż narasta. Być może z powodu gorąca. W tym domu latem zawsze było bardzo ciepło, chyba że działała klimatyzacja. Ale tym razem nie działa, bo Gloria nie może już dłużej tu wytrzymać. Potykając się, wypada z pokoju, zbiega po schodach i wreszcie dociera do frontowych drzwi, ledwie mogąc się powstrzymać przed wymiotami albo krzykiem.

# HOSKINS

18 maja 2009

Carrie Simms, dziewczyna, której udało się uciec z rąk Seevera, nie chce zeznawać przed sądem. Jest straszliwie chuda i mała, z twarzą jak u myszki. Zazwyczaj jest łagodna, zgadza się na większość rzeczy, ale nie na to.

— Nie mogę być w tym samym pomieszczeniu co ten człowiek — mówi. Przez kilka ostatnich miesięcy jej włosy urosły i nosi je rozpuszczone, tak że zasłaniają jej twarz. Kosmyki wchodzą do ust i wygląda to tak, jakby miała ochotę je gryźć. Wygląda na młodszą, niż jest w rzeczywistości, i bardziej nieśmiałą. — Za każdym razem, gdy widzę tego gnojka w telewizji, mam ochotę wymiotować.

Simms pojawiła się na posterunku w trzecim tygodniu grudnia. Świąteczne dekoracje były wszędzie już od tak dawna, że Hoskinsowi robiło się niedobrze od samego patrzenia na nie. Święto Dziękczynienia spędził, obserwując przyjaciół i rodzinę Seevera widocznych przez duże frontowe okno. Siedząc przy stole w jadalni, raczyli się bułeczkami i kawałkami piersi indyka. Przyjemnie spędzali czas, śmiejąc się w miłej atmosferze. W takich okolicznościach Hoskins nienawidził swojej pracy, bo powinien robić to samo, co ci ludzie. Powinien mieć żonę i dzieci, a nie miał nikogo. Jego żona odeszła, bo zbyt wiele czasu spędzał w pracy i nigdy nie było go w domu. Kiedy wreszcie zakończył pracę w dniu Święta Dziękczynienia, pojechał do domu ojca, ale starszy pan spał przed telewizorem, siedząc na sofie z puszką piwa wetkniętą pomiędzy udo i poręcz kanapy. A kiedy Joe się ocknął,

wydawał się z początku nie rozpoznawać Hoskinsa; był zdenerwowany i trochę przestraszony. To spowodowało, że Hoskins poczuł się jeszcze bardziej zdołowany. Oto było jego życie — samotne siedzenie przed domem podejrzanego i bycie nierozpoznawanym przez własnego ojca. Nawet Loren miał gdzie pojechać na święta, choć nie powiedział Hoskinsowi, dokąd się wybiera.

Hoskins spodziewał się, że tak samo będzie w Boże Narodzenie. Znowu będzie obserwował Seevera, podczas gdy inni będą otwierali prezenty i sączyli świąteczny ajerkoniak. Myśląc o tym, ujrzał, że ktoś przymocował do sufitu gałązkę jemioli, tak że wisiała nad jego biurkiem. Miał zamiar wejść na krzesło i ją zerwać, gdy na posterunek weszła Simms. Chciała opowiedzieć komuś swoją historię. Nie uwierzył jej. Przynajmniej na początku. Simms rzuciła szkołę i popadła w narkomanię. Zażywała głównie amfetaminę. Parę razy była aresztowana za prostytutkę, a raz za napaść. W 2005 roku dzwoniła na policję osiem razy, twierdząc, że ją okradziono, gdy reklamowała odbiornik telewizyjny i odtwarzacze stereo oraz parę innych droższych rzeczy, których nigdy nie posiadała. Miała dziewiętnaście lat, ale wyglądała na czterdzieści pięć. Była ćpunką, która potrzebowała działki. Powiedziała, że wylądowała u Seevera, bo chciała possać jego fiuta za pieniądze i to mu zaproponowała. Z ochotą wsiadła do jego bmw, a on zaserwował jej parę łyków tequili, colę i garść tabletek, po których straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, była naga, miała związane ręce i nogi, zaś facet, który był tak miły przy barze, teraz zmienił się w zupełnie innego człowieka. Miał wielką torbę różnych rzeczy, takich, których nie można kupić w zwykłym sklepie. Można je jedynie wybrać z katalogu, który przychodzi pocztą w ciemnym plastikowym opakowaniu, żeby listonosz nie mógł zobaczyć, jakim to perwersyjnym gównem jesteś zainteresowany. Seever miał wielkie zamiary i niemal tańczył na paluszkach z podniecenia,

niczym dziecko podczas Bożego Narodzenia. Minęło kilka dni, zanim Simms zdołała uciec. Węzły na jej przegubach poluzowały się — częściowo dlatego, że Seever był leniwy i nie chciało mu się ich zacieśniać, a częściowo dlatego, że Simms była wyjątkowo chuda. Zdołała się wyślizgnąć i uciekła. Nikt nie zwrócił uwagi, dokąd idzie i gdzie była, ani nawet na to, że miała na sobie tylko majtki i podarty podkoszulek.

— Dlaczego przyszedłaś do nas dopiero teraz? — zapytał Hoskins. — Powiedziałaś, że to wszystko zdarzyło się cztery miesiące temu? Na początku sierpnia? Dlaczego czekałaś tak długo?

— Nie wiem — odrzekła Simms. Po kilku minutach rozmowy poprosiła o czystą kartkę papieru i flamaster, po czym usiadła i wciąż mówiąc, mazała po kartce tak, że ta wkrótce była cała żółta. Potem zaczęła mazać po drugiej kartce. Brakowało jej małego palca u prawej dłoni, został tylko źle wyleczony kikut. Simms powiedziała, że palec odciął jej Seever. Co prawda nie pamiętała tego momentu, bo kiedy to się stało, była nieprzytomna. A gdy się ocknęła, palca już nie miała. Z początku jej nie wierzono, bo to, co mówiła, wyglądało na kolejne kłamstwo i zmyślenie. Simms brakowało zęba, miała parchatą skórę narkomanki, zaś na rękach ślady po ukłuciu igieł. W przypadku innych ludzi brak palca byłby czymś zaskakującym, ale u Simms fakt ten był ledwie zauważalny. Hoskins nie wierzył w to, że Seever obciął jej palec, aż do momentu gdy zobaczył, jak z podziemi domu wykopywano kolejne ofiary. Ich ręce były okaleczone, zaś z kikutów wydobywała się niekiedy ropa, krew i zgnilizna.

— To nie tak, że chcę rozgłosić, że jakiś pojeb wtykał mi dildo w tyłek, mówiąc o dziurze, jaką wykopał dla mnie w korytarzu swojego domu.

Hoskins najpierw jej nie uwierzył, ponieważ już parę razy podnosiła fałszywy alarm i wzywała gliniarzy. Simms czuła się tak samo komfortowo,

kłamiąc, jak mówiąc prawdę; wielu ludzi zresztą tak postępowało. Chcieli się włączyć, ale nie do końca. Nie mieli zamiaru wywoływać burzy, jednak pragnęli sprawiedliwości. Dlatego na posterunki policji trafiało tyle anonimów. Każdy chciał dać cynk, ale bez ujawniania się. Hoskins nie był niczego pewien, wezwał więc na posterunek Lorena, by posłuchał całej historii, choć partner wyjechał na długi weekend, żeby odpocząć.

— Dzwoniłaś do nas po całym zajściu, prawda? — zapytał Loren.

Odchyłał się na swoim krześle z na wpół przymkniętymi oczami i wyglądał, jakby spał. Hoskins widywał Lorena wrzeszczącego i wściekłego podczas przesłuchań, widywał go także opanowanego i profesjonalnego, ale takiego jak wówczas — nigdy wcześniej. Prawie znudzonego.

— Czy to ty wykonałaś ten anonimowy telefon, żebyśmy przyjrzeni się Seeverowi?

Simms po raz pierwszy odłożyła wtedy pisak. Zacisnęła palce prawej ręki na nadgarstku lewej, co wyglądało tak, jakby miała kajdanki.

— Nie.

— To musiałaś być ty.

— Nie. Nigdy do was nie dzwoniłam.

— Co cię skłoniło, żeby przyjść teraz? — Takie samo pytanie zadał Hoskins, a Simms rozzłościła się i stała sarkastyczna. W przypadku Lorena zareagowała jednak inaczej. Był to dziwny widok, bo większość ludzi albo się go bała, albo usiłowała się przed nim bronić. Tymczasem Simms czuła się w jego towarzystwie swobodnie.

— Wciąż myślę o gryzieniu — powiedziała. Opuściła głowę, tak że podbródek niemal dotykał jej szyi. Ledwie słyszeli, co mówiła. — Mam

ochotę gryźć miękkie rzeczy i sprawić, żeby ktoś krzyczał.

Zapakowali Simms do samochodu Lorena i pojechali do domu Seevera. Seever był na zewnątrz i właśnie szedł po podjeździe, żeby wyjąć „Posta” ze skrzynki. Krzyk zamarł w gardle Simms na jego widok. Hoskins nie dowierzał jej opowieściom aż do chwili, gdy zobaczył, jak oczy wychodzą jej na wierzch. Simms pięściami próbowała zatykać usta. Pomyślał, że dziewczyna ma może jakiś atak, ale ona była po prostu przerażona, choć starała się nie krzyczeć.

Wciąż nie mieli dosyć dowodów, by aresztować Seevera, ale w sprawie był już pewien postęp. Wiele lat temu Seever został aresztowany za posiadanie marihuany i dlatego Hoskins powiedział sędziemu, że szukają u niego narkotyków. Sędzia Vasquez znał prawdę, Hoskins widział to wypisane na jego twarzy, ale dostali nakaz — nie po to, by szukać ofiar, lecz marihuany.

To im wystarczyło.

Sprawa zakończona, mówi szef. To Jonathan Black, najgorszy wrzód na tyłku, z jakim Hoskins kiedykolwiek pracował, nie chce już o niczym słyszeć. Sprawa Seevera jest zamknięta.

To kwestia opinii, myśli Hoskins. I budżetu. Zajmowali się Seeverem od bardzo długiego czasu i pora zrobić następny krok. Są inne morderstwa i inni przestępcy. Nie mogą wciąż zajmować się tą samą sprawą.

Nadszedł czas, by przekazać ją ludziom, mówi im Black, i to prawda — Seever już nie należy tylko do nich. Teraz jest własnością wszystkich. Na zewnątrz więzienia, w którym Seever oczekuje na proces, zgromadził się wielki tłum. Ludzie mają ze sobą transparenty, składane krzeselka i skrzynki z wodą. Wygląda to prawie tak, jakby przyszli na przyjęcie, choć tak

naprawdę uroczystość przypomina raczej orgię nienawiści. Ludzie uśmiechają się nienawistnie, a w kącikach ich ust widać ślinę. Denver oczekiwało na chwilę, gdy potwór wypełźnie na światło dzienne i moment ten właśnie nadszedł. Publika nie chce już czekać na nic więcej i żąda sprawiedliwości.

Hoskins opuszcza więzienie przez boczne drzwi, zatrzymując się na chwilę, by przyjrzeć się zgromadzonemu tłumowi. Stoi w nim mała dziewczynka, ubrana w kurteczkę w różowe króliczki. Ma nie więcej niż pięć lat. W ręku trzyma niezdarnie kawałek tektury, bo jest on za duży jak na jej małe rączki, ale nie odkłada go, bo nie chce przegapić dobrej zabawy. Na tekturze rozchwianymi literami wypisano wierszyk. Hoskins ma nadzieję, że dziecko nie wie, jaka jest jego treść. Pewnie nie umie jeszcze czytać.

*Róże są czerwone,*

*A fiołki niebieskie.*

*Dzień dobry, Jacky,*

*Czas cię zabić wreszcie!*

Jacky Seever stanął przed sądem 1 czerwca 2009 roku. Postawiono mu trzydzieści jeden zarzutów o morderstwo pierwszego stopnia. Pierwszego dnia procesu Seever miał na sobie brązowy tweedowy garnitur, jaki zazwyczaj nosił, i jedwabny błękitny krawat. Do sali sądowej nie wpuszczono żadnych fotoreporterów, ale siedzący wśród publiki artysta wykonał mnóstwo szkiców, które ukazały się w „Poście” wraz z artykułami Samantha Peterson. Na niektórych Seever miał kamienną twarz i krople potu na czole. Na innych wyglądał na znużonego albo na skruszonego — zależało to od aktualnie prowadzonej debaty sądowej.

Cały proces trwał mniej niż sześć tygodni i interesowało się nim całe



społeczeństwo. Od bardzo dawna nie zdarzyło się, by uwagę Amerykanów przykuwał jeden człowiek, a ludzie byli żądni krwi i ciekawej historii. I to dostali. Szanowany członek lokalnej społeczności. Trzydzieści jeden ofiar. Dziewiętnaście z nich zostało zidentyfikowanych, a łkające rodziny opowiadały każdemu, kto był gotów słuchać, o swoich ukochanych zamordowanych krewnych. Proces był nieustanną pożywką dla telewizyjnych stacji kablowych, a każde czasopismo wysyłało nań dziennikarza, który miał zdawać relacje z przebiegu sprawy. W lokalnych hotelach brakowało pokoi, a każdy, kto nie miał się gdzie zatrzymać, waletował razem z bezdomnymi w miejscowym centrum rozrywki, skąd nocą był usuwany przez policję.

Prokurator żądał kary śmierci.

Ustalenie wyroku zajęło ławie przysięgłych trzy godziny. W sam raz, by zdążyć na doskonale steki wołowe i koktajl krewetkowy u Brokera. Amerykańskie społeczeństwo było już wolne od potwora, który został uznany za winnego, zaś ludzie mogli wrócić do swego normalnego, poukładanego życia.

Jacky'ego Seevera skazano na śmierć przez podanie zastrzyku z trucizną.

Ale zbrodnie takie jak ta nie są związane tylko z przestępcą. Mówi się także o innych osobach. Ofiarach. Ich rodzinach. Detektywach Ralphie Lorenie i Paulu Hoskinsie, którzy za aresztowanie Seevera zostali odznaczeni i otrzymali sporą podwyżkę. Sammie Peterson, która dzięki swoim artykułom poświęconym sprawie stała się kimś w rodzaju lokalnej celebrytki. Glorii Seever, która musiała nauczyć się żyć w świecie, w którym nie ma już jej męża. To tylko pewna grupa, bo zbrodnia taka jak ta ma szeroki zasięg i nigdy nie wiadomo, kogo cała sprawa może zacząć dotyczyć. Tak to właśnie wygląda — kropla zaczyna marszczyć powierzchnię niezmaconej wody,

która nieustannie rozpryskuje się we wszystkich kierunkach, najprawdopodobniej w nieskończoność, nigdy nie ustając i wywołując kolejne marszczenia, rozchodzące się w kompletnie nowych kierunkach. Wcześniej czy później pierwotna zmarszczka utraci nieco ze swej intensywności, ale nie zniknie.

To nigdy nie będzie koniec.

---

<sup>1</sup> Ralph Loren — kojarzy się z osobą Ralpa Laurna, amerykańskiego projektanta mody, twórcy marek takich jak np. Polo, Rugby, Double LR.

# TO NIE JEST KONIEC

27 listopada 2015

Po siedmiu latach niemal wszyscy zapomnieli o Jackym Seeverze. Oprócz Carrie Simms. Przez te siedem lat każdego dnia myślała o nim, o tym, co robił w tym czasie, gdy trzymał ją związaną i zakneblowaną w swoim garażu. Tego typu rzeczy nie zapomina się łatwo. Carrie budzi się czasem w nocy z bólem głowy spowodowanym tym, że mocno zaciskała szczękę, by nie krzyczeć. Dentysta dał jej specjalne plastikowe nakładki, które miała wkładać do ust podczas snu, przypominające te, jakie wkładają hokeiści, by chronić zęby. Ale Carrie nie potrzebuje ochrony dla zębów, lecz dla mózgu. Czegoś, co by go wyciszyło, zakończyło sny o Seeverze. Potrzebuje strażnika snów, oto cała prawda. Albo lobotomii. Carrie była typem dziewczyny, która dużo mówiła i głośno się śmiała, jednak przez siedem ostatnich lat stała się milcząca. Nie chce, by ktokolwiek ją zauważał. Ma dopiero dwadzieścia sześć lat, ale jej włosy są prawie zupełnie siwe, zaś w kącikach oczu widać głębokie bruzdy. Dłoń niekiedy ją boli, jak gdyby z tęsknoty za brakującym palcem.

Ale Carrie żyje.

Czasami myśli o swoim życiu z okresu, zanim pojawił się Seever, życiu *Przed Seeverem* — PS, jak to nazywa. Nazwa ta pisana jest pogrubioną czcionką, a oba jej człony zaczynają się wielkimi literami. Carrie nie ma zbyt wyraźnych wspomnień z tamtych czasów oprócz tego, że czasami bywała

głodna, zmarznięta i prawie zawsze naćpana. Otaczający ją ludzie byli wciąż zmieniającymi się, nijakimi cieniami. Widziała ich raz, a potem już nigdy więcej. To wszystko było **Przed Seeverem**. Carrie myśli, że gdyby nie spotkała go w tamtym barze, gdyby wtedy z nim nie poszła, narkotyki albo coś innego już by ją zabiły. I byłaby to jej własna wina, a śmierć nie różniłaby się od samobójczej. Seever miał zamiar ją zabić, ale w ciągu kilku dni, które spędziła w jego garażu ze związanymi nadgarstkami i kostkami, z ustami zatkanymi jakąś starą szmatą, a czasem i z zasłoniętymi oczami, Carrie nauczyła się czegoś ważnego: chce żyć. Brzmiało to głupio i banalnie, ale te straszne godziny, które musiała spędzić z Seeverem, uczyniły jej życie cennym. Kiedy w końcu wydostała się z garażu i uciekła, a jej bose stopy ślizgały się po betonie i ogarniało ją przerażenie, że gdy się odwróci, on będzie za jej plecami, gotowy złapać ją za włosy i pociągnąć w ciemność — przeżywała najwspanialsze momenty swego życia. Carrie nie jest wdzięczna Seeverowi za to, co zrobił, nie w dokładnym znaczeniu tego słowa, choć w pewnym sensie — tak.

Teraz jest czysta, nie bierze narkotyków ani nie pije. Nie pracuje — jej dziadek zmarł ubiegłej zimy, więc żyje z tego, co po nim zostało i z pożyczki studenckiej. Chodzi do szkoły, przygotowując się do zawodu technika weterynarii. Zawsze lubiła zwierzęta. One nie naśmiewają się z innych, nie chichoczą złośliwie, nie wpatrują się w dłoń, w której w miejscu palca widnieje kikut, jakby to była najgorsza rzecz, jaką widziano na tym świecie. Zwierzęta nigdy nie próbowały jej skrzywdzić tak jak Seever albo jej wujek, tak jak to się działo, gdy była młodsza. Jeśli zwierzęta cię atakują, mają ku temu powód. Nie robią tego, ponieważ sądzą, że to zabawne. Zwierzęta wcale nie chcą cię skrzywdzić. Nie wybuchają śmiechem, kiedy krzyczysz, ani nie głaszczą cię potem po włosach, mówiąc, że wkrótce będzie po wszystkim, choć to kłamstwo. Carrie mieszka sama. Wynajmuje domek

gościnnie, który znajduje się na tyłach większego domu. Prawdopodobnie pomieszczenie to miało służyć jako garaż albo komórka, ale zostało odnowione, wstawiono doń pralkę i suszarkę wbudowaną w szafkę. Carrie ledwo może domknąć drzwi, by wrzucić tam swoje rzeczy. W łazience znajduje się prysznic, bo na wannę nie starczyło już miejsca, ale dla Carrie nie ma to znaczenia. Pewnego dnia, myśli, kiedy skończy szkołę i dostanie pracę, znajdzie lepsze lokum. Może nawet znajdzie jakiegoś miłego faceta i zacznie chodzić na randki albo sprawi sobie zwierzaka. Na przykład psa. Psa, który by czekał, gdyby ktoś próbował się włamać, i byłby dobrą ochroną. Albo kota. Najprawdopodobniej kota. Chciała już wziąć jednego, kiedy się wprowadzała. Rozmawiała o tym z właścicielem domku, starawym Koreańczykiem, który wiele podróżował i lubił grać w golfa, ale on nie wyraził zgody. Nie chciał kota sikającego na dywany. Zaliczka wpłacona przez Carrie tego nie obejmowała.

— Więc sądzisz, że żona Seevera wiedziała, że tam jesteście? — zapytał detektyw Hoskins. Carrie chciała odpowiedzieć na to pytanie, ale nie miała żadnej pewności.

— Nie wiem — odparła i poczuła, że Hoskins się jej przygląda, próbując wysondować, czy Carrie kłamie, czy też nie. Ale ona mówiła prawdę, bo faktycznie nic nie wiedziała na ten temat. Czasem się zastanawiała, czy naprawdę żyje, czy tylko funkcjonuje w jakiejś wirtualnej rzeczywistości, w której jej prawdziwe ciało było skurczone w pozycji płodowej, unosząc się w worku wypełnionym płynem i podłączonym do gigantycznego komputera — jak w tym filmie, którego tytułu Carrie nigdy nie pamięta. Bo takie właśnie było jej życie — jeden długi, niekończący się kiepski film. Mogła tylko mieć nadzieję, że w pewnym momencie się obudzi i stwierdzi, że to wszystko się nie zdarzyło.

Carrie nie ma telewizora, bo jej na to nie stać, więc przed zaśnięciem czyta książki. Wypożycza je z biblioteki, bo za drogo byłoby je kupować. Czasem zasypia z otwartą książką i włączonym światłem, za co pan Cho ją upomniał, bo nie chce, by lokatorka marnowała energię, nawet jeśli sama opłaca rachunki. Carrie stara się więc wyłączać światło przed snem, chociaż nie lubi ciemności. Nigdy nie lubiła. Kiedy była mała, dzieci zawsze bawiły się w Krwawą Mary. Pewnego razu podczas domowej imprezy połączonej z nocowaniem dziewczynki wepchnęły ją do ciemnej łazienki. Przez kilka przerażających momentów, kiedy Carrie nie mogła znaleźć włącznika, była pewna, że wielkie lustro nad umywalką załśni czerwienią i pojawi się w nim wiedźma z wielkim nożem, zaś na jej popękanych wargach zawiśnie niemy krzyk. Ciemno było wtedy, gdy wujek zakradał się do jej pokoju, zaś Seever zawiązywał jej oczy przepaską, tak by nigdy nie była pewna, kiedy ją dotknie. Chichotał, kiedy się wzdrygała albo wzbraniała przed jego dotykiem. Ale pan Cho nie wie o jej wujku i Seeverze, a ona nie ma zamiaru wtajemniczać go w to wszystko; zależy mu na niskim rachunku, więc Carrie próbuje zasypiać w ciemności tak jak każdy dorosły człowiek. Musi pokonać swoje lęki. Jej wujek nie żyje, Seever siedzi w więzieniu, a ona ma się dobrze — *dobrze*, jest bezpieczna, jest sama i nikt nie może jej skrzywdzić.

Zaśnięcie nie jest problemem. Jest nim sam sen. Carrie ma mnóstwo koszmarów, zazwyczaj dotyczących Seevera, a czasem sny są powtórką z jej wspomnień, choć Carrie nie umiałaby już rozróżnić, czy to, o czym śni, wydarzyło się naprawdę, czy jest to tylko jej wyobrażenie. Jak to wspomnienie, gdy leżała z zawiązanymi oczami na kawałku dywanu — choć głównie na betonie — słysząc, jak drzwi otwierają się ze świstem. Myślała, że to Seever, że wrócił po więcej, choć tak naprawdę już zniknął. Być może jednak to nie był on, bo Seever uwielbiał gadać, słyszeć własny głos. Ktokolwiek wszedł wówczas do pomieszczenia, nie powiedział ani słowa.

Ale Carrie wyczuła zapach, lekki powiew perfum, który przywiódł jej na myśl fioletowe kwiaty, które rosły kępami obok drzwi domu jej matki. Kiedy usiłowała wołać o pomoc, starając się wypowiedzieć słowa, mimo że w jej ustach tkwiła szmata, poczuła ciepły powiew powietrza, zaś drzwi jeszcze raz skrzypnęły. Zapach perfum ulotnił się, tak jakby nigdy go nie było.

— Powinnaś porozmawiać o tym wszystkim z profesjonalistą — powiedział jej Hoskins po tym, jak Seevera wsadzono do więzienia i skazano. Wszyscy otrzepali ręce i zakończyli całą sprawę, zaś Carrie miała wrócić do normalnego życia, jak gdyby nic się nie wydarzyło. — To mogłoby ci pomóc.

— Mogłabym doradzić panu to samo — odrzekła Carrie. Hoskins wydawał się zdziwiony jej słowami. Nie zauważył chyba, jak źle wygląda, jak bardzo schudł.

— Lekarz mógłby przepisać ci coś na sen — rzekł Hoskins, a Carrie wybuchnęła niesamowitym śmiechem, bo od prawie roku była czysta. Nie ćpała, nie piła, zaś ludzie nie zdawali sobie sprawy, jak łatwo byłoby znowu wpaść w to gówno. Jedna tabletką nasenna mogłaby prowadzić do wypicia piwa przed snem — dla relaksu, a potem byłyby jeszcze trzy piwa, pół tuzina tabletek i szybki zjazd oraz powrót na ścieżkę, z której już zeszła. Teraz jednak była czysta i taka chciała pozostać. Tak więc akceptuje swoją bezsenność, radzi sobie z nią. I oto jest teraz trzecia nad ranem, a Carrie na wpół przebudzona trzęsie się pod kocami. Kikut w miejscu obciętego palca pulsuje.

Znowu śniła o Seeverze, o jego zapachu — używał taniej wody kolońskiej — i o tym, jak czuła drapanie jego zarostu na swoich plecach, gdy leżał blisko obok niej, obejmując ją w pasie. Potem ściągał opaskę z jej oczu, tak że widziała jego rękę na swym brzuchu. Rozglądała się wokół i

dostrzegła stojącą pod jedną ze ścian dużą czerwoną skrzynkę na narzędzia i sporą kupkę pustych wazonów pod drugą. Carrie nigdy nie miała tendencji do przemocy, nawet wtedy, gdy wzięła jakiś narkotyk albo inne świństwo, ale przychodziło jej do głowy, że gdyby mogła dostać się do tej skrzynki i kupki wazonów, miałyby broń i podciąłaby Seeverowi gardło bez chwili zastanowienia. Potem odciąłaby mu ten jego wstrętny fiut i wsadziłaby mu go do ust. Odplaciłaby mu za wszystko. A to nie byłoby jeszcze wszystko. Nigdy jednak nie miała szansy, by choć spróbować to zrobić. Potem uciekła i jedyną rzeczą, o jakiej myślała, była nie zemsta, ale to, jak wydostać się z tego piekła.

Carrie nie może przestać się trząść. Sen był tak realny, że wciąż czuje zapach Seevera i jeszcze jakąś inną woń. Zdaje sobie sprawę, że to zapach jej własnego potu. Trudno uwierzyć, że spociała się tak mocno, skoro w pokoju jest zimno. Carrie siada powoli, myśląc, że chyba zepsuł się piec i że będzie musiała niepokoić pana Cho, który wybrał się do Phoenix pograć w golfa. Czyjeś ramię obejmuje ją za szyję i zmusza, by znowu się położyła. Dzieje się to tak szybko, że Carrie nie zdążyła nawet krzyknąć.

— Nie martw się, to już ostatni raz — mówi głos, zarost ociera się o płatek jej ucha, a zapach wody kolońskiej sprawia, że Carrie się dławi. To Seever, myśli Carrie, i usiłuje z nim walczyć, ale on ma przewagę. Zaskoczył ją, gdy nie była gotowa, ale czy nie powinna była się tego spodziewać? Seever wcale nie jest w więzieniu, jest z nią, w jej łóżku, ma zamiar skończyć, co zaczął, i to nie jest sen.



# RUSZAJ DO PRZODU

1 grudnia 2015

Gdyby to był film, wiedziałbyś, że minął pewien czas, ponieważ na dole ekranu pojawiłby się napis: dziewięć lat później. A pierwsze ujęcie przedstawiałoby Denver — kamera pokazywałaby centrum miasta, dziwnie zakrzywione szklane ściany budynku Wells Fargo, złotą kopułę Capitolu i węzowatą krzywizną autostrady I-25, która rozwija się w kierunku północy i południa. I góry, zawsze góry, ogromne purpurowe i błękitne wzniesienia po zachodniej stronie horyzontu, których wierzchołki pokryte są śniegiem. Zobaczylibyśmy to wszystko, po czym z zawrotną prędkością przemieścilibyśmy się nad Colfax Avenue, gdzie znajduje się większość sklepów porno i gabinetów masażu i gdzie jest pełno graffiti oraz głośnej muzyki. A jeśli wiesz pewne rzeczy i bardzo ci zależy, możesz zaparkować samochód i zatrzeć, a pojawią się prostytutki — i nie tylko one. Na Colfax, nie tak daleko od międzystanowej autostrady, znajduje się bar kawowy, wciśnięty w róg parkingu przy sklepie Walmart. W pobliżu stoją pojemniki na używaną odzież i kampery, składowane są też stosy papierów do recyklingu. W wietrzne dni panuje tu niezły bajzel, w powietrzu unosi się zadrukowany papier gazetowy. Barek z kawą wygląda niczym przewrócona na bok zamrażarka, domek do zabawy dla dzieci, ale to prawdziwy i legalny biznes. Klient może zaparkować samochód wzdłuż sklepu i obserwować przez szybę, jak przygotowywany jest jego napój. Kawa kosztuje więcej, niż

jest warta, bo ma okropny smak, ale nie ma wielkiego wyboru. Nie ma ciastek, muesli i produktów proteinowych. Nic w tym stylu. Tylko kawa.

Ale wąski wybór jest rekompensowany w inny sposób. Głównie osobami pracowników. Wszystkie są kobietami — dziewczynami, dokładnie mówiąc — które pracują na swoich stanowiskach w bikini. Czasem w bieliźnie. To część koncepcji mającej na celu zadowolenie klienta. Napij się kawy, naciesz oko. Niczym Happy Meal dla dorosłych.

Detektyw Paul Hoskins jest tu stałym klientem.

— To samo co zawsze, kochanie? — pyta Trixie, wychylając się przez okno. Mówi z południowym akcentem, ale Hoskins wie, że jest on udawany. Nonsens, który podłapała z telewizji, a zorientował się, ponieważ Trixie zdarza się nieraz przejść na płaskie, bezbarwne cedzenie, charakterystyczne obecnie dla wielu ludzi. Dziewczyna ma na sobie ognistoróżowy stanik i czarne majtki. Jej piersi niemal wylewają się z biustonosza, a Hoskins widzi pomiędzy nimi wyprysk, czerwony i irytujący.

— Tak. — Dziewczyny wiedzą, że jest glina; mówią, że czują się bezpiecznie, gdy przychodzi tutaj każdego ranka. Jego kawa jest zawsze na koszt firmy.

Trixie wręcza Hoskinsowi parujący kubek — musiała wiedzieć, że on się zbliża, bo jego napój jest gotowy od razu. Duża czarna kawa. Loren zawsze dawał mu takie samo gówno, nazywając go „prawdziwym mężczyzną” i pytając, ile włosów ma na klatce piersiowej, a potem wsypując do kawy trzy szaszetki cukru i porcję śmietanki w kremie.

— Dzięki — mówi Hoskins. — Nudny poranek, co?

— Rozkręci się — odpowiada Trixie.

— Masz jakieś plany na weekend?

— Nie za bardzo. — Na piankowym pojemniku widnieje mały rysunek, przedstawiający kubek z długimi seksownymi nogami i wielkimi soczystymi wargami rozciągniętymi przez jego środek. To ich logo — kubek kawy, który wygląda na gotowy i chętny, by zrobić ci laskę. Hoskins nieraz zastanawiał się, czy jakiś napalony nastolatek nie onanizuje się, patrząc na nie.

— Hej, mamy dziś pączki. Chcesz jednego?

Hoskins sądzi, że Trixie nie jest prawdziwym imieniem — jaki rodzic nazwałby tak dziecko? — ale nigdy o to nie pytał. Posługiwanie się zmyślonym imieniem daje dziewczynom poczucie bezpieczeństwa, choć nie bardzo ma to sens, zwłaszcza w obecnych czasach, kiedy każdy może znaleźć wszelkie informacje. Ale Hoskins to rozumie. Kłamstwa czynią życie prostszym.

— Jakie macie?

— Dwa z cukrem pudrem. Jeden — nie, dwa, z polewą. Jeden z nadzieniem. Wygląda na malinowe.

Hoskins dowiedział się o tym miejscu od dziewczyny, z którą randkował, Vicki, czy jak tam jej było na imię, która przeczytała o barze w Internecie. Potem bar ten zaczął pojawiać się w sloganach, które wygłaszała — mawiała, że świat zmierza ku temu, że ludzie pieprzą się, gdzie popadnie, nawet tam, gdzie piją poranną kawę. Ale Vicki była tym rodzajem dziewczyny, która najchętniej żyłaby w latach pięćdziesiątych i nosiła fartuszek. Uważała, że wszyscy mężczyźni to zboczeńcy, zaś każda zgrabna kobieta z krótkimi włosami to dziwka. Miała swoje poglądy, duże usta, ale tak naprawdę była niepełna siebie. Niepełna siebie i potrzebująca kogoś, a on na to przystał głównie dlatego, że Vicki zawsze wracała. Nie pamiętał nawet, jak zaczęli się spotykać i gdzie ją poznał. W końcu z nim zerwała. Zabrała swoje rzeczy z szafek z łazienki oraz szuflad komody i spakowała wszystko, co zgromadziła

u Hoskinsa w ciągu sześciu miesięcy ich związku, wrzeszcząc, że kończy z tym gównem, że Hoskins jest skurwysynem, który w życiu nie będzie z żadną kobietą i że nigdy nie znajdzie kobiety lepszej od niej. Wszystko to słyszał już wcześniej. Rzuciła go, bo był wykolejony, a spotkanie się z nim było jak randkowanie z robotem, ale Hoskins uważał, że powodem rozstania był kubek, którego zapomniał wyrzucić. Vicki znalazła go i dowiedziała się, że Paul chodził w *tamto* miejsce. Jeśli była jedna rzecz, z którą nie mogła się pogodzić, to chłopak, który gapił się na nagie dziewczyny nalewające mu kawę. Tak więc Vicki odeszła, choć czasem nadal pisze do niego sms-y, zaznaczając swoją obecność. Hoskins wie, że gdyby chciał, Vicki by wróciła. Ale on tego nie chce.

— Proponujesz mi pączka, bo jestem gliną? — pyta.

— Och, nie miałam tego na myśli — mówi Trixie, a uśmiech znika z jej twarzy. Na ramieniu ma dwa głębokie zadrapania. Mógł to zrobić kot, choć chyba niekoniecznie. — Pomyślałam, że może któryś by ci smakował.

Hoskins wyciąga rękę i dotyka jej ramienia. Na zewnątrz jest zimno i skóra Trixie natychmiast pokrywa się gęsią skórką. Przez chwilę wygląda na niepewną, a pod tą niepewnością kryje się inne uczucie — strach. Hoskins widział takie sytuacje przez lata. Zazwyczaj dotyczyły one kobiet, które były traktowane przez mężczyzn jak worki treningowe.

— Żartowałem — mówi. — Przepraszam, to był kiepski żart. Wezmę tego z nadzieniem malinowym, jeśli pozwolisz.

Trixie znowu się uśmiecha, ale słabo. Chciałby umówić się z nią, zabrać na obiad, a może pójść z nią do łóżka i przesunąć dłonią po nagich plecach wzdłuż kręgosłupa. Ale to nie jest dobra pora, by się umawiać, a zwłaszcza nie teraz, gdy Trixie wygląda tak, jakby uderzono ją w żołądek, zadano szybki cios albo dwa, na skutek czego zabrakło jej tchu, zaś twarz aż

pozieleniała.

— Dobrego dnia — mówi Trixie, wręczając mu paczka owiniętego w serwetkę. Kiedy się pochyla, Hoskins widzi na jej biodrze tatuaż, znajdujący się nad koronkowym wykończeniem jej majtek. Przedstawia wzór: „pięć na pięć”, myśli Hoskins. To stary sposób pokazywania, że wszystko jest w porządku, ale Hoskinsowi tatuaż się nie podoba. Jest rozmazany i niestaranny, tusz stał się fioletowawy i wyblakły.

— Dziękuję. Do zobaczenia rano?

— Nie, mam wolny dzień.

— Okay.

Hoskins włącza się do ruchu; skręca w prawo, w kierunku miasta. Wciąż jest wcześnie, słońce dopiero niedawno się pokazało, a jego komórka już dzwoni. Hoskins wyjmuje ją z pojemnika na kubek, gdzie zazwyczaj trzyma telefon i patrzy na ekran. Dzwoni Loren. Hoskins nie odbiera. Nie są już partnerami. Nie pracują razem od prawie dwóch lat, ale Loren wciąż często do niego telefonuje. Żeby strzałami rozgonić gówno, jak sam mówi. To fałszywy żarcik, bo czy kiedykolwiek wcześniej Loren dzwonił, by po prostu pogadać? Nigdy — oto odpowiedź. Nie, Loren dzwoni, bo chce przypomnieć Hoskinsowi, co ten kiedyś miał i co teraz jest poza jego zasięgiem. A może dlatego, że nie ma już partnera, nie ma nikogo, z kim mógłby pogadać. Odkąd Hoskins odszedł, Loren zmieniał partnerów jak rękawiczki, bo nikt nigdy nie był w stanie z nim pracować i to się nie zmieniło. To działa na Hoskinsa dziwnie pocieszająco.

Tak więc Loren dzwoni co parę dni, żeby opowiedzieć Hoskinsowi o policyjnej klienteli i co się w ogóle dzieje. Ostatnio opowiadał o dwóch kobietach, które wyciągnięto ze zbiornika dwa tygodnie temu. Nie

przymocowano do nich żadnego obciążnika. Zabójca albo o tym nie myślał, albo o to nie dbał. Kobiety zostały związane sznurem zaciągniętym wokół ich szyj, toteż znaleziono je razem, w tym samym czasie.

— Te dziewczyny kręciły się wokół domu Seevera, zanim go aresztowaliśmy — powiedział Loren. — Pamiętasz je? Mówiły, że wynajął je do pielenia ogródka i zamiatania podjazdu.

— Nie. — Ale Hoskins oczywiście pamięta. Po aresztowaniu Seevera zatrzymali te dziewczyny, podobnie jak innych ludzi, którzy mieli jakiś związek z podejrzanym. A te dwie, które już prawie kończyły szkołę średnią, okazały się chodzącym dynamitem. Po zakończeniu przesłuchania, kiedy Hoskins odprowadzał je do wyjścia, przyłgnęły do niego z dwóch stron i zaproponowały, że spotkają się z nim po pracy. Może je mieć w łóżku obie naraz. Żadna z nich nie wylądowała zakopana w korytarzu w domu Seevera, ale ani jedna, ani druga nie wyglądały na specjalnie tym przejęte. Hoskins podziękował im za przyście, odprowadził do wyjścia, ale nieźle się przy tym spocił, starając się nie patrzeć na ich obfite kształty i pełne usta. Czy je pamiętał? Boże.

— Nie wiem, o kim mówisz.

— Wiesz. Zostały zgarnięte z ulicy i przetrzymywane przez trzy dni, zanim je zamordowano, Paulie. Były torturowane i gwałcone. Ten skurwysyn obciął im palce, tak jak robił to Seever.

— Przypadek — odparł Hoskins. Ale pocił się i zaczął już lekko się trząść. Tak działały na niego wiadomości o Seeverze — czuł się jak zdenerwowany dzieciak. — Znalazły się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. To się zdarza.

— Gadasz, jakbyś był dupą wołową.

— Nie dbam o to. Nie chcę już słyszeć o Seeverze i całej tej sprawie.

— Tęsknisz za tym. Wiem, że tak.

— Wcale nie — odparł Hoskins, ale czy była to prawda? Tak. Czasem.  
— Zostaw mnie do cholery w spokoju.

Dotarcie do pracy zabiera Hoskinsowi dziesięć minut. W tym budynku pracuje od dwudziestu dwóch lat. Po aresztowaniu Seevera otrzymał własne biuro z widokiem na centrum, z dużym oknem i zamykanymi na klucz drzwiami. Rezydował w nim przez prawie pięć lat, zanim kazano mu spakować swoje rzeczy i się wynosić; został wykopany z ósmego piętra do sutereny. Jego obecne biuro jest suche, czyste i porządne, a on ma szczęście, że w ogóle jeszcze pracuje i dostaje pensję. Ale to jednak suterena — miejsce, w którym chowasz rzeczy, których nie chcesz już widzieć, choć nadal chcesz je zachować.

Wszyscy myśleli, że tym, który w końcu straci posadę, będzie Ralph Loren, że zostanie wreszcie wykopany z departamentu za jakieś głupstwo, bo to było bardzo w jego stylu. Krążyły plotki, że zanim zaczął pracować w policji w Denver, był tajniakiem w Miami — a może w Atlancie? — i że jakiś znaczniejszy dealer wkurzył go do granic wytrzymałości. Loren poturbował go tak, że facetowi aż coś pękło w środku. I tak Loren wylądował w Kolorado, przeniesiony dla swego bezpieczeństwa na drugi koniec kraju.

Ale to Hoskinsa zawieszono, bo uderzył kobietę. Nie, nie tak po prostu uderzył — zdzielił ją prosto w usta i wykręcił jej rękę tak, że aż piszczała jak świnia. Skończyła ze złamanym zębem, siniakami w okolicach żeber i plamą łysiny w miejscu, w którym wyrwał jej kłęb włosów. Hoskins nie był typem faceta, który skrzywdziłby kobietę — nie zrobił tego nigdy wcześniej i nie miał zamiaru znowu tak postąpić — ale nie był w stanie się powstrzymać, bo ta kobieta zabiła swoją córkę. Najpierw zagłodziła sześciolatkę, a potem była

ją tak długo, aż pęknięta czaszka przypominała surowe jajko. Tak, to było złe, ale sprawę pogarszał fakt, że kobieta nie była narkomanką czy zdesperowaną prostytutką z zaburzeniami umysłowymi — była po prostu podła. Podobało się jej, że widzi cierpienie swego dziecka. Miała miły domek i minivana zaparkowanego na podjeździe i nosiła pieprzone sweterki zapinane na guziki. Policja znalazła dziewczynkę wciśniętą do szafki w jej pokoju, z kolanami przyciągniętymi do czoła. Zapadłe oczy miała zamknięte, jak gdyby spała. Matka stała obok i mówiła, że jest w depresji, że jej mąż służy w wojsku poza granicami kraju, że straciła nad sobą kontrolę, nie wiedziała, co robi i że ktoś powinien ją zbadać, szkoła córki powinna zauważyć, że coś jest nie tak i że całej tej tragedii można było zapobiec. Ale Hoskins wściekł się, i to straszliwie, bo miał już dosyć jej usprawiedliwień, był zmęczony swoją robotą, oglądaniem strasznych rzeczy i spotykaniem okropnych ludzi. Ale to o Seeverze myślał, uderzając tę kobietę. Od czasu jego sprawy minęły lata, jednak Hoskins wciąż widział go w snach, wciąż przyłapywał się na tym, że odtwarza w myślach rozmowy, które prowadzili, zwłaszcza we dwóch, bo Seever odmówił składania zeznań w obecności Lorena po tym, jak dostał od niego cios. Powiedział, że nie piśnie ani słowa, jeśli Loren będzie gdziekolwiek w pobliżu. Akceptował jedynie Hoskinsa i kiedy raz zaczął mówić, gdy wreszcie otworzył usta, nie można go było powstrzymać. Seever opowiedział Hoskinsowi niemal wszystko, co zrobił, wszystko, zaś Hoskins chciałby to zapomnieć, wyczyścić swoją pamięć, bo wiedza o czynach, których dopuścił się drugi człowiek, zostaje w tobie, zmienia cię.

Chciałem usłyszeć ich krzyk, powiedział Seever.

Przed sprawą Seevera Hoskins był innym człowiekiem. Lepszym człowiekiem. Ale Seever wydarł z niego zębami lepszą część jestestwa. Przetrawił go i wypluł z powrotem.



— Dlaczego pozwoliłeś, żebym tak się zachował? — Hoskins zapytał o to Lorena później, po tym jak kobieta wynajęła prawnika, ponieważ użyła wobec niej nadmiernej siły. Domagała się wyciągnięcia konsekwencji i Hoskinsa przeniesiono z wydziału zabójstw do biura w suterenie, z dala od wścibskich oczu. Był ciężarem dla departamentu; nie można go było zwolnić, ale jednocześnie nie można było nie zwolnić. — Nawet nie próbowałeś mnie powstrzymać.

Loren wzruszył ramionami. Hoskins słyszał, że to jego partner naciskał na przesunięcie go zamiast zwolnienie z pracy i pomysł ten przeszedł, bo Loren miał kontakty i wpływ na ludzi wysoko postawionych w policji. A jeśli Loren czegoś chciał, zazwyczaj to dostawał.

— Czasami tego główna jest zbyt wiele — rzekł Loren i to było wszystko na ten temat. Lecz Hoskins wiedział, że był to i tak najlepszy sposób, w jaki partner chciał mu powiedzieć, że rozumie.

# SAMMIE

Jej telefon dzwoni we wtorek, choć ona go nie odbiera. Ktoś musi zostawić wiadomość na skrzynce. Komórkę ma zatknietą za stanik; jej ekranik opiera się o piersi, tak że czuje wibracje, gdy rozlega się dźwięk dzwonka. Sammie przez następną godzinę nie będzie mieć szansy sprawdzić, kto dzwonił, bo w pracy jest to niedozwolone. Dziewczyny zwalniano za drobniejsze przewinienia niż to, a ona potrzebuje zajęcia.

Tak się dzieje, gdy gazeta traci na aktualności, gdy wydawca mówi, że nastąpiły ekonomiczne fluktuacje i nie mogą cię dłużej zatrudniać, a ty masz rachunki do zapłacenia — za kredyt mieszkaniowy, samochód, za artykuły spożywcze. Jesteś dorosłym człowiekiem i musisz dbać o takie sprawy. Nie ma znaczenia, że masz dyplom, cholerny dyplom magisterski, bo nie znaczy to, że masz wpływ na swój los. Nie możesz na przykład znaleźć pracy związanej z pisaniem, nie wówczas, gdy chcesz zarobić jakieś normalne pieniądze.

Bierzesz więc pracę, jaka się trafia.

Dan Corbin zwolnił ją prawie osiem miesięcy temu. Przez trzy miesiące była bezrobotna. Dziewięćdziesiąt dni, podczas których nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Siedziała z nosem w ekranie komputera dwanaście godzin na dobę, wysyłając tysiące CV i wypełniając milion aplikacji. A potem skończyła tutaj, w sklepie znajdującym się w wielkim centrum handlowym w południowej części Denver, nie ze względu na swoje wykształcenie czy doświadczenie zawodowe, ale ze względu na swój wygląd. Tak przynajmniej sądzi, bo nigdy nie sprzedawała kosmetyków ani niczego innego. „Szybko

załapiesz, o co chodzi”, powiedział manager, kiedy ją zatrudniał. „Bądź pewna siebie. Klienci ufają takim sprzedawcom”.

To była prawda; Sammie szybko zrozumiała, w czym rzecz, nauczyła się wielu rzeczy, a jeśli czegoś nie wiedziała, udawała, że jednak to wie. Klienci zdawali się ją lubić, choć byłoby jej łatwiej, gdyby była gejem albo cudzoziemką, bo ci byli niczym baza świata piękna. Geje i kobiety z Europy Wschodniej wiedzieli o nim wszystko. Ale i tak dawała sobie radę. Jej praca nie polegała na pisaniu, nie była ekscytująca. Malowała kreski na powiekach klientek eyelinerem albo demonstrowała wszystkie możliwe odcienie czerwonych szminek na powierzchni swojej dłoni, byleby tylko klient coś kupił. Boże, cokolwiek. Myślała wtedy: to jest moje życie. I takie ono będzie, już na zawsze. Zestarzeję się, zrobię się pomarszczona i brzydka i wciąż będę pokazywać kobietom, jak nakładać cień na powieki i przyciemniać brwi.

Sammie bierze środki antydepresyjne.

Teraz ma przerwę na lunch, którą spędza w barku centrum handlowego, przy stoliku stojącym dokładnie pośrodku, skąd ma dobry widok na wszystko. Jest godzina dwunasta, do Bożego Narodzenia pozostały dwadzieścia cztery dni, a świąteczni klienci są głodni. Jeśli chcesz kogoś poznać, myśli Sammie, obserwuj go podczas zakupów. To powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

— Dzisiaj nie zamawia pani nic do jedzenia?

Sammie przesuwa palcami po swej bluzce, chcąc wyciągnąć telefon, ale potem powstrzymuje się i uśmiecha do młodego człowieka stojącego obok. Ma na imię Ethan; Sammie nie zna jego nazwiska i w ogóle nie wie o nim wiele poza tym, że pracuje w jednej z restauracji w tej części centrum handlowego, w której się one znajdują. Serwują w niej kanapki, kawę i świeże ciasteczka. Ethan spotyka się z jedną z dziewczyn, z którą pracuje

Sammie. Dziewczyna nazywa się Kelly, ma szerokie biodra i jeszcze większe usta. Uważa, że świat jest jej coś winien. Mówi zazwyczaj rzeczy głupie lub obraźliwe, ale wcale tego nie zauważa, i wciąż narzeka — zaś Ethan odwiedza ją często, przynosi jej napitki i przekąski. Miły dzieciak. Parę lat temu skończył szkołę średnią i teraz zastanawia się, co ma robić dalej. Rozpoznał Sammie ze zdjęcia, które było zamieszczane w „Poście” obok jej artykułów. Sammie pochlebiło, że chłopak był tak podekscytowany spotkaniem jej. Powiedział, że zawsze chciał pisać, planuje wrócić do college’u i skończyć dziennikarstwo. Zawsze pyta ją o pokój redakcji informacyjnej, wydział spraw kryminalnych, artykuły, które pisała. Jest jak dzieciak, który zawsze chce wiedzieć więcej. A ona dużo mu opowiada, dzieli się wieloma rzeczami, o których może mówić nie powinna, ale nikt więcej nie chce słuchać o czasach, w których pracowała w „Poście”. Wszyscy chcą, by żyła teraźniejszością i nie wracała do przeszłości. „Ruszaj do przodu”. Ale Ethan chłonie jej opowieści i prosi o więcej.

— Nie dzisiaj.

— Mogę zorganizować ci kanapkę, jeśli chcesz. To nie problem.

— Nie, w porządku.

Parę tygodni temu chciał się z nią umówić, a potem wycofał się z tego, zanim Sammie zdążyła powiedzieć choć słowo. Nie chciał, by jego propozycja zabrzmiała jak zaproszenie na randkę, powiedział, bo nie to miał na myśli. Miał przecież Kelly. Chciał pogadać z Sammie o pisaniu, o profesjonalnej karierze dziennikarskiej. Możliwe, że skończy się tylko na zaliczeniu paru semestrów w lokalnym college’u. Nigdy nie udało mu się odnieść sukcesu w jakiegokolwiek dziedzinie, powiedział, może poza tym, że zdołał przygotować piekielnie ostrą kanapkę z wołowiną z przyprawami, ale to nie napełniło jego matki dumą.

— Jestem nieudacznikiem — powiedział jej kiedyś. — Nie umiem nic robić dobrze.

— To nieprawda.

— Prawda. Czasem myślę, że jesteś moją jedyną przyjaciółką.

— Masz Kelly.

— A ty masz męża — śmieje się Ethan. Nie śmieje się często, a Sammie podoba się w takich chwilach. Gdyby była dziesięć lat młodsza i była singielką, zaciągnęłaby go do łóżka. Mniejsza o Kelly. Może nawet — pomimo Kelly. — I oto jesteśmy tutaj.

Jej komórka znowu wibruje.

— Przepraszam, muszę zobaczyć, kto dzwoni — mówi Sammie i sięga po telefon. Ethan odchodzi parę kroków dalej i zatrzymuje się. Czeka. Pewnie chce jeszcze pogadać, gdy Sammie skończy rozmawiać. Prawdopodobnie to dzwoni Dean, żeby zapytać, jak jej mija dzień. Numer kierunkowy to 303, ale to nie jej mąż. Telefonują z „Posta”, a konkretnie Dan Corbin, jej były wydawca.

— Sammie, dzięki Bogu, że odebrałaś.

— O co chodzi? — pyta Sammie. Nie spodziewała się telefonu od Corbina, bo przecież wysłała mu kilkanaście e-maili, dając do zrozumienia, że byłaby zainteresowana powrotem do gazety, jeśli jej sprawy finansowe się polepszą. Corbin jednak nigdy nie odpisał. Ignorowanie e-maili jest zaś wyjątkowo nieprzyjemne.

— Z tej strony Corbin — mówi jej były szef powoli, a Sammie zdaje sobie sprawę, że pomyślał, iż ona go nie słyszy. — Dzwonię z „Posta”.

— Tak, wiem.

— Okay — Corbin milknie. Każdy normalny człowiek zapytałby, co u niej słycać, jak obchodzi Święto Dziękczynienia. Ale takie zachowanie było typowe dla Corbina. Jest jednym z najinteligentniejszych ludzi, jakich spotkała Sammie, ale jego umiejętności interpersonalne zawsze były kiepskie. — Słuchaj, zbliża się siódma rocznica aresztowania Seevera.

Zawiesza głos, by efekt był bardziej dramatyczny. Zawsze miał do tego smykałkę, ale tym razem zasługuje na wyjątkową pochwałę. Na ten telefon Sammie czekała, zastanawiając się przez ponad pół roku, kiedy Corbin zdecyduje się podnieść tę cholerną słuchawkę telefonu i wykręcić jej numer. I oto ten moment nadszedł.

— Okay.

— A dzień jego egzekucji się zbliża. Kiedy to będzie — za rok licząc od dziś?

— Trzydzieści miesięcy, jak sądzę. — Sammie nie zgaduje. Zna dokładną datę planowanej egzekucji Seevera — 13 stycznia 2017 roku. Piątek trzynastego.

— W związku z tym zainteresowanie sprawą Seevera znowu wzrasta.

— Tak. — Sammie kiwa głową, uśmiechając się, bo dawno już nauczyła się, że ludzie słyszą uśmiech w twoim głosie. Kiedyś miała szefa, który postawił lustro obok komputera, aby Sammie mogła zobaczyć, jak wygląda, gdy rozmawia przez telefon. Wciąż się uśmiecha, ale chciałaby, żeby Corbin skończył tę pustą gadaninę i poprosił ją o powrót. By wznowiła swoją karierę od punktu, z którego ją zaczęła — czyli od Jacky’ego Seevera.

„Prenumerata »Posta« była wyższa niż kiedykolwiek, kiedy pisałaś o Seeverze i myślę, że wznowienie tematu byłoby dobrym pomysłem. Pomóż rozwijać biznes i wracajmy tam, gdzie kiedyś byliśmy”.

Wszystko to zbyt piękne, by było prawdziwe.

— To brzmi niesamowicie — mówi Sammie. — Mam ciągle stare pliki, wszystkie zdjęcia. Byłabym szczęśliwa, mogąc wrócić.

Nastaje chwila milczenia i Sammie zastanawia się, czy nie stracili połączenia, ale oto Corbin wydaje z siebie rodzaj śmieszku, szorstkiego i chrapliwego, przypominającego szczeknięcie psa.

— Źle mnie zrozumiałaś, Sam. Nie proszę cię, żebyś wróciła i znowu pisała dla „Posta”. Byłem pod wrażeniem, że w ogóle zarzuciłaś pisanie. Sam, jesteś tam?

— Tak, jestem — odpowiada. To niesamowite, jak normalnie brzmi jej głos. Jak gdyby nic się nie stało, choć Ethan patrzy na nią zaniepokojony. Muszę wyglądać na zmartwioną, myśli Sammie z roztargnieniem. Pewnie wygląda na to, że dostałam złe wieści. Na przykład powiedziano mi, że ktoś podpalił mój dom i zabił psa. Jezu. Sammie obraca się na plastikowym krześle i widzi, jak faceci za ladą stoiska z pizzą zagniatają ciasto i kroją je na kawałki.

— Po co więc dzwonicz?

— Chciałem zapytać, czy nie pomogłabyś Weberowi — odpowiada Corbin. — Trzeba przyspieszyć z robotą, więc podzieliłabyś się z nim swoimi materiałami albo wskazała mu właściwy kierunek.

— Weber? — mówi Sammie. — Powierzyłeś to zadanie Chrisowi Weberowi?

— Tak. Pamiętasz go?

— Oczywiście, że tak — odpowiada Sammie, potrząsając głową. Chris Weber był kompletnym durniem. Kretynem, który wyrastał w przekonaniu,

że gówno nie śmierdzi. Był dużym starym chłopcem, wysokim i szerokim, ale nie otyłym, który lubił nosić bluzy z rękawami zrolowanymi do łokcia. Był typem faceta, który w opinii ludzi pasuje do pracy w wydziale kryminalnym, a Sammie znienawidziła go od chwili, gdy zaczęli razem pracować. — Przecież to pieprzony kretyn.

— Sam, on zrobił kawałek porządnej roboty.

— Jakoś tego nie zauważyłam.

— Wciąż czytujesz „Posta”?

— Czasami.

Ech, to kłamstwo. „Post” jest jej ciągle doręczany. Czyta go każdego ranka, jak tylko wstanie z łóżka i zaparzy sobie kawę, od pierwszej do ostatniej strony, każde pojedyncze słowo. Deanowi to się nie podobało, nazywał ją dzieckiem, które potrzebuje smoczka, i może to była prawda. Sammie jednak kazała mu się pieprzyć i czytała „Posta” nadal. Czasami po lekturze gazety włączała komputer i znajdowała swoje stare artykuły w wersji on-line, choć trudno było je znaleźć w internetowym śmietniku. Potem czytała je powoli, tak że znała na pamięć niemal każde słowo, które kiedyś napisała. Jej zdjęcie — najdroższe, jakie wykonał profesjonalny fotograf, tak by czytelnicy mogli zapamiętać jej twarz — przepadło, lecz imię wciąż widniało pod artykułami i zawsze tam będzie; tego przynajmniej nikt nie mógł jej zabrać.

— Jego pierwszy większy kawałek ukaze się jutro na pierwszej stronie. Rzuć na to okiem, jeśli będziesz miała możliwość. Jest niezły. Chris jest cholernie dobrym reporterem. Proszę cię tylko, żebyś mu trochę pomogła. Rzuć chociaż jakiś ochłap, Sam.

— O czym jest ten artykuł?



— Wiesz, że nie mogę powiedzieć.

— Przestań być dupą wołową, Corbin. Już przecież drukujesz tę cholerną historię i to nie będzie żaden sekret.

— Słyszałaś o tych dwóch dziewczynach wyłowionych ze zbiornika Chatfield parę tygodni temu?

— Tak — odpowiada Sam. Historia zyskała spory rozgłos — zamordowano dwie kobiety, prawdopodobnie zgwałcono, a ciała zatopiono potem w wodzie. Para spacerująca w południe zauważyła zwłoki i zawiadomiła policję. — Nie ujawniono na razie żadnych szczegółów. Nie podano nawet imion ofiar.

— Weber wytropił dwóch policjantów, którzy byli na drinku. Postawił im piwo i wycisnął z nich informacje. Ma całą historię.

— Co to za informacje?

— Te dwie dziewczyny wyciągnięte przez policję z wody to Tanya Brody i Selene Abeyta.

Mija minuta, nim Sammie przypomina sobie te nazwiska. Po aresztowaniu Seevera rozmawiała z obydwoma kobietami — choć wtedy były uczennicami ostatnich klas liceum. Od czasu do czasu wykonywały dla Seevera prace porządkowe wokół jego domu. Obie zgodziły się opowiedzieć jej o Seeverze. Na rozmowę przyszły razem, bo na wieki były najlepszymi przyjaciółkami i niczego nie robiły oddzielnie.

— Dzięki Bogu, że tak właśnie było — powiedziała wówczas Tanya. — Gdyby uwięził którąś z nas osobno, prawdopodobnie albo ja, albo Selene już byśmy nie żyły.

— Zawsze wydawał mi się jakiś obrzydliwy — powiedziała Selene i obie

dziewczyny zaśmiały się szyderczo, jednak Sammie nie umieściła tych słów w swoim artykule.

A teraz, siedem lat później, obie nie żyją. Zginęły tak, jak żyły — razem. Sammie pamiętała, jak podczas wywiadu śmiały się i piszczały, żuły gumę i dzieliły się nią, podekscytowane swoimi pięcioma minutami sławy. Potem Sammie doszła do wniosku, że te dwie właściwie ją zirytowały. Była zadowolona, gdy sobie poszły, choć opowiedziały ciekawe rzeczy.

— Mówisz poważnie?

— Jestem poważny niczym atak serca — odparł Corbin. — Poszukiwano ich przez kilkanaście dni, zanim zostały odnalezione. Gliniarze nie podali szczegółów, ale powiedzieli, że zostały zamordowane w taki sam sposób, w jaki robił to Seever.

— Czy sądzą, że Seever jest w to w jakiś sposób wmieszany?

— To prawdopodobne. Sprawa jest podejrzana. Dwie dziewczyny, które mogły być ofiarami, teraz nie żyją. Kiedyś sądziłaś, że Seever mógł mieć partnera. Może miałaś rację, a facet zdecydował się teraz dokończyć to, co zaczęli.

— Możliwe.

Sammie wypycha policzek końcem języka. Kilka stolików dalej siedzi malec, który robi piekielny bajzel z frytek i ketchupu, podczas gdy jego matka jest bardzo zajęta pisaniem sms-ów i przeglądaniem e-maili. Sammie wstaje i podchodzi do dużego kamiennego kominka, który znajduje się pośrodku części restauracyjnej centrum handlowego. Tu jest cieplej i mniej tłoczno.

— Sam? Jesteś tam? Cholerny telefon, musimy...

— Jestem — odpowiada Sammie krótko. — Ciągle jestem.

— To jak, pomożesz Weberowi? Informacji od ciebie użyłby do artykułów, które napisze, i do książki...

— Książki?

— Hm, tak. — Corbin jest lekko skonfundowany, jak gdyby niechcący zdradził sekret, który miał zamiar trzymać w tajemnicy. — Mój znajomy z college'u jest agentem literackim. Mówiłem mu o Seeverze i o tych dwóch dziewczynach. Był bardzo zainteresowany. Uważa, że książka o tej sprawie sprzedałaby się bez problemu.

— Ale o Seeverze wydano już przecież książkę — mówi Sammie. To powinna być *jej* książka, ale ci dwaj mężczyźni, którzy ją napisali, okazali się szybsi i wykorzystali okazję. Tak to jest z pisaniem, odkryła Sammie. Musisz szybko wykorzystać okazję, jeśli nie chcesz, by inni pozostawili cię z tyłu niezauważonym.

— Ty i ja wiemy, że ta książka była niewypałem — mówi Corbin. — A zbrodnie Seevera — zwłaszcza jeśli mają związek z nowymi morderstwami — mogą być dobrym materiałem na nową książkę. Tym razem dobrą. Mój przyjaciel też tak uważa.

To nie tak miało być. To nie tak Sammie wyobrażała sobie całą sprawę za każdym razem, gdy stała pod prysznicem, czekając, aż odżywka wniknie w jej włosy. Wyobrażała sobie, że obok stoi Corbin, błagając, by wróciła do „Posta”. Wszystko potoczyło się inaczej, ale Sammie jest szybka, zawsze wybiega o jeden krok do przodu — jest graczem, a wszak życie jest grą, prawda? Jedną wielką grą.

— A co, jeśli porozglądam się sama? — pyta, mówiąc najpierw powoli.  
— A co, jeśli napiszę jakiś kawałek o Seeverze i tych nowych morderstwach?

Coś lepszego niż Weber. Wydrukowałbyś to?

— Nie wiem — mówi Corbin, ale Sammie słyszy podniecenie w jego głosie i zastanawia się, czy planował to od samego początku. Bo Weber nie potrzebuje jej pomocy, siedzi w dziennikarstwie dostatecznie długo, by znać ten biznes na wylot, i powinien bez problemu poradzić sobie z kolejnym zadaniem. Nie, takie zagranie jest w stylu Corbina — przeciwstawienie sobie dwojga reporterów. Chce obserwować ich walkę, a na koniec zebrać nagrodę. Gdyby Corbin mógł zamienić swoje życie w telewizyjne reality show, knułby i planował, aż wszyscy rywale zostaliby usunięci z gry przez głosowanie.

— Obiecałem tę robotę Weberowi. To byłoby nie w porządku.

— Nie sędzę, by dobra historia musiała się opierać na zasadach bycia w porządku — odparowuje Sammie i wie, że układ został przypieczętowany, bo sam Corbin nie gra fair. Chodzi mu tylko o intratny biznes i jeśli Sammie dostarczy mu coś dobrego, coś, co sprawi, że ludzie wyciągną portfele i będą chcieli zapłacić, Sammie wraca do gry. — Myślę, że wystarczy, by była dobrze napisana, natomiast nieważne, kto ją stworzył.

— Zawsze to w tobie podziwiałem — mówi Corbin. — Zrobisz wszystko, żeby postawić na swoim.

„Skłamałabyś w każdy możliwy sposób, by dostać to, czego chcesz”, powiedział Hoskins i na myśl o jego słowach Sammie krzywi się. Teraz usłyszała prawie to samo.

— Bądźmy w kontakcie — mówi Sammie i rozłącza się, bo zawsze lepiej być tą osobą, która pierwsza kończy rozmowę, bez zbędnych niezręcznych pożegnań. I już wybiega myślami do przodu, planuje następny krok i wyobraża sobie wyraz twarzy Webera, gdy ten dowie się, że sprzątnęła mu sprzed nosa ciekawą robotę. Drobiazg, myśli Sammie. Będzie dobrze. Nie,

nie dobrze. Będzie kurewsko rewelacyjnie.

— Będziesz znowu pisać dla prasy? — pyta Ethan, stając za jej plecami, a Sammie aż podskakuje zaskoczona i zarzuca mu ręce na szyję. Jest podekscytowana, toteż ignoruje fakt, że jego ręce obejmują ją w pasie i że mocno ją przytula. To wszystko nieważne, bo dostała szansę i tego właśnie potrzebuje. Myszy potrafią się przecisnąć przez dziury o połowę mniejsze od nich samych, potrafią dostać się do miejsc, których nawet nie umielibyśmy sobie wyobrazić; zaś Sammie zrobiła to już wcześniej. Za pierwszym razem stoczyła walkę, by pisać o Seeverze, i była zmuszona robić rzeczy, które jej się nie podobały, ale może to powtórzyć. To jest tuż przed nią. Dziura, przez którą musi się przecisnąć. Musi się tylko do niej dopasować.

# HOSKINS

2 grudnia 2015

Jego biuro w suterenie jest małe i ciemne. Światło fluorescencyjnych żarówek zamontowanych na suficie ma imitować to dzienne, ale jest zbyt jasne i sztuczne. Bolą go oczy i głowa. Takie żarówki można byłoby zamontować w szpitalu psychiatrycznym albo w nawiedzonym domu, ale Hoskins nie skarży się. Nawet gdyby wyraził swoje niezadowolenie, gdyby wysłał e-maila albo odręczne pismo do administracji, zostałby zignorowany. Kiedyś był złotym chłopcem, wschodzącą gwiazdą wydziału zabójstw, kimś, kto schwytał seryjnego zabójcę. A potem w mgnieniu oka stał się niczym pies gówny, został zdymisjonowany i powierzono mu zadanie zajmowania się starymi sprawami. Przegląda stare pliki, które wciąż są przechowywane w komputerze, jeden po drugim, aż jego mózg jest bliski eksplozji.

— Te stare sprawy to wciąż otwarte śledztwa — powiedział jego szef, Black. Starał się, by przesunięcie Hoskinsa na inne stanowisko wciąż wydawało się wyzwaniem, ale jego wypowiedź nie brzmiała przekonująco. — Formalnie wciąż jesteś detektywem do spraw zabójstw.

I oto Hoskins jest, gdzie jest, dwa lata po tym, jak wypadł z łask. Przekopuje się przez stare sprawy, otwiera stare brązowe teczki o wytartych brzegach i rogach, które już dawno się postrzępiły. Mruży oczy nad starymi fotografiami i rozszyfrowuje odręczne pismo detektywów, którzy odeszli na emeryturę, zanim on zaczął służbę.

26 lutego 1970: urodziwa cheerleaderka nigdy nie wróciła do domu z

meczu koszykówki w szkole średniej. Kiedy ją znaleziono następnego dnia, okazało się, że została zgwałcona i zamordowana dziesięć kilometrów od swego domu.

23 czerwca 1979: dziewiętnastolatek śpiący pod sosną w Parku Waszyngtona został zabity strzałem w głowę.

28 października 1979: w północnej części Denver znaleziono na poboczu ludzki szkielet; w okolicach brzucha i nóg wciąż tkwiły sznury, którymi skrupowano ofiarę. Koroner stwierdził, że ciało przed odnalezieniem leżało w tym miejscu przez rok. Ofiara nigdy nie została zidentyfikowana.

Gdyby Hoskins wciąż pracował w wydziale zabójstw parę pięter wyżej, prowadziłby sprawę dwóch dziewczyn znalezionych w zbiorniku. Potrafi sobie wyobrazić, jak wyglądały. Ich ciała nabrzmiały od wody, a języki stały się czarne i opuchnięte. Nie mają już oczu, bo ryby są głodne. Tego ranka Hoskins przejrzał artykuł na ten temat. Trudno było go przegapić, bo został wydrukowany na pierwszej stronie „Posta”. Pisano o tym, że dziewczyny znały Jacky’ego Seevera, że mógł on mieć partnera — kogoś pozostającego wciąż na wolności, kto znowu gwałci i zabija. Hoskins uznał to za głupotę, ale może wcale nie było to takie głupie. Czasem prawda jest dziwniejsza od fikcji. Hoskins zdaje sobie z tego sprawę, ale wie też jedno: Seever nigdy z nimi nie współpracował. Nie był samotnym wilkiem, Hoskins nigdy by go tak nie nazwał. Przypominał raczej łasicę, stworzenie, które wydaje się niegroźne, lecz potrafi rozedrzeć ci twarz, jeśli będzie miało szansę.

Artykuł przynajmniej nie był napisany przez Sammie, myśli Hoskins. Przez parę lat zdarzały się sytuacje, kiedy to wyszarpywał gazetę z błękitnej plastikowej koszulki i otwierał ją, by zobaczyć jej twarz patrzącą na niego ze zdjęcia. Małe zamazane zdjęcie, drukowane obok stopki z jej nazwiskiem, było jednak na tyle wyraźne, że wciąż był w stanie dostrzec

ostry zarys jej szczęki i sarkastyczny grymas ust. To wystarczało, by coś w środku lekko nim chwiało. Potem znowu się uspokajał. Od pewnego czasu nie widzi w gazecie zdjęcia Sammie, ale wciąż jest zdziwiony, że to nie ona pisze o tych dwóch nowych morderstwach, że to nie ona usiłuje powiązać tę sprawę z Seeverem. Zastanawia się nad tym, choć niezbyt intensywnie. Osiągnął w końcu punkt, w którym nie myśli o Sammie zbyt często i wolałby, żeby tak już zostało.

— Idę coś zjeść — mówi Ted Johnson, wsadzając głowę do pokoju zajmowanego przez Hoskinsa i wyrywając go z zamyślenia. Ted pracuje w sąsiednim pomieszczeniu. Hoskins nie jest pewny, czym dokładnie się zajmuje — robi coś związanego z komputerami, z oprogramowaniem. Techniczne sprawy, których nikt nie rozumie. Hoskins zawsze wyczuwa zapach taniej wody kolońskiej, której używa Ted. Dzieciak musi się chyba w niej kąpać. — Chcesz, żeby ci coś przynieść?

— Nie, nie trzeba — odpowiada Hoskins. — Dzięki, że pytasz.

— Wszystko w porządku?

— W porządku.

— Byłeś zupełnie cicho, to wszystko. — Ted wchodzi do pokoju i zatrzymuje się. Trzyma w ręku portfel tak, jak gdyby była to portmonetka, i Hoskins dokładnie wie, jak skomentowałyby to Loren. Ted ma chyba niewiele ponad dwadzieścia lat; nosi obcisłe jeansy i modne sportowe buty, jakie ma dziś większość dzieciaków. Gdyby mieszkał w San Francisco albo Seattle, pracowałby w jakiejś firmie komputerowej i zmieniał oblicze Internetu. Ale w Denver, w Kolorado, jest trybikiem w policyjnej maszynie, ukrytym gdzieś na dole. — Chcesz pogadać?

Hoskins przez moment jest zaskoczony, a potem zaczyna się śmiać.



Właściwie rzy ze śmiechu, bo kiedy to ostatnio ktoś poza policyjnym psychologiem spytał, czy nie chciałby porozmawiać? Z Lorenem byli partnerami przez czternaście lat, ale nie był on facetem, z którym można byłoby gadać. Jeśli chciałbyś się z nim czymś podzielić, kazałby ci wsadzić swoje uczucia w tyłek.

— Co w tym śmiesznego? — pyta Ted, marszcząc brwi, i to sprawia, że Hoskins zaczyna myśleć o tym, jak po raz pierwszy pojawił się w suterenie, a Ted mu się przedstawił. Poprosił, by mówić mu Dinky, bo tak nazywają go starsi bracia i przyjaciele. Hoskinsa to ubawiło.

„— Dlaczego Dinky? — zapytał Hoskins. — Ze wszystkich ksywek na świecie dlaczego właśnie ta?

— Oglądałeś kiedyś kino familijne? Pamiętasz tego psa, którego przywiązano do zderzaka i ciągnięto?

— Tak.

— Pewnego razu jakiś dzieciak przywiązał mnie za ręce i nogi do swojego roweru — opowiadał Ted. — Ciągnął mnie przez całą ulicę. Miałem prawie kompletnie zdartą skórę na rękach, a żużel dostał się pod skórę mojej twarzy. Lekarze musieli wyciągać go pęsetą”.

— Nic — odpowiada Hoskins, ocierając oczy. — Zaskoczyłeś mnie. Zawsze to samo gówno, tylko dni się zmieniają. Wiesz, jak to jest.

Ted kiwa głową, wciąż marszcząc brwi, ale Hoskins zdaje sobie sprawę, że Ted nie wie. Jest jeszcze dzieciakiem, młodym i niedoświadczonym, i w ogóle wie jeszcze niezbyt dużo. Ted wciąż mieszka z rodzicami i jeździ samochodem, który dostał na szesnaste urodziny, a większość wolnego czasu spędza z oczami wlepionymi w ekran swej komórki. Jest całkiem miłym młodziakiem, bystrym, pracowitym i chętnym do pomocy, ale też naiwnym.

Prawdopodobnie jest prawiczkim.

— Hej, właściwie potrzebuję jednej rzeczy — mówi Hoskins. — Czy masz dostęp do starych raportów z autopsji? Potrzebuję materiałów związanych ze sprawą Grimly’ego z dziewięćdziesiątego drugiego roku. Nie mogę ich znaleźć w tym cholernym komputerze.

— Mogę dotrzeć do wszystkiego w naszym systemie — mówi Ted. Jest podekscytowany, znalazł się na znanym sobie gruncie. — Chcesz dostać wydruki czy mam ci to przesłać e-mailem?

— Jeśli dasz mi to zapisane na dyskietce, to będzie świetnie.

Ted marszczy brwi.

— Jestem pewien, że twój komputer nie ma portu do dyskietek.

— Żartowałem.

— Och.

— E-mail wystarczy — mówi Hoskins. — Będę mógł go wydrukować w razie potrzeby. Ale to nie jest pilne. Nie spiesz się.

— Okay. Aha, przypomniałem sobie coś. Przeglądałem pliki związane z Seeverem, niezły popapraniec — mówi Ted mimochodem, ale z jego tonu można wywnioskować, że czekał na ten moment. Tak właśnie reagują ludzie, gdy zdają sobie sprawę, że to Hoskins był jednym z policjantów, którzy aresztowali Seevera. Myślą, że nie ma nic lepszego niż gadać z nim o tym. Gdyby mogli, wycisnęliby z niego każdy ponury szczegół dotyczący tej sprawy. — To bardzo interesujące, że on...

— Kto ci pozwolił to czytać? — mówi Hoskins ze złością. — To są poufne akta!

„Nie myślę już więcej o Seeverze — powiedział policyjnemu

psychoanalitykowi parę tygodni temu. — Do chwili, gdy ktoś nie przywoła jego postaci. Jak gdyby już nic więcej nie zdarzyło się na tym świecie przez ostatnie pięćdziesiąt siedem lat”.

„Okazuje się, że w przypadku wielu detektywów prowadzone przez nich sprawy mają duży wpływ na ich życie — powiedziała psychoanalityk, bawiąc się bransoletkami na nadgarstku. Wydawały metaliczny dźwięk, a Hoskins miał wtedy ochotę zgrzytać zębami. — Zwłaszcza w przypadku tak specyficznej postaci, jak Jacky Seever, to normalne, że...”

„Czy pani nie słyszała? Nie chcę o nim mówić”.

— Nikt nie dał mi pozwolenia. Ale ja wiem, że ty zajmowałeś się tą sprawą i...

— Trzymaj swój zasrany nos z dala od tych plików — mówi Hoskins. — To, że zajmowałem się tą sprawą, nie znaczy, że chcę ją rozkminiać z twoją dupą.

Ted mruga i Hoskins przez moment ma wrażenie, że chłopak się rozpłacze. Jest jeszcze młody. Przez chwilę Hoskins ma ochotę go przeproszać, ale potem rezygnuje z tego pomysłu. Lepiej, żeby dzieciak sam przemyślał pewne sprawy.

— Dobrze — odpowiada Ted. — Potem jeszcze przyjdę.

— Okay.

Ted patrzy na niego ponuro, po czym znika. Minutę później Hoskins słyszy, jak otwierają i zamykają się drzwi windy, a potem zostaje sam.

— Jak on się czuje? Ma dobry dzień?

Dzwoni do domu, żeby sprawdzić, co u ojca. Dobry stary Joe Hoskins, który przez czterdzieści lat pracował jako kierownik obsługi pięter w hotelu,

grywał we wtorki w pokera z kumplami z pracy i wiedział, jak puszczać kółka z dymu papierosowego, przeprowadził się do swego jedyne go syna na wiosnę, kiedy to obaj zdecydowali, że Joe nie może już dłużej mieszkać sam.

— Dzisiaj ma się całkiem dobrze — odpowiada opiekunka. Hoskins nie pamięta jej imienia. Jest najnowszą spośród wielu kobiet, które zatrudnił, by zajmowały się jego ojcem. Najczęściej były to emerytowane pielęgniarki, które dotrzymywały Joemu towarzystwa w trakcie dnia i pilnowały, by nie zrobił sobie krzywdy. — Na śniadanie zjadł jajka i wypił filiżankę kawy.

— Bezkofeinowej? — pyta Hoskins.

Kiedy Joe pije kawę z kofeiną, ma problemy żołądkowe i dlatego trzeba ją przed nim chować. Gdy nie widzi, zamieniają normalną kawę na bezkofeinową, wylewają większą część piwa z butelek i dolewają soku jabłkowego. Wydaje się to głupie i pracochłonne, a czasem bezsensowne, ale takie małe tricki czynią życie z Joem łatwiejszym. W ostatnich czasach stało się ono przemyślnym oszustwem.

— Tak — mówi kobieta powoli, co oznacza, że Joe musi znajdować się gdzieś w pobliżu i słuchać. Joe jest obecnie innym człowiekiem, niepodobnym do ojca, którego Hoskins znał. Czasem jest jak dziecko, infantylny i wymagający, a czasem cichy i rozzłoszczony. Rzadko bywa cwany, ale kiedy tak się zdarza, Hoskins niepokoi się najbardziej. Patrzy w oczy Joego i widzi, że coś się szykuje, że ojciec ma jakiś plan. Kiedy tak wygląda, Hoskins przypomina sobie o Seeverze z czasów, zanim został aresztowany, kiedy myślał jeszcze, że jest niepokonany i nietykalny.

„Czy słyszał pan o tej dziewczynie, która zaginęła w Springs w ubiegłym roku?”, powiedział Seever, gdy szli w kierunku miejsca, gdzie zaparkowali Hoskins i Loren. Seever trzymał papierosa pomiędzy wskazującym a środkowym palcem, tak jak to robią kobiety. „Czy ktoś ją znalazł?”

Znaleźli ją później, w korytarzu domu Seevera, ale podczas tamtej rozmowy Seever musiał mieć niezły ubaw. Istna fabryka śmiechu, jak zwykł mawiać. Był przebiegły, przebiegły jak lis, jak przekłeta łasica. Zdarzało się, że Joe wyglądał tak samo — jak gdyby miał jakiś smakowity sekret, który ukrywał. Hoskins w takich chwilach czuł zimny dreszcz strachu biegnący po kręgosłupie; to przecież jego ojciec, ale coś w nim sprawia, że Hoskins zaczyna się niepokoić. Co Joe mógłby wymyślić? Traci rozum i to nie jego wina, takie ma to swoje cholerne DNA. I to wciąż jego ojciec.

Jednakże Hoskins śpi w pokoju zamykanym na klucz.

— Czy wziął pigułki? — pyta. Te same pytania i te same telefony każdego dnia. Za parę godzin znowu zadzwoni, by się upewnić, czy Joe zjadł lunch i czy drzemie przed telewizorem. — Czy dała mu pani coś do roboty? Powinien rozwiązywać krzyżówki.

— Wiem — mówi kobieta stanowczo, a Hoskins słyszy w jej głosie zniecierpliwienie. Wkrótce zrezygnuje, myśli Hoskins, i już niedługo będzie musiał szukać kogoś nowego. Znowu nie będzie w stanie zapamiętać imienia kolejnej opiekunki. — Właśnie to robi.

— Czy ma kapcie na nogach? W domu jest zimno.

— Tak.

— Ojciec często drapie to miejsce na ramieniu. Proszę posmarować je kremem.

— Już to zrobiłam.

— Okay.

Podobnie musi być w przypadku posiadania dziecka, myśli Hoskins. Dzwonienie do opiekunki, by upewnić się, że wszystko jest w porządku, że

dziecko nie bawi się zapalkami albo nie sika w majtki. Martwienie się o wszystko. Tak jest od momentu, gdy ojciec spadł z drabiny w trakcie podcinania gałęzi drzewa na podwórku. Nie doszło do złamania kości ani uszkodzeń, nie było nawet zadrapania, ale trzeba było wykonać badanie mózgu, tak na wszelki wypadek. Doktor zarzucił ich gradem słów i wykresów, pokazał wyniki rentgena na swoim laptopie. Hoskins i Joe kiwali głowami i udawali, że rozumieją, choć nie mieli pojęcia, o co chodziło. A kiedy później ojciec poszedł do rejestracji, by umówić się na kolejną wizytę, Hoskins poprosił lekarza o wytłumaczenie wszystkiego jeszcze raz, tak żeby można to było zrozumieć.

— W mózgu pańskiego ojca odkłada się wapń — powiedział lekarz. Nie patrzył na Hoskinsa, ale na swoją komórkę, przeglądając niekończące się wiadomości. Uważał rozmowę za skończoną i chciał zająć się już czymś innym, zaś Hoskins miał ochotę wyrwać telefon z jego ręki i wyrzucić go przez okno. — Gdybyśmy nie zrobili osiowej tomografii komputerowej, nie odkrylibyśmy pewnych rzeczy na czas.

— Nie odkrylibyście czego?

Doktor popatrzył znad swojego telefonu i cmoknął. Boże, Hoskins nienawidził lekarzy i wszystkiego, co z nimi związane. Wydatków na ich porady, czasu poświęconego na wizyty, ale najbardziej nie znosił tego, że sprawiali, iż człowiek czuł się jak idiota, zbyt głupi, by zasłużyć na ich uwagę.

— Wapń wpływa na mózg pańskiego ojca — powiedział lekarz. Powoli, jak gdyby Hoskins był upośledzony. — Zaczyna zapominać pewne rzeczy, nawet to, gdzie się znajduje. Cierpi na demencję. Impulsy w jego mózgu będą coraz wolniejsze, dlatego nie będzie również w stanie się poruszać. Może to się dziać stopniowo, przez wiele lat i być słabo dostrzegalne, ale pana ojciec

ma bardzo zaawansowane stadium. Wapń odkładał się w jego mózgu od bardzo długiego czasu.

— Jezu. Co powinniśmy zrobić?

Lekarz wzruszył ramionami.

— Nie ma leku na tę przypadłość — powiedział. — Nie można nic zrobić.

— Więc mamy czekać na jego śmierć? — zapytał Hoskins, a doktor musiał usłyszeć w jego głosie złość i strach. A może wcale tego nie zauważył? Być może nasłuchiwał się tego tyle przez lata pracy, że stał się obojętny na uczucia i emocje.

— Przypuszczam, że tak — odrzekł. — Ale to samo moglibyśmy powiedzieć o wszystkich. Wszystkich nas czeka śmierć, prawda?

Jego ojciec tracił zdolność logicznego rozumowania; tracił ją powoli i stopniowo przez całe życie. Wydawało się dziwne, że choroba kryjąca się w strukturze jego DNA zdecydowała się wreszcie ujawnić. Rozwijała się od dawna i nikt tego nie zauważył, bo przecież każdy gubi klucze i zapomina zamknąć drzwiczki piecyka. Być może Joemu zdarzało się to częściej niż innym ludziom, ale skąd można wiedzieć, że był to wyraźny znak nadchodzących problemów? Hoskins zaś tracił rozum, bo był gliną, widział straszne rzeczy i wiele się wydarzyło. Policjanci wpadali we wściekłość właściwie cały czas, to jednak było kiepskim usprawiedliwieniem, taką miał pracę, nieprawdaż? Sam ją sobie wybrał i dobrze wiedział, w co się pakuje; próbował się dostać do wydziału zabójstw od momentu złożenia przysięgi i to doprowadziło go na granicę szaleństwa. Tęsknił za tą robotą, czasem chciał wrócić tak bardzo, że to aż bolało.

Albo może, myślał Hoskins, tracę rozum bez żadnej przyczyny.

Musi znaleźć sposób, by jakoś się trzymać. Wystarczy jakaś metoda, a może jest kilka ścieżek, których jeszcze nie odkrył. Nie picie — tego już próbował. Większość gliniarzy w takim czy innym momencie szuka pocieszenia w butelce, ale na niego to nie działało. Kiepski był z niego biesiadnik. Nie palił, nie sypiał z dziwkami, nie brał narkotyków ani nie uprawiał hazardu. Nie wykupił także leków, które przepisał mu departamentowy psycholog; język mu się po nich plątał, a w rękach czuł nieprzyjemne mrowienie. Nie dbał specjalnie o swe uczucia, ale raz w miesiącu wciąż chodził do psychoanalityka. Robił to trochę na pokaz, bo ludzie myślą wówczas, że jeśli chodzisz do lekarza, to robisz wszystko, by dojść do siebie — choć w jego przypadku nie do końca była to prawda.

— Unik to typowe zachowanie — powiedziała natychmiast psychoanalityczka. Nie minęło nawet dziesięć minut od momentu, gdy Hoskins wszedł do gabinetu. Zadawała rozmaite pytania jedno po drugim i zapisywała jego odpowiedzi w swoim notatniku. Trzymała go jednak tak, że Hoskins nie mógł zobaczyć, co napisała. — Nie lubi pan konfliktów, więc ich pan unika.

— Tak pani myśli?

— To interesujące, że wybrał pan pracę w policji, kiedy najwidoczniej konfrontacje wprawiają pana w złość.

— Czy mogę o coś zapytać? — powiedział Hoskins, a ona się uśmiechnęła, choć kwaśno. Hoskins wiedział już więc, że pozwoli mu mówić, ale nie jest z tego zbyt zadowolona.

— Oczywiście.

— Czy istnieje taki seksowny gadżet, jak perłowy naszyjnik? — zapytał, a ona się zarumieniła, zakłopotana, ponieważ miała na sobie prawie



niedopiętą bluzkę, zaś gruby sznur pereł zwisał nisko, przyciągając wzrok rozmówcy ku jej dekolтови. Nazywała się Angelica Jackson, ale Hoskins nie mógł przestać nazywać jej panną Jackson, jak w tej starej piosence. Panno Jackson, czy bywa pani niegrzeczna?

Żadna z tych gównianych metod nie była skuteczna i być może by zwariował, gdyby nie zaczął spacerować, kiedy zaczynał czuć, że traci rozum. Brzmiało to jak najgłupsza rzecz na tej planecie, zaś Hoskins był jak ci starszawi faceci, którzy pojawiają się na deptaku przed godzinami pracy w opasce na czole i sportowych butach — ale to działało. Była to jedyna rzecz, która przynosiła rezultaty. Nie mógłby biegać — to znaczy byłby w stanie to robić i nie raz biegał na siłowni; wskakiwał na bieżnię i ćwiczył tak, że aż gałki oczne o mało mu nie eksplodowały i nie wypłynęły z oczodołów, ale bieganie tylko pogarszało sprawę. Mózg zaczynał pracować ponadprogramowo, jak gdyby próbował nadążyć za nogami. W głowie Hoskinsa pojawiła się myśl, żeby wyjść na ulicę, chwycić kogoś — kogokolwiek — i strzelić prosto w twarz. Nie pomiędzy oczy, ale w twarz, tak żeby została z niej rozgnieciona masa. Ale gdy tylko zaczynał chodzić, wszystko stawało się lżejsze, odleglejsze i niewyraźne, jak gdyby patrzył na świat przez mgłę.

— Dlaczego pan tak bardzo się boi, że straci zdrowe zmysły? — zapytała go panna Jackson. — Co takiego miałoby się wydarzyć?

Ale to nie było właściwe pytanie, ponieważ Hoskins wiedział, co nastąpi, gdyby stracił rozum. To już się stało. Chwycił tamtą zabójczynię córki nie dlatego, że czuł jakiś moralny obowiązek dać jej nauczkę, ani dlatego, że morderstwo małej dziewczynki dotknęło go bardziej niż cokolwiek innego wcześniej. Nie, uderzył tę kobietę, bo tego chciał; chciał słyszeć jej krzyk i błagania, by przestał, chciał widzieć, jak ta kobieta krwawi. Było w tym coś

przyjemnego — czuć, jak jej ciało ugina się pod jego pięściami, a kości pękają. Hoskins ma wrażenie, że mógłby uderzać, aż kobieta by umarła. Ta myśl go przeraża, jednak jakaś część jego jestestwa uśmiecha się i radośnie zaciera ręce. Ta część osoby Hoskinsa to pozostałość po Jackym Seeverze; wepchnął ją w duszę Hoskinsa jak ziarno, które miało zakiełkować i przekształcić się w coś trującego i śmiertelnego, w biały grzyb, który rośnie tylko w ciemności.

Telefon w biurze dzwoni, gdy on zakłada już płaszcz. Hoskins wpatruje się w komórkę, bo kiedy to ostatnio ktoś się do niego odzywał? Na górze, w wydziale zabójstw, telefon dzwonił niemal bez przerwy, cały dzień i noc, ale sprawy prowadzone przez Hoskinsa od dawna są nieaktualne i każdy, kto był nimi zainteresowany, dawno już przestał telefonować. Hoskins rozważa zignorowanie telefonu i pójście do domu, ale potem zdaje sobie sprawę, że nie może tego zrobić. Jeśli nie odbierze połączenia, spędzi resztę nocy, zastanawiając się, kto chciał się z nim skontaktować. A zatem odbiera.

— Hoskins?

— Tak?

Nie rozpoznaje tego głosu, przynajmniej nie od razu. Zabiera mu to krótką chwilę, ale tylko dlatego, że minęło sporo czasu, odkąd słyszał jego głos. Jonathan Black jest wciąż teoretycznie jego szefem, ale Hoskins nie jest z nim w stałym kontakcie — nie tak, jak to było dawniej. Początkowo czuł ulgę — nie trzeba było zdawać raportów z postępów w śledztwie, ale potem Hoskins sobie uświadomił sprawę, że nie musi już mówić nikomu, co robi, bo nikogo to nie interesuje. A fakt bycia ignorowanym był niemal tak samo nieprzyjemny jak to, że czuło się oddech szefa na karku.

— Mówi Black.

— Słucham.

— Jak ci tam leci na dole?

Hoskins nie wie, co ma na to odpowiedzieć. Najprostsza odpowiedź to taka, że wszystko w porządku, wszystko jest, do cholery, wspaniale, przynajmniej dopóty, dopóki wypłata trafia na jego konto bankowe w każdy piątek, ubezpieczenie zdrowotne jest wciąż ważne, a wkłady na emeryturę równomiernie rosną. Nie ma powodu do narzekań. Potem pojawia się myśl, że nie jest tak pięknie. Siedzi w suterenie przez czterdzieści godzin w tygodniu, w pomieszczeniu bez okien i bez nadziei, zajmując się przestępstwami starszymi niż on sam. Hoskins zaczął wyjmować zdjęcia z teczek i przyklejać je do ścian swego biura; niektóre są zdjęciami ofiar z czasów, zanim zostały zamordowane. To fotografie zrobione podczas studniówek i rodzinnego grillowania, ale większość przedstawia miejsca zbrodni. Na przykład fotka kobiety leżącej na gołym materacu łóżka, bez prześcieradła i koca. Dolna część jej ciała jest naga, nogi rozłożone, a oczy zamknięte. Na innym widać czarno-białe pola porośnięte trawą oraz chwastami i ciało dziecka, leżące twarzą do ziemi. Kolejne przedstawia mężczyznę przy ścieku kanalizacyjnym. Jego błyszczące oczy są otwarte, pozornie wydawać by się mogły żywe, gdyby nie to, że w dziwny sposób poraniono jego ciało w okolicach szyi. Nóż wbito tak głęboko, że głowa jest niemal całkowicie oddzielona od ramion. Fotografie te mogłyby być oznaką, że z Hoskinsem nie jest dobrze. Ta makabryczna galeria zaczęła powstawać pięć tygodni temu; może to nienormalne, by pięć dni w tygodniu patrzeć w twarz śmierci.

— Wszystko u mnie w porządku — mówi Hoskins. — Miałem już wychodzić, szefie. Czy jest coś, w czym mogę pomóc?

— Jak sądzę, słyszałeś o dwóch ciałach pływających w zbiorniku

Chatfield?

— Tak. — Hoskins przewiesza płaszcz przez poręcz krzesła i siada. Wyciąga nogi. — Czytałem o tym dziś rano w gazecie.

— Loren mówił ci o tym, prawda? Ciągłe zdaje ci relacje.

Hoskins zaciska usta i nic nie odpowiada. Może i jest gliną, ale nie cholernym donosicielem.

— Nie musisz odpowiadać — mówi Black. — Loren nigdy nie był w stanie trzymać ust na kłódkę. Ale w tym przypadku to mnie nie obchodzi. — Jakaś część Hoskinsa jest zadowolona, słysząc, że Black nie zastępuje telefonów od Lorena, bo w gruncie rzeczy Hoskins na swój sposób je lubi i czeka na nie. Chce usłyszeć najnowsze wieści. To sprawia, że jest wciąż na czasie, ale zarazem stanowi to problem. Jest powodem, dla którego Hoskins nie potrafi ruszyć z miejsca.

— Słuchaj, dzwonię, bo znaleziono kolejną ofiarę. Wygląda na to, że to morderstwo jest w jakiś sposób powiązane z poprzednim.

— Okay. — Hoskins wie dokładnie, ku czemu zmierza Black, i ma nagłą ochotę się rozłączyć, włożyć płaszcz i wybiec z biura, szybko i zdecydowanie, udając, że nigdy nie odebrał tego telefonu.

— Wygląda to na robotę Seevera.

— Seever jest w więzieniu.

— Wiem, gdzie on jest, Hoskins. Ale teraz mamy trzy kobiety, które są w jakiś sposób z nim powiązane — i wszystkie nie żyją.

— Dlaczego dzwoni pan z tym do mnie, szefie?

— Chcę, byś zajął się tą sprawą razem z Lorenem.

— Nie.

— Wydaje mi się, że myślisz, że to prośba — mówi Black. — Wierz mi, nie jest.

— Moja odpowiedź wciąż brzmi: nie. — Hoskins wkłada kciuk do ust i zaczyna obgryzać skórki przy paznokciu. Jest to zwyczaj, który potwornie wkurzał jego ojca, i Hoskins zawsze obrywał za to po głowie, kiedy Joe go na tym przyłapywał. Ojciec twierdził, że to paskudne zachowanie.

„Boisz się, że obgryzanie skórek sprawi, że nikt mnie nie zechce na męża albo coś w tym stylu?”, zapytał kiedyś Hoskins i Joe zaśmiał się, bardziej z zaskoczenia niż z jakiegokolwiek innego powodu, i zaprzestał łajania syna. Na jakiś czas.

— Miejsce zbrodni znajduje się w Lakewood, po wschodniej stronie trasy 470 — mówi dalej Black, jakby nie słyszał odmowy Hoskinsa. — Musisz tam być w ciągu pół godziny.

— Masz wielu znakomitych detektywów na górze — odpowiada Hoskins. — Powierz im to zadanie. — Wije się jak piskorz, ale już wie, że pojedzie. Nie dlatego, że Black daje mu taki rozkaz, ale dlatego, że sam tego chce, niezależnie od tego, co mówi.

— Czy wiesz, że Loren nie był w stanie współpracować z jakimkolwiek innym partnerem, odkąd ty odszedłeś? — mówi Black. W jego głosie słychać złość, ale i rozbawienie. Hoskins wie, że bycie szefem w policji nie oznacza bycia sztywnym, jakby ktoś wetknął człowiekowi kij w tyłek. — On najwyraźniej nie wie, jak zachowywać się w stosunku do innych ludzi.

— Więc pozwól mu pracować samodzielnie. Jest dobrym detektywem. Przyskrzypił Seevera, więc i tę sprawę rozwiąże.

Black śmieje się.

— Dlaczego to robisz, dzieciaku? — pyta.

— Co robię?

— Dlaczego umniejszasz to, co udało ci się osiągnąć? Dlaczego pozwalasz, by laury zbierał tylko Loren?

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Wiesz, wiesz — odpowiada Black cicho. — Możesz myśleć, że wyprowadzisz wszystkich w pole, ale się mylisz.

— Loren jest dobrym detektywem.

— Już to od ciebie słyszałem — mówi Black. — Ale ty też jesteś dobry. I byłbyś lepszy na górze, obaj to wiemy. Z Lorenem.

— Powiedz mi coś więcej — mówi Hoskins, tylko na wpół żartując. — Pochlebstwami możesz osiągnąć wszystko.

— Naprawdę chcesz mi to zrobić? — pyta Black. — Może chcesz, żebym zrobił ci laskę, co?

— Widziałem już wszystkie penisy, jakie miałeś w swoich rękach. Nie chcę twoich łapsk przy moim fiucie, dzięki. To byłoby jak ostrzenie go temperówką.

— Słuchaj, bardzo mi przykro, że musiałem cię przenieść do sutereny, ale to był jedyny sposób, by nie wyrzucać cię z roboty po aferze, którą nakręciłeś — mówi Black. — Tego chcesz? Przeprosin?

— Niczego nie chcę.

— Jesteś najlepszym pieprzonym detektywem, jakiego kiedykolwiek miałem w swoim zespole — mówi Black szybko i cicho, jak gdyby nie chciał, by ktoś inny usłyszał jego słowa. — Potrzebuję cię w tym śledztwie z

Lorenem. On ma już paru podejrzanych, a ja chcę aresztować winnego. Wszystkie luźno powiązane ze sobą tropy wkrótce splecą się w jeden. Nikt nie poprowadzi sprawy tak dobrze jak ty.

— To jest...

— Słuchaj, ten artykuł opublikowany dzisiaj rano w „Poście” przeraził wielu ludzi. Prosiłem ich, żeby załagodzili sprawę, dali nam trochę czasu na działanie, zanim zaczną burzę prasową, ale wiesz, jaki jest sposób działania reporterów. Wywołają tylko panikę w mieście. Jeśli ludzie zaczną myśleć, że istnieje „Seever junior”, doprowadzi to do wielu incydentów. Pamiętasz, jak to było wcześniej.

Hoskins zamyka oczy. Pamięta tygodnie przed aresztowaniem Seevera, kiedy miasto niemal oszalało. Wszyscy się bali, ludzie patrzyli na siebie nieufnie. Odnotowano rekordową sprzedaż broni. Można było zostać zastrzelonym przez przerażonego członka rodziny tylko dlatego, że ktoś wychodził w nocy do toalety i nie zapalił światła. Ludzie zachowywali się tak, jakby w mieście pojawił się Kuba Rozpruwacz; wszyscy czekali na wiadomość o kolejnym zaginięciu, spodziewając się, że za rogiem natkną się na szczerzącego zębami potwora z nożem. Nikt nie przypuszczał, że może nim być Seever Klown, siedzący za kółkiem swego niemieckiego auta w kostiumie przebierańca.

— A to jest ostatnia ofiara, Carrie Simms — mówi szybko Black, jak gdyby zależało mu, by prędko wypowiedzieć te słowa, by pozbyć się fatalnego smaku w ustach.

— Carrie Simms — Hoskins czuje, jak serce gwałtownie podchodzi mu do gardła, po czym zamiera.

— Simms, Hoskins. Dziewczyna, która uciekła Seeverowi.

— Wiem, kim ona jest. Jesteś pewien, że to nie było samobójstwo? — pyta Hoskins. To jedyne, co przychodzi mu do głowy; kobiety takie jak Carrie Simms czasami nie dają rady wyjść z traumy, a jej i tak już wykrzywiono psychikę, zanim porwał ją Seever. Czekać z decyzją o samobójstwie przez siedem lat to co prawda długo, ale nigdy nie wiadomo, co ludzie zrobią i kiedy urzeczywistnią swoje plany. Czasami człowiek jest jak tykająca bomba, która wybuchą dopiero po pewnym czasie.

— To nie było samobójstwo.

— Kurwa.

— Tak jak powiedziałem, prześlę ci adres miejsca sms-em — mówi Black. — Loren już tam jest.

— Okay.

— Chyba nie myślałeś, że pozwolę ci gnić w suterenie przez następnych dwadzieścia lat? — dodaje Black. — Chyba nie przyszło ci do głowy, że utkniesz tam na zawsze?



# GLORIA

W jej ogródku rośnie niewielkie, karłowate drzewko brzoskwiniowe. Nigdy nie urodziło owoców, bo klimat w Denver nie jest ku temu odpowiedni — lata są zbyt krótkie i nigdy nie jest dość ciepło, a zimy trwają stanowczo za długo. Ziemia jest piaszczysta i skalista. Gloria nie raz zastanawiała się, kto posadził to drzewko, kto miał tyle nadziei, żeby przeglądać katalog Burpee, przesuwał palcem po śliskich stronach, by wreszcie zatrzymać się na drzewku brzoskwiniowym. Zapewne wyobrażał sobie smak owoców, sok wypływający z miąższu przy pierwszym ugryzieniu, a następnie spływający po ręce aż do łokcia. A potem roślinę przysłano w brązowym pudełku. Korzenie obwiązano juchtowym workiem i drzewko posadzono w ogródku, w najbardziej nasłonecznionym miejscu. Każdego roku rośło jednak tylko troszeczkę, wykręcając się i gnąc niczym stary człowiek, a cienkie gałązki nigdy nie zakwitły. Ale drzewko wciąż rośnie, doskonale widoczne z okien jadalni. Wiatr porusza jego nagimi gałązkami. Gloria zastanawiała się nad wycięciem go i wylaniem w tym miejscu betonu, by można było stawiać tam latem jakieś ładne ogrodowe mebelki, ale nie wygląda na to, by miała ten zamiar urzeczywistnić. Nie chodzi o to, że nie ma na to czasu — po prostu zapomina o drzewku i nie myśli o nim aż do chwili takiej jak ta, gdy zimno wkrada się do domu przez szpary w oknach, a szczyty gór pokryte są śniegiem.

Mieszka w tym domu od siedmiu lat, przemykając po nim niczym myszka, mając nadzieję, że nikt z sąsiadów jej nie rozpozna i nie powiąże z wydarzeniami z przeszłości. Jak dotąd miała szczęście. Łatwiej byłoby przenieść się do innego miasta, gdzie Jacky był tylko postacią z wydarzeń

opisywanych w gazecie, gdzie ludzie nie oskarżaliby jej o bycie czarną damą — fałszywą i nikczemną. Gloria próbowała się wyprowadzić, po aresztowaniu Jacky’ego wynajęła dom w Kalifornii i samochodem z przyczepą podążyła za przeprowadzkową półciężarówką. Jechali przez góry i pustynię do tej części Kalifornii, która była tak zielona, że Glorię aż bolały oczy. Wynajęty dom miał na tyłach basen w kształcie fasolki. Po ogrodzeniu pięły się krzewy, które zakwitały chmurami różowych kwiatów. Wszystko to było urocze i zarazem normalne. Nikt jej tutaj nie rozpoznawał; ani razu nie słyszała, by ktoś wspominał o Jackym — choć jego sprawa była głośna w całym kraju. Czasami natykała się na jakieś informacje, nawet wiele mil od Denver, ale tutaj nie było tak źle, a Kalifornia miała tysiące własnych problemów.

Idąc w dół ulicy, przy której stał jej dom, dochodziło się do szkoły podstawowej. Popołudniami Gloria spacerowała wzdłuż zabezpieczonego łańcuchami ogrodzenia i obserwowała bawiące się, krzyczące, podskakujące i bijące się dzieciaki. Ich wrzaski przyprawiały ją o ból głowy, ale i tak tamtędy spacerowała, bo wszystko to przypominało jej Jacky’ego, który zawsze tak lubił dzieci, zwłaszcza te malutkie, podczas gdy ona nie bardzo miała do nich podejście. Wciąż pamiętała to Boże Narodzenie, gdy Jacky przebrał się za Świętego Mikołaja i obchodził wszystkich gości, dźwigając worek pełen słodczy oraz zabawek. Dzieciaki piszczwały na jego widok, czasem ze strachu, ale nawet wówczas nie chciały opuścić pokoju. A potem pojawiła się Gloria przebrana za Panią Mikołajową, lecz tylko dlatego, że nalegał na to Jacky. Kiedy wbił sobie do głowy jakiś pomysł, nie było sensu się z nim o to spierać, bo nigdy by nie ustąpił. A potem, kiedy stał pod prysznicem, fałszywie śpiewając kolędy tenorem, Gloria zaczęła przeglądać wykonane polaroidem zdjęcia. Były trochę nieudane, bo wszyscy widoczni na nich rodzice akurat się poruszali. Gloria zauważyła, że o ile Jacky na

każdym z nich niczym dziecko wyszczerzał zęby w uśmiechu, jej usta były tak mocno zaciśnięte, że z trudem łapała powietrze. Na tym polegała różnica między nią a Jackym. On zawsze starał się być dobrym wujaszkiem, uszczęśliwiającym ludzi. Oczywiście ona też chciała, by ludzie byli szczęśliwi, ale brakowało jej entuzjazmu, który miał jej mąż.

Po pięciu tygodniach w Kalifornii zdecydowała się wrócić do Denver. Kalifornia to było dla niej za dużo — pod każdym względem. Sklepy były nadmiernie zatłoczone, a kolejki do dystrybutora paliwa za długie. Słońce świeciło zbyt jasno. Było za ciepło, a tymczasem pół szafy Glorii wypełniały zimowe ubrania. Wszędzie, gdzie spojrzała, przewijały się setki różnych osób — mówiący głośno po hiszpańsku mężczyźni, drobne kobiety o czarnych włosach i skośnych oczach oraz mnóstwo Murzynów, więcej niż Gloria widziała przez całe swoje życie. Czarni grali w koszykówkę na ulicach, zaplatali sobie wzajemnie warkoczyki i głośno rechotali, a ich śmiech odbijał się od ścian i powracał echem. Naprzeciwko jej domu mieszkała para homoseksualistów — dwóch czarnych mężczyzn, którzy byli bardzo uprzejmi, ale Gloria nie umiała rozmawiać z nimi nawet o pogodzie bez zastanawiania się, co robią ze sobą w łóżku, jak sprawiają sobie przyjemność. Wychodząc z domu, zachowywała się bardzo ostrożnie, nie chcąc być wciągnięta w przedłużającą się pogawędkę przy skrzynce na listy.

A poza tym Denver było jej domem. Tam się urodziła i mieszkała przez całe życie. Nie zdawała sobie sprawy, że jakieś miejsce może być częścią człowieka, aż do momentu, gdy znalazła się w Kalifornii. Tu wszystko było nie tak, nawet nierówno położone cegły — i to wystarczyło, by Gloria poczuła się nieszczęśliwa.

No i wciąż chciała być blisko Jacky'ego.

Tak więc wróciła. Za spadek po matce kupiła dom w rejonie Whittier. W

tej okolicy sąsiedzi nie bardzo interesowali się, kim jesteś, byleby tylko nie sprawiać kłopotów. Tu każdy pilnował swoich spraw. Jej dom znajdował się względnie blisko restauracji, które kiedyś prowadzili. Pierwszą z nich otworzył jeszcze jej ojciec, ale nie należały już do nich, ani nawet tylko do Glorii, bo sprzedano je, by opłacić prawników i pokryć wszystkie inne wydatki związane ze sprawą Jacky'ego. Gloria nieczęsto opuszcza dom i, jeśli to tylko możliwe, stara się nie przejeżdżać obok ich dawnych restauracji. Nie chce widzieć czegoś, co kiedyś do niej należało, ale już nigdy nie będzie jej. Zostaje więc w domu i patrzy na drzewko brzoskwińowe, które walczy o przetrwanie podczas zimnych dni.

Gloria odwiedza Jacky'ego raz w tygodniu. Widzą się przez małe okienko w środowe poranki. Gloria musi wcześniej wstać, by dotrzeć do Sterling na czas. To długa droga. Przez jakiś czas w trakcie jazdy próbowała słuchać audiobooków, ale jej myśli wędrowały gdzie indziej. Okazywało się, że odtworzona została połowa książki, a Gloria nie miała pojęcia, o co w niej chodziło. Zaczęła słuchać różnych rodzajów muzyki, a potem już niczego, bo przestało to mieć znaczenie. Docierał do niej tylko świst wiatru, gdy jej samochód mknął po autostradzie.

— Jak to możliwe, że wciąż ci na nim zależy? — zapytała ją przyjaciółka niedługo po tym, jak Jacky został aresztowany. W tym czasie ich dom został już zburzony, a Gloria mieszkała u matki w małym mieszkanku, które matka wynajmowała po śmierci ojca. — Nie musisz już więcej się z nim zadawać. Złóż pozew o rozwód.

— Nie chcę o tym mówić — odpowiedziała Gloria. Miała dosyć telefonów i porad, jakie dawały jej kobiety, które ledwo znała. Chodziła z nimi do kościoła, na zakupy, wymieniała się przepisami i plotkowała, lecz one jej nie znały i nie rozumiały jej małżeństwa.

— To potwór, Glorio. Mógł cię zamordować podczas snu. Pomyślałaś o tym kiedykolwiek?

Gloria odłożyła słuchawkę telefonu na widełki. Kiedy telefon znowu się odezwał, zignorowała go. Wyłączyła na stałe automatyczną sekretarkę i prędzej czy później każdy, słysząc niekończący się sygnał, zniechęcał się i rozłączał.

— Napiłabym się herbaty — powiedziała wtedy jej matka. Siedziała na fotelu, którzy rzadko opuszczała.

Prawie rok później Gloria znalazła ją właśnie tam z głową dziwnie przekrzywioną na jedną stronę i ustami wygiętymi w okrutnym grymasie. Zmarła w nocy na skutek wylewu. Matka słowem nie wspomniała o Jackym od momentu jego aresztowania, nigdy nie zadawała pytań ani nie próbowała inicjować rozmowy. Gloria sądziła, że to dlatego, iż jej matka ją rozumiała. Jej rodzice byli małżeństwem przez pięćdziesiąt dwa lata, a potem ojciec zmarł. Zdaniem Glorii matka dobrze wiedziała, przez co ona przechodziła, bo ojciec był trudnym człowiekiem. Potrafił być wyjątkowo wredny, ale kiedy jesteś zamężna, starasz się, by związek jakoś funkcjonował i radzisz sobie z tym, co się dzieje, najlepiej jak potrafisz. To tak jak w starej piosence country „Trwaj przy swoim mężczyźnie”, tak to leciało, choć w obecnych czasach sytuacja już tak nie wygląda. Ludzie odchodzą i występują o rozwód przy pierwszych oznakach małżeńskiego kryzysu, ale Gloria nie była wychowywana w ten sposób. Złożyła przysięgę i miała zamiar jej dotrzymać.

— Jest obniżka cen na dynie — mówi Gloria. — Muszę jutro pójść do tego sklepu i kupić kilka, zanim znikną ze sprzedaży.

— Jakie dynie?

— Makaronowe i szparagowe — Gloria milknie. — Naprzeciwno

wprowadzili się w ubiegłym tygodniu jacyś studenci z college'u. Robią imprezy każdej nocy i nie mogę przez to spać.

— Dlaczego nie wezwałaś policji?

Gloria krzywi się i skubie nitkę, która wystaje u dołu jej bluzki.

— Nie jest tak źle — odpowiada. Oczywiście Jacky nie wie, że ktoś włamał się do jej domu parę miesięcy temu i ukradł wszystkie cenne rzeczy. Jej telewizor, telefon, nawet radio z budzikiem. A także obrazy, które Jacky namalował w więzieniu. Gloria przywoziła je do domu raz w tygodniu i składowała w garażu, ale je również skradziono. Zawiadomiła policję i przyjechało dwóch gliniarzy. Zaśmiali się, gdy usłyszeli, kim ona jest, a potem sobie poszli. Nie zrobili nawet notatek i nie potraktowali jej poważnie. Wiedziała, że już nigdy nie zobaczy żadnej ze skradzionych rzeczy. — Myślę, że policja jest zajęta ważniejszymi sprawami niż moje głupie skargi.

Tak właśnie wygląda jej spotkanie z Jackym w każdą środę — godzina nudnej rozmowy o niczym. O zakupach w sklepie spożywczym, które zrobiła wczoraj, o telewizyjnym show, które oboje oglądali. Jacky opowiada jej, co serwują w stołówce i o facecie, który siedzi w celi dwa piętra niżej, ale tydzień temu dostał ataku serca i jeszcze nie wrócił z więziennego szpitala. Dokładnie tak samo rozmawiali ze sobą, gdy Jacky jeszcze nie był w więzieniu. Zwykle małżeńskie rozmowy. Cały tydzień z życia obojga zamknięty w sześćdziesięciu minutach konwersacji, prowadzonej przez słuchawki telefonu starego typu. Patrzyli na siebie przez kuloodporną szybę. Jest to jedyny sposób, w jaki Jacky może się kontaktować z odwiedzającymi go osobami; strażnicy sądzą, że mógłby zrobić Glorii krzywdę, gdyby miał ku temu okazję. Trzymają go pod specjalnym nadzorem.

Gloria wciąż ma na palcu ślubną obrączkę. Jacky nie może jej nosić.

— Byłaś w którejś z restauracji? — mówi. Co tydzień zadaje to samo pytanie, ale Gloria to rozumie. Restauracje były ważną częścią jego życia przez bardzo długi czas — posiadanie i zarządzanie półtuzinem przynoszących zysk interesów to niemałe osiągnięcie — więc Gloria stara się być delikatna. Tym razem chce zignorować pytanie, udając, że w ogóle go nie słyszała. — Czy są czyste? Zmieniono menu?

— Namalowałaś jakieś obrazy? — pyta Gloria. Jacky mruga. To on był zawsze tym bardziej gadatliwym w ich związku, on dominował w rozmowie. Wiele lat temu byli na obiedzie i spotkali parę znajomych. Jacky przedstawił swoją żonę, a potem Gloria odpłynęła w cień. Ale wszystko się zmieniło i teraz to ona kieruje statkiem, przeskakując z jednego tematu na drugi, zadając pytania i zmuszając Jacky’ego do rozmowy. On cierpi na ciężką depresję — tak powiedział więzienny psycholog. Ma problemy z sercem i wagą. Bierze różne zestawy leków, które się zmieniają. Czasem Jacky źle po nich wygląda. Sprawia wrażenie zagubionego. Gloria musi umiejętnie kierować rozmową, inaczej Jacky siedziałby bez ruchu, opowiadając wciąż te same rzeczy. — Czy mam wziąć jakieś ze sobą?

— Tak.

— Ile namalowałaś w tym tygodniu?

— Cztery, jak sędzę — Jacky milknie. — Potrzebuję farb.

— Jakich kolorów?

— Głównie czerwonego.

Malarstwo zaczęło być rodzajem terapii, bo Jacky musiał zająć się czymś za kratami. Ponieważ nigdy specjalnie nie lubił czytać ani uprawiać sportu, Gloria przyniosła mu węgiel, papier, farby i gąbki — Jacky’emu nie pozwolono używać pędzli, bo były zbyt ostre i mogły posłużyć jako broń.

Obawiała się, że jej pomysł może okazać się zupełną porażką, ale warto było spróbować, bo Jacky nie mógł w żaden sposób dojść do siebie. Przez pierwszych sześć miesięcy jego pobytu w Sterling Gloria żyła w strachu, że dostanie telefon z więzienia z informacją, że Jacky powiesił się albo utopił w więziennej toalecie. Zdaniem niektórych tak byłoby lepiej — Bóg wie, ilu ludzi tańczyłoby z radości na ulicach i odpalało fajerwerki, gdyby Jacky Seever zmarł. Ale on był jej mężem, a ona go kochała. Wciąż troszczyła się o niego, wciąż wchodziła w domach handlowych do działów z męską odzieżą, wybierała bieliznę i skarpetki, choć Jacky już ich nie potrzebował, bo we wszystko zaopatrywało go więzienie. To było jej stare przyzwyczajenie, ale tym właśnie jest małżeństwo. Przyzwyczajeniem.

— Czerwony? Czarny też?

— Nie wiem. Może.

— Dobrze.

Cała ta sprawa z malowaniem była tylko pomysłem, ale ten akurat okazał się skuteczny. Jacky okazał się całkiem dobry w tego rodzaju twórczości i miał oko do detali. Istniał rynek obrazów malowanych przez ludzi takich jak on, szczególnie niebezpiecznych, a Gloria znalazła w północnym Denver handlarza sztuką, który specjalizował się w tego typu transakcjach. Co prawda sprzedawała mu obrazy tylko od czasu do czasu — wtedy, gdy potrzebowała pieniędzy — bo handlowanie nimi było jak przyznanie, że Jacky był winny. Było to niczym obwieszczenie całemu światu, że to wszystko prawda, że Jacky zabijał, bo to uwielbiał i że pokazuje to również przez swą sztukę, zaś Gloria wcale o to nie dba. Obrazy były okropne, ale stały się jednocześnie wybawieniem, bo oto znowu miała pieniądze. Nie musiała już zastanawiać się całymi dniami, z czego będzie żyła, gdy skończą się pieniądze ze spadku po matce.



Kontynuowała współpracę z handlarzem sztuką do czasu, gdy pozostałe obrazy skradziono z jej domu. On wciąż niekiedy dzwoni i pyta, czy Gloria ma coś nowego, ale telefony te są bardzo rzadkie. Ludzie stracili zainteresowanie Jackym; w ciągu ostatnich siedmiu lat zdążyli już zainteresować się kimś lub czymś innym. „Potrzebujemy tego, by ktoś powiązany z pani mężem został zamordowany”, powiedział jej handlarz pewnego razu, a Gloria zaśmiała się z tego, choć wspomnienie tego śmiechu budziło ją przez kilka nocy z rzędu. „To by ożywiło interes i pozwoliło zarobić pani trochę pieniędzy”.

To, co mówił, było straszne, ale także prawdziwe, jak większa część okropnych rzeczy. Ludzie umierali każdego dnia, a jeśli zdarzyłoby się, że taka osoba byłaby powiązana z Jackym, cóż... To była koszmarna myśl. W ten sposób jednak można byłoby sprzedać obrazy, nawet te przedstawiające kwiaty, góry, miski z owocami czy różnokolorowe bryły, bo to właśnie ostatnio malował Jacky. Toteż Gloria zatrzymuje się przy portierni za każdym razem, gdy opuszcza więzienie. Czeka tam na nią noszący sztuczną szczękę strażnik, który wręcza jej zapakowane płótna, gotowy załadować je do bagażnika jej samochodu. Gloria ma ochotę powiedzieć mu, by je wyrzucił, bo nie potrzebuje więcej śmieci w swoim domu. Ale tego nie robi. Zabiera je za każdym razem. Kolejne stare przyzwyczajenie, które nie zaniknie.

Po wizycie u Jacky’ego Gloria jedzie prosto do domu. Rezygnuje z zakupu dyń. Nie ma na to nastroju. Powieki jej ciężą, a nogi bolą. Rozpakowuje obrazy. Pięć kwadratowych płócien przedstawia krajobrazy. Płaskie szare podłoże i falujące niebo pełne kolorów. Pomarańcze i czerwienie zostały ze sobą zmieszane, istne szaleństwo. Gloria myśli, że obrazy przedstawiają to, co widać z okna celi Jacky’ego — wąski pasek realnego świata, który wciąż jeszcze może zobaczyć.

Obrazy kończą w garażu, gdzie osadza się na nich kurz.

— Pani jest żoną Seevera.

Następnego ranka Gloria jedzie do supermarketu, choć nie jest to jej zwyczajowy dzień robienia zakupów. Ale co innego ma do roboty? Stuka w dynię, podnosi ją i wącha. Nie wie, jak poznać, która jest dojrzała i czy to ma znaczenie. Kobieta, która ją mija, zaczepia ją przypadkowo. Jest młoda i wygląda zwyczajnie — niezbyt ładna, nie ma sińców pod oczami czy przebarwień na ramionach.

— Gloria, prawda?

— Tak — odpowiada Gloria bez zastanowienia. Prawnik Jacky'ego zasugerował, że powinna zmienić dane, ale ona nigdy się na to nie zdecydowała, co teraz wydaje się głupim pomysłem.

— Jak pani mogła? — pyta kobieta, a Gloria dokładnie wie, co ta ma na myśli. Takie pytanie słyszała już wcześniej, wiele razy w ostatnich latach.

— Nigdy nic nie zrobiłam — mówi powoli. To jej zwyczajowa odpowiedź, zawsze taka sama. — Nie wiedziałam, co się dzieje.

— Jesteś równie winna jak on — oświadcza kobieta, zaś jej dziecko zaczyna piszczeć w wózku i młócić rączkami. — Powinnaś być tam z nim, gdy dostanie zastrzyk. Oto, na co zasługujesz.

Dziecko nagle zaczyna płakać i rzuca butelkę na ziemię, a ta zaczyna się toczyć po podłodze. Gloria schyla się po nią, a na twarzy czuje gorąco. To nic nowego, zaczepiano ją tak już wiele razy i zawsze słyszała podobne słowa. Ale to nie jest coś, do czego można się przyzwyczać. Nawet za milion lat.

— Proszę. Pani dziecko to upuściło — mówi, podając młodej kobiecie

butelkę, ale ona się odsuwa. Na jej twarzy maluje się przerażenie, tak jakby Gloria podawała jej gnój zamiast prezentu. Kobieta szybko się oddala, a Gloria zostaje z butelką w ręku, czując, że mleko w niej jest wciąż ciepłe.

Tego dnia Gloria przygotowuje na obiad stek z rusztu, choć nie lubi czerwonego mięsa, a całą dzisiejszą noc będzie cierpieć na zgagę. Steki popija piwem, choć wolałaby wino, zaś na deser zjada miseczkę lodów. Tak bowiem jadał Jacky. Gloria wciąż śpi po lewej stronie łóżka. Pod umywalką w łazience trzyma trzy rolki papieru toaletowego, ustawione w piramidkę, bo tak robił Jacky. Nie ma takiej części jej świata, która by się wokół niego nie kręciła. Musiał być taki okres w jej życiu, gdy należała sama do siebie, gdy cała jej osoba nie ograniczała się do bycia żoną Jacky'ego Seevera, ale ona tych czasów nie pamięta. Nie funkcjonuje już jako odrębna osoba. Po aresztowaniu Jacky'ego ludzie pytali ją, czy wiedziała, jak mogła nie zdawać sobie sprawy z tego, co robił jej mąż, i traktowali ją jako współwinną zbrodni, nawet jeśli była to zbrodnia ignorancji. To właśnie robi z człowiekiem małżeństwo. Łączy dwoje ludzi na zawsze, aż do śmierci, a nawet dłużej.

# SAMMIE

Kłamstwa, które regularnie opowiada Sammie:

Chce mieć dzieci.

Jest zadowolona, że nie pracuje już w gazecie, bo to zajęcie było zbyt stresujące.

Rozważa powrót do szkoły.

Nigdy nie jada deserów.

Zawsze bierze witaminy.

— Czujesz się dobrze? — pyta ją jedna z dziewczyn. Sammie powinna była podczas przerwy na lunch wypić kawę albo coś zawierającego kofeinę, bo to istotna sprawa w jej pracy. Jeśli jesteś chora, musisz to ukryć i wyglądać promiennie. Nie możesz sprzedawać kosmetyków, jeśli się źle prezentujesz.

— Wszystko w porządku. — Kłamstwo.

— Jesteś pewna?

— Jestem po prostu zmęczona.

To prawda, choć Sammie wie, że wszyscy będą myśleli, iż ma początki grypy. Panuje bowiem zima, a ona pracuje w sprzedaży detalicznej. Tu nikt nie używa odpowiednio często środków do dezynfekcji rąk i nie kicha w łokieć, tak jak się to powinno robić. Jest zmęczona, mimo że poszła spać wcześniej i spała jak suseł. I choć prawda nie jest wystarczająco dobrym usprawiedliwieniem, Sammie nie ma innego.

— Nie wyspałaś się?

— Nie wiem. — Sammie spogląda na swe dłonie. Paznokciec na kciuku pękł od góry do dołu, powodując ból i opuchliznę, ale Sammie nie potrafi przestać przy nim majstrować. Chciałaby, żeby dziewczyna się zamknęła, bo w jej myślach panuje chaos i nie umie go opanować. Marzy o tym, by być już w domu i przeglądać pliki związane z Seeverem, zastanawiając się, o czym napisać.

— W domu wszystko jest w porządku?

— Tak, wszystko dobrze. — Tak to jest, gdy pracuje się z kobietami. Nigdy nie potrafią zamilknąć. Nie potrafią przestać zadawać pytań. Chcą wiedzieć, jak leci, czy jesteś zła, czy nie zrobiły czegoś źle. A jeśli pojawia się powód do plotek, coś, czego można użyć przeciwko tobie, wykorzystają to. To tak jak dotykanie węża. Nigdy nie wiesz, kiedy paskudne stworzenie zwróci się ku tobie, zatopi kły w twojej dłoni i będzie patrzeć, jak umierasz.

— Nie jesteś chora? Mam przy sobie witaminę C. Do ssania.

— Dziękuję, nic mi nie jest.

Sammie wkłada do ust kawałek gumy do żucia, odwraca się i wraca na piętro. W sklepie panuje teraz ruch; jeszcze przed otwarciem ustawiła się kolejka oczekujących. Nie ma nic gorszego, myśli Sammie, niż klienci detaliczni, którzy są rozgorączkowani i źli podczas robienia zakupów. Jest w tym coś krępującego, niegrzecznego, zaś Sammie nie może znieść widoku ludzi, którzy napływają falą, oszołomieni i podekscytowani. Dziś panuje większy ruch niż zazwyczaj, ponieważ wprowadzono do sprzedaży nową linię produktów — cienie do powiek, szminki i róże do policzków w limitowanej edycji — co doprowadziło tłum do szaleństwa, ponieważ wszyscy chcą tego, czego nie mogą mieć.

— Chciałabym to wypróbować — mówi jedna z klientek, siadając na stołku Sammie. Ma na sobie ubrania firmy Crocs i pcha dziecięcy wózek. Siedzące w nim dziecko jest czerwone, złe i głośno płacze. Kobieta pokazuje na jasnoniebieski cień do powiek, jeden z tych, które kupi i pewnie nigdy nie użyje. — Czy ten kolor byłby dobry do biura?

Niektóre kobiety definiują się poprzez mężów, inne przez dzieci, ale Sammie zawsze myślała, że ją definiuje praca i słowa, które posyła w świat. Sprawa Seevera wyniosła ją na szczyty, reporterzy z całego kraju dzwonili do niej, chcąc uszczknąć dla siebie co nieco z jej sukcesu. W tamtym czasie Sammie mogła dostać się wszędzie, mogła przyjąć jedną z ofert gazet z Filadelfii albo Nowego Jorku, ale została ze względu na poczucie lojalności wobec „Posta”. Denver było jej rodzinnym miastem, nawet jeśli się w nim nie urodziła; to w Denver chciała mieszkać. Jednak zamiast awansować, znalazła się tu, w tym miejscu, obsługując jedną kobietę po drugiej. Ich twarze zaczęły się jej zlewać i zdarzało się, że kiedy rozejrzała się po sklepie, nie była pewna, czy kiedykolwiek już rozmawiała z daną klientką.

— Jakich kosmetyków pani używa? — pyta następna klientka. — Jest pani taka ładna. Jaką ma pani szminkę?

— To ta tutaj, jedna z moich ulubionych — odpowiada Sammie, biorąc pomadkę do ręki. — Spróbujmy ją nałożyć. Nazywa się Liar.

Dzięki Seeverowi zrobiła karierę i teraz może być tak samo. Ponowny wzlot. Sammie wciąż myśli o Seeverze, wciąż przegląda album z wycinkami prasowymi na jego temat, który kiedyś zrobiła. Pod zamazanym zdjęciem prasowym ciągle widnieje jej imię, drukowane pogrubioną czcionką. W domu Seevera znaleziono trzydzieści jeden ofiar. Dwadzieścia sześć z nich było kobietami. Seever preferował kobiety, choć nie przeszkadzało mu brać to, co się napatoczy.

— Nie ma pani czegoś mocno kryjącego? Ta blizna jest wciąż widoczna.

— Nic nie widzę.

— Jest tutaj. Dokładnie — tutaj. Nie patrzy pani z wystarczająco bliska.

Nie wszystkie ofiary zidentyfikowano, nawet po upływie siedmiu lat. Osiem osób pochowano w bezimiennych grobach. Nikt po nich nie płakał. Policja jedynie domniemywała, kim mogą być, bo ofiary Seevera były nie tylko z Denver, zaś wielu zaginięć w ogóle nie zgłaszano. Byli to bezdomni, prostytutki albo ludzie, o których nikt nie dbał. Kiedy zniknęli, tak już zostawało. A Seever wciąż się przemieszczał, podróżując w sprawach służbowych, zaś przemierzanych przez niego tras nie sposób było prześledzić. Jeździł bardzo długo, jeszcze zanim wynaleziono telefony komórkowe i karty kredytowe i zanim na prawie każdym budynku pojawiły się kamery. Seever był niczym duch.

— Nigdy nie używałam szminki w takim kolorze. Na pani wygląda ładnie, ale ja jestem matką. Pani rozumie, prawda?

Sammie przeprowadziła wywiady z większością rodzin ofiar, wchodziła do ich domów, siedziała przy rodzinnych stołach i piła kawę. Pokazywano jej albumy ze zdjęciami i stare wypchane zwierzęta. Krewni ofiar płakali, a ona poklepywała ich po plecach i dawała chusteczki. Ludzie chcieli dzielić się swoim bólem, a ona chętnie to przyjmowała i przyoblekała w słowa. Odwiedzała rodziny, oglądała zdjęcia zmarłych, wdychała zapach szlamu, który pokrywał ich ciała leżące w korytarzu z węzłami sanitarnymi. Doświadczenia te były niczym nitki, które Sammie splatała i mocno nimi pociągła, nakładając jedną na drugą, aż ten splot stawał się jej historiami.

— Miałam okropny ranek — mówi jakaś kobieta. Ma twarde spojrzenie i zaciśnięte usta. — Nie chcę, by ktoś wiedział, że coś jest nie tak. Chcę, żeby

pani sprawiła, bym dobrze wyglądała.

To nic, myśli Sammie. Te kobiety i ich małe problemy, ich niedoskonałości, które chciały ukryć, ich poczucie zagubienia. Nie wiedziały, czym jest prawdziwe cierpienie. Zapominały swoich zniżkowych kuponów albo nie wiedziały, co zrobić na obiad, albo nie podobały im się własne fryzury. Mówią Sammie o tym wszystkim, bo chcą, by kogoś to obchodziło, ale Sammie nie potrafi znaleźć w sobie zainteresowania, nie po tym wszystkim, co widziała.

— Mój były mąż nie zostawi mnie w spokoju — opowiada jedna z klientek. — Chce znowu się ze mną pieprzyć. Jeszcze raz, mówi. To wszystko, czego chce.

Sammie musi pomówić z Hoskinsem. To od kontaktu z nim wszystko się zaczęło. Spotkawszy go, Sammie wkroczyła na ścieżkę, która poprowadziła ją dalej. Nie rozmawiali od prawie siedmiu lat. Sammie równocześnie i nie chce, i chce go widzieć. Targają nią dwa sprzeczne uczucia. Ale jeśli informacje Webera są prawdziwe i dwie kobiety wyciągnięte ze zbiornika są w jakiś sposób powiązane z Seeverem, Hoskins na pewno będzie o tym wiedział. Będzie dokładnie wiedział, co się dzieje.

— Taka cena? Za jedną szminkę? Pani żartuje?

— Przepraszam — mówi Sammie. — Zaraz wracam.

Idzie do łazienki, staje przy umywalce i myje ręce. Światło jest przyćmione i delikatne, nie tak jak mocno świecące żarówki zamontowane przy podłodze. Sammie zwilża papierowy ręcznik i ostrożnie przykładą do powiek, by nie zetrzeć makijażu. Kiedy przyjmowano ją do pracy, pojawiła się bez niego i wówczas zauważyła zdumione i zdegustowane spojrzenia dziewczyn.



„Sprzedajemy kosmetyki do makijażu — powiedział jej szef. — Nie sądzę, bym prosił o zbyt wiele, jeśli powiem, żeby przychodziła pani do pracy w makijażu”.

Drzwi do łazienki otwierają się i staje w nich jedna z jej współpracowniczek. To Kelly, dziewczyna Ethana.

— Co się z tobą dzieje? — pyta Kelly, puszczając drzwi i zaplatając ręce na piersi. Jest taka młoda i taka głupia — to typ, który myśli, że jeśli będzie prześladował innych i skarżył się wystarczająco dużo oraz głośno krzyczał, zawsze dopnie swego. I, co smutne, to działa.

— O co ci chodzi?

— W sklepie są klienci.

— Wiem.

— To co tu robisz?

Sammi patrzy na Kelly w lustrze. Nienawidzi tego. Bycie przepytywanym przez dziewczynę z punkrockową fryzurą, która jest od niej o połowę młodsza.

— Czy naprawdę chcesz, bym odpowiadała na to pytanie?

— Chcę, żebyś wróciła do pracy.

Z jednej z toalet dobiega kaszel.

— Natychmiast, szefie — odpowiada Sammi i ma zamiar zsalutować, by okazać dziewczynie swoje niezadowolenie, ale rezygnuje z tego pomysłu.

— Och, myślisz, że jesteś zabawna, prawda?

— Tak, jestem prawdziwą komediantką.

— Nienawidzę, gdy zatrudniają suki takie jak ty — mówi Kelly. —

Myślisz, że jesteś lepsza od nas. Myślisz, że możesz robić, co chcesz, a każdy ma rzucać się do twych stóp i czcić cię.

— O czym ty mówisz? — pyta Sammie chłodno. Ale tak naprawdę wie, o co chodzi. Widziała, jak oczy Kelly zwięzły się, gdy widziała Sammie i Ethana, i jak natychmiast pojawiła się obok, wtrącając do ich rozmowy.

— Nie jesteś lepsza ode mnie.

— Nigdy nie mówiłam, że jestem.

Kelly rozważa to, oparłszy się o umywalkę i zaplótłszy ręce na piersi.

— Jakiś facet do ciebie przyszedł — mówi. — Powiedział, że kiedyś pisałaś dla prasy o morderstwach, które wydarzyły się parę lat temu. Powiedział mi, że chce z tobą o tym porozmawiać.

— Kto to był?

Sammie wzdycha.

— Jak wyglądał?

— Jak świrus. — Uśmiecha się złośliwie Kelly. — Facet z rodzaju tych, którzy podkradną się do ciebie w ciemnej alejce i powiedzą, jakie masz piękne usta.

— Czego chciał? — pyta zaskoczona Sammie. Nie ma pojęcia, kto mógłby się pojawić w sklepie i pytać o nią. I kto w ogóle wie, że ona tu pracuje.

— Myślę, że tylu facetów za tobą łązi, że już ci się mylą — odpowiada Kelly. — Założę się, że wszyscy mają żony i dziewczyny.

— O czym ty mówisz?

— Pewnie pełno ich w twoim życiu. Powinnaś sama zejść z wysokiego

konia, zanim spadniesz i się potłuczysz.

Sammie przepycha się obok Kelly do wyjścia. Zaciska zęby i ma ochotę zasłonić uszy rękami, bo dziewczyna wciąż gada. Nie płacze, bo to nie jej styl, ale jest zła i dopiero po kilku minutach przestają trząść się jej ręce.

Po skończeniu pracy Sammie kieruje się ku centrum. Prześlizguje się przez popołudniowe korki i znajduje miejsce na parkingu, gdzie musi kupić bilet z maszyny i przykleić go do deski rozdzielczej, tak by nie odholowano jej samochodu. Idzie szybko boczną alejką ku Szesnastej Ulicy, gdzie uliczne lampy świecą białym światłem, zaś na przejściu dla pieszych trwa nieustanny ruch. Na ulicach jest tłoczno, ludzie mijają się, wracają z pracy do domu albo wychodzą z domu do pracy, robią zakupy, śpieszą na wczesną kolację. Mówi się, że kraj przeżywa recesję, ale tutaj trudno to odczuć.

Jest zimno, lecz Sammie nie musi pokonywać długiej drogi. Daje nura do środka księgarni, a wiszący nad jej głową złoty dzwoneczek dźwięczy radośnie. Księgarnia jest ciepła i dobrze oświetlona. Sammie zatrzymuje się na chwilę, zacierając dłonie. Nie była w tym miejscu od bardzo dawna, to znaczy od procesu Seevera, kiedy to została zaproszona, by przeczytać wyjątki z książki, którą pisała o Seeverze. Były to kawałki, które nie ukazały się w gazecie, a które Sammie zachomikowała w swoich zbiorach. Wtedy wszyscy myśleli, że książka wyjdzie lada dzień i pomieszczenie na zapleczu księgarni Tattered Cover było całkowicie wypełnione składanymi krzesłami; ludzie tłoczyli się po bokach, wyciągając szyje, by usłyszeć to, co czytała Sammie. Ona sama była zarumieniona, zdenerwowana i zapomniała zrobić siku przed występem, toteż jedyne, o czym mogła myśleć, to pełen pęcherz. Wszystko jednak poszło dobrze; dostała mnóstwo braw, a kilka osób poprosiło ją o autograf na egzemplarzu „Posta”, tuż ponad stopką z jej nazwiskiem. A potem, zanim dała radę ogarnąć całe zamieszanie, o Seeverze

opublikowano inną książkę. Wydało ją dwóch facetów, którzy nigdy nie byli w Kolorado i którzy bazując tylko na materiałach z Internetu, napisali kilkaset stron. Odnosili się do jej artykułów, na litość boską, ukradli je i uciekli. A potem był koniec; nikt nie chciał kolejnej książki o Seeverze, zwłaszcza że na wschodzie kraju zaczęły znikać dzieci, a na Florydzie doszło do serii morderstw. Sprawa Jacky'ego Seevera zajmowała czołówki gazet, ale nie była jedyną, zaś czytelnicy czekali na nowe mocne kawałki, by się nimi podniecać. Książka o Seeverze, ta nienapisana przez nią, była początkiem końca, ale przynajmniej nie sprzedawała się dobrze. Dzięki Bogu, że nie nakręcono na jej podstawie filmu. Nie było tak źle.

Sammie przechadza się po księgarni, a podłoga z drewnianych desek trzeszczy pod jej stopami. Gruba zielona wykładzina na podłodze wybrzusza się w niektórych miejscach, więc Sammie musi uważać, żeby się nie potknąć. Patrzy jednak na książki, ich niekończące się rzędy, ciągnące się od podłogi aż po sufit. Sammie czuje, że kręci jej się w głowie. Wszystkie słowa zgromadzone w jednym miejscu — taki widok zawsze przyprawiał ją o zawroty głowy, nawet gdy latem w dzieciństwie odwiedzała lokalną bibliotekę. Klimatyzacja głośno chodziła, woda do picia w automacie była lodowato zimna, zaś Sammie pociła się i czuła niemal chora, bo to, co ją otaczało, było tak przytłaczające. Jednak w tej księgarni dokładnie wie, dokąd zmierza. Robi to co prawda zawsze, gdy tu przychodzi, ale teraz ma to większe znaczenie, teraz, kiedy pojawiła się szansa. Idzie do kąta, w którym znajduje się literatura faktu, wsuwa palce między grzbiety książki i znajduje miejsce, w którym będzie stała jej książka o Seeverze. Gdzie powinna się ona znaleźć. Gdzie będzie się znajdować. Palec wskazujący Sammie tkwi pomiędzy dwiema książkami, których nigdy nie czytała, i tam pozostaje. Sammie chce poczuć miejsce, w którym będzie, w którym ma zamiar być.

Zaparkowała przed domem Hoskinsa, powoli przejeżdżając szpalerem

szarych cieni rzucanych przez uliczne lampy. Hoskins mieszka w domu niedaleko centrum, który z zewnątrz wygląda na mały, ale wewnątrz jest wielki, tak jakby ktoś użył przedziwnej magii. Wszystko wygląda nieco inaczej niż wtedy, gdy Sammie była tutaj ostatnim razem. Lepiej. Hoskins włożył trochę wysiłku w utrzymanie posesji. Przyciął gałęzie iglaków i zawiesił zasłony w oknach. Odgarnął śnieg z chodnika przed domem. Sammie pamięta, jak po raz pierwszy go spotkała tuż po tym, gdy Seever został aresztowany. Hoskins żył tylko stresem i kofeiną i nie miał czasu na nic innego poza swoją pracą. Sytuacja zmieniła się przez te siedem lat. Sammie słyszała, że Hoskins został zawieszony. Pisano o tym w gazecie, choć to nie ona była autorką artykułu. Odmówiła pisania o tej historii, bo wydawała się zbyt dziwaczna i dotyczyła spraw jej bardzo bliskich. Sammie wie, że Hoskins nie pracuje już w wydziale zabójstw, ale nie jest pewna, czy w ogóle jest zatrudniony w policji. I czy wciąż tutaj mieszka.

Jest prawie szósta wieczorem. Przed domem zaparkowano samochód, a drugi na podjeździe, ale Sammie nie ma pewności, czy któryś należy do Hoskinsa. W ciągu ostatnich siedmiu lat mógł zmieniać samochody. Światła palą się w tylnej części domu. Sammie wie, że tam znajduje się kuchnia. Być może Hoskins przygotowuje teraz kawę albo obiad, przewracając mieloną wołowinę na patelni. Jednak myśl o gotującym Hoskinsie wydaje się jej zabawna. Nigdy nie widziała go w kuchni; kiedyś otworzyła jego lodówkę i nic w niej nie było, nawet starego pudełka z sodą kuchenną. Nic prócz nieprzyjemnego niebieskiego światła. Lodówka wyglądałaby na nową, dopiero co wyjętą z opakowania i podłączoną do kontaktu, gdyby nie to, że boczne krawędzie urządzenia były wytarte, a zamiast warstwy białej farby widać było metal. Pustka panująca w lodówce najpierw ją rozbawiła, a potem zasmuciła, choć Sammie nie wiedziała dlaczego. Kiedy zaczęła się spotykać z Deanem, jego lodówka była pełna jedzenia, co Sammie uznała za rzecz

pozytywną. Plasterki sera i opakowanie masła znajdowały się na półce zamontowanej w drzwiczkach, a plastikowe pojemniki z resztkami jedzenia stały porządnie na półkach poniżej oświetlenia. Sammie miała zwyczaj otwierać lodówkę Deana, żeby tylko popatrzeć, przebiec wzrokiem po całym tym jedzeniu niczym dziecko w sklepie ze słodyczami.

Sammie podejmuje decyzję — wysiądzie z samochodu i pójdzie prosto do drzwi wejściowych. Będzie improwizować. Nie ma pojęcia, co powie, ale zawsze była pewna siebie. Teraz zrobi z tego użytek.

Tymczasem nie robi nic. Zanim zdążyła wysiąść z samochodu, frontowe drzwi otwierają się i z domu wychodzi Hoskins. Wygląda tak samo. Troszeczkę starzej, ale tak samo. Albo może zmienił się bardzo, tylko Sammie nie widzi różnicy. Pamięta, że po wewnętrznej stronie uda miał znamię, a wśród jego włosów łonowych było siwe pasmo, ale nie może sobie przypomnieć koloru jego oczu. Inna rzecz, którą pamięta: zapach wody kolońskiej na jego nagiej klatce piersiowej. Żyła widoczna na wewnętrznej stronie jego penisa. Sposób, w jaki unosił brwi, kiedy się śmiał, tak jakby oprócz rozbawienia odczuwał zaskoczenie. To, jak charczał, gdy osiągał orgazm.

Widząc go, Sammie nie jest tak podekscytowana i zdenerwowana, jak się tego spodziewała. Zamiast tego właściwie nie czuje nic. Hoskins idzie przez podwórko, brnąc przez śnieg, by szybciej dostać się do samochodu. Za nim idzie jakaś kobieta, machając rękami i mówiąc coś. Wygląda, jakby miała na sobie fartuch — pielęgniarzka? Kobieta może być jego dziewczyną albo żoną. Sammie po raz pierwszy czuje ukłucie w klatce piersiowej. To może być zazdrość, choć nie ma to sensu, bo minęło już siedem lat — czy to nie dostatecznie długo, by przestać cokolwiek odczuwać? Jedna z jej koleżanek w college’u powiedziała kiedyś: „Kiedy raz prześpisz się z facetem, jest twój

na zawsze. Nawet jeśli chciałabyś, żeby umarł”.

Sammie obserwuje, jak kobieta wchodzi do domu, a Hoskins wsiada do samochodu. Porusza się w szybki, gwałtowny sposób, jaki Sammie teraz poznaje. Hoskins chodzi tak, gdy dzieje się coś ważnego, kiedy do żył pompowana jest adrenalina. Sammie mogłaby wrócić tu ponownie, gdy Hoskins będzie już w domu, ale zamiast tego decyduje się jechać za nim, tak by zobaczyć, co się dzieje i gdzie on tak spieszenie podąża. Można powiedzieć, że chce zdobyć sensacyjny materiał, choć nikt już teraz nie używa takiego zwrotu. W każdym razie Sammie przez całe swoje życie nie słyszała, by ktoś tak mówił.

# HOSKINS

Hoskins przebywał w wydziale zabójstw przez cały dzień, kiedy wylosował Lorena jako partnera. Loteria, jak mu powiedziano, ale później dowiedział się, że stało się tak, ponieważ nikt nie potrafił współpracować z Lorenem, nawet biorąc pod uwagę fakt, że był dobrym detektywem i miał na swoim koncie więcej aresztowań niż ktokolwiek inny.

— Podoba ci się bycie policjantem? — zapytał Hoskins niedługo po tym, jak zaczęli pracować razem. Siedzieli w samochodzie Lorena zaparkowanym za pralnią, jedząc tacos. Loren się odwrócił, a w jego spojrzeniu błysnęło zdumienie i Hoskins poczerwieniał. Było to głupie pytanie. Mogło paść z ust słuchacza drugiego roku szkoły policyjnej, który pytał gliniarza o Chestera — zbrojeńca albo jakieś wielkie niebezpieczeństwo, ale Hoskins musiał wiedzieć. — Mam na myśli to, że wydajesz się bardzo dobry w tym fachu.

— Nienawidzę tego, kurwa — odparł Loren natychmiast.

— Więc dlaczego tym się zajmujesz?

— Bo jestem w tym dobry. — Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Hoskins nie zwrócił na to uwagi.

— To co? Jesteś dobry w wielu dziedzinach.

— Nie. I w tym rzecz.

Hoskins oczywiście wiedział, że człowiek może być w czymś dobry i jednocześnie nienawidzić tego zajęcia, ale po jakimś czasie odkrył, że Loren uwielbiał policyjną robotę i upajał się nią, niezależnie od tego, co mówił. Nie chodziło o służenie społeczeństwu, pomoc bliźniemu czy o to, że radził sobie



z najgorszymi gnojkami, jakich świat widział, a potem chodził w glorii chwały. I z pewnością nie szło o pieniądze, bo gliny zarabiają marnie; nauczyciele i policjanci, którzy sprzątają niejako cudzy bałagan, w dziale płac są robieni w balona. Nie, w przypadku faceta takiego jak Loren nie chodziło o pieniądze ani o nic w tym stylu.

Chodziło o polowanie.

Jak wtedy, gdy rozwiązywali jedną z pierwszych wspólnych spraw. Szukali mężczyzny, który w środku dnia zgwałcił i zamordował trzy kobiety w ich własnych domach. Nie było śladów włamania, tropów, nic. Lorenowi zabrało trochę czasu, nim ruszył z miejsca, a trzy kobiety zostały zamordowane, zanim zdążył wrzucić trzeci bieg, ale potem Loren stał się Wielkim Łowcą i polowanie zaczęło się na dobre. Hoskins nigdy nie widział nikogo działającego w stylu Lorena, nigdy nawet o czymś takim nie słyszał; nie tyle było to dochodzenie, ile przekształcanie się — w taki sposób, w jaki dobry aktor zaczyna stawać się graną przez siebie postacią. Loren nie robił tego często, ale jeśli już, to kiedy polował, oddawał się temu w pełni. Zmieniał ubrania, głos, zachowanie, wszystko, tak że zaczynał być człowiekiem, którego poszukiwali. Loren nazywał to „wchodzeniem w głowę sprawcy”, ale Hoskinsowi pasowało tu bardziej określenie „metamorfoza”. Niczym w przypadku motyla, który walczy, by wydostać się z kokonu i rozłożyć skrzydła, żeby wszyscy mogli je podziwiać.

Czasami bazowali na domysłach, czasami nie mieli nic, od czego można byłoby zacząć — tak jak w przypadku trzech kobiet zamordowanych w ich własnych domach. Ale Loren obserwował, przyglądał się wszystkiemu, czekał na właściwy moment. A potem kupił garnitur w domu towarowym, wypożyczył Lexusa, powiedział Hoskinsowi, żeby czekał w samochodzie, a sam poszedł do przyjemnie wyglądającego domu w luksusowej dzielnicy,

zupełnie nieprzypominającej tych, w jakich zazwyczaj znajdowane są zamordowane kobiety. Drzwi otworzyła kobieta. Była sama w domu, dzieci przebywały w szkole, a mąż w pracy. Loren uśmiechnął się i zapytał, czy nie mógłby skorzystać z telefonu, bo jego komórka się rozładowała, a on spóźnił się na umówione spotkanie. Loren miał co prawda twarz wściekłego buldoga, ale kobieta rzuciła okiem na jego elegancki garnitur i Lexusa zaparkowanego przy krawężniku i wpuściła go do domu. Pieniądze mówią więcej niż słowa. A przecież Loren mógł zrobić za zamkniętymi drzwiami wszystko — zgwałcić tę kobietę lub ją zabić albo usiąść na chwilę na filizankę herbaty. Zamiast tego zadzwonił do Hoskinsa, który wyjął z kieszeni wibrującą komórkę i przyglądał jej się przez chwilę z takim wyrazem twarzy, jakby trzymał w ręku jadowitego węża.

— Tak właśnie on to robi, Paulie — powiedział Loren niskim głosem. Hoskins usiłował sobie wyobrazić, co dzieje się w środku, czy kobieta stoi, czekając na koniec rozmowy, ale potem pomyślał, że prawdopodobnie poszła do innego pokoju, chcąc być uprzejmą, nawet jeśli to był jej dom. — Nie musiał się włamywać. One go wpuszczały. Zapraszały go.

I Loren miał rację, jak zawsze. Pochodzili po okolicznych domach, a sąsiadka jednej z zabitych kobiet powiedziała im, iż pamięta, że w godzinach zbrodni widziała w sąsiedztwie biały samochód, najnowszy model Audi czy coś w tym stylu, zaś mężczyzna siedzący za kierownicą był przystojny i miał ładne włosy. „Nie pomyślałam o nim wcześniej — powiedziała kobieta, rozkładając ręce i wzruszając ramionami. — Nie wyglądał na kryminalistę”.

Potem sprowadzili specjalistę od wykonywania portretów pamięciowych, a kobieta z sąsiedztwa pomagała ze wszystkich sił. Hoskins myślał co prawda, że określenie „przystojny z ładnymi włosami” doprowadzi ich donikąd, bo było to mniej więcej tak użyteczne, jak stwierdzenie, że facet

nosił spodnie. Tymczasem portret i opis samochodu zwróciły czyjąś uwagę i tydzień później aresztowali uprzejmego młodego człowieka, który miał dobrą posadę, jeździł drogim samochodem i lubił krzywdzić kobiety. Jego DNA pasowało do tego, które znaleziono na miejscu zbrodni. Zgadzał się także czas dokonania przestępstw i w ten sposób sprawę można było zamknąć. A wszystko dzięki Lorenowi, jego zdumiewającym umiejętnościom oraz zamiłowaniu do polowania.

Hoskins nigdy nie przypuszczał, że będzie znowu pracował w wydziale zabójstw z Lorenem u boku. Wydawało mu się, że nie zależy mu na tym tak bardzo i że spędzanie ośmiu godzin przez pięć dni w tygodniu w suterenie, przedzieranie się przez zakurzone teczki i przerzucanie ich zawartości do komputera nie było takie złe, ale teraz, przekręcając kluczyk w stacyjce i wsłuchując się w odgłos silnika, myśli, że to całkiem prawdopodobne, iż on także tęskni za polowaniem.

Zatrzymuje się przed domem, w którym znaleziono ciało Carrie Simms, gdzie Loren już prowadzi śledztwo. Hoskins myśli, czy to przypadkiem nie jest tak, że wciąż leży w łóżku i że śni mu się jeden z najbardziej realistycznych snów. Widać migające błękitno-czerwone światła policyjnych patroli, zaś w głowie Hoskins czuje stałe, szybkie pulsowanie krwi. Od bardzo dawna nie był już na miejscu zbrodni; sądził, że może się to już nigdy nie zdarzyć. Tak się dzieje, gdy wyrzucają cię z wydziału zabójstw — możesz pożegnać się z tą robotą. Nie ma powrotu z grobu dopóty, dopóki nie zmartwychwstaniesz dzięki temu, że jesteś dobrym detektywem, który zna się na swoim fachu. Nagroda za twoje zasługi, choć Hoskins zastanawia się, czy nie jest to przypadkiem ubrana w jej piórka kara.

Ale Hoskins nie jest jedynym, który pojawił się w tym miejscu. Jest jeszcze kobieta, która jechała za nim i która wysiada ze swego auta, nie

wyłaczając nawet przednich świateł. Hoskins myśli początkowo, że to musi być jedna z sąsiadek wracająca z pracy do domu i pragnąca wiedzieć, co się dzieje. Jest jednak coś znajomego w sposobie, w jaki osoba ta porusza ramionami, w jaki unosi twarz do góry. A potem kobieta wychodzi z cienia i staje przed Hoskinsem. Jej twarz widoczna w blasku przednich świateł wygląda niczym twarz upióra.

— Jasna cholera — mówi Hoskins, nie starając się nawet ściszyć głosu. O co chodzi? Teraz ona widzi, jak bardzo Hoskins jest zaskoczony. — Co ty tu, kurwa, robisz?

Sammie Paterson. Minęło siedem lat, odkąd widział ją po raz ostatni. Próbował wtedy zmusić ją do podjęcia decyzji i był to błąd, bo Sammie wybrała swego męża. To wkurzyło Hoskinsa, więc poszedł do jej domu i zapukał do drzwi. Wiedział, że Sammie była w środku, ale nie odpowiadała, więc wsiadł do samochodu. Wyłączył silnik i smażył się w popołudniowym słońcu, czekając. Hoskins lubił myśleć o sobie jako o dobrym człowieku, racjonalnym, ale są takie momenty, gdy dochodzi do zwarcia przewodów i sprawy przyjmują zły, bardzo zły kierunek. Hoskins osiągnął taki właśnie punkt, ponieważ kochał Sammie — do diabła, nie kochał jej, a był w niej zakochany. Począł, aż jej mąż wróci do domu i wszystko mu opowiedział. Stał na chodniku, zraszacze trawników pracowały, a dzieciaki z sąsiedztwa jeździły na swoich rowerach. Hoskins opowiedział Deanowi, jak pieprzył się z Sammie, jak ona uwielbiała jego fiuta, jak pozwalała go sobie wsadzać w tyłek, jak brała go do ust i jak błagała, by go jej włożył, by mogli się kochać we wszystkich pozycjach, jakie sobie zamarzył. A Dean nie powiedział na to nic, przestępował tylko z nogi na nogę aż do momentu, gdy Hoskins skończył, po czym wszedł do domu i starannie zamknął za sobą drzwi. Hoskins spodziewał się, że pomiędzy nim a Deanem wywiąże się kłótnia albo walka, a tymczasem czekało go rozczarowanie. Po tym wszystkim

jednak Hoskins odpuścił, przestał jeździć trasą obok jej domu i myśleć o niej — prócz tych sytuacji, gdy budził się z tętniącym bólem głowy i nie pamiętał swych snów, choć jakimś sposobem wiedział, że śnił o Sammie.

— Raczej co ty tutaj robisz? — pyta Sammie i to zbija Hoskinsa z tropu, bo przecież to on jest policjantem, a obok znajduje się miejsce zbrodni. Ale nie spodziewał się jej tutaj, a zwłaszcza nie spacerującej tak, jak gdyby nie dzieliło ich siedem lat i jakby czas zatrzymał się, zafalował i jakby powrócili do chwil, w których jeszcze byli ze sobą.

— Jestem gliną — mówi niegrzecznie Hoskins, bo złe maniery pomagają mu, gdy czuje się niekomfortowo. — A tutaj jest miejsce zbrodni.

— Wiem o tym — odpowiada Sammie. Milknie, a potem się uśmiecha — Przepraszam, to było głupie pytanie.

Dom, przed którym stoją, jest duży i starawy. Agent nieruchomości opisałby go jako nieforemny, myśli Hoskins. Stojąca przy podjeździe skrzynka pocztowa ma kształt kota i pomalowana jest na pomarańczowo w czarne paski. W zamyśle miało to wyglądać ładnie i nieco oryginalnie, ale, jak domyśla się Hoskins, w praktyce coś takiego pewnie tylko irytuje sąsiadów.

— Czego chcesz? — pyta, wciąż się rozglądając, starając przyjrzeć otoczeniu. Zawsze tak robił — miał oczy szeroko otwarte i to jeszcze zanim wszedł do budynku, bo nigdy nie było wiadomo, co tam można zobaczyć. Miejscem zbrodni nie jest tylko przestrzeń bezpośrednio otaczająca ofiarę — niektórzy gliniarze o tym zapominają. — Powinnaś jak najszybciej się stąd wynieść.

— Nie bądź taki — mówi Sammie, dotykając jego ręki. Sammie nie nosi obrączki, nawet po tych wszystkich latach. — Chciałam cię przeprosić. Za to,

co ci zrobiłam.

— Co?

— Przykro mi. — Wygląda na zakłopotaną. — Nigdy nie miałam szansy przeprosić cię za to, jak cię kiedyś potraktowałam. Gdybym mogła, cofnęłabym czas.

Hoskins przygląda się jej uważnie. Jest ubrana całkowicie na czarno, nawet jej płaszcz jest czarny. No i ma zrobiony makijaż. Nigdy wcześniej nie widział jej takiej.

— Przyszłaś tutaj, żeby mnie przeprosić? — pyta.

— Tak.

— Minęło siedem lat. Przez siedem lat nie usłyszałem od ciebie ani słowa.

Sammie przygryza wargę. Wygląda na speszoną.

— Tak, przepraszam, że trwało to tak długo.

— Jechałaś za mną? — pyta Hoskins.

Sammie zerka na niego, a potem odwraca wzrok. Patrzy w kierunku domu. Jakiś policjant rozciąga wokół granic posiadłości żółtą taśmę. Miejsce zbrodni, głosi napis na taśmie. Tutaj stało się coś złego. Ludzie już się zbierają. Ci z sąsiedztwa albo też ci, którzy przejeżdżali nieopodal i zainteresowały ich błyskające światła. Trzymają w rękach swoje komórki, gotowi, by zrobić zdjęcia albo nakręcić filmik, a potem umieścić je w Internecie. Mają nadzieję na coś podniecającego. Ku temu dąży świat, myśli Hoskins. Jedna banda podglądaczy.

— Tak, jechałam — pada odpowiedź.

— Nie rób tego. Nigdy więcej.

— Ale ja muszę z tobą pomówić.

— Więc mów.

— Tutaj, teraz?

— Dlaczego nie? Wypadłaś z auta niczym suka z piekła, żeby mnie złapać. Musisz mieć coś ważnego do zakomunikowania.

— Chciałabym usiąść i pomówić z tobą. Mam parę pytań...

— Słuchaj, nie jestem zainteresowany współpracą z „Postem”. Jeśli potrzebujesz jakiejś wypowiedzi dla prasy, skontaktuj się z działem public relations. Oni zajmują się tym cholerstwem.

— Nie chodzi o artykuł — mówi Sammie. Zaczyna się denerwować i jest zła, a Hoskinsowi się to podoba. Zawsze lubił podnosić jej ciśnienie, sprawiać, że krew uderzała jej do głowy i że stroszyła piórka.

— Tak, pewnie. — Nie wierzy jej, bo przecież Sammie zawsze chodziło tylko o jedno — o jej pracę. O robienie kariery.

— Nie mówię o artykule.

— W porządku, księżniczko. Wierzę ci. Uspokój się.

— Mówię prawdę.

— Okay. Czego więc ode mnie chcesz? Masz sześciolatnie dziecko, które czeka na tylnym siedzeniu wozu i które przypomina mnie? Nie zarabiam tyle, by płacić ci alimenty.

Sammie parska.

— Zapomniałam już, że tak do mnie mówiłaś.

— Jak? Nazywając cię suką z piekła rodem? Mówiąc całkiem szczerze, nieraz wciąż cię tak nazywam.

Sammie śmieje się trochę zbyt głośno i zakrywa usta dłonią. Hoskins zapomniał już, jaka jest ładna. Siedem lat zrobiło swoje. Łapie się na tym, że się w nią wpatruje, więc odwraca wzrok. To, co najpierw przyciągnęło jego uwagę, to jej twarz i leciutko skośne oczy. Zaczął z nią sypiać, gratulując sobie fartu. Cały czas zakładał, że Sammie jest głupia jak but. Ale jej uroda to była zmyłka, bo Sammie jest zabawna, czarująca i mądra. A przez lata Hoskins nauczył się, że mądrzy ludzie bywają niebezpieczni.

— Czyż to nie niespodzianka? Miłe spotkanie po siedmiu latach.

Chwilę przed tym, zanim się odwrócił, Hoskins dostrzegł, jak na twarzy Sammie odbija się szok. Kobieta patrzy na coś za jego plecami, na kogoś, i wygląda tak, jakby miała zacząć krzyczeć, odwrócić się na pięcie i uciec. Wpatruje się w mężczyznę stojącego za plecami Hoskinsa, który ma na sobie trzyczęściowy garnitur i okulary w drucianych oprawkach. Jego paznokcie są wypolerowane, a włosy zaczesane na prawą stronę. To Jacky Seever, ale to niemożliwe, bo Seever siedzi przecież w więzieniu Sterling. Jego wyjście stamtąd będzie zarazem ostatnim, ponieważ zostanie zabrany na egzekucję do Cañon City. Jacyś gliniarze z Cleveland usiłowali „pożyczyć” Seevera, żeby podkubać w jego mózgu, i stwierdzić, co wzbudziło w nim pociąg do zbrodni. Nie otrzymali jednak na to pozwolenia, bo dom Seevera jest tam, gdzie jest jego tyłek, a on nigdzie go nie ruszy. Żaden sędzia w Kolorado nie wyda na to zgody.

Ale oto Seever stoi przed nią.

— Wyglądasz dobrze, Paulie — mówi Seever, ale to nie on, lecz Ralph Loren. Hoskins to właśnie usiłuje sobie powiedzieć: to Loren i jego stare numery, Hoskins widział już przecież coś podobnego w jego wykonaniu i to



wiele razy, więc spokojnie, to Loren, Ralph Loren. W tej chwili przednie światła w samochodzie Sammie automatycznie gasną i wszystko tonie w ciemnościach.

A Loren, ponieważ dobrze wie, że ich przeraził — Loren, który potrafi czytać w ludziach jak w książkach i który kurewsko się cieszy, gdy ludzie zaczynają się skręcać z zakłopotania — wybucha śmiechem. Głośnym i ostrym, jak szalenie.

# SAMMIE

— Ciągłe obciążasz fiuty, żeby mieć o czym pisać? — pyta Loren. Żuje gumę, miażdżąc ją swoimi szczękami i wyraźnie się w tym lubuje. — Nie mogę uwierzyć, jak szybko wy, prasowe dupki, dowiadujecie się o wszystkim. To jak krwawienie w oceanie — musisz tylko poczekać, a rekiny pojawiają się szybciej, niż myślisz.

— Co to do diabła jest? — pyta Sammie, wskazując na jego garnitur i uczesanie. Nie lubi Lorena, nigdy nie lubiła, ale jego dzisiejszy wygląd stawia go w zupełnie innym świetle. Zawsze wiedziała, że Loren jest nieco dziwny, a Hoskins opowiadał jej o jego trickach i o tym, że Loren lubi ubierać się tak jak podejrzani, zaś sposób prowadzenia przezeń śledztwa jest specyficzny; ale co innego o tym słyszeć, a co innego zobaczyć to na własne oczy. Serce Sammie wciąż mocno wali, a jej ręce się pocą, choć przecież rozumie, że to nie Seever stoi przed nią. Jej umysł to wie, tylko reszta ciała nie chce tego słuchać. — Kogo ty, kurwa, naśladujesz?

— Och, uwielbiam, gdy ładne kobiety używają wulgarnych słów — mówi Loren. — Pozwól mi się przychylić i chwycić się za kostki, a zacznę dla ciebie szczekać jak pies.

— Boże, jesteś obrzydliwy.

Hoskins nie mówi nic. Wciąż jest blady i drży, jak gdyby ujrzał ducha. Może i faktycznie go ujrzał.

— Chcesz zobaczyć, jakim obrzydliwym psem potrafię być? — Loren przeciąga słowo „pies”, tak że brzmi ono „pseem”. Obrzydliwym pseem.

— Nie chcę zwymiotować śniadania, dzięki — odpowiada Sammie. — Sam twój strój wystarczy.

— Możesz zwymiotować wszystkim, jeśli zabierzesz to...

— Jezu Chryste, wystarczy — odzywa się Hopkins. Na jego policzku widnieją dwie jasnoczerwone plamy. Jest zły, Sammie rozpoznaje to po błysku w jego oczach, ale wie też, że Lorena wkurzał niefart Hoskinsa i że pozostają w pewnej dość wybuchowej relacji, możliwej tylko pomiędzy policjantami. Obaj są dobrymi detektywami i razem tworzą znakomity zespół. — Jest zbyt wcześnie, by słuchać tego bełkotu. Możecie się obydwójce zamknąć?

— Zawsze ten sam stary Paulie — mówi Loren, kładąc dłoń na ramieniu Hoskinsa. — Tęskniłem za tobą, stary koniu.

— Czy to nie słodkie? — mówi Sammie, patrząc raz na jednego, raz na drugiego. — Niestety muszę przerwać to spotkanie po latach, bo mam parę pytań...

— Och, myślałem, że wiesz — odpowiada Loren, ściskając ramię Hoskinsa. — Jeśli rzucasz faceta, przestajesz otrzymywać informacje do swoich pieprzonych artykułów. Więc zabieraj się stąd, panienko.

— Zabieraj łapy — Hoskins strząsa z siebie rękę Lorena. — Nie dotykaj mnie.

Loren marszczy brwi i przesuwa okulary na grzbiet nosa gestem tak przypominającym gest Seevera, że Sammie wpatruje się w to przez dłuższą chwilę zafascynowana. Jest w tym dobry; musiał spędzić sporo czasu, ćwicząc, stojąc przed lustrem i przyglądając się sobie, jeśli chciał być perfekcjonistą. Sammie zastanawia się jednocześnie, jakim trzeba być człowiekiem, aby naśladować wygląd, gesty, głos i w ogóle wszystko, co

dotyczy kogoś uchodzącego za potwora.

— Nie miałeś żadnych problemów, by znaleźć ten dom, Paulie? Byłeś tu już, Paulie?

— Co?

— Gdzie byłeś wczoraj? Mniej więcej o tej porze?

— Nabijasz się ze mnie?

— Po prostu staram się oczyścić cię z podejrzeń. Ostrożności nigdy za wiele.

— Black do mnie zatelefonował — zaczyna Hoskins. Jest czerwony jak burak. — Poprosił, żebym tu przyjechał, żeby ci pomóc.

— Widać, że to, kurwa, zrobił — odpowiada Loren. — Nie potrzebuję niczyjej pomocy.

— W takim razie zadzwoń do Blacka. Powiedz mu to. Byłbym szczęśliwy, że mogę jechać do domu — mówi Hoskins, zakładając ręce na piersiach. Ale wpatruje się w dom i Sammie sądzi, że umiera z chęci wejścia tam i sprawdzenia, co się stało. Ma ochotę założyć czapkę Sherlocka i się rozejrzeć. — Jest mnóstwo innych rzeczy, które mógłbym robić.

— Czy zamordowano jeszcze kogoś? — pyta Sammie, a obaj mężczyźni patrzą na nią, jak gdyby zdziwieni, że ona wciąż tu jest. — Czy to o to chodzi? Czy to ktoś związany z Seeverem?

Nie ma ze sobą żadnego notatnika. Cholera, to wstyd, myśli Sammie, bo w domu coś się dzieje, a ona nie widzi jeszcze w pobliżu żadnej ekipy reporterskiej. Pojawiła się pierwsza na miejscu zbrodni, ale jest nieprzygotowana. To się już więcej nie zdarzy.

— Paulie, powiedz swojej dziewczynie, żeby poszła do domu — mówi

Loren. Hoskins ma twarz zwróconą ku domowi, ale od czasu do czasu zerka na Lorena, tak jakby bał się na dobre odwrócić wzrok.

— Ona nie jest moją dziewczyną.

— Czy Seever w jakiś sposób kieruje tymi morderstwami z więzienia? — pyta Sammie.

— Jezus — mruczy Hoskins, trącając butem brudną kupkę śniegu. — Tego właśnie potrzebujemy w gazetach. Konspiracyjnej teorii o Seeverze pociągającym za sznurki z celi śmierci.

— Hej, coś mi się przypomniało — Loren strzela palcami i zwraca się ku Sammie. — Czasami chodzę odwiedzać twojego starego kumpla Seevera, a w obecnych czasach nie robi tego wielu ludzi. Dostaje listę odwiedzających i musi się na takie wizyty zgodzić, a sędzia je zatwierdza. Nie można pozwolić, by odwiedzał go byle kto. Jestem na tej liście. Hoskins też. Jego żona i jego prawnik. I ty też na niej jesteś. Samantha Peterson. Dlaczego na niej widniejesz po tylu latach?

— Nie wiem — mówi Sammie. Ale nagle pewna myśl przychodzi jej do głowy — to Dan Corbin zadzwonił do prawnika Seevera i udało mu się załatwić, żeby nazwisko Sammie znalazło się na liście odwiedzających. Corbin liczył na to, że Sammie spotka się z Seeverem i uzyska od niego parę wypowiedzi. Załatwienie tego było drogą przez mękę. Masa biurokracji, wypełniania dokumentów. Ale Sammie nie umiała zmusić się do tej wizyty i nie mogła sobie wyobrazić, jak miałyby to znieść. Nie zdawała sobie sprawy, że jej nazwisko wciąż jest na tej liście, ale teraz może to wykorzystać. Złoży Seeverowi wizytę i zapyta go o parę rzeczy. Dostęp do Seevera otworzy jej wszystkie drzwi.

— Ze sposobu, w jaki Seever o tobie mówił, wnioskuję, że miał nadzieję,

iż złożysz mu małżeńską wizytę.

— Zamknij się — mówi Sammie. Chciała, by jej głos zabrzmiał nieprzyjemnie, ale zamiast tego przeszedł w lekki pisk. Pewnie wyczuli, że ona kłamie. Sammie opuszcza głowę, bawi się kluczykami od wozu.

— Brzmi tak, jakbyście ty i Seever miło spędzali czas — oświadcza Loren. Nie ma zamiaru odpuścić tematu i draży w nim niczym w kupie gnoju. Boże, jak ona go nienawidzi, stojącego w ubiorze imitującym strój Seevera i szczerzącego zęby jak głupek. — Zachował dobre wspomnienia o tobie w swoim banku klapsów.

— Nie sądziłem, żeby Seever chciał ci poświęcić swój czas — mówi Hoskins do Lorena. — Wciąż go odwiedzasz w więzieniu?

Na twarzy Lorena powoli rozkwita uśmiech.

— Jesteśmy dobrymi znajomymi — stwierdza. — Ucinamy sobie długie, miłe pogawędki. Pogada z każdym, kto zechce go słuchać. O tym, co zrobił, co chce zrobić. O niej.

— Stop — mówi Sammie.

— Czy nie poruszyło cię to, że wyglądam jak on? — mówi Loren, strzepując pyłek z garnituru. — Czy to dlatego się rumienisz? Czy nie robi ci się gorąco i nie czujesz się zakłopotana, widząc faceta, z którym się kiedyś pieprzyłaś?

Sammie patrzy na niego przerażona, a on puszcza oko — powoli i trochę nieprzyzwoicie.

— Co tu się do diabła dzieje? — pyta Hoskins, patrząc to na jedno, to na drugie. — O czym wy mówicie?

— Och, nie wiedziałeś o tym? — mówi Loren. — Nie mogę uwierzyć, że

ona ci nie mówiła. Oczywiście, dwa razy byś się zastanowił, zanim byś ją przeleciał, gdybyś o tym wiedział.

— Wiedział o czym?

— Cóż, Jacky Seever zna Sammie całkiem nieźle. Można rzec, biblijnie.

— Co? — mówi Hoskins, ale Sammie widzi, jak na jego twarzy powoli pojawia się zrozumienie. Wygląda tak, jak ludzie wyglądają wówczas, gdy otrzymali złe wiadomości, gdy dowiadują się o śmierci kogoś bliskiego. Świadomość tego, co się stało, przychodzi najpierw powoli, po czym wszystko nagle staje się oczywiste i zasypuje człowieka niczym lawina schodząca z gór.

— Seever i Sammie urządzali sobie seksualne spotkanie. Ruchali się. Bzykali się. Pieprzyli. Jakkolwiek chcesz to nazwać.

— Czy to prawda? — pyta Hoskins, patrząc na nią, ale niezależnie od tego, co ona powie, Hoskins już wierzy Lorenowi. Najgorszą rzeczą nie jest jednak to, że to prawda. Najgorszy jest wyraz twarzy Hoskinsa, przerażenie prawdą. Sammie kuli się pod jego spojrzeniem — czuje się jak psie gówno, które przywarło do jego buta.

— To było dawno — mówi słabo. — Kiedy dla niego pracowałam.

— Nie martw się, Paulie — odzywa się Loren. — Dymał ją na długo przedtem, zanim ty się pojawiłeś. Ale słyszałem, że jeśli uprawiasz z kimś seks, to tak, jakbyś chodził do łóżka z każdym, z kim ten ktoś się pieprzył. Czy to nie obrzydliwe? Wyobraź sobie, że przewracasz się po wyrku z nagim Seeverem, który leży na tobie. Boże, żołądek mi się od tego wywraca.

— Black powiedział, żebym tutaj przyszedł i pomagał, a nie słuchał takich głupot — odparowuje Hoskins, przepychając się między Sammie a Lorenem i kierując ku tyłowi domu. — Czekam na ciebie w środku.

Na tyłach domu są już jacyś ludzie, Sammie słyszy ich głosy, niskie i przyciszone. Mówią tak, bo jest ciemno, robi się późno, a wokół mieszkają sąsiedzi, co też się liczy, nawet w obliczu popełnionej zbrodni.

— Nie przejmuj się, Paulie jest dużym chłopcem — mówi Loren, patrząc za odchodzącym Hoskinsem. — Poradzi sobie z tym.

— Jesteś sukinsynem — odpowiada Sammie.

— A ciebie nie powinno tutaj być.

— Dlaczego ubierasz się jak Seever? — pyta Sammie. — O co w tym chodzi?

— Czyż nie chciałabyś wiedzieć? — Loren wyjmuje z kieszeni srebrny zegarek i bimba nim wesoło. — A może chciałabyś pojeździć na fiutku starego znajomego, a ja przekazałbym mu tę wiadomość? Może mógłby jeszcze skorzystać z życia, zanim spotka się ze Stwórcą?

— Idź do diabła.

— A ty powinnaś iść do domu.

— Przyszłam tutaj pomówić z Hoskinsem. Nie odejdę, dopóki to się nie stanie.

Loren patrzy na dom, w kierunku, w którym poszedł Hoskins, i nad czymś się zastanawia.

— Będziesz musiała długo poczekać. — Potem odchodzi. Daleko w dole ulicy zatrzymuje się furgonetka, z której wyskakuje jakiś mężczyzna z kamerą przewieszoną przez ramię. Za nim biegnie człowiek z mikrofonem. Już niedługo ulica zapełni się dziennikarzami, a każdy reporter w kraju będzie zbierał informacje. Zaczął się wyścig z czasem, toteż Sammie zawraca, otwiera samochód i niezdarnie grzebie w nim w ciemnościach,



szukając papieru i długopisu. Ma zamiar dowiedzieć się, co się dzieje, nawet jeśli miałyby to oznaczać stanie na zimnie przez całą noc.

# HOSKINS

— Dlaczego to robisz? — pyta Hoskins, kiedy Loren do niego dołącza. Stoją w ogródku za domem po kostki w śniegu i wpatrują się w budynek, zaś policja kręci się to tu, to tam. — Nigdy nie robiłeś takich numerów przy dochodzeniu w sprawie Seevera.

— Ostatnim razem nie miałem takiej szansy — oświadcza Loren. — Właściwie wcale nie musieliśmy polować na Seevera, bo sam wpadł nam w łapy. Powinieneś widzieć, jak kobiety zrzucają majtki na widok moich garniturów. Zwłaszcza tego jasnoniebieskiego.

— Szalenie wytworny — mówi Hoskins sucho, ale wie, że Loren nie mówi mu całej prawdy. Coś ukrywa. Loren nie robi nic bez powodu. Prawdopodobnie sądzi, że Seever ma związek z nowymi morderstwami. W przeciwnym razie nosiłby własne ciuchy i nie pakowałby na włosy całego tego cholernego żelu. Ale Loren nie ma zamiaru informować, co się dzieje, Hoskins zna go dostatecznie dobrze. Sam będzie musiał wykombinować, o co chodzi.

— Skoro już tutaj jesteś, mógłbyś się trochę porozglądać — mówi Loren łaskawie. Wsuwa palec do kieszonki naszytej na kamizelce, tak samo jak to robił Seever. — Nie odeślę cię do domu, jeśli przynajmniej trochę tu nie powęszysz. Ze względu na stare czasy.

— W porządku — mruczy Hoskins i idzie za Lorenem, który schodzi ze śniegu na chodnik.

Miejscem zbrodni nie jest duży dom, ale małeńki budynek stojący za

nim. To domek gościnny o powierzchni kilkudziesięciu metrów kwadratowych, zbudowany po to, by właściciel domu mógł przyjąć najemcę i zarobić trochę dodatkowych pieniędzy. Ofiara jest w środku, ale nie wydaje się właściwym nazywać jej ofiarą; to Carrie Simms. To nie jest typowe pojawienie się na miejscu zbrodni i ujrzenie nieznanego człowieka, obcego człowieka, którego w dodatku nigdy już nie będziemy mieli okazji poznać. Jest łatwiej, gdy nie znasz ofiary, jeśli nie rozpoznajesz piegów na jej nosie i bursztynowego koloru oczu, czyli tych wszystkich drobnych rzeczy, których łatwo nie zauważyć, jeśli nie widziałeś kogoś wcześniej. Ciało człowieka, którego nie znasz, jest niczym. Mniej niż niczym. Jest rzeczą do badania, służy do szukania dowodów. To sztywne kończyny, to poczerwiałe i łamliwe paznokcie, to włosy, krew, skóra i organy, wszystko starannie podzielone, bo to już nie jest człowiek, a tylko ciało. Rzecz. Tym razem jednak jest inaczej, bo Hoskins zna Carrie Simms, rozpoznałby jej głos, gdyby go usłyszał, pamięta jej śmiech. To dziwne uczucie widzieć dziewczynę, którą kiedyś znał, skuloną na boku niczym krewetka, widzieć jej wypełnione krwią usta, która stała się czarna i zakrzepła. Wygląda, jakby spała, wyjąwszy dziwne ułożenie jej ramion. I krew. Mnóstwo krwi. To nie było samobójstwo, Carrie Simms nie odebrała sobie życia. To morderstwo, podłe i z zimną krwią.

— Wygląda na to, że większość tego wszystkiego działo się w sypialni. Jak sądzisz, jak to się stało, że ona się tu znalazła? — pyta Loren. Stoi w drzwiach, które prowadzą z kuchni do wyjścia na podwórze, do betonowych schodków. Ślady jego mokasynów widoczne są tylko po drugiej stronie drzwi. Loren wyciąga paczkę papierosów i wkłada jeden do ust. — Została odurzona?

— Nie masz własnej opinii na ten temat? — pyta Hoskins, wyjmując z kieszeni parę lateksowych rękawiczek i wciągając je na ręce. Upewnia się, czy dobrze przylgnęły do przestrzeni między palcami. Od dawna nie był na

miejscu zbrodni, ale wciąż ma we krwi stare zwyczaje, a w bagażniku jego samochodu leżą wszystkie niezbędne rzeczy. — Myślałem, że pozwoliłeś mi się rozejrzeć ze względu na dobroć twego serca.

— Nie drażnij mnie, Paulie. Nie jestem w nastroju.

— W takim razie powiedz mi to, co chcę usłyszeć.

— Co takiego?

— Powiedz, że mnie potrzebujesz — mówi Hoskins. — Powiedz mi, że potrzebujesz mojej pomocy w tej sprawie.

Loren rzuca mu szybkie spojrzenie, upewniając się, czy Hoskins nie żartuje. Ale nie. On chce usłyszeć te słowa z ust Lorena, bo Loren naprawdę go potrzebuje. Black o tym wie, Hoskins również — do diabła, wie to też Loren — ale czym innym jest wiedzieć o czymś, a czym innym powiedzieć to głośno. Prawdą jest to, co powiedział Hoskins Blackowi — Loren jest dobrym detektywem. Może najlepszym w wydziale. Ale Ralph Loren jest również nieprzewidywalny; potrzebuje kogoś, kto weźmie go w karby jak surowa matka niegrzecznego chłopca, inaczej sprawy się pieprzą. Jak teraz. Loren ubiera się jak Seever, naśladuje jego zachowania i dziwactwa. Palenie, trzymanie długiego papierosa pomiędzy wskazującym a środkowym palcem i sposób, w jaki układa wargi, by wypuścić papierosowy dym. Hoskins widział już Lorena bawiącego się w przebieranki w trakcie innych dochodzeń, ale nigdy nie było tak źle. To, co dzieje się teraz, przyprawia Hoskinsa o gęsią skórę. Loren naśladuje mimikę Seevera bez żadnego wysiłku i wygląda to tak, jakby w ogóle nie udawał. Gdyby Loren miał partnera, kogoś, kto by to zauważył, można byłoby podnieść alarm, zadać jakieś pytania. Ale Loren pracuje sam. Ma to, czego chciał.

— Lubisz mieć mnie w garści, prawda? — mówi Loren. Jest spocony,

choć na zewnątrz jest zimno, a ziemię przykrywa śnieg. Na jego czole i górnej wardze widać kropelki potu. — Jesteś jak baba. Nigdy nie przestajesz być dokuczliwy.

Dzieje się tutaj coś strasznie dziwnego, bo Loren, którego zna Hoskins, nigdy nie zachowywałby się w ten sposób. Poci się, drży, ma wyraz twarzy człowieka, który cierpi na zaparcie. Potrzebuje pomocy, ale nie jest w stanie o nią poprosić. Stary Ralph Loren kazałby Hoskinsowi iść się pieprzyć, roześmiałby mu się prosto w twarz, pokazał środkowy palec. Tymczasem Loren ssie papierosa jak gdyby to był smoczek, wpatrując się w Hoskinsa z czymś w rodzaju — desperacji? To niemożliwe, ale tak się dzieje. Nikt inny by tego nie dostrzegł, ale Hoskins owszem. Był przecież partnerem tego człowieka przez czternaście lat. Nie byli przyjaciółmi w sposób, w jaki bywają nimi inni policyjni partnerzy, nigdy nie spotykali się po pracy, nie pili razem piwa i nie oglądali futbolu, ale w jakiś sposób Hoskins dzięki dystansowi, jaki ich dzielił, wie o Lorenie bardzo wiele. Dostrzega, że Loren traci nad sobą kontrolę, tkwi w jakimś głębokim gównie, jest na granicy dziury bez dna. Takiej dziury, w którą człowiek sam się rzuca i z której nie ma już powrotu.

— Tym razem ci odpuszczę — mówi Hoskins. — Nie będziesz mieć tyle szczęścia następnym razem.

Loren śmieje się chrapliwie, potrząsając głową. Nie patrzy na swego starego partnera, który znowu pełni tę rolę, ale Hoskins myśli, że w tym śmiechu jest jakaś ulga, podobnie jak w linii jego ramion. A może Hoskins tylko sobie to wyobraża. Z Lorenem nigdy nie można być niczego pewnym, podobnie jak z Seeverem. Dwóch mężczyzn związanych ze sobą tak blisko, że nie sposób rozróżnić, co jest prawdą, a co nie, chyba że przyjrzesz się uważniej.

A Hoskins, widząc Lorena takim, jakim jest teraz, przygląda się z uwagą.

Loren prosi wszystkich, by usunęli się na chwilę, by Hoskins mógł się rozejrzeć. Ekipa wychodzi więc na zewnątrz, gdzie panuje zimno, i staje w ciasnym kółku nieopodal jednostki patrolowej, paląc papierosy. Są to policjanci, technicy i fotografowie. Jest także koroner. Ilu ludzi potrzeba, by wyjaśnić morderstwo? Tyłu, ilu dostaniesz do pomocy. Ktoś przyniósł termos z kawą i Hoskins widzi parę unoszącą się ku niebu. Chciałby być teraz z nimi i gadać o głupotach albo siedzieć w swojej suterenie z nosem wetkniętym w starą teczkę. Patrząc na cały ten bałagan, starając się zrekonstruować ostatnie chwile życia Carrie Simms, Hoskins przypomina sobie, jak bardzo tęsknił za swoją robotą i jak jej nienawidził.

Na dywanie widać pasmo krwi, które biegnie od sypialni aż do ciała Simms, gdzie uformowała się niewielka kałuża. Większość krwi wsiąkała w dywan i podkładkę leżącą pod nim, a potem w beton. Zawsze tam będzie i nie zniknie. Trzeba byłoby rozebrać dom, żeby pozbyć się jej definitywnie.

— Patrząc na ślady, powiedziałbym, że pełzała — mówi Hoskins. — Próbowała się wydostać. Kierował nią instynkt przetrwania.

— Czołgała się od sypialni do kuchni.

— Tak. A on podążał za nią. Patrzył, jak walczy o życie. — Hoskins wskazuje na krwawe odciski butów. Większość z nich biegnie za krwawym pasmem. Są zabrudzone i już nieco wyschnięte. Jednak dwa ślady butów przestępcy widnieją nieco dalej, tak jakby znalazł dobre miejsce, by na chwilę przysiąść. By być obserwatorem. — Wygląda mi to na rozmiar buta numer jedenaście. Jeśli zbadamy ślad dokładniej, to, jak sądzę, dowiemy się, że były to zwykłe buty sportowe, takie, jakie można dostać w każdym centrum handlowym w kraju.

— Straciła mnóstwo krwi.

— Tak. I to jeszcze zanim umarła. Założę się, że załatwił ją tosterem. Widzisz to? Jest wokół niego krew i fragmenty kości. Sporo włosów. Zmęczył się obserwowaniem, jak ona walczy, więc zaczął walić ją w głowę, aż umarła.

— Jezu Chryste.

— Cholera jasna. — Hoskins nie żuje gumy. Zamiast tego wkłada do ust długopis kulkowy i żuje jego końcówkę, aż ta jest zbyt pokrzywiona i połamana, by można było jeszcze go użyć.

Hoskins wstaje, a jego kolana lekko trzeszczą. Twarz Simms zakrywają włosy i Hoskins jest za to wdzięczny losowi. Przez lata pracy widział mnóstwo trupów, ale pośmiertny wyraz twarzy jest zawsze czymś okropnym. Lewe ramię Simms jest odrzucone w przód, palec wskazujący wyprostowany, tak jakby chciała zwrócić uwagę, by na coś spojrzeli, choć nie ma nic prócz pustej ściany. Lewa ręka spoczywa pod ciałem i nie widać jej. Dziewczyna ma na sobie białą koszulkę bez rękawów i bluzę, która zapina się z przodu i luźno zwisa z jej chudych ramion. Wygląda to trochę flirciarsko. Niemal seksownie. Jej dolna część ciała jest naga, jedynie na stopach dziewczyny tkwią skarpetki, które niegdyś były białe, a teraz, poplamione krwią, mają kolor zardzewiałego brązu. Wokół jej nadgarstków widoczne są czerwone ślady po sznurze, który wpił się w ciało. Wnioskując z szerokości śladów, musiał to być szpagat. Na górze i na dole nóg widać siniaki i nacięcia na skórze.

— Tamte dwie dziewczyny też związane szpagatem, prawda? — pyta Hoskins.

— Tak.

— Jak długo jest martwa?

— Zwłoki zeszywniały, więc jakieś dwadzieścia cztery godziny. Nie więcej. Będziemy wiedzieli dokładniej, gdy weźmiemy ją na stół.

— Gwałt?

— Zdecydowanie tak.

Okno w domku gościnnym otwarto siłą. Kimkolwiek był zabójca, podkraść się i znalazł Simms. Może spała albo brała prysznic, a on wszedł bez jej wiedzy. Ostatnim razem widziano Simms cztery dni wcześniej na zajęciach w lokalnym college'u. Była martwa od niezbyt długiego czasu. Przez trzy dni przetrzymywano ją w jej własnym domu. Marzyła, by umrzeć, podczas gdy samochody jeździły po ulicach, ludzie wyprowadzali psy na spacer, a wszystko to działo się tak blisko miejsca, w którym przebywała. Simms wiedziała, co dalej nastąpi, bo już kiedyś przez to wszystko przechodziła. Z Seeverem.

Chryste.

Hoskins okrążył ciało zmarłej, nie podchodząc blisko i starając się nie wchodzić w żadną z kałuż krwi. Wyjmuje komórkę, robi parę zdjęć. To stary zwyczaj, zawsze tak postępował. Lata temu nosił nieporęczny duży aparat. Teraz ma komórkę, ale cel jest ten sam. Robi zdjęcia bez zastanowienia, a Loren nie protestuje. Stoi z tyłu, pozwalając Hoskinsowi zajmować się swoją robotą.

Leżąca na kuchennym stole Simms wygląda na tak małą, chudą i kruchą. Hoskins pamięta dwie pierwsze ofiary wyniesione z korytarza w domu Seevera. Jeden z chłopców miał plecioną opaskę na nadgarstku. Prawdopodobnie zrobił ją sam z linki spadochronowej, co tylko sprawiło, że sprawa wydawała się jeszcze straszniejsza. Opaska bowiem świadczyła o



tym, że chłopiec ten kiedyś żył; pomyślał, że noszenie opaski jest cool, bawił się nią, kiedy był zdenerwowany lub podekscytowany i obracał ją wokół nadgarstka, aż stał sobie skórę.

— Dziewczynie obcięto niektóre palce — mówi Loren mimochodem, wyciągając z kieszeni pudełko papierosów i postukując nim o dłoń, choć jeden papieros tkwi już w jego ustach. — Tak jak robił to Seever.

— Na lewej ręce nie brakuje jej żadnych palców — stwierdza Hoskins.

— Chodzi mi o drugą rękę. Seever obciął jej mały palec. Ten facet pozbawił ją dwóch kolejnych.

— Chcę to zobaczyć — mówi Hoskins, a Loren rusza ku ekipie stojącej na zewnątrz. Dwóch techników kończy przerwę, odstawia kawę i zakłada lateksowe rękawiczki. Przemykają przez kuchnię i obchodzą Hoskinsa, wszystko to z wyjątkową ostrożnością, bo ciało jest tak blisko. Obaj są młodzi i są zawodowcami. Ich twarze nie zdradzają emocji, gdy podnoszą ciało Simms, a potem kładą na noszach, które ze sobą przynieśli. Znają się na swoim fachu. Kiedy ciało wędruje w górę, słychać odgłos zasysania — rozlana krew sprawia, że trudno podnieść zwłoki. Hoskins odwraca się, starając opanować uczucie, jakby żołądek podchodził mu do gardła. Widział tuziny, a nawet setki miejsc zbrodni, ale to nie ma znaczenia — takie rzeczy zawsze będą koszmarne.

Hoskins delikatnie chwyta prawą rękę Simms za nadgarstek i unosi ją w górę, tak by wszyscy mogli się jej przyjrzeć. Ręka jest fioletowo-czerwona i spuchnięta, nabiegła krwią, ponieważ tkwiła pod ciałem zmarłej. Brakuje małego palca, ale to nic nowego, bo tak było już wtedy, gdy Simms pojawiła się na policji. Wcześniej odciął go jej Seever. Hoskins liczy palce dziewczyny, najpierw raz, a potem drugi, choć nie jest to konieczne. Simms ma teraz jedynie dwa palce, wskazujący i kciuk. Jej palce wyglądają niczym

rewolwer, myśli Hoskins. Są dowodem w sprawie.

Powoli opuszcza rękę dziewczyny i odwraca się, pocierając oko wewnętrzną częścią nadgarstka. Robi to ostrożnie, bo na rękach ma gumowe rękawiczki, tak by chronić dłonie przed brudem śmierci. Potrzebuje kawy i drzemki. Powinien zadzwonić do domu, sprawdzić, co z Joe i czy pielęgniarka wciąż z nim jest.

— To mi nie wygląda na Seevera — mówi Hoskins, patrząc, jak technicy ostrożnie wkładają ciało Simms do czarnego worka.

— Dlaczego tak uważasz?

— Seever przetrzymywał swoje ofiary. Chował je pod swoim domem. Chciał je mieć blisko, w zasięgu. A to co innego. — Hoskins łapie powolny, lecz płytki oddech. — Ten facet nie zawraca sobie głowy grzebaniem ofiar. Związał tamte dwie razem, bo chciał, żeby zostały odnalezione w tym samym czasie.

— Okay.

— Wybiera ludzi, specyficznych ludzi. Chciał, żebyśmy znaleźli te dziewczyny i natychmiast powiązali je z Seeverem. Widziałeś poranny artykuł o Brody i Abeycie? Ludzie już łączą ich zabójstwo z Seeverem.

— Potrzeba sporo wysiłku, by zaaranżować zabójstwa w taki sposób, aby stworzyć wrażenie, że włączony jest w nie Seever. — Dlaczego ten facet zadaje sobie tyle trudu?

— Nie wiem — odpowiada Hoskins. — Przestałem próbować zrozumieć popaprańców już bardzo dawno temu.

— Powinieneś zobaczyć coś jeszcze — mówi Loren, gasząc papierosa. — Tędy.

Hoskins podąża za Lorenem, powoli przemierzając dystans — o ile można to tak nazwać, bo to najwyżej kilka stóp — pomiędzy kuchnią, korytarzem a sypialnią. Ta ostatnia jest mała. Łóżko z japońskim materacem zajmuje większą część powierzchni pokoju, a resztę — tania komoda. Leżą na niej jakieś podręczniki. Na ścianie wisi kalendarz, prawdopodobnie rozdawany za darmo w banku, ale zdjęcia są udane. „Widoki Kolorado”, głosi napis. Kalendarz jest otwarty na stronie listopada, zaś zdjęcie pokazuje postrzępione czerwone skały i wystające zza nich pokryte śniegiem sosny.

Na końcu łóżka leżą watowane koce, które zajmują ziemię niczyją pomiędzy materacem a ramą mebla. Prześcieradło pokrywają plamy krwi.

— Tutaj, na górze — mówi Loren. Hoskinsowi zabiera chwilę, nim zauważy słowa wypisane nad metalowym zagłówkiem dużymi, czarnymi literami. Zastanawia się, czy ten facet napisał je, kiedy Simms jeszcze żyła i czy widziała napis, walcząc o życie. Ma nadzieję, że nie.

„To nigdy nie będzie koniec”.

— Nie ma żadnej możliwości, by Seever był w kontakcie z kimkolwiek z zewnątrz. Nie pisze listów, nie ma możliwości wysyłania e-maili. Nie odwiedza go nikt poza żoną, a przez połowę czasu Seever jest tak oszołomiony lekami, że nie potrafi znaleźć własnego fiuta. Nie mam pojęcia, jak może mieć coś wspólnego z tym napisem. — Loren wzdycha. — I jeszcze te palce. O tym nikt nie wiedział.

— Tak, ale w korytarzu w domu Seevera pracowało mnóstwo ludzi. Komuś mogło się coś wymyślić. Informacje o tym fakcie były w komputerze. Zrobiono zdjęcia. To mogło wyciec na tuzin różnych sposobów.

— Ale co z tym głównym? — pyta Loren, wskazując na słowa nad łóżkiem. — Nie umieszczaliśmy ich w żadnym z policyjnych raportów. To

pozostało pomiędzy mną, tobą i Seeverem.

— O czym ty mówisz?

— Jak to się stało, że facet znał te słowa, jeśli nie słyszał ich nigdy wcześniej?

— Jeśli uważasz, że jestem czemuś winien, powiedz to — mówi Hoskins.  
— Nie bądź ciotą. Zapytaj mnie o to.

— Nigdy nie mówiłeś nikomu o tym, że takie słowa wypowiedział Seever?

— Nie. — Odpowiedź pada natychmiast, bez zastanowienia. Świadomość, że to kłamstwo, przychodzi chwilę za późno. Bo Hoskins powiedział to komuś — Sammie. — Nigdy nikomu nie mówiłem.

— Ja także — mówi Loren.

Loren patrzy na niego, a potem odwraca wzrok. Kolejny powrót do czasów, gdy funkcjonowali jako partnerzy. Byli w stosunku do siebie podejrzliwi. Nie jest sprawą łatwą pracować razem przez bardzo długi czas i dlatego z pewnymi rzeczami Hoskins i Loren nie zawsze dobrze sobie radzą.

— Myślisz, że to ja zabiłem Carrie Simms? — pyta Hoskins. — Do tego pijesz?

— A zabiłeś?

— Naprawdę chcesz mnie o to zapytać, teraz, gdy sam wyglądasz jak sobowtór Seevera?

— Nie zachowuj się, jakby to była dla ciebie nowość. Wiesz, jak pracuję.

Tak, wiem, myśli Hoskins. Seever to najlepsza rzecz, jaka się przytrafiła Lorenowi. To dzięki jego sprawie zrobił karierę, dostał awans, własne biuro i

znaczącą podwyżkę. Seever uczynił Lorena legendą, a potem, gdy było już po sprawie, gdy polowanie się skończyło, wszystko inne wydawało się blade. Nijakie. Śmierć tych trzech kobiet jest dla Lorena jak wybawienie; wraca do Seevera. Życie zaczyna przypominać jedną wielką karuzelę — oto znaleźli się tam, odkąd zaczęli, niczym piłkarze, którzy raz jeszcze przeżywają mecz podczas jego powtórki.

— Cholera — mówi Hoskins. — Nigdy nie było tak jak teraz. Seever jest w więzieniu, więc możesz przestać gadać głupoty.

— Okay — odzywa się Loren. — Może ubrałem się jak Seever z twojego powodu.

— Co?

— Ty i Seever spędzaliście razem sporo czasu. Który to był pokój? Pokój przesłuchań numer dwa, ten w końcu korytarza, prawda? Stary dobry PP — czy nie tak go wszyscy nazywali? Seever szeptał ci do ucha wszystkie swoje chore sekrety, a ty potem nigdy nie byłeś już taki sam.

— O czym ty, kurwa, gadasz?

— Chciałem zobaczyć wyraz twojej twarzy, gdy mnie ujrysz w tym stroju — oświadcza Loren. — Myślałem, że na mój widok posrasz się w gacie. Ty i twoja panienska.

Hoskins przygryza policzek od wewnątrz. Mocno, bo jeśli Loren nie przestanie gadać, to Hoskins wybuchnie śmiechem. Będzie to histeryczny, ochrypły śmiech, którego nie sposób powstrzymać. Loren i jego głupota, jego popieprzone, chore pomysły. Jeśli będziesz próbował skłonić kogoś takiego jak Loren, by trzymał się zasad i zachowywał normalnie, skończysz z bombą umieszczoną pod podwoziem twojego auta.

— Nikogo nie zabiłem — mówi Hoskins znużonym głosem. — Możesz

wybić sobie z głowy te głupie pomysły. Mamy do czynienia z zabójcą naśladowcą. To oczywiste.

— Wiem, że nikogo nie zabiłeś. Sprawdziłem — byłeś czysty, kiedy doszło do pierwszego zabójstwa, kiedy Brody i Abeyta zostały wyciągnięte z wody — oświadcza Loren. Umiejscawia środkowy palec pośrodku okularów i przesuwa je ku nasadzie nosa, tak jak to zawsze robił Seever. Ten ruch jest tak cholernie prawdziwy, iż prawie surrealistyczny, a Hoskins czuje, że uderza weń fala strachu tak silna, że doznaje skurczu żołądka. — Ale jest ktoś, kto podziwia Seevera i chce dokończyć jego robotę.

Loren sprawdził Hoskinsa i to go wnerwia, ale Hoskins nie kłóci się, nie pyta, dlaczego to jego Loren podejrzewał w pierwszej kolejności. Może poruszy tę sprawę później, ale na razie jest zbyt zmęczony.

— Muszę iść — mówi.

— Pamiętasz Alana Cole'a?

Hoskins potrząsa głową.

— Kiedyś pracował z Seeverem, dostarczał fartuchy do restauracji. Byli dobrymi kumplami, sporo razem imprezowali, ale nigdy nic na niego nie znaleźliśmy.

— Taki kościsty facet z wąsami? — pyta Hoskins. — Tak, pamiętam go.

— Jezu, żałuję, że nie strzeliłem tego lizacza cipek prosto w mordę.

— Dlaczego o nim mówisz?

— Cole był oskarżony o napaść seksualną i próbę morderstwa rok po zamknięciu Seevera — odpowiada Loren. — Zwiął i od tej pory jest poszukiwany. Myślę, że to on jest facetem, którego szukamy. To on stoi za tym szambem.

— Są jakieś podejrzenia, gdzie może przebywać?

— Jeszcze nie, ale znajdziemy go. Gównem takie jak on zawsze się znajduje, trzeba je tylko wywęszyć. — Loren milknie. — Nie chcę, żebyś mówił o tym swojej dziewczynie. Ostatnią rzeczą, jakiej nam potrzeba, kiedy szukamy Cole'a, to dać mu szansę ucieczki.

— Jeśli już masz podejrzanego, to nie rozumiem, co ja tu robię — mówi Hoskins. — Brzmi to tak, jakbyś miał wszystko pod kontrolą.

Loren patrzy na niego.

— Polecenie szefa — odpowiada krótko Loren. — Black nie uważa, że to Cole, i chce, byśmy nadal zajmowali się innymi podejrzanymi.

— Okay.

— Powołano już grupę operacyjną — ciągnie Loren. — Spotkasz się z nimi wszystkimi jutro. W pokoju konferencyjnym o ósmej.

— Dobrze. Muszę się trochę przewietrzyć.

Drażni go zapach krwi, śmierci i moczu, ale przede wszystkim wyczuwalny w pokoju zapach Simms, który sprawia, że Hoskins ma zawroty głowy. To nie perfumy — prawdopodobnie nie było jej stać na zakup czegoś kosztowniejszego — ale dezodorant o lekkim zapachu pudru oraz woń proszku do prania. Zwykle zapachy, czyste i świeże, ale tak niepasujące do tego miejsca, gdzie widać krew i te słowa, te cholerne słowa wypisane na ścianie.

Na podjeździe na zewnątrz domu stoi Koreańczyk. Opiera się o zderzak samochodu, a sanitariusz mierzy mu ciśnienie. Kąciki jego ust opadają w dół, jak na maskach, których używa się w teatrze. Za każdym razem, gdy wydaje z siebie szloch, z jego ust wydobywają się kłęby pary i niemal natychmiast

znikają. Frank Cho mówi, że Carrie Simms była dobrą lokatorką. Zawsze dziękowała za koreańskie danie z kiszonych warzyw i kielki fasoli, które nieraz przywoził, była cicha i pełna szacunku. Miał nadzieję, że będzie chciała wynajmować domek gościnny w kolejnym roku.

Słowa na ścianie i odcięte palce — to niby drobiazgi, ale to właśnie drobne rzeczy są zazwyczaj najgorsze, powodując największą ruinę, tak jak guz ukryty w najbardziej mięsistej części brzucha, cierpliwie oczekujący na sposobność, by wylać swą truciznę i zabić gospodarza. Ale nie chodzi tylko o te dwie rzeczy — to także Loren ubrany jak Seever, zachowujący się tak jak on. To nie tak miało być. To nie w porządku. Hoskins powinien być w stanie ruszyć dalej w swoim życiu. Ale to nigdy nie będzie koniec, jak powiedział Seever. I w jakiś sposób miał całkowitą rację.

Hoskinsowi trzęsą się ręce. Nie potrafi wyrzucić obrazu Seevera z głowy. Widzi go, jak siedzi z rękami przykutymi do nóg stołu w pokoju przesłuchań numer dwa i uśmiecha się. Seever mówił bez przerwy, prawie nie robiąc pauz między słowami, napychając głowy policjantów koszmarnymi opowieściami. Seever doprowadzał Hoskinsa do szału, a teraz robi to samo z Lorenem.

„Dusiłem je, aż były prawie martwe — powiedział Hoskinsowi. — Potem cucilem. Reanimowałem je. Kiedyś przechodziłem kurs pierwszej pomocy. A kiedy wracały do siebie, były mi wdzięczne, płakały, myślały, że chcę je uwolnić. Myślały, że mam dosyć”.

— Ty łajdaku — mruczy Hoskins ze złością. Stracił tyle swego życia na Seevera, a teraz on powraca. Zaczął padać śnieg, niebo zrobiło się szare, zaś płatki osiadające na brwiach Hoskinsa topnieją i kłują niczym lodowe sztyleciki. Sanitariusz zajmujący się Cho patrzy na niego przez ramię, po czym wraca do swego pacjenta. — Ty pieprzony tłusty łajdaku.

— W porządku, Paulie? — odzywa się Loren, ale Hoskins już zaczął się



oddalać, idąc po podjeździe, u podnóża którego stoi zaparkowany japoński skuter Carrie Simms. Mija dom. Jeśli nie będzie chodził, chyba postrada rozum. Musi iść, mimo że jest zimno, wieje wiatr, a czubki uszu Hoskinsa są już kompletnie odrętwiałe. Musi wyrzucić Seevera z głowy, choćby tylko na parę minut. Kiedy idzie, może nie myśleć o tym, jak Seever szeptał. Hoskins słyszał te szepty przez ostatnie siedem lat i słyszy je nadal. To się nie skończyło.

Schyla się, przechodząc pod żółtą policyjną taśmą i toruje sobie drogę przez tłum, który stoi na chodniku. Trochę ludzi już się zebrało. Ludzie ciągną na miejsca zbrodni niczym muchy do końskiego gówna. Zwykli ludzie potrzebują jakiejś podniety i czegoś niecodziennego. No i jeszcze media, zawsze poszukujące informacji, zadające pytania i wtrącające się we wszystko, niczym dziecko pchające palce do kontaktu, które chce zobaczyć, co się wydarzy. Sammie jest jedną z dziennikarek; być może najgorszą, zawsze wsadzającą nos tam, gdzie nie trzeba, zjawiającą się w nieodpowiednim czasie. Hoskins nie potrafi nie myśleć o niej i Seeverze. Ten dupek na niej, pomiędzy jej udami, rozdzierający ją, szczerzący zęby w uśmiechu i charczący. Hoskins nie musi wiedzieć, jak to było, bo umie to sobie wyobrazić, i to czyni sprawę jeszcze gorszą.

Hoskins nie zwraca uwagi na tłum, przez który się przepycha. Ludzie chwytają go za rękawy ubrania, starając się go zatrzymać, by udzielił odpowiedzi na pytania. Chciałby, żeby samochody patrolowe wyłączyły światła, bo tylko przyciągają ludzi. Loren jest pewnie tuż za nim. Po drugiej stronie policyjnej taśmy robi zdjęcia tłumowi, by potem móc je obejrzeć. Niektórzy przestępcy lubią obserwować chaos, jaki wywołali, brać w nim udział. Są niczym duchy, które sycą się cierpieniem innych. Hoskins myśli o tym, przeciskając się obok kobiety trzymającej na rękach ssące butelkę dziecko. Rozgląda się dookoła, jego oczy prześlizgują się po tłumie, który

dostrzega, ale go nie widzi. Nie widzi też twarzy człowieka, który odwraca się na jego widok na tyle szybko, że zwraca to uwagę Hoskinsa. Mężczyzna garbi się pod wpływem chłodu; idzie szybko, oddalając się od miejsca zbrodni. Jest w tym coś dziwnego, bo nikt inny się stąd nie oddala — ludzie chcą przecież wiedzieć, co się dzieje. Hoskins wciąż wpatruje się w mężczyznę, gdy ten odwraca się przez ramię, nieco zbyt nonszalancko. To Ted, facet z sąsiedniego biura, który zawsze jest taki ciekawski, taki miły i który chce, by nazywano go Dinky.

Ted, który ma dostęp do wszystkiego w policyjnej bazie danych.

Ted, który niedawno rozmawiał z Hoskinsem na temat Seevera.

Ted, który widzi, że Hoskins mu się przygląda i który zaczyna biec.

To nie jest rywalizacja — Ted jest młody, ale Hoskins szybki, a poza tym rozzłoszczony. Potrafi teraz myśleć już tylko o tym, że pracuje z tym dzieciakiem, który był dla niego miły, kupił mu nawet kiedyś lunch i który nagle jest tutaj. Do Hoskinsa nie dociera, że nie można tak funkcjonować w policji, nie można wpadać we wściekłość i poniewierać ludzi. Przechodził już przez to i powinien wiedzieć o tym najlepiej.

Zderza się z Tedem, przewracając go na pobliski samochód, a potem na ziemię. Później siedzi na kościstej klatce piersiowej Teda, kolanami przygniatając do ziemi jego barki. Ręce ma zaciśnięte na jego gardle. Ted krzyczy, a w każdym razie próbuje krzyczeć, ale Hoskins tego nie słyszy. Słyszy Seevera — „myślały, że chcę je uwolnić, myślały, że mam dosyć, ale się myliły” — a potem na jego ramionach znajdują się czyjeś ręce, odciągają go na bok i coś uderza go w tył czaszki, coś ciężkiego i metalowego. W głowie Hoskinsa rozlega się dudniący odgłos. Słyszy go, zanim poczuje uderzenie. Ból sprawia, że Hoskins puszcza gardło Teda, wstaje i robi kilka chwiejnych kroków po chodniku. I jest jeszcze Loren, wrzeszczący coś

jazgotliwie, jakieś nonsensy. Przesuwa okulary do góry — te cholerne okulary i włosy, zaś Hoskinsowi wydaje się, że to Seever, a nie Loren, a może zawsze był to Seever — i uderza Hoskinsa w twarz otwartą dłonią, całkowicie go nokautując.

# SAMMIE

Sammie ledwie daje radę dotrzeć do łazienki na czas. Gwałtownie otwiera drzwi kabiny w toalecie, które odskakują w tył i uderzają ją w ramię, prawie zwalając z nóg. Jedzenie, które wydostaje się z jej żołądka przez usta, jest gęste i lepkie. Niektóre kawałki wyglądają tak, jak w momencie, gdy Sammie wkładała je do ust — paski sałaty, kawałki salami i cząstki pomidora.

Zaczerwieniona na twarzy myje ręce i płucze usta, starając się pozbyć kwaśnego smaku i resztek jedzenia, które utkwily w zakamarkach jamy ustnej, między policzkami a dziąsłami. Sammie jest mokra, kropelki potu zrosiły jej górną wargę i czoło. Szpera w torebce, szukając gumy albo cukierka miętowego, ponieważ nie chce, by Hoskins wyczuł w jej oddechu wymiociny. Jeśli oczywiście jeszcze kiedykolwiek będzie z nim rozmawiać. Na dnie torebki leży jeden listek gumy, jeszcze nieodpakowany. Musi pomóc. Gdyby w łazience były papierowe ręczniki, przyłożyłaby jeden mokry ręcznik do karku, by powstrzymać mdłości. Ale w łazience są tylko suszarki, które emitują gorące powietrze. Cholerne globalne ocieplenie, myśli Sammie. Nie można nawet dostać papierowego ręcznika.

Wciąż czekała na Hoskinsa, gdy ten wyszedł z domu. Nie mogła pozwolić, by odszedł, nie spróbowałszy pomówić z nim raz jeszcze. Dostrzegła, jak przepycha się pomiędzy ludźmi, których zgromadziło się cholernie dużo, ale nie widziała, co się stało. Słyszała tylko krzyki i czuła napieranie tłumu. Usłyszała, jak ktoś mówił, że Hoskins zaatakował młodego człowieka. Bez powodu. Chwycił go i rzucił na maskę samochodu. Próbował

go udusić.

Potem pojawił się ambulans i zabrał Hoskinsa, a ona pojechała za nim do szpitala. Teraz siedzi tutaj i czeka na jakieś wieści o nim. Powiedziała znudzonej pracownicy siedzącej w rejestracji, że czeka na jednego z pacjentów, ale kobieta wydawała się tym zupełnie niezainteresowana i odprawiła ją. Sammie usiadła więc w poczekalni i zaczęła oglądać „Sprawy rozwodowe”. Odbiornik telewizyjny wisiał w rogu poczekalni. Sammie sporządziła szkic artykułu na odwrocie wygrzebanej z kosza recepty. Nie bardzo miała o czym pisać, w każdym razie nie miała nic, co Corbin chciałby wydrukować. Byłoby inaczej, gdyby wiedziała, co wydarzyło się za policyjną taśmą. Ma to coś wspólnego z Seeverem, Sammie to wie — bo dlaczego Loren nosił takie ubranie, dlaczego fatygował się, by odwiedzić Seevera w więzieniu? Musi się tego dowiedzieć, zanim do sprawy wkroczy Chris Weber, który oczywiście wie już o jej rozmowie z Corbinem i zdaje sobie sprawę, że zacznie się rywalizacja. Corbin zapewne zadzwonił do Webera natychmiast po rozmowie z Sammie, by mu o wszystkim powiedzieć. Corbin właśnie taki jest — zrobi wszystko, by wydusić ze swoich dziennikarzy najlepsze materiały. Oczywiście nie ma już tak wielkiego znaczenia, czy Sammie zdoła usłyszeć coś od Hoskinsa. Ona ma przecież historię roku, historię dekady, jeśli tylko napisze: spałam z seryjnym zabójcą.

Jeśli będzie zdesperowana, zrobi to. Wypierze swoje brudy, opisując, jak pracowała w jednej z restauracji Seevera, jak zaczęli ze sobą flirtować, jak rosło między nimi napięcie i jak pewnej nocy znaleźli się sami w restauracji i uprawiali seks na blacie kuchennym z nierdzewnej stali. Wtedy miała dopiero dziewiętnaście lat, Seever był znacznie starszy — a ją zawsze pociągali starsi mężczyźni, władza i pieniądze. Trwało to parę miesięcy, aż wreszcie zaoferowano Sammie pracę w bibliotece uniwersyteckiej, na tyle dobrą, że nie mogła tej propozycji odrzucić. Rzuciła więc restaurację i to był koniec.

Potem nie widziała Seevera aż do czasu jego procesu. Na sali sądowej Sammie zawsze siadała z tyłu. Od Seevera dzieliły ją rzędy siedzeń wypełnione mnóstwem ludzi i nie miał szans jej zauważyć.

Tak, mogłaby pisać o Seeverze i miałyby zainteresowanych odbiorców; ludzie jedliby jej z ręki. Mogłaby napisać o tym, jak Seever dotykał jej nagich ud, jak mocno je chwycił, by wejść w nią głębiej. Mogłaby też napisać o tym, jak chciał ją związać, albo o tym, jak poprosił, by podduśła go rękawami jego koszuli zarzuconymi na szyję, podczas gdy on się onanizował. Ale nie potrafi. Chce tego, jednak duma powstrzymuje ją przed posunięciem się aż tak daleko. Ludzie patrzyliby na nią i wiedzieli, co robiła. Dean także, a ona nie chciałaby zobaczyć obrzydzenia w jego oczach. Myśli te sprawiają, że Sammie się kuli. Jeśli pewnego dnia ludzie wiedzieliby to wszystko na jej temat, jak dałaby radę się obronić? Powiedziałyby, że była wówczas młoda, że chciała się zabawić, że nie wiedziała, iż Seever jest zabójcą? Wszystko to prawda, ale nikogo by to nie obchodziło, bo to, co się liczy, to soczysta historia.

Sammie obraca te myśli w głowie, a tymczasem jej żołądek daje o sobie znać i kobieta biegnie do łazienki. To przez Seevera, myśli. Te wymioty. Nie może myśleć inaczej, bo tak zaczęła reagować od momentu, gdy zaczęła się zajmować historią Seevera, niedługo potem, jak zaczęła sypiać z Hoskinsem. Potem wymioty ustały na parę lat. Ale wciąż, nawet teraz, gdy Sammie myśli o Seeverze, gdy wspomina tamten okres swojego życia, jej język staje się ciężki i lepki, a żołądek ściska się bezradnie. Kiedy to się zaczęło, próbowała diagnozować samą siebie i przeszukiwała Internet pod kątem opisu symptomów. Zachodziła w głowę, skąd bierze się w jej ustach mdły smak po posiłkach, dlaczego zaciska się jej gardło i dlaczego czuje dziwną przyjemność, gdy żołądek opróżnia się z jedzenia. Może, myślała nieraz, to wszystko przez to, że Seever tak przytył z wiekiem albo dlatego, że miał tak

ogromny apetyt — na jedzenie, morderstwa, na życie — a może to stres, bo niełatwo było pisać o człowieku znienawidzonym przez wszystkich, choć Sammie ukrywała swoje trudności, udając, że to dla niej fraszka. A może wcale nie miało to związku z mężczyznami w jej życiu ani z jej pracą. Może chodziło o nią samą, której wciąż było coraz mniej, która musiała odciąć się od wszystkiego, czym była, skurczyć się tak, jakby jej prawie nie było.

Komórka dzwoni, gdy Sammie wychodzi z łazienki. To Dean.

— Gdzie jesteś? — pyta zaniepokojony. To najlepsza część małżeństwa. Zawsze jest ktoś, kto czeka na ciebie w domu. I jest to zarazem najgorsza część związku.

— Jesteś w szpitalu? — pyta. — Czy wszystko w porządku?

Kiedy parę miesięcy temu Dean sprawił jej nowy telefon, nie dotarło do niej, że nie był to po prostu miły prezent od męża. Telefon był najnowszej generacji, w intensywnym różowym kolorze, naładowany dzwonkami i różnorodnymi dźwiękami. Dopiero później Sammie odkryła, że Dean mógł sprawdzać położenie telefonu, wchodzić do Internetu i dowiadywać się, gdzie jest Sammie, jak gdyby była zwierzęciem, któremu wszczepiono chip. Teraz wszystkie telefony tak działają, powiedział jej Dean, a ona mu uwierzyła. Jeśli wszystkim, czego Dean potrzebował, był ten świecący niebieski punkcik na ekranie komputera, który wskazywał jej obecność, Sammie zgodziła się, by to miał.

— Wszystko w porządku — mówi. — Nic złego się ze mną nie dzieje. To Heather.

Nim wypowiedziała to kłamstwo, zawahała się tylko chwilę. Wyszła już z wprawy, ale nie może powiedzieć mężowi, co się naprawdę dzieje. Jeśli dowiedziałby się, że czeka na Hoskinsa, zaczęłyby się problemy. Mimo że

byli na terapii małżeńskiej, omówili wszystko i zakończyli sprawę, Dean myśli, że ona wciąż ma ochotę pieprzyć się z Hoskinsem.

— Tak. Wiesz, która? Dziewczyna, z którą pracuję. Ta, która sprzedaje olejki. Olejki eteryczne.

— Nie.

— Wiesz, ta ładna. Mówiłam ci o niej. Myślę, że ma zatrucie pokarmowe. Zjadła nieświeży owoc podczas przerwy na lunch.

— Wszystko z nią w porządku?

— Nie mam pewności. Jestem w poczekalni. Nie mogę jej tak zostawić, bo nie wiem, czy mąż po nią przyjedzie.

— O której będziesz w domu?

— Nie mam pojęcia — odpowiada Sammie. Do poczekalni ktoś wchodzi i rzuca Sammie spojrzenie. Ona również podnosi wzrok. To Chris Weber. W chwili gdy Sammie go dostrzega, robi się mocno czerwona. — O, już jest. Musimy iść, wkrótce będę w domu.

— Wydaje mi się, że Corbin totalnie stracił rozum, kiedy powiedział mi, czym będziesz się teraz zajmować — mówi Weber, idąc szybko w jej kierunku i sztywno stawiając nogi. Ma na sobie luźne spodnie i sweter z golfem. Kiedy zaczynał pracę w „Poście”, nosił wyłącznie dzinsy i bluzy. Moda uliczna. Potem awansował i odniósł sukces. Stał się poważnym reporterem. — Co ty do diabła tutaj robisz?

— Czekam na przyjaciela, który jest na oddziale ratunkowym — mówi chłodno Sammie. — A ty dlaczego tutaj jesteś?

— Wiem, że przywieziono tutaj detektywa Hoskinsa — mówi Weber, podchodząc bliżej. — To moja historia i pożaluj się, jeżeli nie przestaniesz



się w to wpięprzać.

Jest wyższy i większy od niej i prawdopodobnie przywykł dzięki temu zastraszać ludzi. Ale Sammie spędziła parę lat w pokoju redakcyjnym i nauczyła się mówić zdecydowanie i tak samo się zachowywać, kląć jak szewc i zachowywać trzeźwość umysłu w każdej sytuacji. Jeśli grasz w męskim zespole, musisz być taka jak oni. Po tych wszystkich latach w „Poście” facet w swetrze z golfem nie przeraża jej ani trochę.

— A co zrobisz, jeśli nie przestanę? — mówi. — Połamiesz mi nogi? Powiesz mojej mamie?

— W co ty pogrywasz? To moja historia.

Sammie śmieje się, śmieje mu się prosto w twarz. Czuje się świetnie, nie musząc być przyjemną, uprzejmą i pomocną, jak to ma miejsce każdego dnia w pracy.

— Jesteś nowy w tej branży? — pyta. — To nie jest *twoja* historia. Tu wszystko jest do wzięcia, każdy może zdobyć złoty medal.

— To moja szansa — mówi Weber. — Czy wiesz, co musiałem robić, żeby dostać tę pracę?

— Co? — pyta Sammie. — Musiałeś kraść? Oszukiwać? Ssać fiuta?

— Nie — Weber odstepuje krok do tyłu, zaskoczony jej nagłą jadowitością. Z pewnością słyszał plotki na jej temat i wie, co ona musiała robić, wie, do czego jest zdolna. Wygląda jednak na zaskoczonego. — Nic z tych rzeczy.

— A może to ty jesteś zabójcą — szepce Sammie, podchodząc do niego. Wkręca go teraz, stara się wyprowadzić z równowagi. Na twarzy Webera znać silne emocje, zdumienie, a może poczucie winy? Znikają jednak po

sekundzie. — To byłby doskonały sposób, by popchnąć twoją karierę do przodu, prawda? Zabić kilka osób, sprawić, by wyglądało to tak, jak robota Seevera. A ty na tym zyskujesz, prawda?

— To pasuje raczej do ciebie, nie do mnie — odpowiada Weber. — Ostatni rok był dla ciebie kiepski, prawda? Wszystko, co masz, to żałosna praca w handlu detalicznym.

— Och, oszczędź sobie — syczy Sammie. Czuje, jak opadają jej kąciki ust, a zmarszczka pomiędzy brwiami się pogłębia. Sammie jest zła, a złość szkodzi piękności. — Myślałeś, że to będzie łatwe, nieprawdaż? Że Corbin da ci to zadanie ot tak, a ja będę błagać, by pozwolono mi pomagać? To tak nie działa.

Do poczekalni wchodzi Hoskins. Zatrzymuje się, słucha, co mówi do niego kobieta z rejestracji, a potem patrzy na Sammie. Na nasadzie nosa ma bandaż, a do karku przykłada woreczek z lodem.

— A teraz zejź mi, kurwa, z drogi, mam artykuł do napisania — oświadcza Sammie, odrzucając włosy na ramiona i odchodząc.

— Co tutaj robisz? — pyta Hoskins. Nie wygląda na zadowolonego, że ją widzi, ale nie jest też zły. Sammie bierze to za dobry znak. Hoskins zdaje się nie zauważać Webera. — Ciągłe mnie śledzisz?

— Wyglądasz koszmarnie.

— Tego właśnie teraz potrzebuję. Kogoś, kto powie mi, jak wyglądam po tym, jak połamano mi twarz na kawałki.

— Słyszałam, że już przez to przechodziłeś — mówi Sammie, a on gapi się na nią, mrugając. W lewej dziurce nosa widnieje zakrzepła krew. — Jak rozumiem, teraz bijesz dzieci?

Hoskins parska, po czym łapie się za głowę i jęczy.

— Jezu, to boli.

— Pozwól, że kupię ci kawę — mówi Sammie, kładąc mu rękę na ramieniu i prowadząc w dół korytarza, z dala od Webera. Dziennikarz wygląda tak, jakby kopnięto go w jaja, które wylądowały mu przez to w gardle. Ale szybko się otrząśnie, a zanim to nastąpi, Sammie chce zniknąć i mieć Hoskinsa tylko dla siebie. — A może postawię kolację?

— A co za to chcesz? — pyta Hoskins, ale ze sposobu, w jaki na nią patrzy, Sammie wnioskuję, że wie, czego ona chce — jego słów. Jak za dawnych czasów.

— Będę miała przyjemność, że pomogłam staremu przyjacielowi.

# HOSKINS

Jadą do McDonalda, bo tak chce Sammie, a ponieważ to ona prowadzi, Hoskins nie wysuwa żadnych roszczeń. Sammie nie chce podjeżdżać do barków, gdzie kupuje się jedzenie bez wychodzenia z auta, bo potem trzeba je w nim zjeść. Wchodzą więc do McDonalda i siadają na jednej z twardych ławek. Sammie zamawia cztery podwójne cheeseburgery i duże frytki oraz gigantyczny kubek Coca-Coli. Hoskins poprzestaje tylko na kawie i patrzy zdezorientowany, jak Sammie rozkłada serwetkę na kolanach i zaczyna jeść.

— Masz zamiar zjeść to wszystko? — pyta.

— Zobaczysz.

I Hoskins tak robi. Opiera się wygodnie i obserwuje ją. Sammie ma tusz rozmazany pod oczami, szminka starła się z kącików jej ust. W słabym fluorescencyjnym świetle wygląda na starszą i bardziej wymizerowaną. Z wiekiem niektóre kobiety nieco tyją, przybywa im parę funtów w pasie, ale zdaniem Hoskinsa po tych siedmiu latach Sammie raczej straciła na wadze. Widzi każdą żyłkę na jej rękach, każde ścięgno. To nieładne dłonie. Dłonie więdźmy. Sammie pachnie pomarańczami. „Mężczyźni uwielbiają, gdy kobieta pachnie owocowymi perfumami”, mawiała, ale on zawsze sądził, że Sammie mówi o nim, a nie o innych mężczyznach. Miała zwyczaj perfumować się za uszami, na nadgarstkach i w delikatnym miejscu, gdzie jej uda się łączyły.

Czy Seeverowi podobało się, gdy pachniała owocami?

Hoskins nie zdaje tego pytania.

— Kogo zabito w tym domu? — pyta Sammie. Usta ma tak wypełnione jedzeniem, że Hoskins ledwo rozumie jej słowa. — Czy to ma związek z tymi dwoma kobietami? Brody i Abeytą? Czy mamy do czynienia z zabójcą naśladowcą?

Hoskins podnosi plastikową łyżeczkę, po czym odkłada ją na stół.

— Wiem, dlaczego zaatakowałeś tego dzieciaka. Ale to nie on, Paulie. — To właśnie powiedział mu Loren przez telefon; zadzwonił podczas oględzin w szpitalu i Hoskins odebrał, choć lekarze nie byli z tego zadowoleni. W gabinecie wisiała tabliczka: „Zakaz używania telefonów komórkowych”, ale istniały plusy bycia gliną. Możesz ignorować takie przepisy.

„— Ten dzieciak — jak mu na imię? Ted? Sprawdziłem. W weekend, w którym zniknęły Brody i Abeyta, był w Miami, a jego matka powiedziała, że w ubiegłym tygodniu każdą noc spędzał w domu.

— A dlaczego zaczął uciekać, kiedy mnie zobaczył?

— Nie wiem. Może dlatego, że zjechałeś go za grzebanie w plikach Seevera, a on nie chciał drugiej porcji połajanek? Nieźle go załatwiłeś, będzie na zwolnieniu przez parę następnych dni. Miejmy nadzieję, że nie zgłosi sprawy do sądu.

A ponieważ lekarz czekał, a pielęgniarka usilnie się weń wpatrywała, Hoskins nie mógł nic powiedzieć, nie mógł się wytłumaczyć.

— Nie wiedziałem — powiedział tylko, bo była to jedyna rzecz, na którą w tej chwili było go stać, a Loren się roześmiał”.

— Nie zmieniałaś się, wiesz? — mówi teraz Hoskins. — Wy, reporterzy, wszyscy jesteście tacy sami.

— Co masz na myśli?

— Od dwóch minut nie przestajesz próbować wycisnąć ze mnie informacji.

— To nieprawda. Zapytałam, jak się czujesz — odpowiada Sammie, uśmiechając się.

— Proszę. Dokładnie wiem, czego ode mnie chcesz. Porzucisz żarciki, jak tylko twoje nazwisko znajdzie się w druku — mówi Hoskins. — Jeśli miałabyś wybierać pomiędzy życiem w rajku a oglądaniem swego nazwiska na pierwszej stronie gazety, wiem, co byś wybrała.

— I co by to było? — uśmiecha się szeroko Sammie, bo dobrze wie, jaka jest odpowiedź. To słowa, pisanie było zawsze jej sposobem na życie, podobnie jak niemal dla każdego reportera, którego spotkała. Byli jak narkomani oczekujący na kolejną działkę. Była taka chwila w domu Seevera, gdy z korytarza z węzłami sanitarnymi wyciągnięto kolejne ciało i Sammie wiedziała, że znowu będzie miała o czym pisać. Hoskins ujrzał wtedy na jej twarzy przebłysk zadowolenia. Robiła notatki, rozmawiała z ludźmi, cykała zdjęcia, a kiedy w gazecie wydrukowano jej artykuł, nosiła ją ze sobą cały dzień i nie tylko była dumna, ale wprost upojona. Po tym, jak publikowano kolejny jej artykuł, chciała się kochać; któregoś razu było to na podłodze w kuchni jej domu, kiedy Dean był w pracy. Leżeli na linoleum, a obok hałasowała zmywarka. Sammie leżała na plecach z nogami na kuchennym krześle, tak by móc unieść uda ku Hoskinsowi, a kiedy osiągnęła orgazm, ugryzła go w ramię tak, że aż krwawił.

Hoskins czuje gorąco w okolicy karku.

— Nie proszę o wiele — mówi. — Wszyscy prędzej czy później dowiedzą się, co zaszło w tym domu. Proszę tylko o coś na początek. Imię. Tak, żebym miała się czego uchwycić. Potrzebuję czegoś takiego.

— Usiłujemy chronić ludzi przed popadaniem w przerażenie — odpowiada Hoskins. — Nie chcę czytać artykułu pełnego kłamstw, napisanego tylko po to, żebyście sprzedali więcej egzemplarzy. Jak ta śmieciowa gazeta z dzisiejszego ranka — nie znoszę czytać takiego gówna.

— Nie piszę czegoś takiego — mówi Sammie pogardliwie. — Powinieneś to już wiedzieć.

— Tak, znam cię. I to jest problem — odpowiada Hoskins. — Chcemy zamknąć te sprawy najszybciej, jak się da. I, szczerze mówiąc, im mniej wie opinia publiczna, tym łatwiejsza będzie moja praca.

Sammie unosi brew.

— Ludzie powinni wiedzieć, co dzieje się w ich mieście — mówi. — Zaslugują na to, by wiedzieć. A jeśli teraz nic mi nie powiesz, dowiem się tego prędzej czy później, niezależnie od tego, jak bardzo będziesz chciał utrzymać to w tajemnicy.

Mógłby jej dać to, czego ona oczekuje — i poprosić o seks. O zrobienie laski ręką. Albo o parę innych numerków, o jakich gadali faceci z jego pracy, kiedy to kobieta ssie facetowi fiuta, aż on dojdzie. Mógłby mieć, co tylko zechce. Takie układy panowały między nimi kiedyś, tylko że wtedy Hoskins nie był w grze „seks za informacje”. Mógłby nalegać, żeby do tego wrócili, powiedzieć, by zrobiła to, czego on zechce, każdą perwersyjną rzecz, jaka kiedykolwiek przyszła mu do głowy. Mógłby ją związać i skręcać jej sutki, sprawiając, że będzie krzyczeć bólu, a ona by na to przystała — Hoskins widzi to po jej twarzy. Zgodziłaby się. Nie podobałoby jej się to, ale robiłaby, cokolwiek on zechce, dopóki nie dostałaby tego, na czym jej zależy. A potem by odeszła.

Dlatego Hoskins nie prosi o seks. Nie prosi o nic. Powie Sammie to, o

czym chce wiedzieć, bo wie, że ona ma rację. Nie ma znaczenia, że sprawa zabójstwa i tak wkrótce wyjdzie na jaw. Powie jej, bo ją kocha, choć Bóg wie, jak bardzo pragnąłby, żeby tak nie było.

— Ofiara to Carrie Simms — mówi cicho poufałym tonem. Nikt nie siedzi w pobliżu, ale nigdy nie można być pewnym, czy ktoś nie podsłuchuje.

— Carrie Simms — marszczy brwi Sammie. — Simms? Ale to... o mój Boże. To dziewczyna, która uciekła Seeverowi.

— Tak.

— Co się stało?

— Ktoś włamał się do domku, w którym mieszkała. Torturował ją i zgwałcił. Policja upewnia się, czy należy łączyć tę sprawę z Seeverem.

Sammie marszczy brwi, postukując palcami o blat stołu. Trybiki w jej mózgu muszą obracać się z zabójczą prędkością. Większość kobiet na wieść o tak strasznych rzeczach byłaby zasmucona, przerażona, ale Sammie nigdy się tak nie zachowywała i to właśnie Hoskins w niej podziwiał. Jest w niej jakiś chłód, kalkulacja, a takie cechy kobiety miewają rzadko. Sammie zaś ma je niejako w pakiecie.

— To dlatego Loren ubiera się jak Seever — mówi.

— Tak.

Sammie jest podekscytowana, Hoskins poznaje to po sposobie, w jaki przeżuwa jedzenie, po iskierkach błyskających w jej oczach. Tego właśnie od niego oczekiwała. Wszystko, czego kiedykolwiek oczekiwała. Ale nic w życiu nie jest za darmo. Między zębami utknął jej kawałek mięsa z hamburgera, a szminka rozmazała się na brodzie, więc dziewczyna jest w pełnym nieładzie.



Wygląda niczym kłown.

— Mam do ciebie pytanie — mówi Hoskins.

— Jakie?

— Czy kiedykolwiek spałaś z Seeverem?

Sammie patrzy w dół, na niedojedzonego hamburgera w żółtym opakowaniu. Wystaje z niego piklowany ogórek. Sammie wyciąga rękę, tak jakby chciała podnieść hamburgera i ugryźć kawałek. W ostatniej chwili zmienia jednak zdanie i kładzie rękę na kolanie.

— Tak — mówi cicho.

— Podobało ci się? — pyta Hoskins, pochylając się ku niej. Krawędź stołu wbija mu się w klatkę piersiową. Nie wie, dlaczego to robi, dlaczego nagle ma ochotę ją zranić, ale nie potrafi się powstrzymać. — Jak to było pieprzyć się z nim?

Sammie odwraca wzrok od hamburgera i patrzy na Hoskinsa. Ma przepiękne oczy, zawsze miała: duże, niewinne, dziewczęce. Wygląda tak, jakby miała ochotę płakać, ale Hoskins w to wątpi, bo Sammie jest twarda. Styka się z brudem tego świata i strząsa go z siebie. Nie, Sammie nie płacze, ale Hoskins jest zdziwiony, gdy pochyla się nad stołem i wydaje z siebie beknięcie, które brzmi jak głos ryczącej żaby, a potem wymiotuje całym późnym obiadem, jaki przed chwilą pochłonęła, a przeżuty hamburger i pieniący się napój spadają na czyste płytki podłogi.

# GLORIA

Kiedy Gloria była dzieckiem, nieznajomi ludzie zatrzymywali jej matkę na ulicach, wołając do niej zza szyb swoich samochodów: „Jest pani najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem”. Jej matka lekko pochylała głowę i ruszała do przodu z torebką przewieszoną przez jedno ramię, zacisnąwszy usta. A nawet jeśli nikt nic do niej nie mówił, ludzie patrzyli. Czasami rzucali spojrzenia spod opuszczonych rzęs, choć najczęściej były to otwarte spojrzenia, a bardzo często rozlegały się gwizdy i sprośne propozycje. Jej matka nigdy nie mówiła na ten temat, nigdy nie powtarzała skierowanych do niej komentarzy. Było tak, jakby nic z tych rzeczy nigdy nie miało miejsca, jakby nie miało znaczenia. Gloria nie mogła tego pojąć, nie rozumiała, jak ktoś może tak lekceważyć komplementy. Może dlatego, że była jeszcze mała, a może dlatego, że tak brzydka.

— Jakiś pan powiedział dzisiaj, że mama jest ładna — powiedziała Gloria któregoś dnia przy obiedzie. Miała wtedy osiem lat. Siedzieli we troje przy stole, ze starym psem kulącym się u ich nóg. Zwierzak położył pysk na łapach i czekał na jakieś kąski z obiadu.

— A co odpowiedziała na to twoja mama? — Jej ojciec odłożył widelec z wyjątkową starannością, tak że nawet nie stuknął, gdy dotknął o talerz. Matka, siedząca po drugiej stronie stołu, nie poruszyła się. Nie podniosła oczu znad talerza, choć oboje — Gloria i jej ojciec — wpatrywali się w nią, oczekując odpowiedzi.

— Nic powiedziała — oświadczyła Gloria.

Jej ojciec był wysokim mężczyzną. Szczupłym, ale umięśnionym. Kiedy

wchodził do pokoju, wydawało się, że wysysał z niego całe powietrze, całe życie. Nie był przystojny, z włosami wystającymi mu z uszu i wągrami na nosie. Nie wyglądał interesująco nawet na ślubnym zdjęciu, które wisiało w jadalni, ale każdy wypadłby blado przy jej matce, która wyglądała cudownie w białej sukni, choć się nie uśmiechała. Gloria zawsze się zastanawiała, jak jej rodzice się na siebie natknęli i jak to się stało, że jej matka skończyła, gotując w kuchni męzowskiej restauracji i sprząając ponury ceglany dom przy Dziewiątej Ulicy. Wyglądała przecież jak królowa. Gloria nigdy jednak o to nie pytała. Takie pytanie padło dopiero po latach, a i wtedy matka powiedziała jedynie, że nie pamięta, jak to wszystko się potoczyło. Jej mąż potrafił być podstępny jak wąż, ale miewał również dobre momenty. Potrafił być uprzejmy, a bywały i takie chwile, gdy Gloria widziała rodziców szczęśliwych, śmiejących się, trzymających za ręce i całujących się. Ojciec przynosił żonie kawę do łóżka i masował jej stopy, ale bardzo szybko mogło się to zmienić. O tak, nastroje ojca ulegały szybkim i niespodziewanym odmianom.

— Nie powiedziała nic — odezwała się matka, poprawiając Glorię i ani na chwilę nie odrywając wzroku od smażonego na maśle groszku leżącego na jej talerzu. — Tak powinnaś to powiedzieć.

— Facet miał rację — stwierdził ojciec. Wpatrywał się w żonę, a w jego wzroku był żar i niemal parujące gorąco. — Twoja mama jest tak ładna, że mógłbym ją zabić, gdyby jakiś mężczyzna chciał mi ją ukraść.

A potem zaczął się śmiać.

Przez całe życie Gloria zastanawiała się, jak to jest być tak urodziwą, że mężczyźni zaczynają zachowywać się jak zgłodniałe psy walczące o kość. Choć nie zawsze tak było — czasem, widząc jej matkę, wpadali w złość, jak gdyby jej ciemne oczy i piękna twarz były stworzone po to, by oni się

odczepili.

Ale Gloria nie wiedziała, jak to jest być piękną i nigdy nie miała się dowiedzieć. Była podobna do ojca — wysoka i szczupła, o płaskiej twarzy. We wczesnym dzieciństwie podsłuchiwała, jak mówiono, że kiedyś wyrosnie, że nieładne dziewczynki stają się uroczymi kobietami. Ale w jej przypadku tak się nie stało. Była taka sama, mając lat czterdzieści, jak w dniu urodzenia. Jej matka tego nie skomentowała, ale ojciec — owszem.

— Zawsze bardziej podobały mi się mądre dziewczyny niż te ładne — powiedział, chociaż oboje wiedzieli, że kłamał, bo nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż wpatrywanie się w żonę; nie była głupia, ale nie była geniuszem. — Będiesz kiedyś dobrą żoną.

Nie chodziło o to, że jej matka była złą żoną, ale wzbudzała w mężu coś — coś złego, głupiego i zaborczego, choć nikt prócz Glorii tego nie zauważał. Jak wtedy, gdy ojciec był przekonany, że jego żona i rzeźnik mieli romans, bo ona uśmiechnęła się do niego, zamawiając kawałek mięsa na pieczeń. Nawet coś tak niewinnego jak uśmiech było podejrzane. Ojciec zapytał ją o to tamtej nocy, oskarżył o bycie niewierną, a potem przez trzy godziny trzymał strzelbę wycelowaną w jej twarz. Była to jedna ze strzelb, z którymi polował zimą na łosie. I tak trwali — jej matka stała za kuchennym blatem, ojciec siedział, oparłszy kolbę broni na udzie, telewizor grał, a wołowina piekła się w piecyku. Jej matka nie krzyczała na widok strzelby i nie wydawała się wcale zdziwiona, zupełnie jakby spędziła całe małżeństwo, będąc pewna, że mąż ją zabije, jeśli obiad spali się na popiół.

— Idź do swojego pokoju — powiedziała jej mama, ale Gloria schowała się za kanapą w salonie, podkuliwszy kolana pod brodę. Wdychała kurz i starała się powstrzymać od kichania. Nie rozumiała wszystkiego, co mówił jej ojciec, lecz była pewna, że stanie się coś złego. Gloria była dzieckiem, ale

z konieczności szybko dorastała — jak to bywa u większości dziewcząt. Widziała, jak miłość ojca do matki zmienia się w obsesję, że traktuje ją tak, jak chciwy człowiek pieniądze — że ją posiadał i jednocześnie czcił. Ojciec zawładnął nią, schował tam, gdzie nikt inny nie mógł jej zobaczyć, niczym skarb w sejfie. Albo ją zniszczył.

Gloria zasnęła za kanapą, oczekując na strzał, który nigdy nie padł i obudziła się dopiero wtedy, gdy matka niosła ją do dziecięcego pokoju, szepcząc, że powinna jeszcze skorzystać z łazienki, tak żeby nie było żadnych wypadków w nocy. Nie włączyła światła w toalecie. Palilo się tylko światło w przedpokoju, żółte i uspokajające.

— Dlaczego tata to zrobił? — zapytała Gloria, kiwając się na zimnej desce toaletowej. Na wpół przebudzona starała się jakoś zrozumieć sytuację.

Jej matka klęczała na zimnych płytkach, czekając, aż Gloria skończy, by potem pomóc jej z majtkami i zanieść ją do łóżka. Nie wyglądała wtedy na piękną, raczej na zmęczoną, smutną i starą.

— Nie wiem — odpowiedziała. — Przypuszczam, że zachował się tak, bo bardzo mnie kocha.

„Kiedy wyjdiesz za mąż, restauracja będzie twoja”, powiedział jej ojciec, gdy była jeszcze dzieckiem. Gloria przychodziła tam, siadała na ławie, która stała nieco z dala, a kelnerka przynosiła jej słodki napój z proszku i frytki. Wyobrażała sobie, jak to będzie mieć restaurację na własność i jak ją wtedy ulepszy. Zastąpi stare krzesła nowymi i wyrzuci tanie plastikowe paprotki, które ustawiono w kątach. Wprowadzi nowe rzeczy do karty dań. Ciasta i ciasteczka. Matka Glorii gotowała wszystko, ale nie piekła ciast. To przez tę wysokość, jak narzekała. Denver leżało na wysokości tysiąca sześciuset metrów i to było zbyt wysoko, by ciasto mogło wyrosnąć. Jej ciasta zawsze opadały, tak jakby ktoś rzucił w środek jakiś kamień.

Gloria nigdy nie miała chłopaka. Nie chodziła na randki w szkole średniej, nie spędzała piątkowych nocy w kafejkach, do których podjeżdża się samochodem i bierze jedzenie na wynos. Jej matka usiłowała umawiać ją z chłopcami z kościoła, ale nigdy nie dochodziło to do skutku. Jej ojciec ani razu tego nie skomentował, ale Gloria wiedziała, że uważał ją za lesbijkę. Poznawała to po sposobie, w jaki nieraz na nią patrzył, a poza tym przeforsował to, że po szkole średniej poszła do college'u. „Musisz sama umieć o siebie zadbać — powiedział to niby serdecznie, ale nie patrzył jej w oczy. — Tak na wszelki wypadek”.

To było lato po jej pierwszym roku w college'u, gdzie Gloria studiowała historię. Przyjechała do domu i pracowała w restauracji ojca jako kelnerka. Od czasu do czasu wypalała papierosa na zapleczu. Właśnie wtedy spotkała Jacky'ego.

— Możesz poczęstować mnie papierosem? — zapytał, pojawiając się nagle za jej plecami i sprawiając, że aż podskoczyła, bo nie powinna była tam się znajdować. Jej ojciec nie wiedział, że paliła, i zrobiłby piekło, gdyby to odkrył. Nie spędzał w restauracji zbyt wiele czasu — oboje rodzice zresztą nie bywali tam za często, krzątając się zwykle po domu, zajęci pracą w ogrodzie, telewizją i czymś tam jeszcze, ale Gloria wciąż się bała, że ją nakryje. — Zostawiłem swoje w domu.

Gloria wyciągnęła paczkę papierosów z kieszeni kuchennego fartuszka i podała mu ją, mocno zaskoczona. Odkąd zaczęła pracę w restauracji, niewiele z nią rozmawiano — była córką szefa, nieznajomą — i nie wiedziała, jak zareagować na pojawienie się przyjaznej twarzy.

— Dziękuję — powiedział. — Brakowało mi tego.

— Tak, oczywiście.

Stał obok niej, opierając się o zielony pojemnik na śmieci. Jedną nogę w sportowym bucie oparł o jego metalowy bok. Nie był przystojny, ale w jego twarzy było coś, co sprawiało, że Gloria miała ochotę na niego patrzeć. No i jego sposób chodzenia, jak gdyby na lekkim poślizgu, przypominający nieco sposób poruszania się kraba na piasku.

— Jestem Jacky — powiedział. Nie wyciągnął ręki, by uścisnąć jej dłoń, co jej się spodobało. Zbyt wielu ludzi miało słaby uścisk i spocone dłonie, a Gloria miała potem ochotę wytrzeć rękę o spódnice, ale nie mogła, bo pomyślano by, że jest niegrzeczna. — Zmywam naczynia.

— Wiem.

— A ty jesteś Gloria, prawda? — zapytał, obserwując ją z ukosa swoimi jasnymi oczami. — Jedna z kelnerek?

— Tak.

Gdyby Gloria była bardziej towarzyską dziewczyną, miałyby coś do powiedzenia. Rzuciłaby coś na temat jego zegarka, pogody albo tego, że zawsze tutaj okropnie śmierdzi, zwłaszcza latem, niezależnie od tego, ile wrzątku wyleją na beton — cokolwiek, byleby tylko podtrzymać rozmowę. A gdyby była piękna, jak jej matka, nie musiałyby w ogóle za dużo mówić. Popatrzyłyby na nią i to by wystarczyło. Ale ona mogła być tylko sobą. Słyszała, jak jedna z koleżanek w college'u powiedziała kiedyś, że brzydkie dziewczyny muszą się bardziej starać o chłopaka. To miał być żart, ale okazał się prawdą. Gloria nie potrafiła jednak wymyślić nic, co mogłaby zrobić. Nie była ładna ani szczególnie mądra, tak więc stali tylko obok siebie, zaciągając się papierosami i wypuszczając w powietrze chmury dymu.

Trzy dni później Jacky zaprosił ją na randkę.

— Dlaczego się ze mną umówiłeś? — zapytała. To było po filmie, na

który zabrał ją Jacky, coś o kosmitach i statkach kosmicznych. Nie bardzo to rozumiała. „Musisz zobaczyć dwie pierwsze części”, powiedział Jacky, uciszając ją, kiedy zadawała pytania. Kupił jej popcorn i colę. Zatłuściły jej się ręce i miała ochotę oblizać palce, ale Jacky patrzył na nią, więc użyła serwetki.

— A dlaczego nie? — odpowiedział. — Byłem zaskoczony, że dziewczyna taka jak ty nigdy nie miała chłopaka.

Jej policzki płonęły.

Umówił się z nią w kolejny weekend na obiad w restauracji. Chyba cały personel zatrzymywał się przy stoliku, żeby pogadać. Nigdy nie spotkała nikogo takiego jak Jacky — kogoś, kto pamiętał imiona wszystkich, nawet jeśli spotkali się tylko raz trzy lata temu — kto potrafiłby przywoływać szczegóły, daty i wydarzenia, o których wszyscy już zapomnieli. On zawsze zadawał pytania — o pracę rozmówcy, szkołę, rodzinę. Ludzie uwielbiali to, bo każdy człowiek lubi mówić o sobie. Potem Gloria odkryła, że Jacky gromadził informacje niczym wiewiórka orzechy na zimę — w razie gdyby później ich potrzebował.

— Pracowałeś tu już kiedyś? — zapytała podczas obiadu. To było po tym, jak jeden z kucharzy oddalił się od ich stolika, wycierając ręce w fartuch i szczerząc zęby w uśmiechu. Przez pięć minut wymieniał z Jackym grube kawały, podczas gdy Gloria w milczeniu grzebała w swojej sałatce.

— Nie. Dlaczego pytasz?

— Wszyscy cię tu znają.

— Spotkałem tych ludzi po raz pierwszy w życiu — odpowiedział, uśmiechając się lekko. — Ale teraz już jesteśmy przyjaciółmi.

Jacky kolekcjonował znajomych tak jak niektórzy zbierają monety albo



znaczkę. Cały czas był w centrum zainteresowania, jak aktor na scenie; niektórych to od niego odrzucało, bo odbierali całą tę jego energię jako nieszczerą, ale większość ludzi szybko wchodziła w jego orbitę. Gloria również — była oczarowana jego historyjkami i żartami, a on zawsze wiedział, jakie zadać pytanie czy jak pokierować rozmową, by druga osoba poczuła się pępkiem świata. Był stworzony do pracy w handlu albo w polityce, a nie do zmywania garnków w restauracji, ale gdy mu o tym powiedziała, Jacky wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Miałem mnóstwo prac — powiedział. — Lubię próbować wszystkiego.

Pracował w wielu kuchniach, przez sześć miesięcy był stróżem w domu spokojnej starości, pracował nawet w kostnicy. Sprośnej kostnicy, jak to określił, ale to nie był żart, bo tak brzmiało nazwisko jej właściciela — Sprośny. Wykonywał tam najczęściej jakieś drobne prace, ale zdarzało się, że pomagał przy nieboszczykach. Tak ich zawsze nazywał. Nie mówił o ciałach, zmarłych czy sztywnych. Nieboszczycy. Pomagał ubierać ich w niedzielne stroje, nakładał im róż na policzki, układał głowy na satynowych poduszkach i dbał o to, by wszystko z ich włosami było w porządku i by w konsekwencji płacący rachunki krewni zmarłych byli zadowoleni.

— To cię nie przerażało? — zapytała Gloria. — To znaczy praca z nieboszczykami.

Kiedy zadała to pytanie, szli przez park, trzymając się za ręce. Jacky nie patrzył wtedy na nią, ale wprost przed siebie, mrużąc oczy od słońca.

— Nie — odparł. — To wcale nie była zła praca. Może nawet najlepsza, jaką miałem.

# SAMMIE

Oto miejsce, w którym mieszkał niegdyś Jacky Seever. To tutaj stał kiedyś jego dom, w którym mieszkał z żoną. Miał tu też swoje biuro, w którym trzymał książki podatkowe i biurkowy komputer — ten sam, na którym policja znalazła setki nagrań pornograficznych. Niektóre były nieciekawe, ale na większości z nich kobiety były związywane, torturowane i mordowane — choć nie można było być tego pewnym, bo kobiety te mogły przecież udawać. Albo i nie. To tutaj Seever jadał obiady, w czasie wolnym budował modeliki samochodów i zamordował ponad trzydzieści osób.

Ale to wszystko przeminęło, dom rozebrano, a cegły wywieziono. Może użyto ich w tajemnicy jeszcze raz, a może wyrzucono lub zakopano. Chciano w ten sposób pozbyć się gapiów i popaprańców, którzy przychodzili, by szperać w domu i zabrać z niego jakąś pamiątkę, kawałek Jacky’ego Seevera. Sammie nie rozumie, jak ludzie mogą coś takiego znieść — mieć w domu takie przedmioty. To niesmaczne. Nieprzyjemne. Posiadanie czegoś związanego z Seeverem doprowadziłoby ją do szaleństwa. Sprawiłoby, że przez cały czas myślałaby o nim i o tym, co zrobił. Pamięta i tak wystarczająco dużo na jego temat, nieprawdaż? Każdego dnia, przez całe życie nie będzie w stanie zapomnieć. Aż do dnia śmierci.

„Jak to było pieprzyć się z nim?”

Wciąż czuć od niej zapach wymiocin.

Nie jest pewna, jak się tutaj znalazła, po tym jak wysadziła Hoskinsa z jego auta. Zatrzymała samochód pod samotną uliczną lampą naprzeciwko pustego parkingu, pośrodku cichej dzielnicy. To tutaj wszystko się zaczęło.

Chociaż, jeśli Sammie miałyby być zupełnie szczerą, historia Seevera niezupełnie tutaj się zaczęła — jej prawdziwy początek miał miejsce gdzieś indziej, wiele lat temu, w czasach jego dzieciństwa, choć nikt nigdy nie będzie znać całej prawdy — prócz Seevera. Ale zdaniem Sammie ten dom to też jakiś rodzaj początku.

Carrie Simms. Nie był to początek historii z Seeverem, lecz jej zakończenie — w rezultacie Seever trafił przecież do więzienia. Gdyby Simms nie udało się uciec, gdyby umarła wtedy w garażu i została pochowana w korytarzu z węzłami sanitarnymi, Seever być może wciąż byłby wolny. A teraz dziewczyna nie żyje. Zamordowana w swoim domu siedem lat później. Loren ubiera się tak jak Seever. Hoskins jest cichy, wycofany, inny od tego człowieka, którego kiedyś znała. A Seever siedzi w więzieniu. Tymczasem coś się dzieje. Sammie nie rozumie jeszcze co, błądzi w ciemnościach, kręcąc się wokół i nie wiedząc, czego szuka. Puste miejsce między domami wygląda dziwnie, choć HOA<sup>1</sup> wciąż sumiennie wywiązuje się z koszenia trawnika i odśnieżania chodnika. Sammie zastanawia się, ile czasu minie, zanim powstanie tu plac zabaw. Parę ławek, duża piaskownica, jakaś mała fontanna z wodą. Może tak będzie. Albo i nie. Może to miejsce kojarzy się zbyt tragicznie, by miało być jakoś zagospodarowane. Od jej ostatniej wizyty tutaj minęło dużo czasu. Ostatnim razem była w domu Seevera, gdy budynek jeszcze nie został zburzony i wciąż wykopywano ciała z korytarza. Teraz jest tu od trzydziestu minut i widziała tylko dwie osoby, jakąś parę na późnym spacerze z psem. Gdy ją dostrzegli, zaczęli się jej przyglądać. Sammie pomachała do nich z lekkim uśmiechem na ustach, ale kobieta odwróciła twarz i szarpnęła smycz, na której szedł pies, zaś mężczyzna pokazał jej środkowy palec. Sammie to nie martwi. Prawdopodobnie widzieli na tej ulicy już różnych popaprańców szukających dreszczyku emocji. Sammie nie bierze gestu mężczyzny do siebie, ale odpala

samochód i odjeżdża, bo facet wyjmuje komórkę, patrzy na nią i gestykuje. Wygląda na zaniepokojonego.

Sammie znowu ma ochotę wymiotować, pozbyć się z żołądka resztek cheeseburgera. Zamiast tego jednak idzie do swojego małego gabinetu, ponieważ jedyna łazienka w domu jest wciśnięta między dwie sypialnie, zaś Dean prawdopodobnie nie śpi, czekając na nią. Gdyby słyszał, że coś się dzieje, stałby pod drzwiami łazienki z głową przechyloną na bok i rozszerzonymi nozdrzami, wyczuwając zapach przestępstwa.

Sammie nie może zwymiotować w kuchni, choć jest tam zlew, bo Dean o wszystkim by się dowiedział. Zawsze w jakiś sposób się dowiadywał, że wymiotowała, nawet jeśli Sammie szorowała zlew wybielaczem. Działo się tak już wcześniej, kiedy robiła to każdego dnia. Teraz padałyby pytania i zaczęłyby się kłótnia, a Sammie nie ma na to nastroju, nie tej nocy. Tak więc siedzi w swoim gabinecie, przełykając żółć, która gromadzi się jej w przełyku. Gabinet to mały pokój, właściwie kącik. Miejsca wystarczyło tylko na nieduże biurko, krzesło i pojedynczą półkę z książkami.

Rolety w jej pokoju są wciąż odsłonięte. Siedząc w ciemnościach, Sammie ma znakomity widok na okno kuchni sąsiadów. Mieszka tam bezdzietna para. Mają chyba niewiele pieniędzy, bo okna nie są niczym zasłonięte, choćby jakimś materiałem udającym zasłony. A może nie dbają o to, czy ktoś zagląda w ich okna. Są teraz w kuchni, której podłoga wyłożona jest kafelkami. Sammie nie umie powiedzieć, czy rozmawiają, czy tylko stoją tam, nie mając pojęcia, że ktoś dzieli z nimi tę chwilę. Obserwowała ich już wcześniej, spędziła na tym nawet sporo czasu, choć nigdy nie robili nic szczególnie interesującego. Ale wydawali się całkiem sympatycznymi ludźmi. Normalnymi. Lubili się dotykać, trzymać za ręce, jadać razem obiady i po kumpelsku klepać się po tyłku. Przyglądanie się im sprawiało, że

Sammie czuła się jak w czasach, gdy była dziewczynką i bawiła się domkiem dla lalek, który dostała na Gwiazdkę. Jej lalki żyły zwykłym życiem bez dramatów egzystencjalnych. Mama gotowała obiady i przestawiała meble. Ojciec kosił trawnik i wyrzucał śmieci. Banalne i nudne, ale w jakiś sposób kojące.

Sammie włącza komputer i otwiera nowy dokument. Kursor miga na białej stronie, czekając.

Sammie zaczyna pisać: „Jacky Seever spędził siedem ostatnich lat w więzieniu, ale obecnie w Denver wciąż zdarzają się zbrodnie. Pierwszego grudnia 2015 roku Carrie Simms, jedyna ofiara, która uszła z rąk Seevera, została znaleziona martwa we własnym domu. Doszło do brutalnego morderstwa...”.

To dobre, myśli Sammie. Związłe. Ale dobre.

Wysłała tekst e-mailem do Corbina, a potem czeka. Odświeża swoje listy parę razy, choć nie jest to konieczne. Corbin chyba nigdy nie śpi i jest bardzo szybki w odpisywaniu. Nie zmienił się w ciągu ostatnich paru lat — po czterech minutach od wysłania e-maila Sammie już ma odpowiedź.

„To jest dobre, czyta w e-mailu. Bardzo dobre. Pociągnę za sznurki i puścimy tekst w jutrzejszym wydaniu. Masz coś jeszcze?”

A potem Sammie czyta w ostatniej linijce coś, co sprawia, że serce skacze jej do gardła.

„Witamy z powrotem”.

Sammie i Dean są parą, która lubi gry. Nie chodzi o gry seksualne — po wielu latach małżeństwa nie ma to już dla nich wielkiego uroku. Nie są to też planszówki czy karcianki. Czasem są to gry umysłowe, tego właśnie należałoby się spodziewać w przypadku Sammie i Deana.

Grają w pewną grę i to nie dlatego, że nie mają sobie już nic do powiedzenia, że robią się starsi i są sobą zmęczeni, a na pięć minut przed zaśnięciem zajmują się tylko myciem twarzy i zębów. Grają w nią właściwie cały czas, późno w nocy, kiedy pozamykali już wszystkie drzwi i pogasili światła, a w domu panuje cisza, przerywana tylko pomrukami piecyka. Zawsze łatwiej jest grać nocą, gdy są tylko dwoma bezcielesnymi głosami rozlegającymi się w ciemnościach. Wtedy nie widzą siebie nawzajem.

To jest gra w pytania i odpowiedzi, w niekończące się możliwości. Czasem są to tylko pytania hipotetyczne, a czasem nie. Zajmowali się nią od początku małżeństwa, drocząc się i śmiejąc, szturchając się i wydzierając sobie prześcieradło, tak że chłodne nocne powietrze przyprawiało ich o gęsią skórkę. Czasem jednak te gry są na poważnie, oni złoszczą się na siebie i czują urażeni, a w pokoju robi się gorąco, choć wiatrak na suficie pracuje pełną parą.

— Czy wciąż jesteś we mnie zakochana? — pyta Dean. Sammie położyła się już godzinę temu, po tym, jak otrzymała e-maila od Corbina. Wślizgnęła się do łóżka, sądząc, że Dean już śpi, ale usłyszała, jak w ciemnościach zamyka i otwiera powieki. Mokry dźwięk, przypominający pocałunek.

— Co? — pyta Sammie, odwracając się i wyciągając koc spod ramienia.

— Czy wciąż mnie kochasz?

— Dlaczego o to pytasz?

— Bo chcę wiedzieć.

— Jestem twoją żoną, prawda?

— A o czym to ma świadczyć? — pyta Dean. — Nie każdy, kto jest w związku małżeńskim, kocha.

— Gdybym cię nie kochała, odeszłabym. Znalazłabym innego mężczyznę, z którym bym była.

— Czyżby? — w głosie Deana słycać rozbawienie. Sammie chciałaby widzieć teraz jego twarz, choć przez chwilę. — Myślę, że już to zrobiłaś.

To o Hoskinsie, myśli Sammie. Jakimś cudem Dean wie, że się z nim spotkała. Chciałaby móc powiedzieć mężowi prawdę, powiedzieć mu wszystko, ale on straciłby rozum i wpadliby w kłopoty. Bo tak naprawdę Sammie kocha męża, niezależnie od tego, co on myśli. Zakochała się w nim, bo był cichy i miał silną wolę, nie tak jak wielu innych facetów, z którymi randkowała w college'u. Zazwyczaj lubili leniuchować i interesowali się swoimi samochodami oraz seksem. A Dean już wtedy miał plany na życie — chciał się ustatkować, kupić dom, mieć dobrą pracę i żyć jak dojrzały człowiek. Ona też tego chciała, ale dopiero po ślubie zrozumiała, że bycie dorosłym człowiekiem nie jest aż tak zabawne, że oszczędzanie pieniędzy nie oznacza ich wydawania, że robienie planów nie jest jednoznaczne z tym, że one się spełnią. Wie, co myśli Dean: że kiedy Sammie jest nieszczęśliwa, on jest tego przyczyną. A to nieprawda, w każdym razie niecałkowita, choć on jej nie uwierzy.

— Wierz mi lub nie, nie jesteś centrum mojego wszechświata — oświadczyła mu kiedyś, kiedy Dean zaczął narzekać, że ona jest niezadowolona. A wszystko dlatego, że kiedyś nieopatrznie powiedziała, że chciałaby mieć pakiet Premium w telewizji kablowej, podczas gdy nie mogli sobie na to pozwolić. Oskarżył ją o bycie nieusatisfakcjonowaną jego osobą i o to, że Sammie chciałaby, by zarabiał więcej pieniędzy, choć ona była zdania, że były to jego własne myśli na swój temat, pomysły, które projektował na nią.

— Może — powiedział — wolałabyś wyjść za kogoś innego. Kogoś

lepszego.

Pomysł, że mogła być zamężna z kimś innym, przeszedł jej przez głowę — kto nie miał kiedyś takich myśli? Ale czy lepiej byłoby poślubić kogoś innego, czy być samą? Końcowa odpowiedź była zawsze taka sama — nie, choć Dean nie wydawał się w to wierzyć, a ona miała dosyć tłumaczenia mu tego. „Wybrałam ciebie, ma ochotę powiedzieć, ale milczy. Mogłam odejść w każdej chwili, mogłam być z Hoskinsem, ale wybrałam ciebie”. Ich małżeństwo nie było perfekcyjne, ale Dean — i Hoskins — byli jedynymi mężczyznami, którzy nie traktowali jej jak panienki nadającej się tylko do seksu. Dean słuchał, zachęcał, starał się, a ona chciałaby być z nim szczerą. Dean jednak się obawia. Jest niepewny.

— Znowu piszę — mówi Sammie. — Dzwonił Corbin w sprawie tych dwóch kobiet, które zamordowano. Jest podejrzenie, że może to mieć związek z Seeverem.

— Znowu piszesz. — Dean przesuwa stopy pod kołdrą, tak że teraz już się z Sammie nie dotykają.

— Tak.

— Myślisz, że to dobry pomysł?

— A dlaczego nie? Czekałam na szansę taką jak ta. — Ale Sammie wie, o co tak naprawdę chodzi Deanowi. Chce zapytać, czy będzie się spotykać z Hoskinsem, czy będzie znowu z nim sypiać. Boi się, że tak się stanie, bo tego można się spodziewać po tym wszystkim, co już kiedyś zrobiła.

— Tak przypuszczałem.

— Czy zraniłeś kogoś kiedyś? — pyta Sammie, wypychając słowa w ciemność, bo musi coś powiedzieć, a to jest pierwsza myśl, która przychodzi jej do głowy.



— Fizycznie? — pyta Dean, zaskoczony. — Tak, tak myślę.

— Co się stało?

— W trzeciej klasie popchnąłem dzieciaka na ścianę i rozbił sobie nos.

— Nie chodzi mi o dzieciństwo. Kiedy byłeś dorosły.

— Kiedy byłem dorosły? Nie.

Sammie przeciąga się, dotyka Deana palcami stóp, po czym odsuwa się.

— Zabiłbyś kogoś?

Dean milczy długo, tak długo, że Sammie myśli, iż mąż zasnął.

— Tak — mówi wreszcie. — Zabiłbym. Gdybym musiał.

— To znaczy?

— Na przykład w samoobronie — mówi Dean. — Gdyby ktoś włamał się tutaj i próbował nas skrzywdzić, miałbym pełne prawo nas bronić.

— Jaka polityczna poprawność.

— I zrobiłbym coś takiego dla ciebie, gdybyś mnie o to poprosiła — mówi Dean. — Czasem myślę, że byłby to jedyny sposób, by zwrócić twoją uwagę. Zacząć mordować ludzi, byś miała historie do opisanie.

Sammie nie mówi nic, ale te słowa uruchamiają w jej głowie cichy alarm, sprawiają, że Sammie zaczyna myśleć o czymś jeszcze, choć słabo sobie uświadamia, co to jest. Pod osłoną ciemności ona i Dean mówili dziwne rzeczy, przyznając się do czegoś, o czym normalnie by nie powiedzieli. Zamiast zadawać następne pytanie, Sammie odsuwa męża na jego połowę łóżka, tak że widzi jego plecy, i przytula się do niego, przysuwając czoło do miejsca, w którym szyja przechodzi w plecy, i tak zasypiają, jak jedno ciało, a nie dwa.

# HOSKINS

Po rozstaniu z Sammie Hoskins idzie prosto do swojego samochodu, siada za kierownicą i patrzy, co się dzieje. Tłum już prawie zniknął zniechęcony brakiem ekscytacji, ale na miejscu wciąż jest mnóstwo kamer i ludzi z mediów. Po terenie posiadłości kręci się wielu gliniarzy, a kilku idzie w dół ulicy. Będą tu całą noc, chodząc po sąsiednich domach i pytając, gdzie byli ich mieszkańcy w czasie zbrodni i czy widzieli coś podejrzanego. Łapanie przestępcy to proces złożony z wielu etapów. Najpierw zabezpieczane jest miejsce zbrodni; potem nadchodzi czas na szukanie świadków. Tej części policyjnej roboty Hoskins nie lubił najbardziej — łożenie, dzwonienie do drzwi i nakłanianie ludzi, by starali się sobie coś przypomnieć. Większość ludzi idzie przez życie jak gdyby po omacku; nie widzą za wiele poza tym, co mają przed sobą, ale trzeba z nimi rozmawiać, bo zawsze jest szansa, że ktoś zobaczył dziwny samochód albo faceta, którego nie widziano w tej okolicy nigdy wcześniej.

W domu jest jeszcze więcej gliniarzy. Hoskins wie, że robią zdjęcia, zabezpieczając ślady i szukając dowodów, bo to prawie niemożliwe, by przestępca nie pozostawił DNA, chyba że jest niesamowicie ostrożny. A ten człowiek taki był; trzymał Simms w zamknięciu przez parę dni i nikt niczego nie podejrzewał. Może jednak była w tej jego ostrożności jakaś luka. Loren powiedział, że dwie pierwsze ofiary — Abeyta i Brody, Hoskins musiał sobie przypomnieć te nazwiska, bo łatwiej myśleć o nich jako o ciałach — zostały zgwałcone, ale koroner nie znalazł jakichkolwiek śladów DNA przestępcy. Morderca musiał używać prezerwatywy albo może woda ze zbiornika wszystko wypłukała. Być może jednak teraz jest inaczej, a policji uda się

znaleźć DNA w bazie danych i połączyć je z osobą przestępcy. Może i tak się zdarzyć, że znalezienie materiału genetycznego nie będzie miało znaczenia, bo nawet jeśli facet zostawiłby wiadro spermy na progu domu, a jego DNA nie ma w bazie, niewiele da się zrobić. Chybił trafił, myśli Hoskins. Czasem warto się trudzić, ale nie zawsze udaje się tą drogą doprowadzić do aresztowania przestępcy.

Jakaś część Hoskinsa chce tu zostać i włączyć się w działanie, ale przez ostatnie lata uciekał od sprawy Seevera i teraz czuje, że nic nie może zrobić. Nawet gdyby spróbował, nie byłby dziś zbyt użyteczny; najlepiej byłoby, żeby wrócił do domu i zaczął leczyć zranioną głowę i twarz, a do śledztwa pojechał rano, gdy będzie myślał jasno i będzie w stanie dobrze wykonywać swoją robotę.

Kiedy Hoskins dociera do domu, Joe śpi na tapczanie. Na jego kolanach stoi miska z topniejącymi lodami.

— Znowu szuka puszek po tuńczyku — mówi opiekunka przed wyjściem. — Grzebie w śmieciach i chowa puszki w pokoju. Nie pozwala mi ich nawet najpierw umyć.

Hoskins bierze torbę na śmieci i idzie do pokoju ojca. Uderza go zapach ryb, który jest silniejszy od zapachu starego człowieka. Puste puszki stoją w szafie, w jej najdalszym kącie, gdzie wisi garnitur, który ojciec wkładał do kościoła. Garnitur jest zapakowany w plastikowy ochraniacz i spięty na dole, by nogawki nie ocierały się o podłogę. Puszek jest mnóstwo — kiedy Joe zdołał zjeść tyle tuńczyka? Hoskins klęka i zaczyna wkładać puszki do torby, starając się robić to jak najciszej. Nim Joe się obudzi i zorientuje, co się dzieje, puszki będą już daleko, w stosie śmieci.

— Co ty, do diabła, robisz?

Głos Joe przeraża Hoskinsa tak samo jak wówczas, gdy miał piętnaście lat i przyprowadził do domu dziewczynę. Byli w jego pokoju, zabawiając się. Joe miał być wtedy w pracy. Zazwyczaj pracował do późna, ale tamtego dnia wrócił do domu wcześniej — Hoskins nigdy się nie dowiedział, z jakiego powodu — i przyłapał obydwójce w samym środku igraszek. Joe wpadł do pokoju, krzycząc, i wyprosił dziewczynę z domu, choć delikatnie.

— Wyrzucam te wszystkie śmieci.

— Wynocha.

— Nie możesz tak żyć.

— Jestem dorosły. Będę żył tak, jak zechcę, do diabła.

— To trzeba wyrzucić, tato.

— Nie.

Oczy Joe świecą, oddycha ciężko. Nigdy nie był okrutny, nie używał pięści i nie był podły, rzadko bywał niegrzeczny czy zły, ale Hoskins myśli, że teraz mógłby chcieć się bić. Istnieje spora szansa, że skończyliby obaj, tocząc się po podłodze, klnąc i okładając się pięściami. W tle mieliby torbę z puszkami, które czuć wyschłym tuńczykiem.

— Potrzebuję ich, synu — mówi zamiast tego Joe. Nie ma w nim chęci walki, a Hoskins zdaje sobie sprawę, że błysk w jego oczach to nie złość, ale łzy i że jest gotowy się załamać. — Proszę.

— Po co? Przecież to tylko śmieci.

Joe siada w nogach łóżka — a właściwie nie tyle siada, co na nie opada, wolno i z gracją. Joe płacze, a jego starcze łzy spływają na nabzdyczone usta.

— Ale ja ich potrzebuję.

Seever płakał, gdy go aresztowano, roniąc prawdziwe łzy. Hoskins myśli, że może był to jedyny raz, gdy ten człowiek był naprawdę sobą, gdy zniknęła cała cholerna część jego natury. Nie chciał opuścić domu, nie chciał wsiąść do policyjnego samochodu zaparkowanego na podjeździe. „Oni są moi”, powiedział Seever, łkając. Oparł czoło o szybę samochodu, zostawiając na niej tłusty ślad. „Są moi”.

— Dlaczego mi to robisz? — pyta Joe, zamykając oczy. Na jego rękach widać żyły i starcze plamy. Trzęsie się. — Proszę, nie rób tego.

Hoskins nie wie, co powiedzieć, jak naprawić sytuację. Wciąż trzyma w ręku torbę ze śmieciami, a kiedy idzie w kierunku drzwi, puszki pobrzękują, uderzając jedna o drugą i dzwoniąc metalicznie.

---

<sup>1</sup> HOA — Homeowner Association; prywatne stowarzyszenie właścicieli domów powstałe w celu zarządzania nimi w danej dzielnicy mieszkaniowej.

# ZJADACZ RESZTEK

HOSKINS

3 grudnia 2015

Co dzień rano Hoskins usiłuje zachowywać się cicho, tak by nie obudzić Joe. Przekrada się więc po własnym domu niczym złodziej. Uważa, by nie trzaskać drzwiami od łazienki czy nie upuścić czegoś pod prysznicem. Zazwyczaj chodzi po domu w skarpetkach, a buty nakłada dopiero przed wyjściem, ale czasem to i tak nie ma znaczenia, bo okazuje się, że Joe już wstał i czeka już przy kuchennym stole, cierpliwie splótłszy ręce. Hoskins nie jest pewien, na co czeka, a Joe wydaje się tak samo tego nie wiedzieć. Nigdy nie był typem człowieka, który czekał, by go obsługiwać. Nigdy nie było w pobliżu kobiety, która zrobiłaby mu kawę albo prasowała ubrania — nic z tych rzeczy, bo Carol Hoskins była niczym fantom. Miała siedemnaście lat, gdy urodził się Paul. Jej rola w życiu rodziny ograniczyła się do tego, że wyszła za mąż za Joego i urodziła dziecko, a potem odeszła. O ile Hoskinsowi wiadomo, jego rodzice wciąż są małżeństwem i nieraz zastanawia się, czy ojciec przez te wszystkie lata nie czekał na to, by Carol wróciła, gotowa do ustatkowania się. Nie wygląda na to, by coś takiego miało się zdarzyć — Carol miała czterdzieści lat, by powrócić, i nigdy tego nie zrobiła — a Joe przywykł do tego, że wszystko robi sam. Jednak wciąż

czeka.

Nie ma go dzisiaj przy stole i to dobrze, bo wszystko jest łatwiejsze, gdy starszy pan śpi. Jak na przykład sprawa z termostatem. Kiedy Joe jeszcze śpi, Hoskins najpierw zajmuje się urządzeniem. Wisi ono na ścianie malutkiej jadalni, co jest chyba najgłupszym miejscem do montowania termostatu, ale może takie były standardy, gdy budowano ten dom. Nie wiadomo. Hoskins zmienia temperaturę każdego dnia, przynajmniej choć trochę, bo Joe zawsze kontroluje termostat, przynajmniej raz dziennie, zazwyczaj rano.

— Dwadzieścia pięć stopni? — wykrzyknął Joe pierwszego dnia po przeprowadzce do domu syna. To było w marcu, a choć już nadeszła wiosna, noce wciąż były chłodne. Czasem temperatura spadała poniżej zera. — Zgłupiałeś, Paul? Wiesz, jaki będzie rachunek za gaz?

— Zmarzełeś — odpowiedział Hoskins, ale to tylko rozzłościło ojca, a Hoskins wspominał czasy, gdy był jeszcze dzieckiem i gdy jego ojciec sprawdzał, jak długo zimą będą w stanie wytrzymać bez uruchamiania pieca. W domu było tak zimno, że gdy oddychali, w powietrzu unosiły się obłoczki pary. Jeśli Hoskins trzymał drzwi otwarte sekundę dłużej, niż to konieczne, gdy wychodził na zewnątrz, zaś plastikowe nakładki osłaniające okna zaczynały się odklejać na rogach, Joe poważnie się wkurzał i nic nie było w stanie poprawić mu nastroju. — Musisz mieć komfort.

— Nałożę jeszcze jeden sweter — oświadczył Joe, więc Hoskins przesunął wskaźnik na siedemnaście, którą to temperaturę jego ojciec uznawał za idealną. Obserwował, jak cyfry spadają w dół, a ojciec otula się wełnianym swetrem, zaś jego usta przyjmują purpurową barwę. Hoskins nie spierał się. Nie było warto. Zamiast tego poszedł na kompromis, tak jak to robił zawsze. Wstaje rano i przestawia wskaźnik w dół, tak by jego ojciec myślał, że tak było przez cały czas. Potem, gdy starszy pan wstanie i pokręci

się po domu, a później zacznie się zajmować czymś innym, Hoskins przestawi wskaźnik z powrotem. Cały plan może co prawda zawieść, bo wystarczy, że ojciec w którymś momencie dnia sprawdzi wskaźnik termostatu i wtedy zorientuje się, co się dzieje. Na razie jednak się to nie zdarzyło.

Hoskins nosi się z zamiarem kupna nowego ekspresu do kawy — wciąż ma stary model, do którego trzeba używać papierowych filtrów, ze szklanym dzbankiem z przypalonym dnem. Pewnego dnia, jak sądzi, cholerne urządzenie zepsuje się i będzie musiał skoczyć po nowe — po jedno z tych wykonanych z nierdzewnej stali z plastikowymi podkładkami, w których można przygotować jednorazowo tylko pojedynczą filiżankę kawy. Przesuwa wskaźnik na termostacie, a potem zaczyna robić kawę. Nienawidzi tej czynności — wyciąga filtr, płucze dzbanek, wsypuje świeże ziarenka. Stara się pamiętać, by robić to wieczorem, przed pójściem spać, tak żeby rano tylko wcisnąć przycisk, ale nigdy mu się to nie udaje. Teraz płucze dzbanek — na dnie tego cholernego naczynia wciąż osadzają się resztki kawy, niezależnie od tego, co robi. Tymczasem do kuchni nadciąga Joe, przecierając oczy. Ma potargane, sterczące we wszystkie strony włosy, ale uparcie odmawia ich obcięcia. „U fryzjera wycinają mi je zupełnie, zwykł mawiać Joe. Zdecydowałem, że będę mieć długie włosy przez resztę życia”.

— Czy Carol jest tutaj? — pyta Joe, drapiąc się nieuważnie po nadgarstku, gdzie skórę ma zdartą niemal do żywego. Zimy w Kolorado są ciężkie i suche, więc źle wpływają na skórę starego człowieka. W ręku trzyma gazetę. Niesie ją niczym dziecko, zawiniętą w błękitną plastikową okładkę. — Wydawało mi się, że ją słyszę.

— Tato, przestań — Hoskins delikatnie odsuwa rękę ojca, a ojciec patrzy na niego zdziwiony, jak gdyby zapomniał, że jego syn jest tutaj. — Tylko



pogarszasz sprawę.

— Gdzie jest Carol?

— Nie ma jej tutaj.

— A gdzie jest?

— Mama odeszła wiele lat temu.

Carol nie odeszła z powodu śmierci. Żyje, ale nie tutaj ani nawet gdzieś w pobliżu. Według najnowszych wieści Carol przebywa w Nebrasce, prowadząc basen razem ze swoim kolejnym facetem. Hoskins widział matkę po raz ostatni, kiedy miał dziesięć lat. Wszystko, co pamięta z tej wizyty, to jej długie opalone nogi i gardłowy, chrapliwy śmiech, jaki miewają ludzie palący i imprezujący po nocach. Carol przysyłała czasem kartki pocztowe i fotografie, na których stała obok faceta, z którym się aktualnie zadawała. Hoskins zawsze chował tę korespondencję przed ojcem, nie chcąc widzieć na jego twarzy wyrazu bólu. Pewnego razu przysłała Hoskinsowi paczkę na urodziny, ale kiedy otworzył pudełko, okazało się, że w środku nic nie ma. Nigdy się nie dowiedział, czy zrobiła to specjalnie — aby ukarać go za to, że się urodził — czy po prostu zapomniała włożyć prezent.

— Tak, jak sądzę, odeszła wiele lat temu — mówi Joe. Wyjmuje gazetę z okładki. Na pierwszej stronie na górze widnieją wielkie czarne litery — nagłówek, którego Hoskins nigdy już nie spodziewał się zobaczyć: Seever powrócił. Black będzie musiał dokonać szybkich aresztowań, jeśli nie chce, by ludzie zwariowali — jeśli coś może wywołać panikę w społeczeństwie, to właśnie takie artykuły. Hoskins szybko przebiega artykuł wzrokiem. Najwięcej miejsca poświęcono Seeverowi i jego związkom z Carrie Simms. Nowemu przestępcy nadano zaś imię, bo tak zazwyczaj robią reporterzy. Lubią nadawać im coś w rodzaju ksywek, a ta jest najgorszą z tych, jakie

Hoskins kiedykolwiek słyszał: „Zabójca z Drugiej Ręki”.

— O cholera — mówi Hoskins. Wiedział, że Sammie napisze artykuł i że on się ukaże, ale nie sądził, że tak szybko i w takiej formie. Artykuł sieje strach w najgorszy możliwy sposób, a Sammie obiecała, że tego nie zrobi. Hoskins uwierzył jej na słowo, choć nie powinien. Artykuł zajmuje połowę pierwszej strony. Jest podpisany nazwiskami Sammie i Chrisa Webera, ale przy stopce widoczne jest tylko zdjęcie Sammie — jej stare zdjęcie, które już publikowano, na którym Sammie wyszła jak miss Ameryki. — Ty dziwko.

— Myślę, że już czas, żebyś przestał czepiać się tak własnej matki.

— Nie, tato. Nie mówię o niej.

— Owszem, mówisz — wzdycha Joe. Na przodzie koszuli ma żółtą plamę — pozostałość po jajku. Hoskins będzie musiał przypomnieć opiekunce, by pilnowała, aby Joe zmieniał ubranie. — Obaj mówimy.

— Nie.

— Czy nie mówiłeś, że prowadzi teraz klub ze striptizem?

— Myślę, że to bar.

— Och. — Joe znowu zaczyna drapać suche miejsce na nadgarstku, ale widzi, że Hoskins go obserwuje i zaplata ręce. — Założę się, że nie zakłada biustonosza do pracy. Nigdy go nie nosiła.

— Nie wiem — odpowiada Hoskins. Przez chwilę ma ochotę się roześmiać, ale potem się powstrzymuje.

— Nigdy nie miała biustonosza — mówi Joe, znowu wzdychając. Opiera się na krześle i zamyka oczy. — Chciałbym, żeby tu była. Chciałbym ją zobaczyć.

— Wciąż ją kochasz?

— Nie. Mam ochotę jej powiedzieć, że jest starą pizdą i że jej cycki nie powinny zwisać bez stanika.

Pod łukiem brwiowym Trixie widnieje płytkie i świeże rozcięcie.

— Jak to się stało? — pyta Hoskins, biorąc z jej rąk kawę. — To źle wygląda.

— Potknęłam się — odpowiada Trixie, odwracając wzrok. Kłamie, oczywiście. Hoskins wie, że istnieją niezdarne kobiety, ale wcale nie tak wiele, jak można byłoby pomyśleć. Rozcięcie na twarzy Trixie nie pojawiło się z powodu uderzenia w drzwi czy potknięcia w wannie. Nie zostało spowodowane żadną inną błahą przyczyną, którą Trixie zapewne by wymyśliła, gdyby usiłował ją przycisnąć. Ktoś uderzył ją ręką, na której tkwił prawdopodobnie pierścionek z dużym kamieniem, być może płaskim i ciemnym, który świeci tandetnie i na którym zaschła krew.

— Wszystko u ciebie w porządku?

— Tak.

— Powiesz mi, jeśli coś będzie nie tak?

Trixie uśmiecha się na te słowa, a na jej podbródku pojawia się dołek. Hoskinsowi kojarzy się to z dziewczynką zamkniętą w szafce, zabita przez własną matkę. Na szkolnej fotografii też miała dołeczki. Zdjęcie to opublikowano w prasie, a potem umieszczono na nagrobku. Hoskins pociera nasadę nosa.

— Prawdopodobnie nie — odpowiada Trixie i w tym także przypomina tamtą zmarłą dziewczynkę. Mała nigdy nie poskarżyła się nawet słowem, co dzień chodziła do szkoły i nigdy nie poprosiła o pomoc, nigdy nie powiedziała, że coś jest źle. Nikt niczego nie podejrzewał. Dziewczynka uśmiechała się aż do tragicznego końca, a potem zginęła. — Mam się dobrze.

Hoskins odjeżdża spod okna i parkuje w miejscu, z którego wciąż może widzieć bar. Widzi, jak Trixie wychyla się z okna i podaje kubki z kawą. Boli go głowa. Początkowo myśli, że to z powodu braku kofeiny, ale teraz doszedł do wniosku, że z powodu wszystkiego naraz. Loren i te nowe morderstwa, Trixie i to rozcięcie na jej twarzy, dziewczynka w szafce i Seever. Wszystko prowadzi do Seevera, przynajmniej w przypadku Hoskinsa, i może tak już będzie zawsze.

# SAMMIE

— Co to do diabła ma być: Zabójca z Drugiej Ręki? — mówi Sammie. Powinna przygotowywać się do pracy, robić sobie makijaż i układać włosy, ale nie potrafi się skupić. Corbin wydrukował jej artykuł, tak jak obiecał, ale dodał od siebie trochę tekstu, a w stopce ukazało się też nazwisko Chrisa Webera, tak jakby pracowali nad artykułem razem, jakby byli partnerami. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła rano, był telefon do Corbina. Dzwoniła tak długo, aż odebrał. — Ja tego nie napisałam.

— Ja to zrobiłem — odpowiada Corbin. — Właściwie był to pomysł Webera.

— Weber?

— Tak, próbował wymyślić jakąś nazwę dla zabójcy. Podoba ci się?

— Nie — mówi Sammie, starając się opanować drżenie głosu. — Gdybym wiedziała, że chciałeś jakoś nazwać tego zabójcę, sama bym coś wymyśliła.

— Słuchaj, musiałem puścić ten artykuł rano i potrzebowałem czegoś na szybko. Weber miał już coś gotowego. W czym problem?

Sammie przygryza wargę. W głosie Corbina słyszy rozbawienie. Poza tym wie, że musi pomóc swemu szczęściu. To pierwszy kawałek, jaki udało jej się opublikować w tym roku. Może lepiej odpuścić. Ksywka przestępcy nie jest w końcu taka ważna, choć to kiepska nazwa — można byłoby równie dobrze nazwać go Zjadaczem Resztek — ale Sammie najbardziej chodzi o to, że wymyślił ją Weber.

— Byłam zaskoczona — odpowiada Sammie. — Opublikowałeś mój artykuł, czy to znaczy, że wróciłam do zespołu?

— Masz tydzień, żeby przynieść następny kawałek — mówi Corbin. — Jeśli dałabyś radę szybciej, to byłoby dobrze. Potrzebuję tego jak najszybciej. Sporo materiałów Webera czeka w kolejce. Wystarczy, by się ukazywały codziennie.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Póki co jesteś freelancerem. Jeśli się sprawdzisz, wrócisz do nas. Zrób to dobrze, a w końcu korytarza jest pusty pokój — będzie twój.

— Gównu mnie obchodzi własny pokój.

— Zapamiętam to sobie. Przez cały ranek miałem Webera na linii. Mówił, że ma jakiś wywiad. Coś dobrego, jak sędzę.

Sammie patrzy na zegarek skonsternowana. Ma czterdzieści pięć minut, by dotrzeć do pracy, a potem utknie tam na jakieś sześć godzin. Mogłaby pójść na zwolnienie i spędzić cały dzień, pracując nad artykułem, ale nie może sobie na to pozwolić. Ona i Dean mają rachunki do zapłacenia i muszą coś jeść. To jest problem przy podążaniu za swymi marzeniami, myśli Sammie. Rzeczywistość zawsze cię ściga i czujesz, jak depta ci po piętach. A jej zęby są ostre.

— Tydzień? — mówi. — Okay. Będziesz miał coś w ciągu tygodnia. A nawet szybciej.

Można sprawić, że ludzie uwierzą we wszystko. Sammie wie, że to prawda. Widziała to na własne oczy, przykładała do tego rękę. Robi to każdego dnia w pracy. Kobiety, które przychodzą do sklepu, sądzą, że ona jest naprawdę zainteresowana ich wyborami, wmasowując emulsje w ich skórę, pudrując im twarz i mówiąc, jak ładnie wyglądają. A te kobiety, z

których większość nigdy, przez całe swoje życie nie czuła się pięknymi, łykają jej słowa i przywierają do nich, dlatego wracają, gdy znowu potrzebują dawki uprzejmości.

Tak jest i dzisiaj. Sammie nie może się powstrzymać przed zerkaniem na zegarek. Z niecierpliwością czeka na chwilę, gdy skończy pracę i wskoczy do samochodu. Każda mijająca minuta dystansuje ją od Webera, a jeśli jest coś, czego Sammie nienawidzi, to pozostawania z tyłu. Jest tak zaabsorbowana swoimi myślami i niecierpliwością, że nie słucha tego, co mówi siedząca przed nią kobieta. Jest to klientka, która przychodzi co tydzień i nie kupuje nic, co zaproponuje jej Sammie. Przychodzi tutaj, bo jest samotna, chce pogadać, opowiedzieć Sammie o swoim życiu, o wizycie u lekarza i o egzemie syna, o tym, że klocki hamulcowe w jej aucie piszczą, mimo że była u mechanika...

— Jest pani dobrym człowiekiem — mówi kobieta i to zaskakuje Sammie, bo w miejscu pracy nigdy nie mówi o sobie, nigdy nie przerywa niekończącego się potoku słów, który wylewa się z ust klientek.

— Nie zna mnie pani.

— Nie muszę pani znać. Po prostu to wiem.

Sammie milczy, doświadczając chwili, w której coś wydaje się iść nie tak, czegoś brak i pojawia się poczucie, że chwila ta jest w jakiś sposób ważna. Sammie czuje, że powinna coś powiedzieć, choć nie ma pojęcia, co to powinno być. Ale potem nagle ktoś w sklepie wybucha piskliwym śmiechem, przerywając ten magiczny moment, zaś Sammie powraca do nakładania różu na policzki klientki. Czuje się lekko zmieszana, jak gdyby coś straciła, choć nie wie, co to jest ani jak to nazwać.

Na prośbę Sammie szef pozwala jej wyjść piętnaście minut wcześniej,

przy czym zachowuje się tak, jakby robił jej wielką łaskę. Sammie dosłownie biegiem rusza ku tylnym drzwiom, prowadzącym na parking dla pracowników. Zatrzymuje się, słysząc, jak ktoś woła ją po imieniu, choć z nieba sypie się grad, zaś temperatura spada w tempie kamienia opadającego na dno rzeki. To Ethan, chłopak ze sklepu z sandwiczami. Wypadł przez tylne wyjście, w rękę trzyma otwarty parasol.

— Pozwól, że odprowadzę cię do samochodu — woła, a potem podbiega do niej i lekko się schyla, tak że parasol osłania ją przed śniegiem i wiatrem. Stoją bardzo blisko siebie.

— Co tu robisz? — pyta Sammie, osłaniając usta szalikiem. — Jest mróz, wracaj do środka.

— Czekam na Kelly. Powinna skończyć za parę minut — odpowiada Ethan. — Ale jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać, postoję tu i poczekam.

— Nie, nie to chciałam powiedzieć — mówi Sammie, biorąc go pod rękę. Parasol nie chroni ich przed chłodem, ale przynajmniej na nich nie pada — grad sypie się na nylonowe sklepienie niczym ziarnka piasku. — Cieszę się, że mnie dojrzałeś.

Ethan uśmiecha się, a jego twarz się rozjaśnia, ale Sammie tego nie widzi — jest zbyt zajęta patrzeniem pod nogi i pilnowaniem, by ostrożnie stawiać kroki na śliskim podłożu. Gdyby dostrzegła ten uśmiech, z pewnością by się odsunęła, bo Ethan wygląda jak zakochany dzieciak, a ona nie chce go w to wkręcać — nie chce, by Ethan myślał, że kiedykolwiek mogliby być razem. Jednak Sammie nie widzi jego twarzy.

— Widziałem twój artykuł w gazecie — mówi Ethan, starając się przekrzyczeć podmuchy wiatru. — Niesamowity. Wspaniale napisany.

— Dziękuję.



— Czy mogę dostać twój autograf, zanim staniesz się sławna? — pyta, z rozmachem wyjmując egzemplarz „Posta” i wręcza jej długopis. Sammie chce się podpisać na okładce, ale papier jest już cały mokry od śniegu. — Nie przejmuj się tym. Kupiłem parę egzemplarzy, poproszę cię o autograf innym razem.

— Okay. Przepraszam cię, muszę lecieć.

— To takie ekscytujące — mówi Ethan. Uśmiecha się do niej, wręcz promienieje, a Sammie myśli, że nigdy nie widziała go tak radosnym. — Wiem, że to twoje dzieło, ale czytanie tego sprawia, że czuję się trochę jego częścią. To głupie, wiem.

— Wcale nie — mówi Sammie, ściskając jego ramię. Szybko odsuwa rękę, bo spieszy ku nim Kelly. Mruży oczy pod naporem wiatru i wydaje się niezadowolona, widząc ich razem. — Słuchaj, musimy się złapać jakoś później.

— Tak, oczywiście.

Resztę dystansu dzielącego ją od auta Sammie pokonuje biegiem. Odpala silnik, włącza ogrzewanie na maksa i macha Ethanowi, który odwraca się do Kelly. Dziewczyna z wściekłością porusza umalowanymi szminką ustami, słowa wylewają się z jej ust, a Ethan nawet na nią nie patrzy. Skierował wzrok w dół, głęboko ukrywszy twarz w kołnierzu płaszcza, chroniąc się przed zimnem.

Matka Carrie Simms mieszka w Happy Trees Mobile Home Park<sup>1</sup>. Nazwa nie odpowiada prawdzie, bo Sammie nie widzi w okolicy nawet jednego drzewa, a gdyby nawet tutaj rosły, z całą pewnością nie byłyby szczęśliwe. Sammie widziała już przyjemne osiedla mieszkań na kółkach, z ładnie utrzymanymi domami, trawnikami i ławeczkami, ale w tym miejscu

dominują beton i desperacja. Przed bramą wjazdową leży kupa przysypanych śniegiem śmieci, zaś sadzawka pełna wody mogłaby uchodzić za staw, tyle że nim nie jest. Matka Carrie — Delilah Simms — mieszka pod numerem piętnastym w spłowiałym różowym domku na kółkach przy końcu ulicy. We frontowym oknie stoi srebrna choinka z aluminium, zaś do drzwi przymocowano plastikowy wieniec ostrokrzewu.

— Pani Simms? — pyta Sammie kobietę, która otwiera jej drzwi. Ma ciemne włosy, ale muszą by farbowane, bo odrosty są siwe. — Nazywam się Samantha Peterson. Jestem reporterką z „Posta”.

— Czy jest coś, o co ten dziennikarz zapomniał mnie zapytać? — dziwi się kobieta. Nie wygląda jak typowa mieszkanka tego osiedla, myśli Sammie. Wygląda na zorganizowaną, ma na sobie damski garnitur i skromny złoty łańcuszek, choć jednocześnie wydaje się znużona, jakby życie ją przerosło.

— Przepraszam?

— Pan Weber. Czy to on panią przysłał jeszcze z jakimiś pytaniami? — Kobieta zerka na zegarek. — Nie mam już czasu na rozmowy i nie wiem, co jeszcze mogłabym dodać. Nie rozmawiałam z Carrie od ponad czterech lat.

— Przepraszam, że panią niepokoiłam — mówi Sammie, zawracając i schodząc po schodkach. Nie tak to sobie wyobrażała, ale czego właściwie mogła się spodziewać? To standardowa procedura. Ktoś zostaje zamordowany, dziennikarze przeprowadzają wywiady z rodziną. Wyciągają od krewnych to, co możliwe. Ludzi interesują rodzinne historie — im bardziej emocjonujące, tym lepiej. Oczywiście Weber wiedział, gdzie ma skierować swoje kroki. — To pomyłka, mam już wszystko, czego chcieliśmy się dowiedzieć.

Sammie szybko biegnie do samochodu i rusza, nie zapiąwszy nawet

pasów, bo matka Simms wciąż ją obserwuje, jedną rękę położywszy na zaśnieżonej klamce drzwi, a drugą objąwszy się w pasie. Wygląda to tak, jakby coś ją bolało. Sammie jedzie, aż różowy domek znika jej z oczu, po czym zatrzymuje auto. Jej żołądek się buntuje, ale nawet gdy Sammie otwiera drzwi i wychyla się z samochodu, w jej żołądku nie ma nic, czym mogłaby zwymiotować, może poza połową filiżanki kawy, którą wypła kilka godzin temu. Sammie raz i drugi przełyka gromadzącą się w ustach ślinę, a żołądek się uspokaja.

Rozmowa z rodziną, taki jest standard. Weber pewnie napisze niezły kawałek o przeżyciach emocjonalnych rodziny, prawdziwy wyciskacz łez, nawet jeśli miałby naciągać prawdę. Postępował zgodnie z zasadami, robiąc to, co zrobiłaby Sammie na jego miejscu. Póki co prześcignął ją o parę kroków i pójdzie dalej, jeśli Sammie nie zacznie działać. Teraz doznała zawodu. Rodzinę ofiary można odfajkować. Próbowала skontaktować się z mężczyzną, od którego Simms wynajmowała domek gościnny i który znalazł jej ciało, ale jej się nie powiodło. Mogłaby próbować pomówić z rodzinami pierwszych dwóch ofiar, Abeyty i Brody, ale przypuszcza, że Weber już to zrobił. Sammie pogardza tym facetem, lecz musi przyznać, że Weber nie jest głupi i to sprawia, że Sammie nienawidzi go jeszcze bardziej.

Przez śnieżne zasy biegnie susami jakiś pies. Sammie uchyla okno i gwizdże. Pies jest brązowy i chudy, zbyt chudy. Nie ma obroży. Nastawia uszy, patrzy w stronę Sammie i zaczyna szczekać. Nie przestaje biec, nawet gdy Sammie zamyka okno i odjeżdża. Pies goni za samochodem przez chwilę, próbując chwycić zderzak zębami.

Kiedy Sammie dociera do domu, Dean jest wciąż w pracy, a dom jest zimny i pusty. Sammie siada za kuchennym stołem. Jest stary. Kupili go wraz z krzesłami na wyprzedaży garażowej za dziesięć dolarów, zaraz na początku

małżeństwa. Dean naprawił stół; wyszlifował go papierem ściernym i polakierował. Nazwał to „pracą wykonywaną z zamiłowaniem”, a Sammie śmiała się i pocałowała go gorąco w usta. Stół wyglądał wówczas jak nowy, ale teraz jest już podniszczony; na jego blacie widać zacieki, zaś na wyściełanej części krzeseł pojawiły się plamy. Sammie zastanawia się, jak to się stało i dlaczego nie zauważyła, że sprzęty mocno się już zużyły.

Wyjmuje z torebki komórkę i włącza przeglądarkę internetową. Wpisuje w nią kilka słów. Oczekiwanie chwilę trwa, zanim wyskakują strony pełne informacji. Dwieście pięćdziesiąt milionów rezultatów. To niesamowite, jak łatwo można znaleźć w sieci wszystko, czego się pragnie, prawie nie wkładając w to wysiłku.

Sammie znajduje to, o co jej chodziło, i stuka palcem w ekran komórki. Telefon łączy ją automatycznie. Sammie nie wie, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała i dopiero Ralph Loren musiał jej to uświadomić, bo ma przecież dostęp do takiego źródła informacji, jakiego Chris Weber nigdy mieć nie będzie. Ma pozwolenie na odwiedzanie Jacky’ego Seevera.

— Połączyłeś się z zakładem karnym Sterling — odzywa się automatyczna sekretarka. Głos jest bezpłciowy, mechaniczny. Sammie nie umie powiedzieć, kto udziela jej informacji — mężczyzna czy kobieta. Wybierz numer wewnętrzny, z którym chcesz się połączyć. Odwiedziny są w środy od dziesiątej do trzynastej...

# GLORIA

— Jeśli jesteś zmęczony, możemy iść spać — powiedziała Gloria. Była to pierwsza noc po ich weselu. Rok wcześniej byli na pierwszej randce. To był długi dzień — rzucanie bukietem, tańce, krojenie ciasta i stanie przed tymi wszystkimi ludźmi. Jacky znał mnóstwo osób i wyglądało na to, że zaprosił, kogo tylko mógł, co nie bardzo podobało się ojcu Glorii, bo to on płacił za wesele. Teraz było już po wszystkim i zaczęli swój miodowy miesiąc. Nie wyjeżdżali z Denver, ale zatrzymali się w hotelu Brown Palace na parę dni, w apartamencie „Roosevelt”, co zdaniem Glorii brzmiało staroświecko, ale apartament okazał się cudowny.

— Nie musimy nic robić tej nocy. Chyba że chcesz.

— Co masz na myśli? — Jacky patrzył na nią, siedząc w nogach łóżka. Ślubna muszka luźno zwisała z jego szyi. Przez całe wesele był hiperaktywny — tańczył, rozmawiał i śmiał się więcej, niż ktokolwiek byłby w stanie, ale teraz, gdy zostali sami, był cichy i patrzył na Glorię w sposób, którego ona nie rozumiała. Przez chwilę pomyślała, że w oczach Jacky’ego widzi strach, ale wydało jej się to głupie, bo dlaczego miałby się jej obawiać?

Och, ona się obawiała. Oczywiście, że tak. Miała dwadzieścia lat i wciąż była dziewicą. Nigdy nie uprawiała seksu, nawet z Jackym, który nie przejawiał szczególnego zainteresowania pieścizotami. Kiedy byli w kinie, całował ją, ale gdy robiło się zbyt gorąco, odsuwał się i stawiał na kolanach pudełko z popcornem, wyglądając na zawstydzonego.

Gloria wykonała niezręczny gest, unosząc skraj ślubnej sukni. Słyszała o robieniu „tego” od koleżanek ze szkoły, ale słuchanie nie było tym samym,

czym sam akt seksualny.

— Nie wiem — powiedział Jacky. Popatrzył na nią, a potem na drzwi i przez chwilę Gloria myślała, że Jacky ma ochotę uciec. Gloria nigdy wcześniej nie widziała go zdenerwowanego, nawet gdy jej ojciec awansował go z posady na zmywaku na głównego kucharza, z dużymi nadziejami na zarządzanie interesem. „Właściciel, powiedział jej ojciec. Będzie zarządzać restauracją w niedługim czasie”.

— Wszystko w porządku? — zapytała Gloria.

— Tak.

— Mam wyłączyć światło?

— Nie wiem, a zresztą — zgaś.

Położył się, gdy tylko zgasło światło. Przytulił się do niej, a jego skóra była gładka i zimna. Drżał i szybko skończył ich pierwsze zbliżenie. Gloria czuła jego gorący oddech w zagłębieniu szyi.

— Nie wiedziałem — powiedział.

— Czego?

— Nic już. Nic.

Jacky w restauracji albo w domu jada tylko masło. Prawdziwe masło, nie margarynę czy oleomargarynę, ani żadnych zdrowych wynalazków, których nikt nie określi mianem masła. Gloria próbowała go najpierw oszukiwać, wkładając do maselniczki margarynę i sądząc, że Jacky nie zauważy różnicy, zaś ona zaoszczędzi. Ale on się połapał, wiedział nawet, że pozbyła się narzędzia zbrodni, czyli opakowania. A przecież wyrzuciła je nie do ich kosza na śmieci, a do pojemników stojących przy sklepie spożywczym. Przechyliła się przez brzeg sklepowego pojemnika, wrzuciła na jego dno

puste pudełko i zakryła je tłustymi torebkami po fast foodzie i pogniecionymi gazetami, oglądając się przy tym przez ramię, jak gdyby Jacky stał za jej plecami, na parkingu, przeczuwając, co ona ma zamiar zrobić. Zatarła ślady perfekcyjnie, ale Jacky w jakiś sposób się zorientował i rozwalił o ścianę ładną kryształową maselnicę, którą dostali w prezencie ślubnym. Krzyczał, że go oszukuje i zwodzi, a w kącikach ust zgromadziła mu się piana.

Po przyjęciu weselnym Jacky pozbierał wszystkie takie rzeczy jak ta maselnica, bo twierdził, że mogą się przydać w restauracji. Ojciec Glorii, który wręczył im klucze do interesu i akt własności trzy miesiące po ich ślubie, mówi, że to dobrze. I że wskazuje to, iż Jacky jest zaradnym mężczyzną. Będzie potrafił sprawnie zarządzać restauracją. Niedługo po objęciu interesu Jacky zaczyna mówić o jego rozwinięciu, o wzięciu kredytu i otwarciu drugiej restauracji w nowszym budynku, w którym dawniej mieścił się zakład fryzjerski i bar.

— Sądysz, że to dobry pomysł? — pyta Gloria, ale Jacky nie odpowiada. W tamtym czasie nie bardzo zwraca na nią uwagę, a ona to rozumie. Jest przecież zajęty w restauracji, zarabiając na ich utrzymanie. Jacky potrzebuje przestrzeni, myśli Gloria. Niestety, wydaje się ją zauważać jedynie wtedy, gdy chce seksu, szybkiego i ostrego. Potem Gloria może sobie oglądać telewizję, a on zajmuje się biznesem. Gloria jest z tego zadowolona, bo nadal nie rozumie, co w tym seksie jest takiego zajmującego, choć kobiety w soap operach drocą się z mężczyznami na ten temat, zaś mężczyźni wydają się zainteresowani tylko nim.

Po roku małżeństwa Gloria zachodzi w ciążę. Przez pierwsze miesiące jest wyczerpana. Większą część dnia spędza na tapczanie, oglądając w telewizji wyczyny Eriki Kane w Pine Valley, z nogami opartymi na poduszce i rękami błędzącymi po brzuchu. Ten nie zmienił póki co swego kształtu,

nadal jest płaski i napięty, ale ona czuje delikatny nacisk, coś małego ukrytego pod pępkiem. Każdego dnia widzi ciężarne kobiety w sklepie, na spacerze i chce być jedną z nich, mieć okrągły brzuch i nosić te śmieszne luźne stroje, które rozszerzają się w pasie. A potem będą mieli chłopca, który będzie wyglądał tak jak Jacky. Później może im się urodzić dziewczynka. Po jednym dziecku każdej płci. Gloria zaczyna kupować ubranka, małe skarpetki i niedrażniące oczu szampony, zaś kasjerka w sklepie patrzy na te wszystkie zakupy i na brzuch Glorii, po czym uśmiecha się. Ona i Gloria rozumieją się bez słów.

Koniec następuje równie szybko, jak początek. Gloria budzi się pewnego ranka i myśli, że chyba zrobiła siusiu, bo na łóżku jest mokra plama. Nie zdarzyło się jej to od czasów dzieciństwa. Jej ojciec wywiesił wtedy pościel na zewnątrz, tak by sąsiedzi widzieli, że susia do łóżka. Kiedy jednak odrzuca kołdrę, widzi, że wszystko jest czerwone. W tym momencie wydaje jej się, że całe łóżko wypełnione jest krwią, że jest jej cały ocean. W rzeczywistości krwi nie ma tak wiele, ale na tyle dużo, by ciąża nie mogła się utrzymać. Lekarz doradza Glorii odpoczynek, mówi, że mogą próbować znowu, że takie rzeczy się zdarzają. Jacky najpierw okazuje współczucie, ale potem jest skonfundowany faktem, że Gloria jest tak rozstrojona i smutna. Mówi, że nie rozumie, dlaczego Gloria tak się zachowuje, rozpaczając nad utratą czegoś, czego właściwie jeszcze nie miała.

Gloria krwawi przez tydzień. Za każdym razem, gdy jest w łazience, przed spuszczeniem wody uważnie patrzy w muszlę klozetową, choć sama nie wie, czego tam szuka. Nie ma tam nic więcej poza moczem, skrzepami krwi i kawałkami czegoś, czego Gloria nie umie nazwać. Ale wciąż się temu przypatruje, szukając czegoś więcej.

Małżeństwo, myśli Gloria, to próba zachowywania równowagi. Jeśli



zbytnio obciążysz jedną stronę, tracisz równowagę i wszystko się rozpada.

— Nie dotykaj mnie — mówi do Jacka. Od poronienia minęło pół roku, ale ona nie chce próbować drugi raz. Jest ostrożna — zawsze śpi w koszuli, kładzie się spać wcześniej niż Jacky i szybko się usuwa, gdy on chce się do niej zbliżyć.

— Potrzebuję cię — mówi Jacky. Gloria znalazła pod łóżkiem magazyn, po tej stronie, po której śpi Jacky. Spadł, gdy Jacky zasnął. Na okładce było zdjęcie nagiej kobiety, związanej kobiety. W jej ustach tkwiła czarna, gumowa kulka. Ta kobieta — i wszystkie inne pokazane w tym magazynie — były związane, smagane biczem, nękanie albo w jakiś sposób ranione. Wyglądały na przerażone.

— Nie czuję się dobrze. — Nie powiedziała Jacky’emu o tym, że znalazła czasopismo. Od czasu do czasu nieoczekiwanie znajdowała w domu takie rzeczy. To było niczym znalezienie baby z nosa przyklejonej na skraju krzesła, pomyślała. Wstrętnej, niesmacznej rzeczy, którą ktoś pozostawił. Co gorsza, zrobił to Jacky. To jej mąż robił te odrażające rzeczy. — Chcę spać.

Gloria odwraca się na bok, układając policzek na rękę, ale tym razem Jacky nie odpuszcza. Chwyta ją za ramię i przygniata do materaca. Pasma jej włosów zaplątuje się w jego pasek od zegarka, który wpija się w skórę jej głowy. Gloria zdumiona wydaje z siebie pisk.

— Co robisz? — woła, ale Jacky jest zajęty rozwiązywaniem sznurków od spodni pizamy jedną ręką. Drugą przytrzymuje Glorię. — Puść mnie.

Gloria próbuje go odepchnąć, walczy z nim, ale Jacky jest od niej silniejszy i ma dłuższe ręce. Kiedy Gloria próbuje zatopić paznokcie w skórze jego policzka, Jacky uderza ją mocno w twarz, a ona zakrywa ją rękami i płacze, z trudem chwytając powietrze, które ze świstem przechodzi

między jej palcami.

— Chcę zobaczyć twoją twarz — mówi Jacky, chwytając ją za nadgarstki i próbując odciągnąć jej ręce, tak by odsłoniła twarz. Jego biodra poruszają się szybko, a Gloria zdaje sobie sprawę, że to go nakręca, że ona jest niczym jedna z dziewczyn w magazynie — boi się, płacze, usiłuje się uwolnić. A on nie tylko to lubi, on to po prostu kocha. Gloria nadal zasłania twarz rękami i nie poddaje się, nawet gdy Jacky przyciska ją coraz mocniej, chwytając palcami za ciało i ściska je tak mocno, że aż rani jej skórę. Gloria krzyczy, ale nie opuszcza rąk. — Chcę zobaczyć twoją twarz.

Jacky nie budzi jej, gdy następnego dnia rano wstaje do pracy. Gloria wstaje około południa, ma podkrążone oczy i ledwo trzyma się na nogach. Spała jak zabita, ale nadal czuje się bardzo zmęczona. Wlecze się do kuchni, nastawia ekspres do kawy i obserwuje, jak wolno spływa ona do dzbanka. Nie zauważa, że jej szlafrok jest niezawiązany i rozchełstany, a pod spodem nie ma nic. Nie odnotowuje, że porusza biodrami w przód i w tył, zaś końce jej włosów łonowych ocierają się o skraj kuchennego blatu. Nie zauważa również śladów krwi na udach.

Myśli, że jej mąż być może ją zgwałcił. A może nie. Czy to się w ogóle mogło zdarzyć? Gloria nie jest pewna.

Niechcący przelewa kawę przez krawędź kubka i parzy sobie rękę. Mogłaby zostawić Jacky'ego. Zażądać rozwodu. Takie rzeczy się zdarzają. Nie zna co prawda żadnych kobiet, które opuściły swoich mężów, ale widziała to w telewizji, wie, że to możliwe. Myśli o tym cały dzień, z szafy w korytarzu wyjmuje nawet walizkę i wkłada do niej parę rzeczy — kilka par majtek i parę bluzek, spodnie. Gdyby spakowała wszystkie swoje rzeczy, oznaczałoby to, że podjęła już decyzję, że jest gotowa odejść.

Ale ona nie jest tego pewna.

Wieczorem tego dnia, siedząc naprzeciwko Jacky'ego przy stole i obserwując, jak je posiłek, Gloria decyduje, że musi coś powiedzieć. Tego się chyba oczekuje po kobietach, prawda? Mają dzielić się swoimi przemyśleniami? Mają mówić, co czują? Chyba wyczytała tę poradę w jakimś magazynie kobiecym — prawdopodobnie wtedy, gdy czekała w kolejce u dentysty. Trzeba oczyścić powietrze, jak w nim napisano. Przepracować pewne rzeczy. Albo być kobietą nowoczesną i odejść. Kobieta nie potrzebuje mężczyzny, który źle ją traktuje — tak napisano w magazynie.

— Co do ostatniej nocy — zaczyna, ale Jacky nie pozwala jej skończyć. Nagle ma mnóstwo do powiedzenia, choć do tej pory nie rzekł ani słowa.

— Nie wiem, co mi przyszło do głowy — mówi szybko, wstając i idąc ku niej. Gloria odsuwa się, gdy Jacky próbuje jej dotknąć, i widzi w jego oczach ból. — Nie chciałem cię skrzywdzić. Nie byliśmy ze sobą od tak dawna, a ja tak bardzo cię pragnąłem.

„Przypuszczam, że zachował się tak, bo bardzo mnie kocha”, powiedziała kiedyś jej matka.

— Przenieś się do pokoju dla gości do czasu, gdy znajdę jakieś lokum — mówi Jacky. — Nie dotknę cię więcej.

— Nie chcę, żebyś to robił — mówi Gloria. To nie tak miało wyglądać, zupełnie nie tak. Co innego, gdy to ona planuje rozwieść się z nim, a co innego, gdy to on chce odejść z domu. Jak mógłby to zrobić? Poza tym jest w kiepskim stanie psychicznym. Czy tak? Czyż nie tak?

— Nie sędzę, żebyś chciała mnie więcej — mówi Jacky. Wygląda tak, jakby miał się rozplakać. — Jeśli coś jest ze mną nie tak, jeśli mnie nie chcesz, zrozumieć. Jest wielu mężczyzn...

— Nigdy nic takiego nie powiedziałam — oświadcza Gloria.

— Ale to, co zaszło ostatniej nocy, nie podobało ci się.

— Nigdy tego nie powiedziałam. — Gloria nie wierzy, że takie słowa padają z jej ust. To kłamstwa. Ale czy kłamię, mówiąc, że podobało jej się, jak przygniatał jej ciało i jak czuła ból podobny do tarcia papieru ściernego o skórę, gdy Jacky forsował sobie drogę pomiędzy jej nogami? Gloria nie wie. Jest tak, jakby nic więcej nie mogła sobie przypomnieć, a jedyne, na czym teraz jej zależy, to żeby jakoś się trzymać. Miała różne zamiary, ale wszystkie się teraz ulotniły. — Kiedy coś takiego powiedziałam?

— Myślałem, że ci się to nie podobało — mówi Jacky powoli. — Ale byłaś ostatnio tak zimna w stosunku do mnie, że myślałem...

— Może nie mówiłbyś w moim imieniu — warczy Gloria, zgarniając z miski zielony groszek na talerz Jacky'ego. — Mam swój rozum i jeśli coś nie będzie mi się podobało, to ci o tym powiem.

— Dobrze — przytakuje Jacky. — Powiesz mi.

— Powiem ci — mówi stanowczo Gloria, a potem powtarza to raz jeszcze. Pamięta o na wpół spakowanej walizce, która stoi na górze, przeprasza na chwilę i idzie na piętro. Nie dba o wyjęcie rzeczy, ale wpycha walizkę z powrotem do szafy. Robi to cicho, tak żeby Jacky nigdy się o tym nie dowiedział.

Następnego dnia Jacky przynosi jej kwiaty, a potem co parę dni wręcza nowy bukiet. Kupuje kwiaty charakterystyczne dla danej pory roku — stokrotki wiosną, chryzantemy jesienią. Goździki przez cały rok. Wysokie, świeże kwiaty, których ciężkie główki wystają ze szklanych waz. Ich delikatne łodygi z trudem utrzymują kwiaty w pionie.

— Nie potrzebuję nowego wazonu za każdym razem — mówi Gloria. — Jeśli przyniesiesz kwiaty owinięte w papier, też będzie dobrze.

Ale on nie słucha i wciąż pojawiają się w domu nowe wazony. Gloria czuje się źle, wyrzucając je na śmietnik, toteż w końcu nalega, by ustawiać je w kącie garażu. Kurzą się. Brudzą. Nietrwała góra szkła, która z tygodnia na tydzień robi się coraz większa. Gloria zagląda czasem do garażu. Beton ziębi jej bosc stopy, a ręce ma założone na piersi. Po kilku takich wizytach zauważyła, że do wazonów wpełzają pająki — nie wiedzą, że nie będą mogły się stąd wydostać i że skończą martwe na dnie z przykurczonymi odnóżami. Reszta świata będzie bardzo blisko i łatwo ją będzie zobaczyć, ale tylko tyle.

---

<sup>1</sup> Happy Trees Mobile Home Park — nazwa osiedla składającego się z domów na kółkach, której dwa pierwsze słowa można przetłumaczyć jako „szczęśliwe drzewa”.

# POLOWANIE

HOSKINS

7 grudnia 2015

Bez Teda pracującego w pokoju obok w biurze jest pusto. Wydaje się też bardziej mroczno. To prawdopodobnie takie psychologiczne złudzenie. Kiedy Hoskins wchodzi do swego pokoju, na krześle leży teczka z szarego papieru; w środku znajduje się kilka kartek zapisanych odręcznych pismem. Białe kartki pokrył swoim zabawnym pismem Loren — pisze metodą Palmera<sup>1</sup>. Na górze widnieje parę zdań napisanych żółtym kolorem. „Rzuć na to okiem, czyta Hoskins. To najlepsze, na co było stać głąbów z grupy operacyjnej. Dzisiaj nie ma mnie w biurze, jadę do Pueblo. Mam cynk, że być może ukrywa się tam Cole”.

Hoskins przegląda kartki, przesuwa palcem po notatce służbowej, a potem zaczyna się śmiać. Głąby, Loren miał rację. Jeśli grupa operacyjna nie umiała stworzyć lepszej listy podejrzanych, całe miasto będzie mieć kłopoty.

Podejrzany jest mężczyzna, napisano w notatce. Ma od osiemnastu do pięćdziesięciu pięciu lat. To, zdaniem Hoskinsa, dość duży przedział. Mężczyzna z ukrytymi skłonnościami do seksualnej perwersji i kompleksem niższości. To, jak myśli Hoskins, dotyczy pewnie większości mężczyzn w

Denver. Potem następuje lista podejrzanych, która jest krótka. Każde śledztwo od czegoś musi się zacząć, bo samo się nie potoczy; postępowanie w pewnym sensie trzeba budować, cegła po cegle, aż otwierają się kolejne drzwi i ukazuje się nowa możliwość. Ale te nazwiska to jakiś żart.

Pierwszy na liście jest Tom Bird, lokalny biznesman, ubiegający się o stanowisko burmistrza w nadchodzących wyborach. Spędza mnóstwo czasu na ściskaniu rąk i całowaniu dzieci; wiele obiecywał, jeśli chodzi o zmniejszenie liczby przestępstw w Denver, gdy zostanie wybrany. Hoskins bierze długopis i skreśla jego nazwisko. Jeśli Bird popadłby w kłopoty, mordując trzy kobiety po to, by zwrócić uwagę na swą kampanię wyborczą, to powinien ubiegać się o fotel prezydenta, a nie o stanowisko burmistrza.

Następny w kolejności jest pastor Jack Pelton, który przez dwadzieścia lat był nawiedzonym kaznodzieją, po czym został przyłapany na nielegalnych praktykach seksualnych z nieletnimi dziewczynkami. Jego kościół zdymisjonował go, lecz pastor był teraz w fazie podnoszenia się z upadku, a wszak wszyscy lubią skruszonych grzeszników. W kościołach przybywa wiernych, gdy dzieje się coś przerażającego. Dlaczego pastor nie miałby zrobić czegoś strasznego w Denver, tak by kościelne ławy zaczęły się zapęłniać ludźmi? Hoskins skreśla także to nazwisko. Istnieją łatwiejsze sposoby, by napełnić kościelną tacę.

Osoba podejrzana numer trzy: Frank Costello, prawnik wielmożnego pana Jacky'ego Seevera, który reprezentował swego klienta przed sądem i inkasował za to spore pieniądze. Jego usługi adwokackie od lat nie cieszą się już zbyt dużym powodzeniem. Miał dobry czas po procesie Seevera i może tego właśnie szuka — nazwisko Seevera znowu widoczne w gazetach byłoby żyłą złota. Ale Costello ma około siedemdziesiątki i dwa razy złamał biodro. Hoskins uważa, że ten facet nie byłby w stanie skrzywdzić dziecka, a cóż

dopiero dorosłej kobiety. Kolejne skreślenie.

Następny to Dan Corbin, redaktor naczelny „Posta”. Poziom sprzedaży „Posta” spada, wszyscy o tym wiedzą. „Rocky Mountain News” zniknął z rynku parę lat temu i „Post” zmierza w tę samą stronę. Wstrząsająca sprawa związana z Seeverem, trzy nieżywe kobiety i Sammie Peterson, była reporterka gazety ponownie zajmująca się tą historią — to było dla Corbina spełnienie marzeń. Ale Hoskins spotkał kiedyś Corbina — to frajer, facet, który bałby się skoczyć ze spadochronem i wolałby raczej pooglądać to w telewizji niż samemu spróbować. Corbin to typ gościa, który nigdy by się nie przyznał, że się onanizuje, a potem robiłby to do skarpetki, ukryty za szafą. Spędził całe swoje życie, chowając się za słowami.

Kolejna linia, przekreślająca tym razem nazwisko Corbina.

Hoskins wie, co myślą Loren i jego ludzie — że Zabójca z Drugiej Ręki uśmierca w jakimś celu. Być może finansowym. Albo dla złej sławy. Nazwisko Seever było w Denver powszechnie znane, a każda wzmianka o nim sprawia, że ludzie siadają i zaczynają zwracać uwagę na to, co z nim związane. Ale Hoskins był w domu Simms, widział jej ciało. Widział ślady na jej ciele, krwawe odciski butów. I słowa. Osoba Simms sprawia, że Hoskins zaczyna wracać pamięcią do momentu swej podróży do Teksasu, do miejsca, gdzie na paruset akrach pozostawiono ludzkie ciała na pastwę sił natury. Lekarze, detektywi i każdy, kto miał jakiś dobry powód, mogli przyjść i popatrzeć, jak wygląda rozkład ludzkiego ciała. Nazywano to miejsce „farmą ciał”, co Hoskinsowi wydało się koszmarną wręcz nazwą. Byłaby to nazwa lepsza dla klubu ze striptizem. Hoskins nie pamiętał wiele z wizyty w tym miejscu, może poza widokiem martwej kobiety, leżącej na polu pełnym dziko rosnących kwiatów. Skraj jej sukienki powiewał na wietrze, a puste oczodoły skierowane były ku niebu. Wokół jej ciała rozpięto siatkę



ogrodzeniową, tworzącą rodzaj klatki. Ktoś powiedział, że to dla ochrony przed dzikimi zwierzętami. Tak, by jej szczątki nie mogły być rozwleczone.

— Każde z tych ciał ma ci coś do powiedzenia — powiedział mężczyzna opiekujący się tym miejscem podczas oprowadzania. — Trzeba tylko domyślić się co.

Hoskins ma sześć zdjęć Carrie Simms w swojej komórce. Większość z nich zrobiono z bliska. Kiedy im się przygląda, czuje uderzenie krwi do głowy. Może już czas na przerwę, czas, by wyjść na zewnątrz i pospacerować trochę koło parkingu. Wokół nadgarstków Simms widnieją rany od sznurka, którym ją związano. Kolejna rana znajduje się z tyłu czaszki, kształtem przypominająca wygięcie na tykwie. Jest jeszcze rana na prawej dłoni. Brakuje trzech palców. Wszystkie ślady obrażeń są takie same z wyjątkiem ostatniego, które musiało powstać chyba przypadkowo, kiedy przestępca się przesuwiał, bo jest on jakby rozmyty, niczym obraz namalowany farbami wodnymi, rozmazanymi, gdy wciąż były mokre. Ślad ten widnieje na twarzy Simms, która wydaje się niemal żywa. Wygląda to tak, jakby dziewczyna się śmiała albo krzyczała.

Hoskins sądzi, że ciało Simms próbuje mu powiedzieć coś, co on i jego grupa przeoczyli: Zabójca z Drugiej Ręki mógł zacząć zabijać dla celów finansowych lub osobistych, ale to niekoniecznie pasuje do obrazu sytuacji. Wydaje się, że szukał tylko jednej rzeczy — przyjemności. W zabójstwie Simms tkwiła jakaś radość szaleńca. Hoskins zamyka oczy, myśli o przewróconym na bok tosterze, wgniecionym i pokrytym krwią oraz włosami. Kimkolwiek jest Zabójca z Drugiej Ręki, poszukuje przyjemności i Hoskins już to wie. Zgwałcił te trzy kobiety, torturował je i zamordował z wyjątkowym okrucieństwem, przedłużając cierpienie ofiar.

I zrobi to ponownie.

Na końcu tkwi jeszcze jedno imię i nazwisko. W jakiś sposób to śmieszne, ale że jest winny — już nie tak bardzo.

Jacky Seever.

— Wiesz, co mi się w tobie podoba, Paulie? — powiedział Seever pewnego razu.

Ich czas spędzony razem dobiegał końca. Było to tuż przed procesem, a zaraz po tym, jak Hoskins wyciągnął od Seevera wszystko, co mógł, choć czasem wyglądało to na odwrót, tak jakby Seever nicował Hoskinsa na wylot.

— Ty rozumiesz. Nie tak jak Loren. Ty mnie rozumiesz.

— Myślę, że coś ci się pomyliło. Nie jestem tutaj po to, by cię rozumieć. Jestem tu, bo muszę. Taką mam pracę

— Nie wiem — odparł Seever, uśmiechając się. — Myślę, że jakaś część ciebie lubi być tutaj ze mną.

— Nie powiedziałbym.

— Nie miałbyś ochoty zacząć się onanizować, słysząc to, o czym opowiadam, Paulie?

— Co?

— Widzę, jak wyglądasz, kiedy opowiadam — powiedział Seever. — Mam wrażenie, że nie miałbyś nic przeciwko, by samemu czegoś takiego spróbować?

— Nie jestem taki jak ty. Nigdy nie posunąłbym się do rzeczy, które robiłeś.

— Och, nie byłbym tego taki pewien. Masz potencjał, widzę to.

To ważne w śledztwie, by określić oś czasową dotyczącą ofiary — to

znaczy ustalić, co robiła podczas dni, godzin lub minut, które prowadziły ją ku śmierci. Czasem to trudne, bo nie zawsze można się dowiedzieć, co ktoś robił. Niekiedy nie wiadomo nic o tym, z kim rozmawiała ofiara, co myślała. Nawet współczesna technika nie umożliwia zarejestrowania każdej minuty i godziny życia danej osoby, choć Hoskins jest pewien, że Apple nad tym pracuje.

Jak te stare sprawy na biurku Hoskinsa. Morderstwa, które wydarzyły się dziesięć, dwadzieścia lub trzydzieści lat temu. Nie można podnieść słuchawki telefonu i zapytać ludzi, gdzie byli danego dnia dekadę temu albo co wtedy robili. Czas upływa, ludzie zapominają. Dowody ulegają zniszczeniu. A potem, wiele lat później, teczki z takimi sprawami lądują na biurku Hoskinsa.

— Nie ma tutaj nikogo, kto by pasował — mówi Loren. Znajdują się w sali konferencyjnej komendy policji. Siedzą naprzeciwko siebie, analizując listę podejrzanych punkt po punkcie.

Loren powiedział, że nie znalazł Cole'a w Pueblo. Nie ma po nim śladu. Hoskins woli na niego nie patrzeć, bo Loren wciąż ubrany jest jak Seever. Wcisnął się w garnitur w stylu Seevera i zatknął w klapie malutki kwiatek — ale co Hoskins może na to poradzić? Nic, bo nawet jeśli powiedziałby coś Blackowi, gdyby przeszedł się do działu kadr i wystosował skargę, współpracownicy potrząsnęliby tylko głowami i roześmiali się. Bo nawet jeśli poskarżyłby się na garnitur Lorena, okulary, które nosi i jego nażelowane włosy, to wszystkie te rzeczy dla nikogo nic by nie znaczyły. Tylko Hoskins widzi Seevera we wszystkim, co robi Loren, w ubraniach, które nosi, w sposobie, w jaki pali papierosy i zasysa ślinę przez zęby. Te „seeveryzmy” nie są zachowaniami Lorena, ale nikogo poza Hoskinsem to nie niepokoi.

— Od momentu gdy znaleźliśmy Simms, minęło pięć dni i nadal nikt nic

nie wie, nikt nic nie widział. Nienawidzę, kiedy tak się dzieje. Skończymy, czekając, aż pojawi się kolejna ofiara.

To nie jest tak, że czekają. Starają się ustalić oś czasową dotyczącą Simms, ale jest ona najgorszą osobą, której życie można byłoby tropić. Nigdy nie miała karty kredytowej, więc nie mogą prześledzić jej wydatków. Nie miała komórki, więc nie można odtworzyć miejsc jej pobytu. Ostatnim razem widziano ją żywą w szkole, na zajęciach z biologii. Większość studentów nie kojarzyła jej, a rozpoznała dopiero wtedy, gdy pokazano im zdjęcie. Simms była cicha, nie miała znajomych. Nie kontaktowała się z nikim z rodziny od lat i nikt z krewnych, łącznie z jej matką, nie był zaskoczony faktem, że nie żyje.

— Jeśli to poprawi ci samopoczucie, nie sądzę, żebyśmy mieli długo czekać.

— Jezus, Paulie. Nie pozwól, by ktoś słyszał te brednie.

— Wiesz, jak to wszystko idzie. Facet wrzuca trzeci bieg. Wpada w rutynę.

— Dlaczego on to robi, Paulie? — mówi Loren. — Chce przyciągnąć uwagę ludzi?

— Nie wiem.

— Zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek go znajdziemy — odzywa się Loren. — On pewnie teraz uważa, że radzi sobie świetnie i że jesteśmy zbyt głupi, by go złapać.

— Dostaniemy go.

— Tak. Słuchaj, ekipa z terenu przyjdzie złożyć sprawozdanie o piątej. Poczekasz?

— Oczywiście.

— Mam nadzieję, że ten gość wie, ile czasu poświęcamy jego dupie. To by polepszyło mu samopoczucie, podbudowało jego ego.

— Tak, racja — mruczy Hoskins, pocierając palcem o łuk brwiowy w miejscu, w które uderzył go Loren. — Daj mi minutę. Spotkamy się na dole.

Loren rzuca mu spojrzenie, zanim wychodzi, ale Hoskins tego nie zauważa. Jest zbyt zajęty rozważaniem pewnej kwestii; ma przedziwne poczucie, że jest coś, nad czym powinien się zastanowić, jak słowo na końcu języka, którego nie można wypowiedzieć. Jakieś słowa Lorena sprawiły, że Hoskinsowi coś błysnęło w pamięci, coś o ego. To wydaje się ważne, jednak poczucie to mija tak szybko, jak się pojawiło, nim Hoskins zdążył wydobyć je z cienia, poskładać w całość i wyłuskać z niego sens.

# SAMMIE

— Każda decyzja, jaką podjęłam w życiu, była błędna — powiedziała pewnego razu Sammie. Słowa te skierowane były do Deana, po tym jak straciła pracę w „Poście”. Była wciąż niezadowolona i przewrażliwiona, i nie zważała na słowa, które zbyt szybko padały z jej ust, a potem było za późno. — Przez całe swoje życie nie zrobiłam niczego właściwie.

— Znajdziesz inną pracę.

— Dlaczego nie zarabiasz więcej pieniędzy? — zapytała, choć znała odpowiedź. Dean był dobrym facetem, ale nie dość dobrym. Był bystry, ale nie dość bystry. W wielkim biznesowym układzie był po prostu jednym z pracowników, niewyróżniającym się, stojącym dość nisko w hierarchii firmy marketingowej, która z kolei nie była wysoko w hierarchii firm tego typu. Tak było od zawsze. Dean nie wiedział, jak iść w górę, i nie wydawał się tym szczególnie zainteresowany. Był szczęśliwy tam, gdzie był, odpowiadając na telefony, wypełniając arkusze kalkulacyjne czy robiąc cokolwiek innego. Pracował na stanowisku koordynatora sprzedaży marketingowej — nikt nie miał pojęcia, co tak naprawdę miało to oznaczać. To była zagadka. Dean nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego Sammie wciąż naciska o więcej, dla siebie, dla niego. — Każdy facet, jakiego znam, zarabia dość pieniędzy, by utrzymać rodzinę. Oprócz ciebie.

— Naprawdę tego chcesz? — Dean wyglądał na nieszczęśliwego. Wyszło źle, Sammie o tym wiedziała. To był cios poniżej pasa, który sprawił, że Dean poczuł się gorzej jako mężczyzna ze względu na swe zarobki. Matka Sammie zawsze ostrzegała ją, by tego nie robiła, by nie umniejszała wartości

męża. Sammie nie mogła jednak czasem powstrzymać się przed komentarzem. — Nie chcesz pracować? Chcesz zostać w domu, być gospodynią domową?

Ale ona nie miała zamiaru być kurą domową, nigdy tego nie chciała. Lubiła pracować, bez wątplenia. Nie chodziło zresztą o pieniądze, ale o samą ich koncepcję, choć Sammie nie wiedziała, jak to wytłumaczyć, by miało to sens. Pragnęła, by Dean otoczył ją ramionami, powiedział, że wszystko jest okay, że była dobra w swojej pracy i że to, co ją spotkało, nie było porażką — ale zamiast tego Dean wyglądał na równie przerażonego jak ona.

— To, czego chcę, to mężczyzna, który się o mnie zatroszczy.

Dotarcie do zakładu karnego Sterling zabiera Sammie dwie i pół godziny. Jacky Seever będzie tutaj przebywał przez następnych czternaście miesięcy. Potem zostanie przewieziony pod eskortą na południe, do więzienia w Cañon City, gdzie przypną go pasami do łóżka w pokoju pełnym świadków i podadzą śmiertelny zastrzyk. Wszyscy będą czekali, aż Seever zaśnie, a jego serce przestanie bić. Sterling znajduje się na wschodzie Denver, gdzie pochyłe zbocza gór przekształcają się w równinę i gdzie w krajobrazie przeważają niewielkie krzaki, żółty piach i domy, które mocno przylgnęły do ziemi i trzymają się jej z całej siły. W tym miejscu jest zimniej; wiatry wieją, nie natrafiając na przeszkody, choć w porównaniu z miastem jest mniej śniegu. Na autostradzie szaleją natomiast śnieżne kurzawy, bicząc trasę przejazdu maleńkimi lodowatymi tornadami. To miejsce sprawia, że Sammie aż bolą oczy. Wszystko przez to niebo, myśli Sammie, niekończący się bezkres nieba, rozciągający się od jednego krańca świata do drugiego. Nic tu nie burzy monotonii. Sammie czuje się pod tym nieboskłonem tak, jakby brakowało jej powietrza, jakby jakieś akwarium odwróciło się do góry nogami i spadło jej nagle na głowę.

Odwiedziła to więzienie już wcześniej, gdy miała czternaście lat, w ramach programu prewencyjnego, w którym uczestniczyła jej szkoła. Nie było w jej murach dostatecznie dużo dzieciaków mających kłopoty z prawem, więc poszli wszyscy. Nikt nie próbował się wykręcać, ponieważ każda okazja, by lekcje się nie odbyły, była dobra, nawet jeśli miała to być wizyta w więzieniu. Dzieci rozdzielono; chłopcy pojechali jednym autobusem, a dziewczynki drugim. Sammie nie pamięta zbyt dużo z tej wycieczki. Może tylko to, że jedna z dziewczynek zaczęła płakać, gdy ją przeszukiwano. Jej łkanie odbijało się echem od betonowych ścian. Sammie pamięta także więźniarki, które z nimi rozmawiały. Były całkiem miłe, nieco nudne i niczym nie różniły się od jej matki. Żadna z nich nie zrobiła nic na tyle ekscytującego, by znaleźć się za więziennymi kratami — prócz jednej. Była drobna i ładna, i nie wydawała się dużo starsza od Sammie i jej koleżanek.

— Zabiłam mojego męża — oświadczyła. Stojąc przed grupą nastolatek, nie wydawała się zdenerwowana, a jedynie stwierdzała oczywisty fakt. — Myślałam, że to był wypadek, ale oni powiedzieli, że nie.

Oni, jak szybko zakonotowała Sammie, to byli wszyscy inni — wszyscy, którzy nie mieszkali we wnętrzu głowy tej kobiety.

— Zabiłam go nożem — wyjaśniła kobieta, odpowiadając na pytanie jednej z dziewcząt, jak doszło do zabójstwa. — On wtedy spał.

Potem zabrano je do więziennej stołówki na lunch, gdzie podano im makaron z serem, zieloną sałatę i kartonik czekoladowego mleka, jakie dostawali w szkole.

— Zazwyczaj nie jest tak dobrze — powiedziała zabójczyni męża. — Przygotowali specjalny lunch dlatego, że wy tutaj jesteście. Jakbyśmy miały jakieś pieprzone przyjęcie czy coś.



Więzienie nie wygląda tak, jak się tego spodziewała Sammie. Czytała o nim, oglądała zdjęcia w Internecie, ale nie była przygotowana na to, jak duży jest to obiekt i jak pusty się wydaje. To oczywiście iluzja, Sammie zdaje sobie z tego sprawę, bo więzienie pełne jest skazańców. Jest ich zbyt wielu. W tej chwili nie ma ich na ogrodzonym spacerniaku, bo jest za zimno i śnieżnie.

Na parkingu są miejsca dla odwiedzających. Sammie zajmuje jedno z nich, ale nie wyłącza silnika. Poprawia włosy. Miała kłopoty z wyborem koloru szminki — kolor, jakim kobieta ma pomalowane usta, jest ważny. Mówiła to zawsze klientkom w sklepie. Szminka może sprawić, że zęby wydadzą się bielsze, a uśmiech będzie olśniewający. Szminka może zmienić wszystko. Sammie spędziła dużo czasu, przeglądając zawartość szuflady w łazience. Oglądała wszystkie tubki. Każda ze szminek miała swoją nazwę, wypisaną na opakowaniu. Żądza. Grzech. Prowokacja. Okazałość. Perwersja. Wszystkie są seksowne i tandetne. GDP. Gotowa Do Pieprzenia. Nie ma żadnej szminki o nazwie Inteligencja Mózgu. Nie ma Porażki czy Idiotyzmu. Zniesmaczenia. Nic takiego. Po pewnym czasie zamyka szufladę i w ogóle nie nakłada szminki. Wkłada natomiast dobre buty — mają płaski obcas i srebrne ozdóbki na brzegach. Klasyczne, drogie. Wyglądają ładnie, choć cisną ją w palce. Sammie ma ze sobą skórzaną torebkę, włożyła też nową bluzkę dobrej firmy. To głupie, myśli, te wszystkie przygotowania czynione po to, by odwiedzić mężczyznę w więzieniu, ale błękitne dzinsy na dziś nie wystarczą. Seever zawsze zauważał, gdy kobiety były elegancko ubrane i komplementował je, a Sammie chce, by ich dzisiejsze spotkanie poszło dobrze.

Sammie wysiada z auta, naciska przycisk, by zamknąć drzwi i idzie w kierunku bramy więzienia. W jej stronę podąża przez parking kobieta. Idzie szybko, głowę ma spuszczoną, chroniąc się przed wiatrem. Kolejny

odwiedzający zakończył swoją wizytę. Jest w tej kobiecie coś znajomego, a kiedy się mijają, Sammie zdaje sobie sprawę, że to Gloria. Żona Seevera.

Gloria wygląda tak samo jak zawsze, jest nawet tak samo ubrana. Sammie widziała ją parę razy, gdy pracowała w restauracji. Gloria przychodziła tam nieraz z mężem. Siadywała na ławie w kącie i dziobała sałatkę albo jadła hamburgera, przy czym wyjadała tylko mięso, nie tykając bułki. Usta wciąż miała zaciśnięte, jakby zszyte dratwą. Jakby wiecznie czegoś nie akceptowała. Sammie nigdy nie spotkała się z Głorią osobiście, aż do czasu aresztowania Seevera. Gloria była wtedy rozrywana, każdy reporter na tej planecie desperacko dążył do przeprowadzenia z nią wywiadu. Gloria zgodziła się porozmawiać z Sammie, ale ta rozmowa nie wyszła dobrze. Trwała raptem parę minut. Z pewnością Gloria jej nie rozpozna, myśli Sammie. To było tak dawno temu.

Ale Gloria ją poznaje. Przemierza spiesznie parking i wygląda na zdenerwowaną. Albo może przeszywa ją silny wiatr — na policzkach ma czerwone plamy, a jej usta są zaciśnięte — lecz kiedy widzi Sammie, przystaje i bierze głęboki wdech. Wygląda jak kobieta przygotowująca się do walki.

— Pani Seever — mówi Sammie, idąc do przodu z wyciągniętą ręką. Mogłaby się odwrócić i pobiec do swego samochodu. Jakaś część jej chce tak postąpić, ale Sammie wie, że czasem lepiej nie słuchać własnego instynktu. — Jak dobrze znowu panią widzieć. Nie jestem pewna, czy mnie pani pamięta. Samantha Peterson. Chciałabym porozmawiać z panią, jeśli ma pani wolną chwilę.

Gloria nawet nie mrugnie okiem.

— Powiedział mi, że pani przyjedzie — mówi. Zęby ma zaciśnięte, tak że poruszają się tylko jej wargi. Sammie zdaje sobie sprawę, że zmienił się jej

głos. Gloria jest kobietą, która zazwyczaj mówi łagodnym głosem, kobiecym tonem. Wysokim i dziewczęcym, czasem przypominającym szept. Ale teraz jej głos brzmi szorstko i matowo, a Sammie zdaje sobie sprawę, że to dlatego, iż ma ochotę wybuchnąć płaczem pełnym złości. — Powiedział, że jest wręcz niespokojny z powodu pani wizyty. Ledwo mógł usiedzieć z podeksycytowania.

Sammie stoi oniemiała. Gloria Seever jest zazdrosna. Każde jej słowo i gest ociekają tym uczuciem. Zazdrość jest zawsze okropną rzeczą, ale w tym przypadku jest jeszcze gorzej, bo dotyczy kogoś, na kim wkrótce wykonany będzie wyrok śmierci.

— Przyjechałam, żeby zrobić wywiad — mówi Sammie. — Chcę porozmawiać.

— Czy może sobie pani wyobrazić, że po tym wszystkim, co dla niego zrobiłam — Gloria krzyczy, jej słowa unosi wiatr, a Sammie cofa się na dźwięk jej głosu — on czeka na pani wizytę!

A potem, tak po prostu, to koniec ich rozmowy. Gloria idzie szybko, postukując o asfalt obcasami, i wchodzi do swego buicka. Jej samochód piszczy, gdy Gloria cofa i skręca w ulicę. Powinna wymienić klocki hamulcowe albo w ogóle kupić nowe auto. Jeszcze przez chwilę po jej odjeździe Sammie wydaje się, że nie może ruszyć nogami. Zamarła w miejscu. Torba obija się o jej udo, a serce mocno wali w piersi.

— Będę musiał przeszukać pani torebkę — mówi strażnik przy wejściu, uśmiechając się nieśmiało. — Standardowa procedura, pani rozumie.

— Nie ma problemu — odpowiada Sammie, wręczając mu swoją torebkę i unosząc ręce w górę, tak by strażnik mógł przesunąć wzdłuż jej ciała metalowym detektorem, szukając czegoś, co ludzie mogliby chcieć

przemycić do więzienia. Unosząc ręce, Sammie zawadza o upięty z włosów kok, a strażnik to zauważa.

— Czy może pani rozpuścić włosy? — pyta, uważnie przyglądając się jej głowie, jak gdyby ukryła w nich nóż.

— Pewnie — odpowiada Sammie, ale już mniej entuzjastycznie niż poprzednio. Chciała mieć włosy zebrane do góry, by wyglądać na starszą i poważniejszą niż z pasmami włosów rozrzuconymi na plecach. Wyjmuje spinki, a strażnik przykłada dłonie w rękawiczkach do jej głowy, przesuwał rękami po czaszce i tylnej części uszu, pociągając za ich płatki. Wciąga powietrze nosem — prawdopodobnie czuje, jak pachną jej włosy, choć może Sammie ma paranoję.

— Wygląda pani znajomo — mówi strażnik, wpatrując się w nią. — Spotkaliśmy się kiedyś wcześniej?

— Piszę dla „Posta” — odpowiada nieco zakłopotana, ale w gruncie rzeczy zadowolona, że została rozpoznana. — Być może widział pan w gazecie moją fotografię.

— Tak — mówi strażnik, nie bardzo przekonany. — Ale ja nie czytam gazet.

— To zawsze tak wygląda? — pyta Sammie strażnika, gdy ten zabiera ją do pokoju przedzielonego na pół szklaną szybą. Po obu jej stronach znajduje się mały stolik i plastikowe krzesło. I telefon starego typu, z obrotową tarczą, zamontowany na ścianie, który służy jako odbiornik. Sammie myślała, że Seever będzie siedział naprzeciwko niej, tak że będzie mogła poczuć jego oddech, zobaczy siateczkę zmarszczek pod oczami, ale on będzie tylko głosem w jej uszach, mężczyzną po drugiej stronie zamazanej szyby. — Chodzi mi o odwiedzających?

— Nie, nie zawsze — odpowiada strażnik, podparłszy ręce na biodrach.  
— Większość więźniów przyjmuje odwiedzających w zwykłych pokojach.

— Ale nie Seever. — To stwierdzenie, nie pytanie.

— Nie, nie on. Miał pewne problemy w przeszłości.

— Co się stało?

Strażnik rzuca jej litościwe spojrzenie. „Oszczędzę pani detali, mówi jego wzrok. To nie jest historia dla młodych dam”.

— Seever jest stary i gruby, ale szybki. Umie się wyslizgnąć. Nie wolno mu widzieć nikogo inaczej, jak będąc odgrodzonym kuloodporną szybą. — Strażnik uśmiecha się, ukazując sztuczną szczękę przypominającą zęby aligatora. — Bo wciąż jest niebezpieczny.

Seever tak bardzo się zmienił, że wizyta u niego jest jak spotkanie z obcym.

Sammie pamięta jeden wieczór, gdy byli sami w restauracji. Zdjęła wtedy ubranie, pozostając tylko w samym fartuszkach i żółtych rękawiczkach, które sięgały jej do łokci, i powoli zmywała naczynia w dużym zlewie. Kiedy Seever pojawił się w kuchni i zobaczył, jak mydliny spływają po jej nagich piersiach, zakrzuszył się i zrobił czerwony. Ten gruby stary facet, który siedzi naprzeciwko niej ze skutymi rękami i nogami przykutymi do krzesła, nie może być Jackym Seeverem, tym, który nie pozwolił zdjąć jej fartuszka, gdy się kochali, więc gdy się poruszali, cały strój szeleścił.

Seever stuka pięściami w szybę, wskazując na telefon. Sammie podnosi słuchawkę i przyciska ją do ucha. Jest śliska i czuć ją alkoholem.

— Sammie — mówi Seever. Ona zamyka oczy, myśląc o głosie, który płynie przez kable i po sznurze wlewa się prosto do jej ucha. O mały włos nie

odkłada słuchawki i nie odchodzi, ale potem myśli o Weberze, jego zadowolonej z siebie gębie i jego wywiadzie z matką Simms, i o tym, że ona, Sammie, nie ma nic do napisania, kompletnie nic, jeśli teraz nie porozmawia z Seeverem. — To ja, Sammie. Jacky.

Nigdy nie nazywała go Jacky. Och, mnóstwo ludzi tak się do niego zwracało, nalegał na to, bo lubił być ze wszystkimi po imieniu, ale ona wciąż mówiła do niego: Seever.

— Och — odzywa się Sammie. — Hej.

Słyszy jego oddech przez telefon, widzi, jak wznosi się i opada jego klatka piersiowa, ale te dwie czynności są jakby osobne. Jak nagranie wideo z wyłączonym dźwiękiem, co nie ma wielkiego znaczenia, ale jest denerwujące.

— Dobrze cię widzieć — mówi Seever. — Boże, wyglądasz tak samo jak piętnaście lat temu.

— Ty nie — oświadcza Sammie, a Seever się śmieje. Nie tak gromko i niepowstrzymanie jak kiedyś. Tylko cicho chichocze.

— Tak, tak mi mówiono. — Wysuwa jasnorożowy język i przesuwa nim po dolnej wardze. — Dlaczego przyjechałaś aż tutaj, Sammie? Byłaś na liście osób, którym wolno mnie odwiedzać i nigdy się tu nie pokazałaś.

„Niech ktoś inny tam pojedzie”, powiedziała Corbinowi wiele lat temu, bo o wszystkim informował ją Hoskins. Powtarzał jej to, o czym mówił Seever w pokoju przesłuchań i Corbin musiał wysłać do więzienia innego reportera. Ale Seever odmówił rozmowy z kimkolwiek z mediów poza nią. Ona jednak nie poszła, bo na samą myśl o ujrzeniu go czuła się chora. Nie wiedziała, czy dałaby radę to unieść. W jakimś sensie należała do elity; Seever bowiem nigdy nie rozmawiał z nikim z mediów. Być może odmowa

spotkania z nim stała się przyczyną jej zwolnienia. Ale teraz była tutaj, prawda? W końcu wciągnięto ją w to, a Corbin będzie miał artykuł, o jakim marzył od dawna.

— Słyszałeś o morderstwach w Denver? — pyta Sammie, chwytając za ołówek i postukując nim o blat stolika. Parę kartek papieru i ołówek to było wszystko, co strażnik pozwolił jej wnieść. Sammie nienawidzi pisać ołówkiem.

— Zabójca z Drugiej Ręki, czy nie tak nazwaliście go w artykule? — pyta Seever. — Bo żywi się resztkami po mnie, tak?

— To nie był mój pomysł.

— Dobrze. To koszmarna nazwa.

— Wiem.

— Nie wiem, kim on jest, jeśli o to pytasz — mówi Seever. — Od czasu do czasu odwiedza mnie detektyw Loren. Ma na ten temat jakieś zwariowane pomysły; uważa, że miałem partnera albo instruowałem kogoś. Teraz zaczynają od miejsca, w którym ja skończyłem.

— A jak było?

— Z czym? — Seever uśmiecha się. Wie, o co chodzi Sammie, ale chce, by to wyartykułowała.

— Czy miałeś partnera? Kiedy — kiedy mordowałeś wszystkich tych ludzi — czy z kimś współpracowałeś?

— Nie. — Seever wzrusza ramionami, a Sammie czuje przez skórę, że on nie kłamie. Może się myli, tak jak myliła się wcześniej, ale chyba nie. Decyduje się zadać kolejne pytanie.

— Czy jesteś z kimś w kontakcie?

— Z kim na przykład? — pyta Seever ubawiony. — Odwiedza mnie tylko żona i opowiada mi o soap operach, które ogląda i ile kosztuje napełnienie baku z benzyną.

— Może mówisz żonie pewne rzeczy, a ona przekazuje je Zabójcy z Drugiej Ręki.

Po twarzy Seevera przemyka cień emocji, ale znika równie szybko, jak się pojawił. Jego twarz znowu ma obojętny wyraz.

— Głorię zostaw w spokoju.

— Nie piszesz listów? E-maili?

— Nie, nic z tych rzeczy. Służba więzienna może to potwierdzić.

Seever nie powie jej o Zabójcy z Drugiej Ręki więcej, niż ona sama już wie. Sammie przypuszczała, że tak będzie, ale musiała drażnić ten temat, bo zawsze istniała przecież szansa uzyskania jakichś informacji. Patrzy na notatki i postukuje końcówką ołówka o papier, aż tworzą się na nim małe wgłębienia i smugi. Zazwyczaj Sammie nie zachowuje się tak podczas wywiadów, nie jest tak cicha i niezdecydowana, ale dziś sytuacja jest wyjątkowa. Rozmawia z Seeverem, człowiekiem, którego zna.

— Domyślam się, że masz do mnie więcej pytań — odzywa się Jacky z uśmiechem. Wygląda jak uprzejmy starszy pan z siwymi włosami i w okularach, ale za tym uśmiechem kryje się bestia. Sammie nie przyszła tu, aby ją oglądać; przeraża ją to, co ten człowiek zrobił, do czego jest zdolny. Nigdy, przez cały ten czas, gdy ze sobą sypiali, nie miała o tym pojęcia. — Myślałem, że jesteś świetną reporterką. Oczekiwałem więcej. Mam nadzieję, że kiedy przyjdzie do mnie twój chłopak, Hoskins, rozmowa z nim będzie warta poświęconego mu czasu.

Seever podśmiewa się z niej, przeciąga linę i czeka, aż Sammie połknie



przynętę. Tak zawsze przedstawiał jej to Hoskins. Mówił, że rozmowa z Seeverem jest jak rosyjska ruletka — nigdy nie wiesz, kiedy padnie strzał, kiedy spomiędzy kłamstw wychynie prawda. Seever potrafi przekręcać twoje słowa, sprawiając, że czujesz się zakłopotany i zbity z tropu do tego stopnia, że zapominasz, o czym rozmawialiście; zasiewa w twoim umyśle różne pomysły tak głęboko, że nie wiesz, czy nie było ich tam już wcześniej, zakorzenionych i rojących się jak larwy. Ale Sammie jest na to przygotowana, ma listę pytań i zna jego gierki. To najważniejsze.

— O, mam wiele pytań — mówi, a oczy Seevera rozszerzają się, gdy Sammie odwraca kartkę i pokazuje mu listę. — Jesteś gotowy?

— Dawaj.

Pierwszego pytania na liście nie ma i nie zostanie ono opublikowane w „Poście”, ale Sammie chciała je zadać od chwili, gdy okazało się, co zrobił Seever.

— Dlaczego mnie nie zabiłeś?

— Dowiedziała się pani od niego wszystkiego, co chciała? — pyta strażnik.

— Tak sędzę. — Sammie grzebie w torebce, upewniając się, że niczego w niej nie brakuje. — Jeśli chodzi o Seevera, czy nie wolno mu się spotykać z żadnymi ludźmi?

— Z żoną. I panią. — Strażnik liczy na palcach. — Czasem zagląda tu ten policjant. Loren.

— Nie wolno mu wykonywać telefonów? Nie pisze listów? Nie dostaje paczek?

— Nie. Czasem żona coś mu przynosi.

— Na przykład co?

— Jedzenie, jeśli dyrektor więzienia pozwala. Ciasteczka, takie rzeczy. I przybory malarskie. Ale to wszystko podlega inspekcji, więc jesteśmy pewni, że nic złego tu nie przenika.

— Przybory malarskie? — Sammie zapomniała, że Seever maluje. Kiedy zaczął, to była bomba, było to jak posiadanie małpy, która pisząc na maszynie, tworzy powieść. Początkowo jego obrazy sprzedawały się za duże sumy, dość szybko jednak moda na twórczość Seevera minęła. Sammie nie zdawała sobie sprawy, że Jacky wciąż się tym zajmuje. — Co on maluje?

— Miał zwyczaj malować jakieś obrzydliwości. Martwych ludzi, krew i, wie pani — mówi strażnik, a Sammie wyczuwa jego wahanie. Nie chce mówić o czymś nieprzyjemnym w jej obecności. — Ale to trwało do czasu, gdy lekarze zaaplikowali mu te tabletki rozweselające.

— A co maluje teraz?

— Nic interesującego.

— Co się dzieje z jego pracami?

— Większą część z nich zabiera jego żona. Słyszałem, że niektóre sprzedawała, ale większość chyba zatrzymała.

— Nie ma tu żadnej z jego prac, żebyśmy mogła zobaczyć?

— Nie. Jeżeli nie zabiera ich żona, palimy je. Nie chciałbym zabrać do domu niczego, co namalował ten człowiek. To by mnie przerażało.

— Okay. Dziękuję.

Sammie przysłała do więzienia z długą listą pytań dotyczących pierwszego aresztowania Seevera. Wówczas ich nie zadała. Chodziło o ofiary, żądze Seevera i zbliżającą się egzekucję. Seever był zdumiewająco

chętny do współpracy. Nie udzielił jednak odpowiedzi na jej pierwsze pytanie. Najważniejsze, zdaniem Sammie. Wpatrywał się w nią szklanymi oczami, w których błyszczały łzy, a może tak tylko wyglądało to przez zamazaną szybę. Seever otworzył usta i zamknął je; Sammie nawet przez słuchawkę słyszała, jak zgrzytnął zębami. Siedzieli w ciszy aż do chwili, gdy Sammie zrozumiała, że nie pozna odpowiedzi. Zadała kolejne pytanie, kierując rozmowę na inne tory. Pomyślała, że Seever nie odpowiedział, bo być może sam nie wiedział, dlaczego pozwolił jej żyć.

Kiedy zbliżała się już do końca listy pytań, Seever wydawał się zmęczony i zniecierpliwiony. Poznała to po jego oczach. Wiedziała, że to nastąpi, bo tak przebiegały wszystkie wywiady — możesz wyciskać z kogoś informacje tylko do czasu, gdy nadchodzi zmęczenie. A ona w dodatku musiała zrobić to za jednym zamachem, bo nie miała zamiaru tu wracać; już nigdy nie chciała widzieć Seevera.

— Czy ty kiedykolwiek... Czy gdyby cię tu wpuścili, obciągnęłabyś mi? — zapytał w pewnej chwili Seever, pochylając się do przodu tak, że jego nos prawie dotykał oddzielającej ich szyby. Miał szeroko otwarte oczy i szybko oddychał. Sammie pomyślała, że oto widzi potwora, zdesperowanego i głodnego. To był człowiek, który przez długi czas gwałcił i torturował. Wyglądał jak normalny mężczyzna, ale jego wnętrze było zgniłe i zepsute. — Kiedy siedziałś na Hoskinsie i wkładałaś sobie jego fiuta do środka, czy wyobrażałaś sobie, że on to ja?

Sammie nic nie odpowiedziała. Odłożyła słuchawkę na widełki i zebrała swoje rzeczy. Nie podniosła oczu, gdy Seever zaczął postukiwać kostkami dłoni o szkło i kiedy słyszała jego stłumione krzyki. Spodziewała się, że coś takiego nastąpi. Wywiad dobiegł końca.

Powstanie z tego niezły kawałek. Weber jej nie prześcignie.

---

<sup>1</sup> Metoda Palmera — metoda służąca do nauki pisania odręcznego, opracowana i propagowana przez Austina Palmera na początku XX wieku. Szybko stała się najpopularniejszym ze sposobów pisania odręcznego w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Zgodnie z tą metodą uczniowie nabywali umiejętność pisania jednolitą kursywą, wykonując rytmiczne ruchy. Dzięki temu pismo zachowywało czytelność przy utrzymaniu szybkiego tempa pisania.

# PEŁNE KOŁO

HOSKINS

8 grudnia 2015

Hoskins wciąż urzęduje na dole, w biurze w suterenie. Głównie dlatego, że nie ma dla niego pokoju na górze, a poza tym jest tam mnóstwo natrętnych ludzi, pędzących tam i nazad detektywów, wciąż przychodzą jakieś e-maile i słyszc niekończący się odgłos pracującej drukarki. Dawniej ten chaos mu nie przeszkadzał; mógł myśleć sprawnie nawet wtedy, gdy grała głośna muzyka. Teraz stan rzeczy się zmienił i Hoskins woli ciszę swego pokoju bez okien. Powinien być na górze, pomagając przy sprawie Zabójcy z Drugiej Ręki, ale przebywanie tam przez cały dzień nie ma sensu, bo Hoskins otrzymuje wszystkie raporty w e-mailach albo w sms-ach na komórkę. Poza tym Black nie powierzył mu zadania kierowania tą sprawą, ale czuwania, by wszystko szło dobrze — i tak się dzieje. Może poza tym, że Loren ubiera się tak jak Seever, co nie denerwuje nikogo poza Hoskinsem. Loren zawsze był nieco ekscentryczny, robił mnóstwo dziwnych rzeczy i ta jest jedną z nich.

Pomijając dziwactwa Lorena, śledztwo idzie w kierunku, w którym iść powinno — metodycznie. Każdy zrealizowany punkt jest odhaczany na liście zadań. Jest grupa prowadząca śledztwo w sąsiedztwie miejsca zamordowania

Simms. Inny zespół zajmuje się poszukiwaniem wszystkich, którzy ją znali. Trzeci — kontaktuje się i odwiedza tych, którzy byli jakoś związani z Seeverem, spędzali z nim czas — każda taka osoba mogła być podejrzanym, każda też mogła znajdować się w niebezpieczeństwie. Tak wygląda rozwiązywanie większości spraw związanych z morderstwem — padają pytania i odpowiedzi, wykonuje się telefony i puka do drzwi, ale Hoskins zastanawia się, czy tym razem to wystarczy. Czasami będziesz postępować zgodnie ze wszystkimi wytycznymi, upewnisz się, że postawiłeś kropkę nad i oraz że napisałeś poziomą kreskę w literze t, a śledztwo i tak nie zakończy się sukcesem. Do diabła, wystarczy, by Hoskins rozejrzał się po swoim biurze — te wszystkie teczki z nierozwiązanymi sprawami, ofiary, których rodziny nigdy nie doczekały się sprawiedliwości, a zabójcy pozostali na wolności. Policja bazuje na założeniu, że Zabójca z Drugiej Ręki znał Seevera, jeszcze zanim ten został aresztowany, dlatego wiedział o obciętych palcach. Na razie to wszystko, co mają. Chwytają się każdego szczegółu. Palców też, choć Hoskins myśli, że żaden detektyw nie uznałby tego za śmieszne.

Siada za stołem i przysuwa lampkę, którą przyniósł z domu, ponieważ górne światła nie wystarczą, jeśli chcesz popracować nad papierami. Baterie w zegarze ściennym musiały paść poprzedniej nocy, bo jego wskazówki zatrzymały się na dwunastej zero jeden. Hoskins włącza komputer i otwiera jeden z plików. Ale zaraz go zamyka. Nie może przestać myśleć o tym, co powiedział przedwczoraj: „Mam nadzieję, że ten gość wie, ile czasu poświęcamy jego dupie. To by polepszyło mu samopoczucie, podbudowało jego ego”.

Hoskins odchodzi od komputera. Zaczyna przeglądać leżące na jego biurku teczki i szpera między kartkami. Wreszcie zatrzymuje wzrok na najstarszej nierozwiązanej sprawie, która wydarzyła się w Denver w 1952 roku. Młoda kobieta wyszła z przyjęcia w jakiejś sprawie i zniknęła.

Znaleziono ją martwą miesiąc później, prawie pięćdziesiąt kilometrów dalej. Na marginesach akt zrobiono notatki. Pozostawili je policjanci zajmujący się przez lata tą sprawą. Część z nich już prawie zupełnie wypłowiła. Hoskins przesuwa palcem po poszczególnych słowach. Jego uwagę przykuwa jedna z notatek, zrobiona niebieskim tuszem w połowie tekstu po prawej stronie. „Biorąc wszystko pod uwagę, nie sędzę, żeby to było jego pierwsze rodeo”. Od tych słów biegnie strzałka ku zanotowanej wypowiedzi koronera, który stwierdził, że ciało przed zasypaniem ziemią zostało dokładnie umyte, prawdopodobnie w wodzie z dodatkiem środka wybielającego. Autor notatki miał rację; to nie był pierwszy występ mordercy. Dobrze wiedział, co zrobić, by uchronić się przed złapaniem. Od momentu morderstwa minęło prawie sześćdziesiąt lat i nigdy nie aresztowano nikogo, kto miałby związek z tą sprawą. Zabójca być może już nie żyje albo jest bardzo starym człowiekiem, który pozostał na wolności, bo wiedział, jak sobie radzić. Dokonawszy kilkunastu innych morderstw, wypracował doskonałą technikę. Jego pierwsze zabójstwa prawdopodobnie nie były perfekcyjne, ale uczył się na błędach. Seever postępował tak samo. Swoją pierwszą ofiarę ranił w głowę, ale kobieta nie umarła — koroner stwierdził, że gdy Seever ją zakopywał, jeszcze żyła. Udusiła się, przysypana lawiną błota zalegającego w korytarzu z węzłami sanitarnymi — Seever był wtedy jeszcze niedoświadczonym zabójcą. Najprawdopodobniej bał się i denerwował, ale był gotowy się uczyć. Doskonalił się szybko, zupełnie jak pies, który uczy się nie sikać na podłogę, gdy zdzielisz go w pysk zrolowaną gazetą.

I w tym właśnie rzecz, prawda? Zabójca z Drugiej Ręki — zdaje się, że tak będzie nazywany, niezależnie od tego, czy komuś się to podoba, czy nie — był ostrożny i skrupulatny. Zadbał o to, by nikt go nie widział, nie pozostawił żadnych śladów, choć na próbkach pobranych z ciała Simms wciąż przeprowadzane są testy. Był dobry, nawet świetny. Ktoś mógłby

powiedzieć, że miał szczęście, ale Hoskins przez lata pracy nauczył się, że zabójcy, nawet jeśli wydają się szczęściarzami, tak naprawdę ciężko zapracowali na swój sukces.

Na pierwszej stronie pliku tkwiącego w teczce widnieje zdjęcie kobiety, która zniknęła w 1952 roku. Miała ciemne włosy i duże oczy. Pełne usta pomalowała szminką, pewnie czerwoną, choć nie widać tego na czarno-białej fotografii. Ktokolwiek ją zabił, miał w tym doświadczenie. Robił to już wcześniej. Może tak jest również w przypadku Zabójcy z Drugiej Ręki. Może zabijał od dawna, a potem zmienił zwyczaje i zainteresował się ludźmi związanymi z Seeverem, popełniając morderstwa w taki sam sposób, jak robił to Seever. Tylko dlaczego?

Bo chce podbudować swoje ego.

Mnóstwo zabójców pragnie uwagi. Chcą, by ludzie ich zauważyli. Zabijają, bo pragną krwi lub seksu, ale napędza ich także własne ego. Może brzmi to jak wynurzenia jakiegoś cholernego Freuda, ale to prawda. W Kalifornii działał niejaki Zodiakalny Zabójca, a ktoś nazywany w skrócie BTK działał w Kansas. Obaj wysyłali listy do policji, kpiąc sobie z niej i drocząc się, bo chcieli zwrócić na siebie uwagę. Byli niczym dzieci krzyczące, że chcą cukierka. A Zabójca z Drugiej Ręki wysyłał im przeciw wiadomości. Chciał naśladować Seevera, ale w przeciwieństwie do niego nie grzebał ofiar. Nie, pozostawiał je na widoku, tak by wszyscy wiedzieli, co zrobił. Oczywiście nie pragnął być złapany, chciał pozostać na wolności i kontynuować swe dzieło. Marzył jednak o tym, by o nim mówiono. Kładł się spać z uśmiechem na ustach, bo czuł cholerną satysfakcję.

Hoskins stuka w klawiaturę, ponownie uruchamiając uśpiony komputer. Będzie przeczesał bazę nierozwiązanych morderstw, których ofiarami były kobiety i które zdarzyły się w ciągu ostatnich pięciu lat, a może nawet w



krótszym czasie. Powiedzmy, dwóch lat. Nie powinno być ich zbyt dużo — Denver jest wciąż bezpiecznym miejscem do życia. Może nie takim, w którym można zostawiać drzwi otwarte na noc — nie popadajmy w przesadę — ale dość bezpiecznym. Hoskins czeka, mając nadzieję, że komputer ruszy swój tyłek i będzie działał szybko, ale na ekranie wciąż widać tylko na pół załadowaną stronę. Nie dzieje się nic, mimo że Hoskins zrestartował sprzęt.

— Potrzebuję paru rzeczy. To nie potrwa długo — mówi Ted. Hoskins w samą porę zauważa, jak chłopak wchodzi przez drzwi ich biura z komórką przyciśniętą do boku głowy. Hoskins nie spodziewał się zobaczyć Teda tak szybko. Sądził, że dzieciak jest jeszcze w domu. Dobrze jednak, że już wrócił do pracy. Hoskins chce go przeprosić, oczyścić atmosferę, a poza tym potrzebuje jego pomocy. — Daj mi dwie minuty.

— Hej, nie spodziewałem się ciebie tutaj — mówi Hoskins, stając w drzwiach. Ted zatrzymuje się, a potem ogląda przez ramię. Jeśli człowiek może wyglądać jak zając schwyty w sidła, to Ted sprawiał właśnie takie wrażenie. — Cieszę się, że cię złapałem.

— Myślałem, że pracujesz na górze — mówi Ted, odwracając się. Na wysokości łuku brwiowego ma czysty, biały bandaż, zaś na szyi widać fioletowe siniaki. Białka jego oczu są zaczerwienione od popękanych naczyń krwionośnych. Hoskins krzywi się i dotyka swojej twarzy. Jego górna warga jest spuchnięta, a nos obolały. Z tyłu głowy ma siniaka, ale Ted wygląda gorzej. To fatalnie, bo to Hoskins doprowadził go do tego stanu.

— Nie, wciąż pracuję tutaj, na dole.

— Och, okay. — Ted wyciąga z kieszeni pęk kluczy i otwiera swój pokój. — Do zobaczenia.

— Hej, poczekaj.

Ted przystaje, patrzy na Hoskinsa z obawą.

— Przykro mi z powodu tego, co się stało — mówi Hoskins. Nie ma problemów z przepraszeniem; nigdy nie miał, nawet jeśli nie przeproszał na serio. Ale tym razem — tak. — Zobaczyłem cię na miejscu zbrodni i pogubiłem się. To nie jest wymówka, bo zawsze dziwnie reaguję, gdy mam do czynienia z czymś związanym z Seeverem, z tą szczególną sprawą, którą się kiedyś zajmowałem. To mnie nie tłumaczy, ale tak to ze mną jest.

Ted porusza wargami, ale nie padają żadne słowa. Chłopak patrzy na zegar na ścianie, a potem na Hoskinsa.

— Moja mama uważa, że powinienem zrezygnować — mówi w końcu. — Po tym, co mi zrobiłeś.

— Nie rób tego, chłopie — mówi Hoskins, postępując krok do przodu. Zatrzymuje się i unosi ręce w górę, gdy Ted się odsuwa. — Jesteś dobry w tej robocie. Pracujesz ciężko, wszyscy cię doceniają. Nie pozwól, by moje głupie zachowanie pokrzyżowało twoje plany. Obiecuję, że coś takiego nigdy mi się już nie zdarzy.

Ted wzdycha.

— Podoba mi się tutaj.

— Więc nie rezygnuj. Mogę zadzwonić na górę, jeśli chcesz — niech zobaczą, czy nie dałoby mi się znaleźć pokoju w drugim końcu sutereny. A może ty mógłbyś przenieść się na górę, do jakiegoś przyjemnego pokoju z oknem. Ale nie rzucaj pracy tylko ze względu na to, co ja zrobiłem.

— Czy to było to samo, co poprzednio? — pyta Ted. — To, przez co wykopano cię z wydziału zabójstw?

Hoskins milczy, opuszcza ręce i zaciska je w pięści. Oczywiście Ted

wiedział o tym, wszyscy wiedzieli. To nie sekret.

— Tak, myślę, że zachowałem się podobnie jak wtedy.

Ted patrzy w dół, na czubki swoich sportowych butów. Znowu wzdycha. Są ludzie, którzy chowają urazę przez całe życie, hodoją ją, nigdy się jej nie wyzbywają. Przypomina to trzymanie w ustach kawałka steku, aż mięso staje się szare i bez smaku. Ale Ted nie należy do takich ludzi. Hoskins wnioskuje to z pochylenia jego ramion, zmarszczki pomiędzy brwiami. Ted będzie chciał, by sprawy wróciły do poprzedniego stanu.

— Okay — mówi Ted. — Przeprosiny przyjęte. Szczerze mówiąc, dostawałem gorzej od braci.

— Wspaniale. — Hoskins wykonuje klaśnięcie dłońmi i jest zadowolony, że na ten dźwięk Ted się nie odsuwa. — Cieszę się, że wróciłeś, bo potrzebuję twojej pomocy z moim cholernym komputerem.

Na twarzy Teda z wolna pojawia się uśmiech.

— Zabierze mi to chwilę — mówi Ted, kiedy Hoskins opowiada mu, o co chodzi. — Nie możesz wyciągnąć tego z bazy sam?

— Póki co wolno mi zajmować się sprawami, które zostały nierozwiązane albo nad którymi mam nadzór — odpowiada Hoskins. — Ale interesują mnie sprawy z pięciu ostatnich lat, które nie zostały jeszcze zamknięte. Chcę tylko rzucić okiem.

— Mogę mieć przez to kłopoty, wiesz.

Hoskins unosi brwi.

— I wciąż możesz mieć za grzebanie w plikach związanych z Seeverem.

— Uuups, to prawda — mówi Ted. — Okay, to jeszcze raz: czego mam szukać?

— Nierozwiązane sprawy morderstw kobiet w stanie Kolorado. Trzeba będzie wysłać prośbę do wydziałów policji z pobliskich stanów. Może będziemy mieli czasowy dostęp do ich systemów. Zabójca z Drugiej Ręki mógł podróżować albo mieszkać gdzie indziej.

— To wszystko?

— To nie wystarczy?

— A może jakieś specyficzne cechy takich spraw? Jeśli ich nie podamy, wyskoczy mnóstwo rezultatów. Mogę ustawić wyszukiwarkę w odpowiedni sposób.

Hoskins myśli o odciętych palcach i słowach na ścianie. To były znaki rozpoznawcze Seevera, ale Zabójca z Drugiej Ręki mógł robić coś takiego znacznie wcześniej niż Seever, a policja mogła to przegapić. A co, jeśli Zabójca z Drugiej Ręki zabijał w ten sposób od dłuższego czasu, ale zmęczyło go poczucie bycia ignorowanym i tylko czasowo zajął się mordowaniem ludzi związanych z Seeverem, licząc, że ktoś wreszcie zwróci na niego uwagę? I tak się faktycznie stało. Policja zachowuje się jak pies czekający na pochwylenie smakołyku.

— Poczekaj. Kobiety, które zamordowano i odcięto im palce — mówi Hoskins. Seever to robił i jego naśladowca także, a odcinanie palców nie jest czymś, czego przestępca dokonuje przypadkowo. To przecież rodzaj trofeum. Zabójca z Drugiej Ręki robiłby to albo za każdym razem, albo wcale. — Zaczynij od tego, ale może będziemy musieli jeszcze coś uściślić, jeśli to nie wystarczy.

— Odcięte palce? — krzywi się Ted. Jego ręce unoszą się nad klawiaturą.

— Tak. Brakujące palce. Seever postępował tak z każdą swoją ofiarą i Zabójca z Drugiej Ręki również. Myślę, że czytałeś pliki sprawy Seevera.

— Nie przeglądałem wszystkiego, tylko parę stron — to bardzo duży plik. Nie miałem pojęcia o palcach.

— Nigdy nie ujawnialiśmy szczegółów opinii publicznej — mówi Hoskins, wprawiając ołówek w ruch obrotowy. Ołówek zatrzymuje się, a jego koniuszek celuje wprost w serce Hoskinsa.

— Dlaczego nie?

— Bo to obrzydliwa sprawa. A czasem lepiej nie ujawniać niektórych informacji, na wypadek gdybyśmy potrzebowali ich później. — Hoskins podnosi ołówek i wkłada go z powrotem do kubka na pisaki. — Jak teraz. Zabójca z Drugiej Ręki wiedział, że Seever pozbawiał ofiary palców, więc teraz to robi. Musiał znać Seevera wcześniej, pracować z nim.

Ted przewraca oczami, zakłada ręce na piersi.

— A co, jeśli Zabójca z Drugiej Ręki dowiedział się o palcach w jakiś inny sposób? — pyta Ted.

— Jak miałyby to zrobić? Trzymaliśmy usta zamknięte na kłódkę — odpowiada Hoskins. — Jestem pewien, że wiedziało o tym tylko kilka osób. I wszyscy oni wciąż pracują w policji.

— Okay — mówi Ted, bujając się na krześle. Intensywnie się nad czymś zastanawia. Koniuszek języka wystaje mu z ust i to sprawia, że Hoskins ma ochotę się roześmiać, ale tego nie robi. Czasem najlepszy pomysł może przyjść z najmniej spodziewanej strony, nawet od dzieciaka w krótkich spodniach, którego nazywają Dinky. — Powiedzmy, że wszyscy trzymali gęby na kłódkę. To mogło się stać inną drogą. Ktoś mógł się włamać do naszej bazy danych. To już kiedyś się zdarzyło.

— Kiedy?

— Półtora roku temu. Nigdy nie byliśmy w stanie dokładnie określić, jakie informacje skradziono. Pliki Seevera mogły zostać skopiowane. Możliwe, że opublikowano je w Internecie i każdy mógł mieć do nich dostęp.

— To się zdarza?

— O tak — mówi Ted, siadając prosto. — Chłopie, on-line możesz znaleźć wszystko. Zdjęcia z miejsc zbrodni, raporty z autopsji. Wszystko. Jeśli myślisz, że coś jest tajne, poszukaj tego w sieci. Byłbyś zdumiony.

— Szukałeś czegoś na temat Seevera w Internecie? — pyta Hoskins. Boże, czuje się tak staro, rozmawiając z Tedem. Nie rozumie połowy z tego, co ten robi z komputerem. Wydaje się, że jeszcze nie tak dawno nikt nie miał komputera ani komórki, a jeśli potrzebowało się jakiejś informacji, to trzeba było iść do biblioteki i przejrzeć długą listę pozycji w katalogu albo obejrzeć mikrofilm.

— Tak, ale nie znalazłem zbyt wiele. Mógłbym poszperać i poszukać czegoś więcej, jeśli chcesz. Może znalazłbym coś o tych odcinanych palcach.

— Byłoby świetnie — mówi Hoskins, wstając i klepiąc Teda po ramieniu. Dobrze mieć tego dzieciaka w pokoju obok. — Dobry chłopak. Pójdę po lunch, a ty się tym zajmij. Może być chińszczyzna?

Kiedy Hoskins wraca, Ted wciąż pracuje przy jego biurku. Wydaje z siebie jęk i z wdzięcznością wyciąga ręce po styropianowe pudełko z chińskim daniem z makaronem.

— Nigdy nie myślałeś, że może być z tobą coś nie w porządku? — pyta Ted, wskazując na zdjęcia z miejsc zbrodni, które Hoskins przyczepił na ścianach. — Nie rozumiem, jak możesz spokojnie pracować przy czymś takim, przy tych wszystkich zmarłych ludziach, którzy na ciebie patrzą.

— To dlatego jestem detektywem, a ty informatykiem — odpowiada

Hoskins. — Masz już coś?

— Nasz system wymaga uaktualnienia — mówi Ted, wzdychając i przeczesując palcami włosy. — Znalezienie czegokolwiek zabiera cholernie dużo czasu, zwłaszcza jeśli szukamy tylu różnych rzeczy.

— Och, nie spiesz się — mówi Hoskins. Siada i otwiera opakowanie, w którym tkwią chińskie pałeczki. — To nie jest pilne, to tylko seryjny zabójca na wolności i nigdy nie wiemy, kiedy znowu znajdziemy jakiegoś trupa. Nic wielkiego.

— Sarkazm boli, wiesz? — Ted odwraca się i patrzy na niego. — Dostanę to. Pracuję tak szybko, jak tylko to możliwe.

— Okay.

— Kiedy cię nie było, miałeś gościa.

— Kogo?

— Twojego starego partnera, Lorena.

— Powinien był do mnie zadzwonić.

— Powiedziałem mu to — potwierdził Ted, wpychając makaron do ust i zajadając go z mlaskaniem. Makaron znika niczym włosy w odpływie prysznicowym. — Powiedział, że już dzwonił.

Hoskins wyciąga komórkę z kieszeni. Trzy nieodebrane połączenia, wszystkie od Lorena. Hoskins nie słyszał żadnego dzwonka, choć telefon nie jest wyciszony.

— Powiedział, co chce?

— Nie, ale zostawił coś dla ciebie. — Ted pokazuje pałeczkami opartą o ścianę przy drzwiach paczkę.

— Co to jest?

— Nie udostępnił mi tej informacji — mówi Ted, starannie ocierając kąćki ust serwetką. — Może to niespodzianka dla ciebie, choć Ralph Loren nie jest najbardziej przyjacielskim typem, jakiego znam.

Hoskins sarka, siada na krześle, bierze paczkę do rąk i stawia na kolanach. Jest płaska i prostokątna, dłuższa niż szersza i owinięta w brązowy papier. Hoskins otwiera ją, a potem chyba wydaje z siebie niepokojący odgłos — choć później nie będzie mógł sobie tego przypomnieć — bo Ted podskakuje, a na jego twarzy maluje się zdumienie.

— Coś nie tak? — pyta Ted, ale Hoskins nie odpowiada — czuje się tak, jakby ktoś wcisnął mu pięść w gardło, zatykając je. — Co to jest?

Hoskins wręcza mu paczkę. Nie chce jej trzymać nawet o sekundę dłużej niż to konieczne.

— Co to kurwa jest? — pyta zbulwersowany Ted, ale Hoskins nie potrafi wykrztusić ani słowa. W klatce piersiowej czuje napięcie. Czuje się tak, jakby miał dostać zawału serca. Widok obrazu wywołuje w nim przerażenie i obrzydzenie. To niesmaczne, że w ogóle trzymał coś takiego na swoich kolanach. Loren przyniósł mu obraz namalowany przez Seevera. Hoskins nie widział żadnego z nich od paru lat, od Bożego Narodzenia, po tym jak aresztowano Seevera. Malowidło dostarczono na posterunek, paczka zaadresowana była do nich obu — Hoskinsa i Lorena. Postawili go w pokoju konferencyjnym, gdzie stał przez tydzień, zanim zniknął, bo nikt nie chciał go nawet dotknąć. Obraz przedstawiał kłowna, którego przybito do krzyża. Po jego pomalowanych na biało policzkach płynęły łzy, zaś z nieba w tle padał śnieg. Kłown miał twarz Seevera i nie było to żadną niespodzianką, ponieważ niemal każde malowidło, które opuszczało więzienie przez pierwsze lata pobytu Seevera w Sterling, miało jego twarz, tak jakby



próbował się uwolnić, wysyłając w świat swoją podobiznę.

— Całkiem niezłe — ocenił je Black. — Jestem zdziwiony, że Seever jest tak utalentowany.

— Tak, może jak ściągnę portki i schylę się, to wsadzisz mi pędzel w dupę, a ja namaluję twój portret — powiedział Loren. Popatrywał na malowidło tak, że gdyby walnął kłowna pięścią w twarz, Hoskins wcale nie poczułby się zdziwiony. Ani zmartwiony.

— Zawsze musisz być takim wulgarnym skurczybykiem? — zapytał Black. — Obraz wygląda na niezły, prawda?

— Hitler też był całkiem niezłym artystą — powiedział Hoskins, zaś Black tylko prychnął i poszedł do swego biura, zatraskując drzwi.

— Do diabła, dzieciaku — odezwał się Loren, szczerząc zęby w uśmiechu. — Wiesz, co powiedzieć, żeby zepsuć nastrój.

Seever zajął się sztuką niedługo po jego aresztowaniu; używał akwareli, węgla i farb olejnych. Większość jego prac była całkiem przyjemna i nie przedstawiała nic, czego można by się spodziewać po seryjnym zabójcy — Śpiącą Królowną w łóżku z rękami złożonymi na piersiach; górski strumień; samego Seevera, patrzącego w lustro i uśmiechającego się. Ale Hoskins słyszał, że Seever tworzył także obrazy o ponurej treści. Nieboszczycy, zombie i kłowni. Zawsze kłowni i na najnowszym obrazie także widniał Seever — kłown, którego oczy śmiały się w twarzy pokrytej białym, aktorskim makijażem. Nie byłoby tak źle, gdyby obraz przedstawiał tylko kłowna ściskającego pęk podskakujących na wietrze balonów, ale dwa z nich nie są balonami, lecz ludzkimi głowami, odciętymi głowami, a krew spływa z ich nierówno odciętych szyj. Te dwie głowy mają białe, puste, martwe oczy, ale i tak się uśmiechają, najwyraźniej dobrze się bawiąc, dyndając na

sznurkach — „mamo, popatrz, nie mają rąk!” — i każdy głupiec dostrzegłby, że jedną z nich jest Ralph Loren. Seever idealnie oddał każdy szczegół jego wyglądu, począwszy od pieprzyka na jego czole po bliznę na górnej wardze. Seever jest dobry. Nie jest oczywiście pieprzonym Michałem Aniołem, ale jest dobry. Na tyle dobry, że Hoskins wie, iż druga uśmiechnięta głowa przedstawia jego samego.

— Loren ma zasrane poczucie humoru — mówi Ted, podnosząc obraz do góry, żeby lepiej mu się przyjrzeć. — To tłumaczy, dlaczego dzisiaj tak się ubrał.

— W jeden ze swoich dziwnych garniturów? — pyta Hoskins, myśląc o Lorenie bawiącym się w swoje przebieranki w trzyczęściowy garnitur i okulary, ale Ted, skonfundowany, potrząsa głową.

— Nie, był w kostiumie kłowna — mówi, wciąż patrząc na obraz. Nie dostrzega więc, jakiego wstrząsu doznaje Hoskins i że robi się szary na twarzy. — Taki sam, w jakie ubierał się Seever. Jak ten kłown na obrazie. Loren się śmiał, mówił coś o kłownach, którzy uciekają z niczym. Co to miało oznaczać?

Hoskins stara się utrzymać na nogach, ale kolana mu drżą i pada na krzesło. Kręci mu się w głowie, jakby wykonał setkę obrotów, albo nawet tysiąc. Jakby zatoczył pełne koło i stanął tam, gdzie zaczął, gdzie wszystko się zaczęło.

— Gdzie on do diabła jest? — krzyczy Hoskins. — Gdzie on poszedł?

— Nie wiedziałam nawet, że wyszedł — mówi Jenna, podnosząc się energicznie z krzesła i okrążając biurko. Jenna pracuje w sekretariacie wydziału zabójstw, odbiera telefony, segreguje dokumenty i czuwa nad tym, by wszystko sprawnie funkcjonowało. Pracuje tutaj od chwili, gdy Hoskinsa

relegowano na dół i jej pojawienie się oznaczało dużą zmianę na lepsze w porównaniu z poprzedniczką. Tamta dziewczyna była niczym pająk, który przyczaił się na skale, czekając na pojawienie się ofiary, na którą mógłby wejść. Oskarżała cały wydział o molestowanie seksualne, twierdziła, że nie może pracować i liczyła na duże finansowe zadośćuczynienie. Z wyciszeniem tej sprawy było mnóstwo problemów, ale teraz mają Jennę, a to dobra dziewczyna. — To nic nowego, on zawsze tak się zachowywał.

— Nie powiedział, dokąd idzie? — chce wiedzieć Hoskins.

— Nie.

Hoskins mijają Jennę i rusza w dół korytarzem. Chwyta za klamkę u drzwi prowadzących do pokoju Lorena. Oczywiście są zamknięte — Loren nie lubi, gdy ktoś wkracza w jego osobistą przestrzeń i ma wgląd w jego sprawy. Ale drzwi to pikuś, są słabe i cienkie. Wystarcza, że Hoskins daje mocnego kopniaka i odskakują. Z cienkiej sklejki sypią się drzazgi. Za jego plecami rozlega się krzyk — to krzyczy Jenna, złapawszy się za gardło, a wokół już zgromadziła się grupa detektywów. Nikt nie próbuje go powstrzymać ani uspokoić; obserwują scenę z oczami świecącymi z ciekawości. Nikt nie wydaje się zdziwiony jego napadem złości — jest tak, jakby właściwie oczekiwano, że coś takiego się zdarzy, jakby zastanawiano się, jakie gównu znowu wywoła skandal. Większość z obecnych w korytarzu pracowała w policji, gdy Hoskins i Loren byli partnerami, widzieli ich kłótnie i awantury. Ale nawet do nowicjuszy dotarły już historie o tym, co się między nimi działo.

„Dlaczego jesteś taki zdenerwowany? — zapytał Ted, gdy Hoskins otworzył paczkę z obrazem. — Nie rozumiem”.

Hoskins też tego nie pojmuje. Wie tylko, że wszystko wokół jest nie tak, jak być powinno. Nie chodzi niby o Seevera, ale o nowego zabójcę,

tymczasem Seever w jakiś sposób powrócił, łypiąc na niego z obrazu. Jego nazwisko pojawia się w gazetach, wszyscy znowu o nim mówią. Hoskins sądził, że sprawa Seevera skończyła się na dobre, ale pojawił się Loren — ubrany w trzyczęściowy garnitur, z włosami ułożonymi na żel w takich ilościach, że prześwieca przezeń skóra na jego głowie — i Sammie, szukająca nowych informacji do tego cholernego artykułu i wciągająca ludzi do współpracy, nawet jeśli oni nie mają na to ochoty. Loren i Sammie uważają, że Zabójca z Drugiej Ręki ma jakieś powiązania z Seeverem, że kończy to, co tamten zaczął, ale Hoskins sądzi, że rację ma Ted: Zabójca z Drugiej Ręki wie o palcach, ale nie bezpośrednio od Seevera. Zabójca z Drugiej Ręki nie jest z nim związany. Po prostu dostrzegł szansę i ją wykorzystał. Hoskins nie jest zdania, że za morderstwami stoi Alan Cole; on bowiem założył buty i uciekł. Ucieka cały czas, i to od lat. Hoskins nie potrafi wyobrazić sobie, że Cole wraca do Denver, bo chce stanąć w błysku reflektorów. Nie, kimkolwiek jest Zabójca z Drugiej Ręki, dokonuje morderstw, bo chce przyciągnąć uwagę innych, chce, by ludzie na niego patrzyli.

Robi to, bo chce połechtać swoje ego.

— Cholera — mówi Hoskins. Zatrzymuje się na progu pokoju Lorena. Czuje się tak, jakby miał pod stopami pole minowe, gotowe wybuchnąć, posyłając go wprost do piekła. — Co to wszystko ma kurwa znaczyć?

To nie widok z okna przykuwa uwagę Hoskinsa — taki sam, jaki miał kiedyś i on. To, co dostrzega od razu, to korkowe tablice na ścianach, do których przypięto rozmaite fotografie. Zdjęcia korytarza z domu Seevera, fotki przedstawiające wykopywanie ofiar i dom Seevera. Niektóre z nich wycięto z gazet, ale większość Loren musiał zrobić sam, a potem je wydrukował. Hoskins robi krok do przodu. Są tu zdjęcia z autopsji i raporty

przypięte do tablicy. Hoskins widział to wszystko, był na miejscu zdarzeń. Wspomnienia pogrzebała niepamięć, ale zobaczyć to wszystko raz jeszcze jest szokiem. Nieprzyjemnym szokiem. No i pierwsze malowidło przedstawiające kłowna, które kiedyś otrzymali. Loren zawiesił je nad swoim biurkiem, w miejscu, którego nie można przeoczyć. Hoskins zawsze sądził, że ktoś wyrzucił to cholerstwo, ale proszę — oto jest. Kłown wpatruje się w niego i uśmiecha.

— Kurwa — rechoce Hoskins, wycofując się powoli. Nagle zdaje sobie sprawę, że jego własny pokój wygląda niemal tak samo jak ten, z tym że na ścianach wiszą fotografie dotyczące wielu spraw. Ale to nie ma znaczenia, bo koniec końców wszystko to jest jednym gównem. Loren chyba stracił rozum, myśli Hoskins. Ale w takim razie ja też.

Odwraca się, widząc punkciki oczu ofiar, których zdjęcia wiszą na ścianie za jego plecami. To biuro wywołuje jego niepokój. Chce stąd wyjść i stanąć na zewnątrz, na śniegu. Chwyta za kłankę, ale dostrzega, co wisi na drzwiach i wzdryga się. To niebiesko-czerwony kostium z satyny, z krezą i zmierzwionymi żółtymi pomponami, które widnieją w miejscu guzików. Kostium kłowna. Zawsze pieprzeni kłowni.

Hoskins dotyka stroju, ujmuje jedwabisty materiał pomiędzy kciuk a dwa palce. Na koronkowym mankiecie widnieje zaschnięta krew.

Pokój pełen zdjęć ofiar Seevera oraz fakt, że Loren ubiera się jak Seever i zachowuje jak on, świadczą, że nie jest dobrze. Hoskins pracował z Lorenem przez długi czas, widział go robiącego różne dziwne rzeczy, ale nie takie jak te. To obsesja, to jasne i oczywiste. Z obsesji rodzą się złe rzeczy.

— Wiem, gdzie on jest — mówi Jenna, wsadzając głowę przez drzwi. W jednej ręce trzyma telefon komórkowy, drugą nerwowo zakłada kosmyk włosów za ucho.

— Gdzie?

— W szpitalu St. Luke przy Dziewiętnastej Ulicy — odpowiada Jenna, a Hoskins już mija ją biegiem, nie czekając, aż dziewczyna skończy. W rękę podzwaniają mu kluczyki od auta. — Odwiedza pacjentów.

— Byłeś kiedyś zakochany, Paulie? — zapytał go kiedyś Seever.

Spotykali się każdego dnia przez dwa tygodnie. Seever wyjawiał Hoskinsowi imiona, szczegóły i historie ofiar, które były prawdziwe i przerażające zarazem. Mówił o ofiarach, morderstwach i swoim dzieciństwie — więcej niż Hoskins chciał wiedzieć, więcej niż mógł znieść.

— Tak — odrzekł Hoskins, odchylając się na krześle, ze stopą opartą na kolanie drugiej nogi. — Parę razy.

— Chcesz mi o tym opowiedzieć? — zapytał Seever i mrugnął. — Podasz mi parę pikantnych szczegółów, które będą mnie rozgrzewały nocą?

Seever chwycił dłoń w dłoń i potrząsnął nimi, a kajdanki zadzwoniły mu na nadgarstkach. Kiedy przebywali w pokoju przesłuchań numer 2, był skuty także łańcuchem umocowanym do stołu. Hoskins o to zadbał. Inni detektywi uważali to za przesadę. Twierdzili, że Seever jest starszym panem, który najlepsze lata ma za sobą, ale Hoskins widział, do czego zdolny jest ten człowiek. Seever opowiadał mu o swoim dzieciństwie, o ojcu, którego nigdy nie miał, o chłopakach ze szkoły średniej, którzy wyśmiewali się z niego i rzucali w niego kamieniami; rozwodził się bez końca nad swoim małżeństwem i restauracjami. Brzmiał jak miły, normalny gość, ale Hoskins mu nie ufał. Można sporo wiedzieć o człowieku, lecz faktycznie go nie znać — tak właśnie było z Seeverem przez wiele lat. Nosił kosztowne garnitury, wkładał kostiumy kłowna i ludzie nigdy nie zadawali sobie trudu, by baczniej mu się przyjrzeć.

Seever był wilkiem przebrany za babcię.

— Nie sędzę, bym miał ci cokolwiek opowiadać — odrzekł Hoskins. — Spotkaliśmy się tutaj, by mówić o tobie, a nie o mnie.

— Och, prawda — Seever wyszczerzył zęby. — Czasem mi to ucieka.

— A czy ty byłeś kiedyś zakochany? — zapytał Hoskins powodowany ciekawością. Spodziewał się, że Seever odpowie, iż był zakochany z tuzin razy, ze sto razy, że kochał każdą swoją ofiarę. Powie, że kochał swoją żonę, Carrie Simms, Beth Howard i wszystkie kobiety, które zamordował. Zamiast tego jednak Seever wzruszył ramionami, jak gdyby zdziwiony pytaniem, które sam sobie zadawał.

— Nie wiem — odrzekł. Popatrzył na swoje nadgarstki i znowu nimi potrząsnął. — Spotykałem kobiety, pracowałem z nimi i nie mogłem przestać o nich myśleć. To doprowadzało mnie do szaleństwa, zaczynałem mieć obsesję. Czy to jest miłość? Sam nie wiem. Może. Nie wiem.

Hoskins jest prawie pewien, że znowu jest rok 2008, ten dzień, gdy ujrzeli Seevera wyłaniającego się z domu w stroju kłowna. Wtedy podążyli za nim do szpitala, gdzie mogli obserwować, jak zabawia dzieci — nadmuchuje balonowe zwierzątka i śpiewa piosenki. Wyglądało na to, że jest niewinny, że mężczyzna, który jako wolontariusz pomaga chorym dzieciom, nie mógł się dopuścić złych czynów. W Seeverze było jednak coś „niewłaściwego”, coś, co nie do końca pasowało, nawet jeśli na jego pomalowanej twarzy gościł uśmiech, nawet jeśli naciskał swój nos i opowiadał dowcipy. Hoskins nie potrafił jednak sprecyzować, co to było, przynajmniej nie od razu.

Zrozumienie przyszło, gdy Hoskins i Loren obserwowali Seevera brykającego z grupą dzieci, które woził na plecach, udając konia. Coś było

nie tak z jego twarzą, którą wymalował, żeby wyglądała jak maska. Szminka wokół ust była zbyt czerwona, przypominała krew, zaś kąciki jego ust nie były zaokrąglone, ale ostre jak końcówki sztyletów. Wyglądał jak kłown, który wraziłby ci nóż w serce i sprofanował twoje ciało. Tak, ludzie uśmiechali się, widząc Seevera idącego szpitalnym korytarzem, ale Hoskins zauważył, że odwracają twarz z niesmakiem, gdy podchodził bliżej — jak gdyby wyczuwali nieprzyjemny zapach, jakby gdzieś w głębi, podświadomie, wiedzieli, kim on naprawdę jest.

Hoskins potrząsa głową, starając się oczyścić umysł, ale nie jest szalony, o nie — mamy rok 2015, a on podąża za Ralphem Lorenem, który dumnie kroczy po szpitalnym korytarzu w stroju kłowna. Loren zrobił sobie taki sam makijaż jak Seever — z tymi wszystkimi ostrymi kątami i zbyt czerwoną farbą. Loren się śmieje, ten durny osioł rży śmiechem Seevera, a Hoskins miałby ochotę wyciągnąć pistolet z kabury i strzelić w tył jego głowy. Jego ręka już kieruje się ku kaburze, ale zamiast tego Hoskins chwyta Lorena za ramię i obraca go wokół własnej osi.

— W jaką grę do cholery pogrywasz? — krzyczy Hoskins. Loren wygląda na zaskoczonego, a potem ogarniętego poczuciem winy, choć uczucia te znikają z jego twarzy, jakby ich w ogóle nie było. — Po co to robisz?

— Nie domyśliłeś się tego jeszcze? — pyta Loren, przesuwając dłońmi w białych rękawiczkach po kołnierzu, aby rozprostować koronki. — Staję się Jackym Seeverem.

— Seever jest w więzieniu — mówi Hoskins przez zaciśnięte zęby. — Marnujesz czas.

Loren opuszcza szczękę, udając zszokowanego.



— Jak śmiesz — mówi Loren, kładąc rękę na klatce piersiowej w fałszywym geście pokory. — Pomagam tutaj ludziom. A jeśli tak się składa, że przy okazji rozwiązuję sprawę, tym lepiej.

— Nie szukasz Jacky’ego Seevera — mówi Hoskins, chwytając Lorena za ramię, a dwie pielęgniarki idące w ich stronę odwracają się i szybko ruszają w przeciwnym kierunku, co nawet byłoby zabawne, gdyby Hoskins był w nastroju do śmiechu. — Powinieneś szukać Zabójcy z Drugiej Ręki. On wciąż jest na wolności, podczas gdy ty bawisz się z tym gównem.

— Pamiętasz, co ci mówiłem? — pyta Loren, uwalniając ramię z uścisku Hoskinsa. — Poluję, Paulie. Będę bałdzo, bałdzo cicho. Myślę, że jesteśmy blisko, bałdzo blisko. Czy wiesz, że Alan Cole parę razy pracował z Seeverem jako wolontariusz? Przebrany za kłowna? Wykonywał dla dzieciaków jakieś pieprzone tańce.

— Znalazłeś go?

— Jeszcze nie — mówi Loren, chichocząc. Facet mu się wymknął, myśli Hoskins. Ta sprawa najwidoczniej doprowadziła Lorena na skraj wytrzymałości. — Ale zatrzymamy go przed upływem tygodnia. Słowo skauta.

Loren składa trzy palce jak do przysięgi, porusza brwiami w górę i w dół, po czym chwyta za czerwoną bulwę na końcu nosa i naciska ją dwukrotnie, zawiązuje sobie muchę pod brodą i odskakuje. Jego długie kłownowskie buty kłapią o wyłożoną płytkami podłogę.

— Gdzie pan był? — pyta opiekunka. Hoskins wrócił późno, znacznie później, niż planował. Wszystko przez te cholerne wygłupy Lorena. — Będę musiała policzyć za nadgodziny przez tydzień.

— Zapłacę — mówi Hoskins. — Jak on się dziś czuł?

— Zrobił siusiu do zlewu w kuchni — mówi opiekunka. — Powiedział, że było mu za daleko do łazienki. I śmiał się z tego.

— Przepraszam. Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć.

Ale opiekunka chyba nie wierzy, że Hoskinsowi jest naprawdę przykro, bo wychodzi obrażona, nie mówiąc do widzenia. W gorącej wodzie kąpana, myśli Hoskins. Prędzej czy później i tak odejdzie. Hoskins znowu będzie musiał zadzwonić do agencji opiekunek i poprosić o przysłanie kogoś innego.

— Poszła w końcu? — pyta Joe. Siedzi na łóżku jak dziecko, z podwiniętymi kolanami i gazetą opartą na kolanach. — Cały dzień tylko zrzędzi. Jak w małżeństwie.

— Zimno tutaj, tato. Powinieneś włożyć skarpetki.

— Wszystko ze mną w porządku.

— Wiem, że tak.

Hoskins wyjmuje z komody parę czystych skarpetek i zaczyna je zakładać na stopy Joe, ale paznokcie u nóg starego człowieka są długie i żółte. Hoskins przynosi z łazienki parę cząpek do paznokci. Mógł poprosić, żeby opiekunka zrobiła to rano, ale ostatnim razem zignorowała jego prośbę, więc Hoskins już się więcej nie kłopotał proszeniem jej. Nie chce wdawać się z nią w utarczki, szkoda czasu.

— Nie ruszaj się, nie chcę cię zranić — mówi Hoskins. Siada na krawędzi łóżka i bierze stopę Joe na swoje kolana. To dziwaczne uczucie dotykać pięt ojca — są ostre jak papier ścierny, ale jednocześnie w jakiś sposób delikatne.

— W porządku, w porządku. Nie musisz szczypać tak mocno.

— Nie szczypię.

— To łaskocze. Nie dotykaj! Cholera.

— Siedź spokojnie. Przestań się zachowywać jak dziecko.

— Nie jestem dzieckiem.

— Ale tak się, do diabła, zachowujesz. Nie ruszaj się.

Joe siedzi spokojnie przez chwilę.

— Mam pieniądze, wiesz. Oszczędności.

Hoskins prostuje się, patrzy na ojca.

— Tak, wiem — mówi. — I co w związku z tym?

— Moglibyśmy wziąć te pieniądze i umieścić mnie w jednym z tych domów opieki dla starych ludzi — oświadcza Joe. — Jest parę takich przyjemnych ośrodków w mieście.

— Nie zrobimy tego — odpowiada Hoskins. — Widziałem, jak one wyglądają. Nie można nikomu ufać. Lepiej będzie, jak zostaniesz tutaj.

— Tam będą ludzie, którzy się mną zajmą.

— Ja się tobą zajmuję.

— Wiem.

— Mówiłeś kiedyś, że wolałbyś umrzeć niż iść do domu starców — przypomina ojcu Hoskins. — Co się stało, że zmieniłeś zdanie?

— Ty masz mnóstwo roboty. Musisz pracować, powinieneś znaleźć sobie kobietę. Mam uczucie, że jestem najgorszym fiutem na świecie.

Hoskins uśmiecha się lekko na te słowa.

— Nie sądzę, byś miał zbyt wiele okazji, by testować swojego fiuta.

— Prawda. — Joe milknie. — Ta kobieta mówiła ci, że nasikałem do

zlewu?

— Tak.

— Nasikałem, fakt.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Chciałem, żeby się wściekła. Tak tu było cicho dzisiaj. Potrzebowaliśmy trochę emocji.

— I miałeś je.

— To wcale nie było takie złe — stwierdza Joe. Patrzy znowu na gazetę, przesuwając ołówkiem po hasłach krzyżówki. — Wcale nie takie złe.

# SAMMIE

Corbin powiedział, że Sammie ma tydzień na napisanie artykułu. Już go przygotowała, ale nie wysłała jeszcze e-mailem. Zamiast tego wciąż go dopracowuje, cyzeluje; kasuje pojedyncze słowa, a potem wpisuje z powrotem. Krytykuje sama siebie w obawie, że artykuł może nie być wystarczająco dobry, że będą potrzebne kolejne poprawki. Nigdy wcześniej się tak nie czuła, ale też nigdy nie musiała z nikim rywalizować. Jedyne, do czego była zmuszona, to utrzymać się na powierzchni. Teraz ma przerwę na lunch, siedzi więc przy stoliku z otwartym laptopem, starając się zignorować otaczający ją tłum. Stuka w klawisze i marzy, żeby Chrisowi Weberowi przytrafiło się coś złego. Nie chodzi o to, że Sammie naprawdę życzy Weberowi, by coś mu się stało. Jest tak, jakby jechała samochodem i wyłączono ją z ruchu, po czym inni kierowcy zostają zatrzymani przez policję, a ona ma nadzieję, że będą musieli zapłacić spory mandat. Ona zaś będzie naciskać klakson, pokazując środkowy palec — tego właśnie życzy Chrisowi Weberowi. Mógłby nagle zachorować — nie śmiertelnie oczywiście — albo zdecydować, że rzuca pisanie, i wtedy jej życie stałoby się proste. Corbin zaakceptowałby jej artykuł bez żadnych pytań, zaś ona przestałaby się martwić.

— Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwą — mówi Ethan, siadając naprzeciwko niej. W rękach ma tacę z lunchem. Najwyraźniej chce jej potowarzyszyć, więc Sammie zamyka komputer i odsuwa go na bok. — Jak idzie pisanie?

Sammie marszczy nos.

— W porządku.

— O czym będzie twój następny artykuł?

Sammie wzdycha, przeciągając palcem po widocznej na laptopie ikonie w kształcie jabłka.

— Odwiedziłam Seevera w więzieniu — mówi.

— Odwiedziłaś Seevera? — Ethan jest podekscytowany. — Tak po prostu usiadłaś i rozmawiałaś z nim?

— Tak.

— Och. O czym rozmawialiście? — Ethan pochyla się tak nisko, że jego kołnierzyk niemal zanurza się w misce pełnej zupy z owoców morza. Na jego twarzy maluje się zainteresowanie. Słowa Sammie całkowicie przykuły jego uwagę. To głupie, ale Sammie jest przyjemnie, bo kiedy to ostatnio zdarzyło się, że ktoś interesował się tym, co ona ma do powiedzenia, i był tym tak zafascynowany, że cały świat na zewnątrz przestawał dla niego istnieć? Ostatnim razem słuchano jej z takim jak Ethan zacięciem, kiedy czytała fragmenty przyszłej książki w księgarni Tattered Cover. W pomieszczeniu panowała zupełna cisza i rozlegał się w nim tylko jej głos. Sammie wprost czuła, jak publika napręża się, by usłyszeć jej słowa, wychwycić każdą zmianę tonu i każdy jej oddech. Teraz nikt już nie jest tak bardzo zainteresowany jej pisaniem, nawet Dean, który ma do tego stosunek odrobinę nieprzyjazny. Przeszedł przez tamten czas i zamknął pewien okres życia z przekonaniem, że Sammie nie była mu wierna i że tego można się znowu spodziewać. — Czy słyszał o Zabójcy z Drugiej Ręki? Co o nim sądzi?

— Gdybym ci powiedziała, musiałabym cię zabić — droczy się Sammie, a Ethanowi wcale się to nie podoba. Sammie jednak tego nie dostrzega, bo

szuka wzrokiem kogoś znajdującego się za plecami Ethana. Czuje, że ktoś intensywnie się w nią wpatruje. Jej oczy prześlizgują się po tej postaci, a dopiero potem przychodzi rozpoznanie. Tak było zawsze z Jackym Seeverem, który potrafił wmieszać się w tłum i któremu pozory długo umożliwiały unikanie kary za zabójstwa.

Ale to nie jest Jacky Seever. To Loren w eleganckim garniturze, z włosami ułożonymi na żel. To jego stary numer, powinna była o tym wiedzieć, lecz nie jest to zwyczaj, do którego można łatwo przywyknąć. Zwłaszcza że Loren przebrał się za człowieka, którego znała, z którym obcowała i który zabił wielu ludzi. Byłaby nieprzyjemnie zdziwiona już samym widokiem Lorena ubranego jak Seever, przechadzającego się w tłumie, robiącego zakupy lub posilającego się, a jest jeszcze gorzej, bo glina ją obserwuje, czekając, aż ona go zauważy. Gdy ich oczy się spotykają, Loren posyła jej flirciarskie mrugnięcie, tak samo jak robił to Seever. Zdumiona Sammie gwałtownie porusza ręką i trafia prosto w tacę z posiłkiem Ethana. Miska z zupą wywraca się do góry nogami. Zapanowuje chaos, więc usiłują posprzątać. Poirytowany Ethan zmywa podłogę, a kiedy Sammie znowu podnosi wzrok, Lorena już nie ma.

# GLORIA

Są małżeństwem już od kilku lat, gdy Jacky wręcza jej kartę kredytową — plastikowy prostokąt, którego można używać zamiast pieniędzy. Gloria może także posługiwać się książeczką czekową, jeśli tego potrzebuje, ale Jacky woli, by używała karty, bo to czyni życie prostszym.

— Domowa księgowość tylko na tym zyska — tłumaczy jej. — Nie musisz wszystkiego zapisywać. Będziemy mieć wydruk na rachunku z banku.

— Ile mogę wydać? — pyta Gloria.

Jacky wzrusza ramionami.

— Po prostu nie szalej — mówi. — Powinno ci wystarczyć.

Najpierw zakupy trochę ją przerażają — pójście do kasy, gdzie sprzedawca wsadza kartę do czytnika, po czym następuje dłuższy moment oczekiwania, podczas którego komputer szumi i myśli, a kasjer wpatruje się w ekran. W takich chwilach Glorii wydaje się, że tym razem kasjer wyjmie parę nożyczek, przetnie kartę i powie jej, że nie ma wystarczająco dużo pieniędzy, by za wszystko zapłacić, i nigdy nie będzie miała. To jej najgorszy koszmar — ta sekunda poprzedzająca chwilę, gdy komputer wypluwa paragon, który Gloria musi podpisać. Wtedy wydaje jej się, że cały świat zrobiony jest ze szkła. Ale odmowa przyjęcia karty nigdy nie następuje, płatność zostaje zaakceptowana, a kasjer z uśmiechem wręcza jej długopis, by złożyła swój podpis. Gloria też się uśmiecha, szczęśliwa, że wszystko jest w porządku.



W ich domu zawsze są jacyś goście. Czasem są to członkowie różnych klubów, do których należy Jacky, inni właściciele biznesów, a czasem dzieciaki z restauracji, które przychodzą na kolację i zostają do późna. Oglądają telewizję albo popijają z Jackym piwo, paląc papierosy, śmiejąc się i gadając o sporcie, filmach i innych sprawach, bo Jacky potrafi rozmawiać o wszystkim, taki już ma dar.

Odkąd przejął restaurację, Jacky’emu nagle spodobał się dom pełen ludzi, podłoga uginająca się pod ciężarem ludzkich nóg, powietrze przesycone zapachem perfum lub papierosów. Kiedyś tego nie lubił, cenił sobie prywatność. Lubił wracać po pracy do domu, jadł obiad i odpoczywał — czytał gazety albo oglądał telewizję. „To nawiązywanie kontaktów — mawia Jacky. — Robię to dla rozwoju naszego interesu”. Ale Gloria myśli, że zmiana nastąpiła, bo nigdy już ponownie nie zaszła w ciążę, mimo że starali się o dziecko przez ponad dziesięć lat, a doktorzy twierdzili, że każde z nich jest zupełnie zdrowe. Ich marzenia o powiększeniu rodziny z wolna odchodziły na dalszy plan, aż pewnego dnia zniknęły zupełnie. Dom jest zbyt duży i zbyt pusty bez wesołego rejwachu, który potrafią stworzyć dzieci, więc Jacky chce go jakoś zapełnić, zabić ciszę.

I tak Jacky zaprasza niemal każdego. Najpierw pojawia się niewiele osób, ale Jacky naciska, przypochlebia się, toteż przychodzi coraz więcej i więcej gości, aż wreszcie w domu Seeverów każdego wieczoru jest impreza z mnóstwem jedzenia i piwa. Jacky siedzi u szczytu stołu niczym król, z twarzą czerwoną i zadowoloną. Wszystko to jest głupie i smutne zarazem i jest w tym coś z desperacji. Jacky nie podoba się Glorii w chwilach, gdy wokół kręcą się obcy — właściwie nie podoba jej się wcale z tym swoim głębokim, gwałtownym śmiechem i debilnymi dowcipami. Wstydzi się za męża, tak bardzo zajętego robieniem z siebie głupka, choć nikomu innemu nie wydaje się to przeszkadzać. Wszyscy myślą, że Jacky jest cholernie dobrym facetem,

prawdziwym dowcipnisiem, jak mawiał jej ojciec. Wszyscy się śmieją, poklepują go po ramieniu, siedzą wokół jej pięknego stołu z czereśniowego drewna, jedzą i pozostawiają na nim mokre ślady po szklankach, bo nikt nie używa podstawek, które Gloria rozstawia każdego cholernego wieczoru.

„Powinnaś się do nas przyłączyć”, mówi Jacky, ale ona nie chce. Przygotowuje jedzenie, zastawia stół, nim wszyscy przyjdą, a potem, kiedy goście przenoszą się do salonu, wynosi naczynia. Nikt się więc nie widzi, jak sprząta cały ten bajzel, niczym służąca we własnym domu. Załadowuje zmywarkę, czyści stoły i blaty, a potem przemywa je jeszcze raz. Następnie idzie na górę, zakręca włosy na wałki, nakłada krem. Nie lubi hałasu, gadania o ludziach i miejscach, których nie zna i nigdy nie zobaczy. Woli raczej być w łóżku, pod kołdrą, słysząc uspokajający odgłos wiatraka na suficie.

Łatwo jest wydawać pieniądze, łatwiej, niż Gloria kiedykolwiek myślała. Jej ojciec za wszystko płaci gotówką. W swej sypialni ma żelazny sejf, pełen dolarów. Nie ufa bankom, ale to nie nowina, bo on nie ufa nikomu. Kpi sobie, gdy Gloria pokazuje mu kartę kredytową. Na jego twarzy maluje się złośliwość, gdy zgniata papierosa na spodku.

— Wychodzisz do świata, czyż nie tak? — mówi. — Pozwalasz, żeby bank pożyczał ci pieniądze, których nie masz?

— To tak nie wygląda.

Ale jej ojciec nie powinien się wypowiadać. On, który nigdy nie pozwolił matce kupić sobie nowej sukienki czy dać więcej na tacę w kościele. Zawsze nazywał siebie oszczędnym, ale jest po prostu skąpy. Nigdy nie wydałby nawet centa, by uczynić kogoś szczęśliwym, nawet własną żonę. Jacky przynajmniej nie jest taki. Lubi obdarowywać ludzi, pomagać im — Gloria nie pamięta już, ile razy dzieciaki z liceum bywały w ich domu, licząc na jakieś wskazówki co do przyszłej kariery zawodowej albo dlatego, że Jacky

obietwał im parę dolarów za skoszenie trawnika czy zgrabienie liści, nawet jeśli zrobiono to już parę dni temu. Gloria słyszała, że czasem trzeba się poświęcić, by pójść w życiu dalej — nie jest pewna, gdzie po raz pierwszy słyszała to powiedzenie, a choć dotyczyło ono chyba gry w szachy, można je śmiało odnieść do jej męża. Bo to jest właśnie to, co robi Jacky. Poświęca się. Wydaje parę dolarów, by uczynić życie innych lepszym.

Gloria wciąż pragnie dziecka bardziej niż czegokolwiek, ale skoro nie może go mieć, dlaczego nie miałyby pójść do pracy? Albo może wrócić do szkoły, zostać nauczycielką? Zarabiać pieniądze, dokładać się do wydatków, mieć czym zapełnić dzień. Jednak Jacky delikatnie, spokojnym głosem oświadcza jej, że nie, bo on zapewnia im przecież wszystko. Daje jej to, czego ona pragnie. Co jest prawdą, ale Gloria myśli czasem, że powinno być coś więcej niż tylko zakupy, planowanie posiłków, oglądanie telewizji i prasowanie. Chciałyby czegoś więcej. Nigdy nie myślała, że jej życie tak się potoczy, choć jej znajome często powtarzają, jaką jest szczęściarą i jakim dobrym człowiekiem jest Jacky. I jest. Gloria czuje się winna, gdy myśli inaczej, bo on poświęca jej uwagę, zabiera do restauracji, otwiera przed nią drzwi i odsuwa jej krzesło, a nawet pamięta o opuszczaniu deski klozetowej. Ale są też rzeczy, których nie robi, nie zapominajmy o tym, na Boga, bo te rzeczy są tak samo ważne jak te, które robi. Nie skarży się na przykład, gdy Gloria wraca z naręczami toreb ze sklepów JCPenney albo Montgomery Ward czy przypala duszone mięso; nie marudzi, gdy Gloria zakłada flanelową koszulę, tę, która zakrywa ją od podbródka po palce stóp, gdy mówi mu, że boli ją głowa, że chce iść spać i nie jest w nastroju. Nigdy już nie powtórzył się epizod sprzed lat, nie było już seksu połączonego z gwałtem — a może to nie był gwałt. Jacky nie mówi, że Gloria jest tak piękna, iż zasługuje na śmierć, nie przystawia jej pistoletu do głowy, obiecując, że po tym, jak ją zabije, zastrzeli i siebie, i że policja nigdy ich nie

znajdzie leżących obok siebie na linoleum — dwa ciała tak blisko, że nie będzie sposobu rozróżnić jednej osoby od drugiej.

Gloria budzi się nagle któreś nocy, ale nie wie, co jest tego przyczyną. Czuje, że ma serce w gardle, że jest przerażona, lecz nie wie dlaczego. To jest właśnie najgorsze, że nie ma powodu do strachu. Łóżko po tej stronie, po której śpi Jacky, jest puste, a w domu panuje cisza. Możliwe, że jej mąż zasnął na kanapie na dole po zakończeniu imprezy. To się już zdarzało. Gloria zastanawia się, czy może powinna wstać, nałożyć szlafrok i zejść na dół, obudzić męża i doprowadzić go do sypialni, ale nie chce jej się opuszczać wygodnego łóżka. Jest tak, jak gdyby koce oferowały jakąś ochronę przed potworem, który czai się gdzieś na zewnątrz. Ktoś krzyczał, myśli Gloria, ale ta myśl pojawia się, tuż zanim zasypia, i nie będzie o niej pamiętała następnego ranka.

Pewnego popołudnia u drzwi wejściowych dźwięczy dzwonek. Na schodkach stoi młody człowiek. Jest przystojny, ma blond włosy i ładną cerę. Nie ma wyprysków czy śladów po ospie jak inni młodzi ludzie, wciąż wyciskający sobie pryszczę. Przynajmniej nie jest dziewczyną — był czas, że Jacky przysyłał do domu różne młode dziewczęta, które spotykał, gdy był poza domem, podczas swoich codziennych zajęć. Przychodziły do nich, wysłane przez pana Seevera, by zajęły się jakimiś pracami wokół domu. Piękne młode dziewczyny o szczupłych biodrach i promiennych uśmiechach, które pojawiały się w krótkich spódniczkach i kusych T-shirtach — ubraniach, w których się nie pracuje, lecz w których chce się być oglądanym. Pewnego razu przyłapała Jacky'ego na tym, jak stał w oknie i gapił się na grupę dziewczyn pracujących w ogrodzie. Gloria nie przejęła się tym aż tak bardzo — wszyscy mężczyźni lubią popatrzeć na młode kobiety, a kierowcy mijający ich dom zwalniają, by popatrzeć na dziewczyny zajęte grabieniem — ale czy naprawdę Jacky musi to robić na jej oczach? Nie powiedziała mu

jednak nic, nie wspomniała, że rani to jej uczucia, że traci pewność siebie. Miała czterdzieści pięć lat i czuła każdą minutę upływającego czasu, każdy rok. Trzeszczało jej w kolanach i miała worki pod oczami. A te młode dziewczyny sprawiały, że czuła się gorzej. Cóż jednak mogła zrobić, by się nie wygłupić?

— Pan Seever jeszcze nie wrócił z pracy — oświadcza młodemu mężczyźnie Gloria. Czuje się nieco zdenerwowana, choć ma na sobie ładne ubranie i zadbała o makijaż, jednak młodzi mężczyźni zawsze wprawiają ją w zakłopotanie, zwłaszcza przystojni. Wie, że nie powinno mieć znaczenia to, co myśli mężczyzna o połowę od niej młodszy, jednak w jakiś sposób to się dla niej liczy. — Może pan na niego poczekać, jeśli pan chce.

Chłopak podąża za nią do środka, siada przy kuchennym stole i z entuzjazmem popija coca-colę z lodem. Gloria jest trochę zła na Jacky'ego, bo była właśnie w połowie powieści, którą wypożyczyła z lokalnej biblioteki. Książka wyglądała na szmirę, ale i tak ją wzięła; sytuacja przypominała tę, w której bierze się do domu psiaka, który ma duże, smutne oczy. A potem, gdy zaczęła lekturę bez większych nadziei, okazało się, że książka jest wspaniała. Gloria nie może jednak zostawić chłopaka w kuchni samego i wrócić do czytania — musi tutaj siedzieć, prowadzić towarzyską pogawędkę, zachowywać się przyjaźnie i powstrzymywać przed zerkaniem na zegarek, niecierpliwie nasłuchując, czy samochód Jacky'ego parkuje na podjeździe.

Chłopak jednak wyczuwa, że Gloria czuje się niezręcznie, i ułatwia jej sprawę.

— Jestem tutaj, by wykonać dla pani męża prace porządkowe — mówi.  
— Jeśli to pani pasuje, zacznę już, a pani będzie mogła wrócić do swoich zajęć.

— Byłoby wspaniale — odpowiada Gloria z ulgą.

Zapada cisza, a Gloria skręca chusteczkę w rękę. W takich chwilach, myśli, dzieją się ważne rzeczy. Dokonywane są wybory. Mogłaby zrobić jeden krok, zarzucić chłopakowi ramiona na szyję i wsunąć mu język do ust. Zaciągnąć go do sypialni i powoli rozebrać się, a potem przesuwać ustami po jego ciele. To by zrobiło Jackowi dobrze, gdyby zobaczył żonę z młodym mężczyzną, którego przysłał tutaj do pracy — bo Jacky oszukiwał ją od samego początku. Gloria wie o tym i ignoruje to, starając się wyrzucić ten fakt z głowy. To tylko seks, a mężczyzna musi od czasu do czasu mieć jakąś przyjemność. Potem jednak nadchodzi moment, gdy Jacky zabiera Głorię do ich restauracji. Widzi, jak patrzy na jedną z kelnerek, ona zaś wpatruje się w niego czarnymi oczami. Gloria niemal czuje gorąco tych spojrzeń. Wie, że zostaje delikatnie odsunięta na bok. Jacky sądzi, że jego żona jest głupia i że nic nie podejrzewa, ale ona wie o wszystkim. Kusi ją, by zrobić coś szalonego i odegrać się na Jackym, ale rezygnuje z tego pomysłu, gdy zdaje sobie sprawę, że tak wpływa na nią ta książka z biblioteki, choć lektura leży w drugiej części domu. To taki rodzaj powieści, w której wszystko jest możliwe, w której zwierzęta mówią, a domy latają w powietrzu; w której główna bohaterka może mieć każdego mężczyznę, którego zapragnie, nawet jeśli jej własny ojciec nazywał ją brzydką i grubą, a mężczyzna jest chłopcem noszącym spłowiały T-shirt i parę białych sportowych butów. Gloria pragnie coś zrobić, jednak nie robi nic. Jak to mówią, to jej biznes.

— O co prosił pana mój mąż? — pyta, delikatnie odkasłując.

— Mam kopać.

— Kopać? — Gloria dopiero wtedy zdaje sobie sprawę, że chłopak ma ze sobą łopatę opartą o krzesło, której krawędź dotyka podłogi. Łopata jest z tych mniejszych, Gloria nie pamięta, jak taki rodzaj sprzętu się nazywa. Chyba nie rydel, a szpadel.

— Tak — chłopak pociąga nosem z rozbawieniem, jak gdyby opowiedział jej dowcip z pointą, której ona nie rozumiała. — Pan Seever chce, żebym wykopał dziury w korytarzu z węzłami sanitarnymi.

Chłopak kopiący dziury przychodzi do ich domu parę razy. Zawsze zachowuje się przyjaźnie, uśmiecha się. A potem znika. Kiedy Gloria o niego pyta, Jacky sprawia wrażenie rozproszonego.

— Och, już nie przyjdzie — mówi. — Znalazł jakąś inną pracę, która bardziej mu odpowiada.

Każde małżeństwo ma swe zasady, niekoniecznie te spisane na papierze czy wyryte w kamieniu, ale to nie ma znaczenia, bo wszystkie one tworzą niewidzialne przeszkody, takie, które widzi tylko tych dwoje ludzi. A w ich małżeństwie, myśli Gloria, obowiązuje tylko jedna zasada: „Gloria nie wie nic”.

Tak więc Jacky robi, co chce, zawsze robi i będzie robił, zaś Gloria o niczym nie wie. Tak jest łatwiej — pozwalać, by rzeczy jakoś się toczyły. Gloria zdaje sobie sprawę, że tak właśnie funkcjonowało małżeństwo jej rodziców i że odziedziczyła po matce nie tylko długie palce i niebieskie oczy, ale także umiejętność trzymania ust zamkniętych na kłódkę. Niezadawania pytań. To nie tak, że nie kocha Jacky’ego — bo kocha. Ta miłość jest nieco wypłowiała, zrobiła się delikatniejsza i nieco się zużyła po wszystkich górkach i dołkach wieloletniego małżeństwa, ale przecież wciąż trwa. A co to ma za znaczenie, że nie jest tym, czym wyobrażała ją sobie Gloria w młodości? Ich miłość to znajomy odgłos obcinania paznokci przez Jacky’ego, jego donośne chrapanie, gdy jest bardzo zmęczony. Zapach balsamu, którego używa, smarując dłonie, zwłaszcza zimą. To, że wiecznie zostawia bokserki rzucone na podłogę obok prysznic, choć ją to irytuje, choć prosiła go milion razy, by zrobił trzy kroki i wrzucił majtki do pojemnika na brudną bieliznę.

Ale wszystko to oznacza, że ma męża, który się o nią troszczy. A poza tym jednym razem Jacky nigdy nie był w stosunku do niej okrutny. Był kochający i Gloria jest pewna, że na niej polega, że też ją kocha. Potrzebuje jej. Nie wiedziałby, co bez niej zrobić i nigdy nie chciałby się rozstać. A ona czuje to samo.

Ale...

Czasami na jego bokserkach widnieje krew. Niedużo, ale Gloria zauważyła to, gdy wrzucała rzeczy do prania i sprawdzała, czy nie ma na nich plam. Krew nie była widoczna na tylnej stronie bokserek — gdyby tak było, nalegałaby, żeby Jacky poszedł do lekarza, bo krwawienie z odbytu mogłoby oznaczać, że jest poważnie chory — ale na przodzie, w miejscu, w którym w materiale znajduje się ta głupia dziura, która zawsze śmieszy Glorię. Nie umie bowiem wyobrazić sobie mężczyzny wystawiającego penisa przez coś takiego, żeby się załatwić. A wystarczyłoby po prostu ściągnąć majtki. O ślady krwi zapytała kiedyś Jacky'ego, ale on wzruszył ramionami i powiedział, że materiał musiał zafarbować. „Tanie gówno, powiedział. Następnym razem kup amerykańskie bokserki. I nie będzie problemu”.

Potem zdarzyło się jeszcze coś innego. Gloria siedziała przy otwartym oknie w ich sypialni, czytając. Wieczorny wiatr unosił firanki, a skraj spódnicy owinął się jej wokół nogi. Usłyszała, jak Jacky wchodzi po schodach, ciężko stawiając kroki. Zdążyła jednak tylko podnieść wzrok, gdy on stał naprzeciwko niej, wyciągając ręce niczym dziecko do matki. Na kostkach jego palców widniała krew, częściowo zastygła, a częściowo wciąż jeszcze świeża. Gloria krzyknęła, sądząc, że Jacky się zranił. Kiedy jednak zabrała go do łazienki, posadziła na pokrywie od sedesu i obmyła wilgotnym ręcznikiem, okazało się, że Jacky nie jest ranny, a krew nie mogła być jego. „Prawie się wymknęła”, wyszeptał Jacky niemal histerycznie. W jego oczach



było coś, co przeraziło Glorię, coś, co sprawiło, że miała ochotę wziąć tylko kluczyki od auta i uciec jak najdalej od tego człowieka. Zamiast tego jednak umyła go starannie i położyła w ich łóżku. A choć Jacky twierdził, że nie jest zmęczony, natychmiast zasnął. Gloria wrzuciła jego zakrwawione ubranie oraz ręcznik — tak, ręcznik też — do pralki i nastawiła pranie na zimno, dodając porcję środka usuwającego plamy. Tej nocy nie spała z Jackym, ale poszła do pokoju gościnnego i ułożyła się na posłaniu z koców, w pełni ubrana, z twarzą skierowaną ku drzwiom i rękami podłożonymi pod policzek. Myślała, że kiedy Jacky się przebudzi, zapyta go o krew, o to, co miał na myśli, wypowiadając dziwne słowa, i o to, gdzie był, choć nie musiał nigdzie wychodzić. Zmusi go, by był uczciwy i wydusi z niego prawdę. Ale kiedy wstała, Jacky był już pod prysznicem, śpiewając radośnie, a zanim wyszedł do pracy, położył rękę na jej karku i pocałował ją jak dawniej. Gloria zobaczyła, że krew już zniknęła z jego ubrania, jak gdyby nigdy jej tam nie było. Nie ma problemu. Po co więc poruszać ten temat?

Istnieje jednak garaż, zamieniony w miejsce, w którym odbywają się imprezy organizowane przez Jacky'ego. Pomieszczenie do zabawy. Jacky powiedział, że kiedy nie ma go w domu, nikt nie powinien tam wchodzić. To jego przestrzeń, teren prywatny, a ona powinna to uszanować. „Ja nie grzebię w twoich szufladach”, mawia, i to ma sens, choć Gloria nie ma kłódki na swojej komodzie. A taka kłódka wisi na drzwiach prowadzących z domu do garażu. Jest do niej tylko jeden klucz, a Gloria nie wie, gdzie trzyma go Jacky. Zdarza się w trakcie dnia, że podczas odkurzania czy ścierania kurzy albo nawet w chwilach, gdy niczym się nie zajmuje, Gloria podchodzi do tych drzwi, podnosi ciężką kłódkę, trzyma ją w ręku i waży zimny ciężar w dłoni. Sprawdza, czy kłódka nie jest otwarta, ale jeszcze nigdy się tak nie zdarzyło. Dlaczego zresztą miałoby tak być? Jacky jest człowiekiem starannym, zawsze ją zamyka, nigdy nie opuszcza domu i nie kładzie się spać

bez sprawdzenia, czy drzwi prowadzące do garażu są zamknięte.

Ale nawet najbardziej staranny człowiek miewa momenty roztargnienia. W któryś wtorek Jacky ma właśnie taki moment. Spieszy się, zasnął i nie ma nawet czasu wypić porannej kawy. Gloria słyszy, jak samochód toczy się po podjeździe. Jakimś cudem nie domknął kłódki, która zwisa teraz otwarta i można wejść do garażu. Gloria nie może się powstrzymać.

Nie wchodzi jednak od razu. Wypija filiżankę kawy i ogląda poranne wiadomości. Szoruje wannę, choć ta nie jest wcale brudna. Potem sama bierze prysznic, starannie wcierając w skórę balsam o zapachu lilii. Czesze włosy, robi makijaż. Potem idzie na dół, do drzwi. Spodziewa się, że będą jednak zamknięte — być może Jacky wpadł do domu w trakcie dnia, tak się już zdarzało. A może Gloria chce, by drzwi nie były otwarte, tak żeby nie musiała patrzeć, co się za nimi znajduje. Ale jest inaczej. Glorii zajmuje chwilę, by uporać się z ruchomą częścią kłódki tkwiącą w metalowym uszku, bo ręce mocno jej się trzęsą. Jest jak Żona Sinobrodego, której powiedziano, by nie otwierała pewnych drzwi, lecz ona nie mogła się powstrzymać i odkryła straszliwy sekret swego męża.

Wchodząc do garażu, robi tylko jeden krok i stoi tam nie więcej niż minutę. Potem wychodzi, starannie zamykając drzwi, i wraca do kuchni. Myje ręce i zaczyna obierać ziemniaki. Na obiad będzie pieczeń z czerwonymi ziemniakami i bagietką. To ulubiona potrawa Jacky'ego.

Gloria wraca z więzienia smutna i zmęczona. Nie jest pewna, co ma myśleć o reporterce odwiedzającej Jacky'ego, ale co może na to poradzić? Nic. Absolutnie nic. Jacky jest dorosłym mężczyzną, może przyjmować odwiedziny każdego, kogo zechce, i robić, co chce. Tak było zresztą zawsze.

Wysiada z samochodu, trzymając kluczyki w ręce. Myśli, że wejdzie do środka, zaparzy sobie filiżankę herbaty i poogląda telewizję. Nie wiadomości,

bo wciąż mówią w nich o morderstwach, o Zabójcy z Drugiej Ręki, jak go nazywają. Gloria słyszała, że sprawę tę łączy się z Jackym, choć nie bardzo wie, jak to możliwe. Policjanci ją nawet przesłuchiwali, ale byli rozczarowani. Ze smutnego wyrazy ich twarzy Gloria wywnioskowała, że liczyli, iż to ona za wszystkim stoi albo że wie, gdzie przebywa Alan Cole, który był najwyraźniej jednym ze starych przyjaciół Jacky'ego, choć jego nazwisko nic Glorii nie mówi. Policjanci wyszli z niczym, bo w jaki sposób stara kobieta taka jak Gloria mogłaby być im pomocna?

Gloria już wkłada klucz do zamka, gdy widzi na drzwiach namalowany czerwonym sprayem napis: „wiedziałaś, suko”. Litery są już suche, tak więc napis widnieje na drzwiach przez większą część dnia i ktokolwiek ma oczy, musiał go widzieć.

„Świat w końcu mnie znalazł”, myśli Gloria, ale wie, że to nie jest cała prawda. Nie było tak, że ukryła się na dnie oceanu czy zmieniła dane. Każdy, kto chciałby zadać sobie trud, mógł ją w każdej chwili znaleźć. Kiedyś już to nastąpiło — ktoś włamał się i skradł jej rzeczy. Wystarczyło poszperać w komputerze, zerknąć do książki telefonicznej i już można ją namierzyć. Nowe morderstwa sprawiają, że ludzie są zaniepokojeni i chcą wylać na kogoś swoją złość, a Gloria może być odpowiednią osobą.

Mogłaby przynieść wiadro pełne wody ze środkiem myjącym oraz ścierkę i zacząć usuwać napis. Dwa słowa, nie powinno zabrać jej to dużo czasu. Może godzinę albo mniej. Ale czy to w ogóle ma znaczenie?

Zamiast tego Gloria wchodzi do domu i zamyka za sobą drzwi. Nastawia czajnik z wodą, włącza czarno-biały film i opiera stopy na małym stoliku. Udaje, że słów wypisanych na drzwiach wcale nie ma. Najłatwiejsze kłamstwa to te, które wmawiasz sobie sam, a Gloria przez te wszystkie lata stała się w tym mistrzynią.

MY NIE POPEŁNIAMY BŁĘDÓW

W Denver mieszka sześćset tysięcy ludzi. Może to za wiele. Mieszkańcy Denver twierdzą, że mnóstwo ludzi przybywa tu z Kalifornii. Zaczyna się przewaga ludzi z Zachodniego Wybrzeża, którzy mają fatalne zwyczaje i liberalne poglądy. Rdzenni mieszkańcy Denver mówią, że to dlatego miasto schodzi na psy. To dlatego ceny domów rosną, a ludzie są zabijani. Popatrzcie na to, co dzieje się w Los Angeles, mówią. Cała ta przemoc. A teraz mamy to samo u nas.

Na przykład cicha ulica na przedmieściach Denver. Domy są małe i starawe, przeważnie zbudowane z cegły, a trawniki duże. Nieopodal znajduje się szkoła podstawowa, a dzieci bawią się na podwórku bez szczególnego nadzoru dorosłych. Dziś ich tam nie ma, bo są na zajęciach w szkole, a nawet jeśli nie, to siedzą w domach przed telewizorami, bo na zewnątrz jest zimno. Większość domów została udekorowana bożonarodzeniowymi lampkami i wieńcami, a na podwórku przed jednym z budynków ustawiono nawet plastikowe figury z szopki betlejemskiej. Nie są tak duże jak autentyczne ludzkie postacie, ale i niewiele mniejsze, zaś Dzieciątko Jezus zostało skradzione i zastąpione owiniętym w koc pustym pudełkiem po mleku, choć póki co nikt tego nie zauważył. To dobre miejsce do życia, nie za daleko od świąteł wielkiego miasta, ale i nie za blisko. Lokalizacja doskonała dla rodzin.

Ulicą idzie jakiś człowiek. To mężczyzna, któremu na ostatnie urodziny stuknęło dwadzieścia lat, choć ma twarz pokrytą trądzikiem i szczupłe ramiona chłopca. Jest blady, niewysoki, a jego włosy wymagają umycia.

W następnych latach nabierze ciała, będzie chodzić na siłownię, podnosić ciężary i jeść mnóstwo protein, a potem będzie myć samochód, zdjawszy T-shirt, tak by wszyscy mogli podziwiać efekty jego ciężkiej pracy.

To właśnie by zrobił, gdyby żył dostatecznie długo.

Ten chłopak to Jimmy Galen; nie ma samochodu, dlatego wszędzie musi chodzić na piechotę. Nie lubi chodzić głównymi ulicami, woli wybierać te boczne bądź skróty, przez osiedla i parki, przez ogrodzenia i ścieki kanalizacyjne. Chłopak nie chce, by ktokolwiek wiedział, że on nie ma samochodu, nie chce widzieć litościwych spojrzeń, które rzucają mu ludzie jadący autami. Widzą, jak zмага się z wiatrem i jak mruży oczy od słońca. Wybiera więc mniej uczęszczane trasy w nadziei, że nie spotka nikogo znajomego.

— Jakie to ma znaczenie, co myślą ludzie? — mówi jego matka, gdy chłopak skarży się na brak własnych czterech kółek. — I co z tego, że chodzisz piechotą?

— Nie rozumiesz — odpowiada Jimmy. — Ty nie musisz nigdzie chodzić.

Ona nie musi, bo ma samochód. Chłopak kocha swoją matkę, nie chce z nią walczyć, ale jak ma się dostać gdziekolwiek w tym mieście bez samochodu? Jak ma poderwać dziewczynę?

— Jesteś młody — mówi matka. — Chodzenie na piechotę dobrze ci zrobi.

— Ty masz samochód.

— Muszę jakoś dojeżdżać do pracy.

— Ja też — odpowiada chłopak. — Mogłabyś kupić mi samochód, wiesz.

Matka parska i macha ręką, po czym wraca do oglądania lokalnych wiadomości. Przez parę ostatnich dni, odkąd znaleziono martwą Simms, ogląda tylko programy informacyjne. A jeszcze nie tak dawno temu nie chciała nawet mówić na temat Seevera, nie pozwalała nikomu wspomnieć o nim, bo to Jimmy mógł być pogrzebany w korytarzu z węzłami sanitarnymi,

to on mógł być jednym z tych nieszczęsnych dzieciaków na długiej liście ofiar.

„Spotkałem go tylko raz — mawiał, gdy matka zaczynała mówić o tych zabitych dzieciakach, przeważnie po wypiciu paru kieliszków wina. Matka jednak nie chciała słuchać jego słów. — Mieszkaliśmy niedaleko od niego przez sześć miesięcy, a potem się przeprowadziliśmy. Dwa razy kosilem jego trawnik”.

„Mój Jimmy to szczęściarz — powiedziała jego matka miłej reporterce z gazety. Było to wtedy, gdy trwał proces Seevera i wszyscy o nim mówili. Matka była bardzo zadowolona, gdy jej nazwisko ukazało się w prasie, wycięła artykuł i zachowała go na pamiątkę. — Seever go sobie nie upodobał. Pozwolił mojemu chłopcu żyć”.

— Wiesz, że nie możemy sobie pozwolić na kolejny samochód — mówi teraz matka. — Gdyby twój ojciec żył, to co innego, no ale cóż, jest jak jest. Nie mamy pieniędzy.

Jimmy narzuca kurtkę, nie chcąc, by matka znowu zaczęła się załamywać, wspominając ojca, który zasnął za kierownicą, jadąc autostradą, i nie widział, że zbliża się do drzewa. Od tamtego momentu minęły trzy lata, a ona wciąż przywołuje postać ojca, gdy Jimmy prosi o pieniądze. Zupełnie jakby byli milionerami, gdy on żył. Jimmy uważa, że uskłada na samochód, choć miną lata, nim będzie mógł sobie pozwolić na jakieś dobre auto. Dupa blada, jak mawiał jego ojciec.

— Wychodzę — mówi, ale matka go nie słucha, zajęta oglądaniem wiadomości o zamordowanej dziewczynie. Jimmy ma ochotę wyjąć wtyczkę z kontaktu, przypominając matce, że on może być następny, że ten, kto zabił Simms, może szukać następnej ofiary. To właśnie powiedzieli policjanci, gdy dzwonili tamtego ranka. Radzili, by Jimmy i jego matka byli ostrożni, i

powiedzieli, że kontaktują się z każdym, kto miał jakąś styczność z Seeverem — tak na wszelki wypadek. Jimmy myśli, że byłoby lepiej, by matka podwiozła go do pracy, wtedy będzie bezpieczny. Ale jeśli to powie, jej wyobraźnia zacznie pracować na całego i on będzie skończony. Będzie chciała odwozić go do pracy każdego dnia, a potem odbierać, a nocą będzie wślizgiwać się do jego pokoju, by sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Toteż Jimmy nic nie mówi, narzuca kurtkę i dokładnie ją zapina, bo na zewnątrz jest zimno. Jest środek dnia, a Zabójca z Drugiego Planu — czy jak go tam nazywają — wydaje się zainteresowany tylko kobietami, więc Jimmy jest bezpieczny.

Na dworze panuje przenikliwy mróz. W tej części Stanów często jest zimno, ale teraz — teraz to coś więcej. Jak do tej pory nie było jeszcze tak zimno, by pozamykano szkoły, ale prawdopodobnie nastąpi to już jutro; dzieciaki nie powinny zamarzać, czekając na autobus albo idąc do klas. Ale przynajmniej są w tej chwili w jakichś pomieszczeniach, nie tak jak on, przedzierający się przez zasy śniegu. Jego kretyńscy sąsiedzi nigdy nie zadają sobie trudu, by odśnieżyć chodniki. Zanim Jimmy dotrze do pracy, jego stopy będą tak zmarznięte, że nie będzie ich czuć. A gdy z kolei ogrzeją się w ciepłe, będą go boleć jak diabli.

To przede wszystkim myśl o zmarzniętych stopach sprawia, że Jimmy decyduje się wsiąść do autobusu, choć nie znosi transportu publicznego. Nienawidzi długich miejskich autobusów, które są jak dwa robaki połączone w środku harmonią, i denerwuje go to, że choć pojazdy są całkiem nowe, czuć w nich moczem. Plastikowe siedzenia są lśniące i nieoklejone gumami, zaś na podłogach nie ma plam, ale wciąż czuć ten zapach. Zupełnie jakby jakiś facet stanął w środku autobusu, rozpiął rozporek i oblał wszystko uryną.

Czego jednak Jimmy Galen najbardziej nie znosi w autobusach? Że



każdy może go w nich zobaczyć. Każdy. A jeżdżenie transportem miejskim jest nawet gorsze niż chodzenie na piechotę, zwłaszcza gdy widzą cię znajomi. Czekasz na przystanku, a oni przejeżdżają obok ciebie w autach, pokazując ci środkowy palec, krzycząc i śmiejąc się — bo ich rodzice kupili im auta, a ty jesteś pieprzonym frajerem czekającym na autobus, żeby dojechać do pracy w centrum handlowym. Sprzedajesz tam akcesoria sportowe wymuskanym dzieciakom albo starszym panom, którzy nie mają nic lepszego do roboty niż wydawać pieniądze.

— Gdybyś zapisał się do college’u, mogłabym pozwolić ci dojeżdżać moim samochodem na zajęcia — powiedziała matka tej jesieni, kiedy wszyscy wrócili do szkół, a ulice zrobiły się puste.

— Skończyłem szkołę.

— Dwa lata temu — sarknęła matka. — Jeśli chcesz dostać dobrą pracę, musisz chodzić do college’u.

— Ty nie chodziłaś.

— Wtedy sprawy wyglądały inaczej — odparła. — Czasy się zmieniły.

— Pomyślę o tym.

Ale nie pomyślał, bo nie był zainteresowany nauką w college’u. To było miejsce dla mądrych dzieciaków, a Jimmy nie jest tak bystry. Tak przynajmniej mówił jego ojciec i nauczyciele w szkole średniej. Dokładnie rzecz biorąc, nauczyciele mówili, że nie wykorzystuje w pełni swego potencjału, co w normalnym języku oznacza, że jest pieprzonym głupkiem, jak to mawiał jego ojciec. I choć matka powtarzała, żeby w to nie wierzył, bo nikt go nie rozumie, Jimmy sądzi, że wszyscy ci ludzie mieli rację. Przez cały rok w szkole średniej zastanawiał się, czy nie jest opóźniony w rozwoju, ale potem doszedł do wniosku, że jest po prostu głupi. Nie na tyle, by mieć

korzyści z braku komórek mózgowych, ale głupi. Po co więc marnować pieniądze na college?

Zdecydował, że zostanie w sklepie i będzie rozwijał się zawodowo. To nie była zła robota, lubił też większość pracowników. Byli dla niego mili, nie czuł się przy nich jak nieudacznik. Nie potrzebuje tych dupków ze szkoły, którzy szukają sobie worków treningowych. Będzie mieć nowych znajomych i utoruje sobie drogę do stanowisk kierowniczych. Kupi mieszkanie i będzie mieć dziewczynę. Myśli o tym wszystkim, czekając na przystanku autobusowym, kuląc się w kącie wiaty, chowając dłonie w rękawach kurtki, a twarz w kołnierzu. Jego oddech sprawia, że na materiale kurtki powstaje wilgotna plama. Jest jedyną osobą stojącą pod wiatą, bo wszyscy inni ludzie są na tyle mądrzy, że nie wychodzą na zewnątrz w taki dzień jak dziś albo siedzą w samochodach. Jest tak zajęty tymi myślami oraz wściekły na matkę — wydającą każdego miesiąca setki dolarów na wino w kartonach, ale nie myślącą o wzięciu pożyczki, żeby kupić synowi samochód — że ledwo zauważa człowieka, który siada koło niego na ławce, choć obok są trzy inne metalowe siedziska — i wszystkie puste. Jimmy nie zauważa niczego, dopóki w jego bok nie wbija się coś ostrego, co przebija kurtkę, T-shirt i dotyka jego skóry.

— Masz, kurwa, jakiś problem? — mówi Jimmy, starając się odskoczyć, ale facet trzyma jedną rękę na jego karku, a drugą przyciska nóż do jego boku. Rok temu jeden ze znajomych Jimmy'ego został przypadkowo ugodzony nożem w biodro. Mówił wszystkim, że nie od razu poczuł ból, że nie czuł nic, dopóki nie popatrzył w dół i nie zobaczył rękojeści noża wystającej z jego nogi. Ale Jimmy wie teraz, że to wszystko była bzdura, bo ból pojawia się natychmiast, nawet jeśli nóż tkwi bardzo płytko, niecałe trzy centymetry, a może nawet mniej.

— Nie mam żadnego problemu — syczy napastnik. — Najmniejszego problemu.

— Nie mam pieniędzy, człowieku — mówi Jimmy. Oblewa go pot. Krople potu spływają mu po plecach aż do tyłka. — Dam ci mój portfel, ale nic w nim nie ma.

— Nie chcę twoich pieniędzy. — Uchwyt staje się silniejszy, gdy Jimmy usiłuje odwrócić głowę, więc teraz widzi tylko padający śnieg. Oddech faceta czuć papierosami, a jego samego wodą kolońską albo balsamem po goleniu — Jimmy nie jest pewien czym.

— To czego chcesz?

— Zobaczysz.

Jimmy czuje, że jest bliski posikania się. Nigdy jeszcze nie był tak przerażony, a jego pęcherz za chwilę może zawieść. Przeciekną mu slipy, mocz poleci po nogach wprost do butów. Może potem, myśli Jimmy, będzie się z tego śmiał. Myślał, że jego skarpetki będą mokre od śniegu i nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak bardzo może być gorzej. Teraz trochę śniegu w butach wydaje się wręcz luksusową sytuacją.

— Oto co mam, bo chciałem złapać pieprzony autobus — mówi Jimmy.

— Zamknij się. — Facet zmusza go, by wstał i wyciąga spod wiaty na mróz. W pobliżu nie ma nikogo, więc Jimmy nie może nawet wołać o pomoc. Nie mijają ich żadne auto. Jest tak, jakby wszyscy nie żyli i istnieją tylko oni dwaj na całej planecie, idący po zamarznętej ziemi pod szarosinym niebem. To sprawia, że Jimmy myśli o telewizyjnym show, które tak lubi jego matka, w którym niemal wszystkie postacie to zmarli, a jęczący zombie snują się po ulicach. To show oparte na pomysle pokazywania umarłaków wydaje się całkiem fajne, ale tym razem jest zupełnie inaczej, fatalnie, i to się

Jimmy'emu nie podoba.

— Dokąd idziemy? — pyta, ale jest już późno. Facet popycha go mocno i kopie w tył, pod kolanem, toteż Jimmy pada, zgięty, wprost na otwarty bagażnik zaparkowanego przy krawężniku samochodu. To skuteczny, a zarazem prosty trick, tak jakby napastnik zaplanował go już wcześniej i wyćwiczył tak, że teraz wychodzi mu on perfekcyjnie. Jimmy próbuje usiąść, podnieść się i uciekać, ale nie może, bo leży na jakimś śliskim materiale, a kiedy bierze go do ręki, okazuje się, że to jedwab. Jedwab w jasnych kolorach, z pomponami przyszytymi na przodzie czegoś w rodzaju kostiumu kłowna. Nie zastanawia się jednak nad tym długo, bo musi uciekać jak najdalej od tego samochodu. Słyszał kiedyś, że nie wolno pozwolić, by psychopata zabrał cię w jakieś odosobnione miejsce, gdzie się z tobą rozprawi. I choć takie rady daje się zazwyczaj dziewczynom, teraz dotyczą one także Jimmy'ego.

— Hej, człowieku — zaczyna Jimmy i...

Jimmy chciałby umrzeć. Pewnie nastąpi to wcześniej czy później. Nie wie, gdzie jest ani ile czasu minęło. Jest zmęczony, głodny i obolały. I jest mu zimno. Nie wie, kiedy go rozebrano, ale nie ma na sobie ani jednej sztuki ubrania, nawet skarpetek. Musi być w jakiejś suterenie albo w ogóle pod ziemią, bo podłoga jest cementowa, a on słyszy kroki faceta, ilekroć ten schodzi lub wchodzi po schodach w sąsiednim pomieszczeniu. Jego stopy uderzają o gołe drewniane deski.

— Nie jestem gejem, chcę, żebyś to wiedział — mówi facet, kucając obok niego. Jego ręce zwisają pomiędzy udami, tak jakby prowadzili normalną towarzyską pogawędkę. Jimmy kiwa głową, bo jest mu wszystko jedno. Nie dba o to, czy facet jest gejem, czy nie, chce do domu. Chce spać we własnym łóżku i jeść klopsy z purée z ziemniaków, które robi jego matka.

I nigdy już nie poprosi o samochód, przenigdy, byleby tylko mógł wrócić do domu. — To nie chodzi o ciebie.

— Nie wiem — charczy Jimmy. Jest spragniony, a gardło ma spuchnięte od krzyku. Wie, że mówi bez sensu, ale to i tak nie ma znaczenia, bo facet z namysłem kiwa głową, jak gdyby Jimmy powiedział mu to, co chciał usłyszeć. Ten facet lubi mówić i opowiedział Jimmy'emu o swoim życiu i pracy, ale przede wszystkim o kobiecie.

— Robię to dla niej — mówi. W ręku ma jakieś narzędzia, ale Jimmy nie wie jakie. Wie natomiast, że są ostre i że służą do zadawania bólu. Zaciska powieki, starając się nie patrzeć, ale facet uderza go w twarz, bo nienawidzi być ignorowanym. — Ona tego potrzebuje, a ja zrobiłbym dla niej wszystko.

— Proszę, nie wytrzymam więcej — prosi Jimmy, ale ten facet nie jest typem, na którego działałoby błaganie czy odwoływanie się do zdrowego rozsądku i oczywiście Jimmy znowu cierpi. Wydaje się, że przez godziny, choć może to tylko minuty, ponieważ ból zniekształca czas, jest niczym lustro powiększające na wesołym miasteczku — rozciąga się i zagina, tak że nie ma początku ani końca. Nim Jimmy traci przytomność po raz ostatni, w rogu pokoju widzi paletę malarską i stos płócien. Przypomina mu to ojca, który miał zwyczaj leżeć na kanapie przez telewizorem i oglądać na DVD film o facecie, który zajmował się malarstwem. Zmarł dawno temu, ale ojciec lubił go tak bardzo, że zamówił całą tę serię na DVD. Facet miał afro i mówił cichym głosem, a ojciec niemal zawsze zasypiał przed telewizorem, twierdząc, że ten głos i pociągnięcia pędzla na płótnie działały nań kojąco. Co takiego mówił ten facet we fryzurze afro? Jimmy usiłuje sobie przypomnieć. Nie ma siły, by otworzyć oczy, ale musi wiedzieć. Pamięta, jak ojciec spał, opierając stopy w skarpetkach na poręczu kanapy, a matka starała się być cicho, tak żeby ojciec mógł sobie uciąć drzemkę. Jimmy zaś siadywał

na podłodze, podjadał krakersy i patrzył, jak facet maluje, kreśląc zarysy drzew i cieni. To był dobry czas, może najlepszy w jego życiu. „My nie popełniamy błędów — Jimmy pamięta, że to właśnie mówił facet z telewizji, i uśmiecha się. Jego usta są pełne krwi, ale on wciąż się uśmiecha na myśl, że to pamięta, choć słowa zdają się do niego dobiegać z bardzo daleka. — Zdarzają się tylko małe nieszkodliwe wypadki”.

# HOSKINS

10 grudnia 2015

Hoskins w ciemnej łazience szuka włącznika światła. Nie znajduje go od razu i przez chwilę wędruje myślami do czasów dzieciństwa, gdy najbardziej bał się ciemności. Zawsze był pewien, że coś wychynie z cienia i go pochwyci. Ale teraz jest dorosłym facetem, glina, na miłość boską, i ostatnią rzeczą, jakiej powinien się obawiać, jest ciemność. Wciąż jednak czuje lekką panikę, przesuwając palcami po ścianie. Pojawiło się też nowe uczucie — dotyk strachu, odczuwalny w dolnej części kręgosłupa. W dodatku jest pewien, że ktoś jest z nim w łazience, bo gliny są zawsze celem; w ubiegłym tygodniu znaleziono policjanta zamordowanego w jego własnym garażu. Strzelono mu w głowę i...

Palce natrafiają na włącznik.

Hoskins rozgląda się, by się upewnić, że nikogo z nim nie ma, potem patrzy w lustro. Przesuwa palcami po podbródku, po obrzękniętej skórze pod oczami. W ustach czuje znajome mrowienie, dokładnie tam, gdzie policzek styka się z zębami. Kiedy jest zestresowany, ma afty, nie jedną, lecz wiele. Małe ranki sprawiają, że prawie nie może mówić, nie czując bólu. Lata temu był z tym problemem u lekarza i ledwo mógł uchylić wargi.

„— Nie jestem magikiem — stwierdził lekarz. — Będzie pan to musiał przeczekać. Proszę wypłukać usta wodą z solą.

— Ale...

— Nie mam magicznych tabletek, które mógłbym panu przepisać.

— Nie potrzebuję magii. Potrzebuję pomocy”.

Hoskins przebudził się, bo śniła mu się Carrie Simms i dwie inne zamordowane dziewczyny. Ich twarze były spuchnięte i czarne, a potem te trzy kobiety go goniły, choć Hoskins nie wiedział dlaczego. Potknął się i upadł, lecz był to powolny upadek, jak gdyby zastygł w czasie. Obudził się z kocem w zębach, co miało go chronić przed krzykiem.

Odkręca kurek w umywalce; potem czeka, aż woda zrobi się ciepła. Chwyta palcami brzeg umywalki tak mocno, że palce robią się białe, tak jakby odpłynęła z nich krew. Stoi tak przez dłuższy czas, nie ruszając się i wpatrując w odbicie pomieszczenia w lustrze, jak gdyby coś się tam na niego czało. Otrząsa się dopiero wtedy, gdy woda zaczyna parzyć. Wsuwa rękę pod jej strumień i szybko je cofa.

„— Dlaczego zabiłeś wszystkich tych ludzi? — pytał Seevera więcej razy, niż mógłby to zliczyć. Było to stale powracające pytanie. Seever za każdym razem udzielał innej odpowiedzi; kłamał, krzyczał, a czasem wcale nie odpowiadał, ale nawet i w milczeniu jest niekiedy prawda.

— Nie wiem — powiedział kiedyś Seever i była to najlepsza odpowiedź, jaką usłyszał Hoskins. — Zacząłem, a potem nie potrafiłem przestać”.

Hoskins rozumiał. Tak właśnie jest w życiu — zaczynasz się uzależniać od czegoś lub od kogoś i nie umiesz powiedzieć temu stop, nawet jeśli bardzo chcesz.

Kiedy woda na powrót jest chłodniejsza, Hoskins ochlapuje policzki, masuje delikatne miejsca pod oczami, a potem przyciska do twarzy papierowy ręcznik, umiejscowiony na drążku. Papier czuć pleśnią. Przez ostatnie dni był tak zajęty, że nie miał czasu na nic i w domu panuje



kompletny chaos. Powinien zrobić pranie, nastawić zmywarę. Płaci opiekunce Joe dostatecznie dużo, by chciała zrobić cokolwiek, ale tak się oczywiście nie dzieje. Sprzątanie nie wchodzi w zakres jej obowiązków. Ludzie nie lubią robić więcej niż niezbędne minimum, to już Hoskins wie. Co nie znaczy, że mu się to podoba.

Hoskins wraca do sypialni i podnosi leżącą na nocnej szafce komórkę. Telefon świeci, nie wydając dźwięku, co oznacza, że kiedy Hoskins spał, przyszły do niego jakieś wiadomości. Dwie wiadomości. Pierwsza jest od Teda. Krótka do bólu. Dotyczy spraw, które przeglądali.

„Nie ma ofr bez plc przez ost 5 lat, sorry”.

— Cholera — mówi Hopkins, kasując wiadomość. Miał nadzieję, że trafił na trop, że będzie jakieś powiązanie między starymi sprawami i tą nową, a jest tylko martwa ściana.

Druga wiadomość jest bardziej interesująca. Nadesłała ją Sammie; to może znaczyć wszystko i nic. Dzwoniła do niego parę razy przez ostatnie dni, zostawiając wiadomości, a on od razu je kasował. Nie ma zamiaru pomagać jej w pisaniu kolejnego artykułu, tak jak zeszłym razem.

„Muszę z tobą pogadać. To ważne”.

Hoskins siedzi na brzegu łóżka z telefonem w jednej ręce, wciąż ocierając twarz ręcznikiem, wdychając piżmowy, znajomy zapach i rozważając to, co napisała Sammie. Potem słyszy krzyk; brzmi on jak krzyk kobiety, ale po chwili Hoskins zdaje sobie sprawę, że to wrzeszczy jego ojciec. Coś się dzieje z Joe.

Hoskins chwytając leżący na nocnej szafce pistolet i biegnie na dół, do hallu. Postawny mężczyzna w majtkach od piżamy i białym, gładkim podkoszulku. Biegnie tam, skąd dochodzi krzyk ojca. „Muszę zacząć

uprawiać sport, myśli Hoskins, bo inaczej dostanę zawału serca”.

Hoskins jest pewien, że Joe został ranny, że ktoś się do nich włamał, chcąc ukraść telewizor albo pieniądze, a tymczasem znalazł starego mężczyznę śpiącego w łóżku. Jest o tym tak przekonany, że zabiera mu chwilę, nim zdaje sobie sprawę, że Joe jest w pokoju sam. Siedzi skulony w kącie i z przerażaniem pokazuje na coś, czego nie ma, krzycząc jak kobieta.

— On tutaj jest — drze się Joe. To jedyne słowa, które Hoskins jest w stanie wyłowić z bełkotu i nawet wtedy, gdy ujmuje Joe za barki i mocno nim potrząsa, nic to nie daje. Stary człowiek wciąż krzyczy, przewracając oczami, a w kącikach ust zgromadziła mu się ślina.

Hoskins nie wie, co robić. Doktor wspominał coś o halucynacjach, ale nie mówił nic o takich zachowaniach, o krzyku, który się nie kończy, i o tym, że ojciec nie będzie nikogo rozpoznawać. Joe trzyma ręce zaciśnięte, piszczy i pokazuje na coś, czego nie ma, więc Hoskins uderza go mocno w twarz, w nadziei, że cios wyrwie Joe z tego stanu. Kiedy pięści trafiają w cel, krzyk ustaje tak nagle, jak gdyby ktoś uciął go nożem.

— Teraz będziesz cicho — mamroce Hoskins i nagle zdaje sobie sprawę, że to nie jego słowa, a Seevera. Joe opada na poduszki. Z jego ust i ucha sączy się krew, a Hoskins zdaje sobie sprawę, że postąpił źle, dokonał złego wyboru, ale teraz jest już za późno. Miał już takie momenty, kiedy chciał cofnąć swoje życie o dziesięć sekund. Wtedy mógłby postąpić właściwie, inaczej.

Jego ojciec leży na poduszkach, może nie żyje, lecz potem nieoczekiwanie otwiera oczy, jak gdyby nic się nie stało, i patrzy wprost na Hoskinsa.

— Kim jesteś? — pyta Joe i znowu zaczyna krzyczeć. Tym razem jednak

Hoskins go nie bije, wychodzi z pokoju, staje za drzwiami i stara się uspokoić bicie serca.

Potem, w szpitalu, lekarz mówi mu, że takie zachowanie jest typowe dla ludzi, którzy cierpią na to, co jego ojciec. I że może być gorzej.

— Demencja jest poważna — oświadcza lekarz. — Następnym razem, gdy będzie miał kolejny atak, może zrobić sobie krzywdę. Albo komuś.

— Rozumiem.

— Panie Hoskins, myślę, że nie będzie pan w stanie samodzielnie opiekować się ojcem. Dom opieki byłby najlepszym rozwiązaniem. Mam broszury, które powinien pan wziąć do domu i przejrzeć. Chętnie odpowiem na wszystkie pana pytania.

Doktor wciska mu do ręki parę broszur. Na lśniąącym papierze widnieją wizerunki uśmiechniętych, siwowłosych ludzi. „Nie może pan zajmować się tym starym człowiekiem — zdaje się słyszeć Hoskins. — Spieprzył to pan koncertowo”.

— Dziękuję.

— Pacjent będzie musiał zostać w szpitalu dziś i jutro w celu obserwacji. Czy wie pan, jak to się stało, że zranił się w głowę?

Hoskins milczy. Wsuwa ręce do kieszeni, tak by lekarz nie widział siniaków na kostkach jego dłoni.

— Nie.

— Okay — lekarz posyła mu półuśmiech i wzrusza ramionami. On wie, myśli Hoskins. Dokładnie wie, co się stało. — To nic wielkiego, po prostu zapytałem.

— Rozumiem.

Idaho Springs znajduje się na północny zachód od Denver. Jest to pierwsza miejscowość, którą widać po wyjeździe z miasta, położona pośród gór. Nie jest duża — parę stacji benzynowych, supermarket, trochę starawych domów. To miłe małe miasteczko, w rodzaju tych, przez które się przejeżdża, mknąc do miejscowości wypoczynkowych. Miasteczko, w którym prawie nikt nie mieszka.

Hoskins zbacza z trasy I-70. Denver za jego plecami to teraz tylko mgiełka na horyzoncie. Wjeżdża na dwupasmówkę, która prowadzi na południe, na teren, gdzie nie ma domów i biur, a flora i fauna są skąpe. Jedzie ostrożnie, obawiając się, że jakiś samochód wyłoni się nagle zza ślepego zakrętu. Na drodze nie ma jednak nikogo, ani z przodu, ani z tyłu. Dziwnie tutaj, myśli Hoskins. Nie bardzo mu się tu podoba. Czuje się bardziej swojsko w otoczeniu betonu i asfaltu, budynków z metalu i cegły. A nie tutaj. Wszystkie te drzewa, stłoczone tak blisko, że ma się wrażenie, iż tworzą ścianę z kory i liści tak gęstą, że nie widać przez nią niemal nic. Powoli jedzie serpentyną i zjeżdża na pobocze, gdzie stoją dwa policyjne patrole. Niskie i eleganckie auta mają z przodu metalowe oznakowania. Lokalni gliniarze i ich sprzęt wyglądają jak spod igły, ale to nic zaskakującego. Na wschodzie Denver mieszkają obdarte, głodujące dzieciaki, ale tutaj są pieniądze. Sto pięćdziesiąt lat temu na tym terenie panowała gorączka złota, potem wydobywano srebro, a teraz jest narciarstwo i turystyka. Inne metody zarobkowania, ale rezultat ten sam.

Hoskins parkuje za patrolami i wyłącza silnik. Jest tutaj chłodniej niż w mieście, choć na ziemi leży mniej śniegu, który ukrył się jakoś pomiędzy sosnami i iglakami. Na przedniej szybie wozu siada szara ćma. Widać jej pająkowate odnóża. Hoskins puka w szybę dłonią, ale owad się nie rusza. Nie drgną nawet jego skrzydła. Hoskins pochyla się, chcąc zobaczyć jej podbrzusze, gdy nagle następuje metaliczne plaśnięcie w szybę okna.

Hoskins aż podskakuje, zaskoczony. Ćma odlatuje.

— Proszę opuścić szybę — krzyczy jeden z tutejszych oficerów, a Hoskins jest ubawiony, bo policjant wykonuje ręką ruch imitujący obracanie.

Zamiast tego otwiera drzwi i wychodzi z auta. Po opuszczeniu szpitala zadzwoniono do niego. Planował co prawda pojechać do domu i położyć się do łóżka, ale musiał przyjechać tutaj. Znalaziono kolejną ofiarę, prawdopodobnie zabitą przez Zabójcę z Drugiej Ręki.

— Detektyw Hoskins?

— Tak.

— Loren już tu jest. Chciał, żebym na pana poczekał i zaprowadził na miejsce.

— Od dawna już tu jest? — chce wiedzieć Hoskins.

— Od jakichś dziesięciu minut.

— Okay.

— Mamy jego dowód osobisty — mówi policjant. — James Galen. Jimmy, jak go nazywano. Jego matka powiedziała, że pojechał do pracy. Nigdy tam nie dotarł.

— Znał Seevera?

Policjant wzrusza ramionami.

— W porządku — wdycha Hoskins i zasuwa zamek od kurtki. — Rozejrzyjmy się, zobaczmy, co tutaj mamy.

Dzieciak został znaleziony w Idaho Springs przez parę, która wybrała się na spacer, choć patrząc na nich, Hoskins dochodzi do wniosku, że bardziej prawdopodobne jest, iż zaparkowali i poszli poszukać cichego miejsca z dala

od utartego szlaku, żeby uprawiać seks. Nie ma tutaj zbyt wiele śniegu, zwłaszcza pod osłoną drzew, a podłoże jest wilgotne, miękkie i gąbczaste. W takim właśnie miejscu para znalazła Jimmy'ego Galena. Rzucono go na ziemię zasłaną mokrymi sosnowymi igłami. Leży z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami, tak że wygląda jak rozgwiezda.

I otóż jest i Loren, ubrany w garnitur w stylu Seevera, z okularami na nosie. Stoi nad ciałem z rękami opartymi na biodrach. To poza Seevera i Hoskins zastanawia się, jak długo Loren ją ćwiczył, stojąc przed lustrem w łazience.

— Zostawiłeś kostium kłowna w domu? — pyta Hoskins, a Loren śmieje się tubalnie, podciąga spodnie na udach i klęka przy ciele ofiary.

— Jego matka powiedziała, że nie było go przez parę dni, ale tak bywało i wcześniej. Zniknął. Dlatego nie zawiadamiła policji. Mówiła, że spierali się o auto. Chłopak miał na tym punkcie kręćka — informuje Loren. — Zniknął parę dni wcześniej, ale zginął mniej niż dwadzieścia cztery godziny temu.

— Namierzyliście Cole'a? — pyta z ciekawością. I nadzieją, że dojdzie wkrótce do aresztowania, choć nie wierzy, by to Alan Cole był gościem, którego poszukują.

— Grupa operacyjna nad tym pracuje — oświadcza Loren. — Wsadzą go do paki lada dzień.

— A do tego czasu będziemy patrzyli, jak przybywa kolejnych ofiar?

Loren pokazuje mu środkowy palec.

Komórka Hoskinsa wibruje mu w kieszeni na piersi. Wyciąga ją i patrzy na ekran, podczas gdy Loren wciąż gada, opowiada mu o ofierze, Jimmym Galenie, który parę razy kosił trawniki dla Seevera. W gazecie ukazał się wywiad z matką Galena, która odpowiedziała na parę pytań dotyczących

Seevera, oświadcza Loren. Wywiad z nią przeprowadzała Sammie.

— Co powiedziałaś? — mówi wolno Hoskins, podnosząc wzrok znad telefonu. Słyszał, że Loren wypowiedział imię Sammie i to jest zabawne, bo sms, który dostał Hoskins, jest właśnie od niej. Przeczytał go już trzy razy, starając się uchwycić sens wiadomości.

— Powiedziałem, że wywiad z matką chłopaka przeprowadzała twoja dziewczyna.

— Dostałem sms od Sammie — mówi Hoskins, marszcząc brwi.

— Wypowiedz imię diabła, a ona się pojawi — mruczy Loren. — Jeśli chcesz mi pomóc, dlaczego nie odłożysz swojej cholernej komórki na bok?

„Zadzwoń do mnie”, brzmi wiadomość od Sammie. „Muszę z tobą pomówić o Lorenie”.

Hoskins widzi, jak wargi Lorena się poruszają, ale nie może jakoś pojąć, co ten mówi. Zamiast tego uszy Hoskinsa wypełnia wysoki, przeszywający dźwięk, przypominający wycie wiatru w tunelu, a potem zdaje sobie sprawę, że ten dźwięk spowodowany jest napływem krwi. Coraz szybciej i szybciej uderza mu ona do głowy, po czym wraca do serca w zawrotnym tempie.

„On wciąż ubiera się jak Seever”, napisała Sammie. Dwie minuty temu, może mniej, w zależności od tego, ile czasu zabiera przekazanie słów do satelity w kosmosie, a potem pojawienie się ich na ekranie jego komórki. „Widziałam go zeszłego wieczoru. Śledził mnie”.

— Jesteś tutaj, Paulie? — mówi Loren, podchodząc bliżej, aż jest na tyle blisko, że Hoskins widzi jego zmierzwiłe brwi i wyczuwa w oddechu zapach boczku. Jeśli jest coś, czego Loren nienawidzi, to bycie ignorowanym, a teraz właśnie został olany. — Ogłuchłeś, Paulie? Powiedziałem ci, żebyś odłożył swój pieprzony telefon.

„Mam się bać?”, napisała Sammie i to było to, co zaniepokoiło Hoskinsa. Zastanawia się, jak długo Sammie rozważała napisanie tego ostatniego zdania, bo nie była typem człowieka bojaźliwego. Kiedyś powiedziała Hoskinsowi, że była średnim dzieckiem, urodzonym pomiędzy jedną a drugą siostrą, i uchodziła za chłopczycę — tę, która nigdy nie płacze i nie boi się ciemności. Ale teraz Loren ją śledził, ubrany jak Seever, a kolejni ludzie ginęli. Byli w jakiś sposób związani z Seeverem, a kto był bardziej z nim powiązany niż Sammie? Za czasów studenckich była kelnerką w jego restauracji, pisała o nim artykuły do prasy. Było ich tyle, że wystarczyłoby na książkę. A kiedyś była jego kochanką. Grupa operacyjna przydzielona do tej sprawy była bardzo zajęta, starając się dotrzeć do każdej osoby, którą znał Seever, nim zrobi to Zabójca z Drugiej Ręki, ale nikt do tej pory nie pomyślał, że trzeba ostrzec Sammie, że to ona może być kolejną osobą, której grozi niebezpieczeństwo.

Loren śledził Sammie.

Loren, który powiedział za nim dobre słowo i uchronił Hoskinsa przed wyrzuceniem z pracy. Loren, który nazywa kobiety sukami, jednocześnie otwierając przed nimi drzwi, i który dokonał większej liczby aresztowań niż jakikolwiek inny glina pracujący w wydziale. Loren, który ubiera się jak Jacky Seever, wkłada kostium kłowna i robi sobie makijaż, po czym idzie do szpitala i harcuje z dziećmi; który poluje na podejrzanych, stając się nimi. Hoskins zawsze się zastanawiał, co się stanie, jeśli te przebieranki pójdą za daleko. Pomędzy szaleństwem a normalnością jest cienka granica, zaś Loren nieustannie na niej balansował. Loren, który jako jedyny poza Seeverem zwracał się do Hoskinsa per „Paulie”.

— Zostawiłeś mi ten obraz — mówi powoli Hoskins. — Ten obraz, który namalował Seever.



— Tak? — mówi Loren skonfundowany. — Seever wysłał mi go lata temu. Myślałem, że cię to rozbawi. On namalował ich mnóstwo...

Loren milknie i rozgląda się, jak gdyby zgubił myśl. Hoskins chwyta go za ramię i mocno je ściska.

— Śledziłeś Sammie — mówi Hoskins, ale Loren nie słucha. Tym razem on wpatruje się gdzieś w dal, zatopiony we własnych myślach, choć Hoskins mocno nim potrząsa. — Dlaczego to robiłeś? O co tu chodzi?

— On maluje — mówi Loren cicho. — Seever cały czas maluje.

— Co? Tak, to już wiemy, proszę pana.

Telefon Lorena dzwoni, a on wyciąga go z kieszeni, patrzy na ekran i marszczy brwi.

— Muszę iść — oświadcza Loren, odpychając Hoskinsa, ale ten nie pozwala mu odejść. — Jest coś, co muszę sprawdzić.

— Co masz na myśli? — dopytuje Hoskins, zaciskając rękę na jego ramieniu tak mocno, jak tylko może, ale Loren najwyraźniej tego nie zauważa.

— Odczep się — mówi, strząsając jego rękę z barku. — Chciałeś wrócić do wydziału zabójstw, to masz.

— Dokąd idziesz? — woła Hoskins. Wszyscy wokół gapią się na nich, odwracają głowy w ich kierunku, a oczy im błyszczą; wyglądają przez to jak ciekawskie zwierzątka wychylające się ze swoich norek, aby sprawdzić, co to za zamieszanie. — Dokąd, do diabła, idziesz?

Ale Loren nie odpowiada, jest już w połowie polany. Ręce kołyszą mu się po bokach i to jest wreszcie jego sposób poruszania się, a nie naśladownictwo Seevera. Loren jest na tyle rozproszony, że zapomina wyjaśnić swą szaradę

— coś, co powiedział o obrazach i Sammie...

— Powinniśmy pójść za nim? — pyta inny detektyw, przysuwając się do Hoskinsa. Facet wygląda na gotowego do walki, chcącego kopnąć Lorena w tyłek, ale to niczemu nie posłuży. Nie, Hoskins chce wiedzieć, czym Loren się zajmuje, a tego nie wyjaśni zawracanie Lorena z drogi. Hoskins patrzy na ciało Jimmy'ego Galena, jego szklane, przerażone oczy zwrócone ku niebu, i wzdycha.

— Idź za nim — mówi. — Chcę wiedzieć, dokąd on idzie. I co robi.

# SAMMIE

Desperacja to nic przyjemnego. Jest jak jutowy worek pełen emocji — nikt nie wygląda dobrze, próbując coś takiego włożyć. Sammie nie może sobie przypomnieć żadnego momentu w swoim życiu, w którym byłaby tak zdesperowana jak teraz. Może to dobrze, że przeżyła większą część swego dotychczasowego życia wolna od takiego uczucia.

— Nie wiem — mówi Corbin. Sammie nastawiła głośnik w telefonie i położyła go na stole przed sobą. Nie może wytrzymać nawet sekundy, gdy Corbin mówi wprost do jej ucha, zwłaszcza że wydaje się, iż ma zamiar odrzucić artykuł, który wysłała mu e-mailem. — To znaczy wywiad jest bardzo dobry. Ale nie ma w nim nic o Zabójcy z Drugiej Ręki.

— Seever twierdzi, że nie wie, kim on jest.

— Tak, pojmuję. Seever to gruba ryba, ale powraca na strony gazet tylko w związku z Zabójcą z Drugiej Ręki. Cokolwiek piszesz — musi być o nich obu. To musi być aktualne.

— Ale gdyby wyszła książka o Seeverze...

— Tak, wiem, że ten materiał byłby świetny do książki o nim. Ale w tej chwili potrzebuję kawałka o Zabójcy z Drugiej Ręki. A dopiero potem o Seeverze. Gdybyś poszła i pogadała z Seeverem siedem lat temu, na pewno bym ten wywiad wydrukował. Na pierwszej stronie, u góry. Ale w tym wywiadzie — mam na myśli to, że nie ma w nim nic, czego byśmy już nie wiedzieli. To interesujący kawałek. Ale nic nowego.

Sammie wstaje i uderza pięścią o kuchenną szafkę. Doprowadza ją do

wściekłości to, że stoi w miejscu, walcząc o swój artykuł i szansę rozpoczęcia kariery na nowo. Może zawsze będzie tak jak teraz — ciągle wiosłowanie pod prąd, walka, by pozostać na powierzchni. Nie jest pewna, czy jej się to podoba.

— Sammie? Jesteś tam? — pyta zaniepokojony Corbin. — Co to było?

— Nic — mówi Sammie, siadając ponownie i przytulając obolałą pięść do piersi. — Jeśli to nie pasuje, to o czym mam pisać?

— Nie wiem. To ty piszesz, nie ja. Ale ja tego nie mogę wydrukować. Zwłaszcza że Weber zdobył naprawdę ciekawe informacje...

— Co jest w nich takiego ciekawego? — pyta Sammie. Każdego dnia ukazują się artykuły Webera na temat Zabójcy z Drugiej Ręki, na temat Seevera. Są dobre, sprawnie napisane, choć Sammie z niechęcią to przyznaje. — Czy dowiedział się, kim jest Zabójca z Drugiej Ręki?

— Nie, ale jeśli dowiesz się tego ty, nigdy nie wydrukuję już niczego, co napisze Weber — mówi Corbin, śmiejąc się. — Nie powiem ci, nad czym teraz pracuje.

— Och, daj spokój. O co mnie podejrzewasz? Że mam zamiar ukraść jego historię?

— To by mnie wcale nie zdziwiło.

— Dobrze — mówi Sammie. Czuje się jednak trochę dotknięta. — Nie mów.

— Okay — odpowiada Corbin, bardziej zadowolony z siebie, niżby Sammie tego chciała. — Nie powiem.

Sammie odwiesza słuchawkę i kładzie głowę na złożonych rękach. Oczy ma jednak wciąż otwarte. Wpatruje się w słoje drewna, z którego zrobiony

jest stół. Za kilka godzin powinna być w pracy. Swój wolny czas stara się wykorzystać na pisanie, ale nie bardzo jej to wychodzi. Im bardziej czegoś pragniesz, tym trudniej to przychodzi, a ona chce napisać dobry artykuł tak bardzo, że to aż boli.

— Jesteś absolutnie bezpieczna — powiedział Hoskins, dzwoniąc do niej zaraz po tym, jak zakończyła rozmowę z Corbinem. — Paru moich ludzi ma oko na Lorena i będę wiedział, jeśli znajdzie się w pobliżu ciebie.

— Jesteś z nim?

— Nie — Hoskins przeciągnął to słowo.

— Czy uważasz, że Loren jest Zabójcą z Drugiej Ręki? — zapytała Sammie, ale Hoskins milczał przez tak długi czas, że myślała, iż się rozłączył, choć wciąż słyszała dźwięki dobiegające z oddali. Wycie wiatru, odgłosy zajmujących się pracą ludzi, którzy mówili coś przyciszonymi, poważnymi głosami, chrzęszczenie opon po żwirze i trzaskanie samochodowych drzwi. Takie odgłosy rozpoznawała.

— Nie, nie jest — odparł wreszcie Hoskins. — Loren jest szalony, ale nie jest zabójcą.

— Jesteś tego pewien?

— Nie jest Zabójcą z Drugiej Ręki, Sammie. Ktoś sprawdził go po twoich sms-ach. Upewniliśmy się, czy ma alibi na czas, gdy mordowano ofiary. I ma. — Hoskins wydawał się dziwnie usatysfakcjonowany. — Tak jak powiedziałem, Loren jest stuknięty. Ale nikogo nie zabił.

— Jesteś na miejscu zbrodni? — zapytała, a Hoskins na chwilę umilkł, wytrącony z rytmu nagłą zmianą tematyki pytań.

— Tak, wygląda na to, że jest kolejna ofiara Zabójcy z Drugiej Ręki.

— Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? — zapytała. — Próbuję napisać artykuł do prasy, mogliby mi go wydrukować...

— Facet, z którym pracujesz, już tu jest — odparł Hoskins, a Sammie ze znużeniem zamknęła oczy. — Wiesz, ten, z którym pisałaś ostatni artykuł.

— Nie pracuję z nim — odrzekła. — Muszę iść.

Oparła głowę na rękach, czując, że łzy stają jej w oczach. Chris Weber, którego imię i nazwisko dołączano do jej nazwiska w stopkach, był już na miejscu zbrodni; zdołał się wślizgnąć, gdy ona nie słyszała jeszcze nawet słowa o całej sprawie. Może to znak, że w ogóle jest wyeliminowana. Nie ma czasu, żeby dzwonić na policję co parę godzin. Nie tak jak kiedyś, gdy miała cały dzień, by ścigać policjantów i znajdować źródła informacji. Teraz nie ma takiego komfortu. Ale to wymówka — i to nędzna, bo gdyby chciała znaleźć materiał do artykułu bardziej, niż pragnie tego Weber, zrobiłaby wszystko, by go zebrać, niezależnie od tego, czy ma pracę, czy nie.

A może powinna podejść do sprawy kreatywnie. Zrobiła tak już kiedyś, co zaprowadziło ją do domu Seevera i trafiła jej się sprawa dziesięciolecia. To wszystko, czego teraz potrzebuje. Musiała zdobywać materiały inaczej, niż zrobiłaby to większość ludzi, ale koniec końców osiągnęła to, co chciała. Może podchodzi do sprawy od złej strony. Może powinna starać się nie zdawać relacji z tego, co się stało, a zamiast tego przeprowadzić małe dochodzenie. Corbin powiedział, że nigdy nie wydrukuje już niczego autorstwa Webera, jeśli ona odkryje, kim jest Zabójca z Drugiej Ręki, i Sammie wie, że żartował — ale co by było, gdyby faktycznie odkryła, kto jest sprawcą?

Pociera paznokciami o blat stołu, czemu towarzyszy irytujący zgrzytliwy dźwięk, ale jest tak głęboko zamyślona, że nawet tego nie słyszy. Nie dogoni już Webera, więc lepiej będzie pozwolić mu kręcić się wokół miejsca zbrodni

i wyciskać informacje z policjantów. Niech się wypala, zataczając niekończące się koła. Ona doścignie tę sprawę, ściśnie ją niczym cytrynę, aż ta wrzaśnie, i Sammie dowie się, kim jest Zabójca z Drugiej Ręki.

Albert Q. Thomas, głosi napis nad wejściem do galerii. Sammie sięgnęła do Internetu; weszła na stronę galerii i przejrzała listę artystów, którzy wystawiali w niej swoje prace.

W połowie tej listy znajduje się Jacky Seever.

— W czym mogę pomóc? — pyta mężczyzna stojący za kontuarem. Jest wysoki i wygląda poważnie, ma gęstą brodę, przez co trudno powiedzieć, ile może mieć lat. Taka broda sprawia, że mężczyźni wyglądają jak jacyś zwariowani drwale. Ten nie jest wyjątkiem. — Niedługo zamykamy, bo robi się późno.

— Och, nie zajmę dużo czasu — mówi Sammie, posyłając mu uśmiech tak szeroki, że aż bolą ją policzki. — Widziałam w Internecie, że sprzedaje pan prace Jacky’ego Seevera.

Zapada dłuższe milczenie. Sammie zastanawia się, czy nie powiedziała czegoś niewłaściwego, ale nie może tego stwierdzić na pewno, bo mężczyzna ma twarz pokerzysty albo wręcz kogoś martwego. Sammie nie ma pojęcia, o czym on teraz myśli.

— Jest pani z policji?

— Co? Nie. Dlaczego pan pyta?

Mężczyzna patrzy na nią zmrużonymi oczami.

— Wcześniej miałem wizytę policjanta, który pytał mnie o to samo — mówi. — Zadawał mi różne pytania na temat Seevera.

Loren, myśli Sammie. Hoskins był zajęty na miejscu zbrodni.

— Czy sprzedaje pan obrazy Seevera?

— Kiedyś sprzedawałem — mówi wolno jej rozmówca. Pociera ucho. — Ostatnio jednak nie. Kiedyś jego prace cieszyły się dużym zainteresowaniem, rozchodziły się jak świeże bułeczki, ale po jakimś czasie to ustało. W ostatnich tygodniach miałem parę telefonów z pytaniami o jego obrazy. Żona Seevera przyniosła w ubiegłym tygodniu parę malowideł i nawet się sprzedały, choć jego dobre prace szły za dużo większe sumy.

— Dobre prace? — pyta Sammie, naprawdę zaskoczona. — To znaczy?

— Och, kiedy Seever zaczynał, malował sceny przemocy. Seksualnej. Portrety swoich ofiar. To była patologia, ale sprzedawało się to szybko, i to za duże pieniądze. Ale potem zaczął malować krajobrazy i talerze z owocami, więc ludzie przestali je kupować.

— Nie interesowali się owocami? — zapytała Sammie żartobliwie.

— Ludzie kupowaliby rolki papieru toaletowego, gdyby wiedzieli, że Seever wycierał nim tyłek. Zwłaszcza że doszło do nowych morderstw.

— Tak?

— Tak — mówi beznamiętnie mężczyzna, rzucając okiem na widoczny za oknem parking samochodowy. — Tak to się kręci. Wystarczyło kilka zabitych kobiet i ludzie znów dzwonią z pytaniami o obrazy Seevera. Powinienem był zacząć zabijać dawno temu.

Sammie mruga. Przechyla głowę na bok, patrząc na mężczyznę.

— Nie żebym kogokolwiek zabił — odzywa się sprzedawca, zauważając jej spojrzenie. Jego szyja robi się czerwona. — To byłoby szaleństwo.

Sammie postukuje paznokciami o blat kontuaru i rozgląda się, rozważając, dlaczego zaniepokoił ją ten facet. Jego słowa mogą nic nie



oznaczać, mógł po prostu głośno myśleć, ale nigdy nie można być niczego pewnym. Kasa to dobry powód, by kogoś zabić. Powinna wspomnieć o tym człowieku Hoskinsowi. Niech policja ma na niego oko. Galeria jest mała, obskurna, a prace na wystawie pokrywa kurz. To interes, któremu niewątpliwie przydałoby się parę dobrych transakcji.

— Czy na pewno nie jest pani z policji? — pyta sprzedawca, szarpiąc swoją brodę. Wygląda na zdenerwowanego.

Sammie przechyliła głowę, rozważając odpowiedź.

— Nie jestem z policji, pracuję w prasie — mówi. — Piszę artykuł o Jackym Seeverze i o Zabójcy z Drugiej Ręki. Gdyby mógł pan w jakiś sposób mi pomóc — cóż, byłabym wdzięczna.

Sprzedawca patrzy na jej rękę, jak gdyby Sammie była jakimś dziwnym owadem, którego nigdy wcześniej nie spotkał. Sammie zastanawia się, czy rozmowa przybrała właściwy kierunek.

— Jak mógłbym pani pomóc?

— Jak panu na imię?

— Simon.

— To nie pan jest Albertem?

— To był mój ojciec.

— Okay, Simon. Wspomniałeś, że otrzymujesz telefony w sprawie obrazów Seevera?

— Tak. Ostatnio było ich parę, odkąd doszło do tych nowych morderstw. — Simon postukał kłykciami w kontuar. — Od dłuższego czasu to jeden człowiek. Ten sam mężczyzna kontaktuje się ze mną co tydzień. Dzwoni i pyta, czy mam coś nowego namalowanego przez Seevera. Nie odpuszcza,

dzwoni co tydzień. Za każdym razem, gdy mam jakiś obraz Seevera, kupuje go drogą telefoniczną, a ja wysyłam mu obrazy.

— Jeden facet?

— Tak. Cały czas ten sam. Musi mieć prawdziwego kręćka na punkcie Seevera.

— Od jak dawna dzwoni?

— Nie tak długo. Myślę, że od jakichś dwóch miesięcy.

— Masz adres, pod który wysyłasz przesyłki?

— Nie. Zawsze jest inny, więc nie zwracałem sobie głowy zapisywaniem go.

— Wiesz, jak ten człowiek się nazywa?

— Nie pamiętam i nie dam rady sobie przypomnieć. Gdyby mój komputer był na chodzie, powiedziałbym ci, ale zepsuł się parę dni temu, a ja nie mam pieniędzy na naprawę.

— Powiedziałeś o tym gliniarzom? — pyta Sammie. — O tym gościu, który dzwoni?

— Nie — mówi Simon, przygryzając wargi. — Nikt nie pytał o to, a ja nie sądziłem, że to może być ważne. Poza tym nie bardzo przypadł mi do gustu. Od razu, jak tylko wszedł, był niegrzeczny, domagał się informacji. Nie wchodziłem w ten interes, by być niewolnikiem policji. Albo dobre maniere, albo „do widzenia, proszę pana”.

Sammie śmieje się, usłyszawszy te słowa, a w oczach Simona coś się zapala.

— Fajnie się śmiejesz — mówi.

— Dziękuję — Sammie wyciąga rękę i dotyka dłoni Simona. Czuje się głupio, usiłując z nim flirtować, ale zrobi to, co będzie konieczne. — Jesteś pewien, że nie wiesz, jak skontaktować się z facetem, który kupuje obrazy Seevera?

Simon wzdycha.

— Nie, ale jestem pewien, że zadzwoni na dniach i jeśli chcesz, zapiszę jego numer i dam ci go.

— Zrobiłbyś to? — pyta Sammie.

— O tak — uśmiecha się słodko Simon. — Na zasadach uczciwej wymiany.

To było do przewidzenia, myśli Sammie. Czekwała na to.

— Czego ode mnie oczekujesz? — pyta. — Wspólny obiad czy coś takiego?

Simon parska i śmieje się tak, aż mu się broda trzęsie.

— Nie jestem pewien, czy mojemu chłopakowi podobałby się ten pomysł — mówi. — A gdybyś tak napisała coś o mnie w gazecie?

— Myślisz o reklamie?

— Nie. Coś w rodzaju artykułu o walczącym o przetrwanie lokalnym biznesie. Potrzebuję klientów. — Simon znowu się śmieje. — Chciałbym, żeby taki artykuł ukazał się na pierwszej stronie.

— Nie decyduję o tego typu sprawach — mówi Sammie, postukując palcami o kontuar. — Nie mogę czegoś takiego obiecać.

— Wydaje się, że jesteś osobą, która umie perswadować. To znaczy wydaje mi się, że mogłabyś to zrobić, jeśli zależy ci na kontakcie z tym

facetem.

Sammie przygryza wewnętrzną stronę policzka. Jeśli dzięki temu kontaktowi miałyby dobry materiał do artykułu, mogłaby spróbować załatwić tę sprawę. Poza tym zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że facet nie zadzwoni już więcej do Simona i dzisiejsza wyprawa na nic się nie zda. Ale trzeba rzucić kośćmi i czekać na wynik.

— Mogę spróbować.

— To mi wystarczy — stwierdza Simon i wyjmuje z kieszeni wizytówkę.  
— Proszę. Podaj mi swój numer. Zawiadomię cię, jak tylko będę miał kontakt z tym klientem.

— Jesteś niczym słodkie koło ratunkowe — mówi Sammie, zapisując mu swój numer.

Ta straszliwa dziura, którą czuła w żołądku przez ostatnich kilka dni, znika i Sammie zaczyna myśleć, że może wszystko jeszcze będzie dobrze. Jeśli Simon otrzyma wiadomy telefon i da jej o tym znać, będzie mieć materiał do artykułu i uratuje swój tyłek. Lepiej późno niż wcale.

— To znaczy?

— To znaczy, że jesteś najlepszy — odpowiada Sammie i mruga. — A ja zawsze zostawiam najlepsze na koniec.

# HOSKINS

Idioci, którzy śledzili Lorena, zgubili jego ślad. Hoskins nie jest pewien, jak to się stało — może ze względu na to, że Loren jest nieprzewidywalny, a Denver jest dużym miastem, w którym jest mnóstwo miejsc, gdzie się można skryć, albo może dlatego, że śledzący zbytnio się do tego nie przyłożyli. Hoskins obecnie nie jest przecież nikim ważnym; pracował na dole na tyle długo, że inni detektywi nie czują się zobowiązani słuchać jego poleceń. Widzi to po ich twarzach i po sposobie, w jaki reagują na jego rozkazy. Hoskins jest niczym dowcip, i to w dodatku nieśmieszny.

— Loren jeździ szybko — oświadcza Hoskinsowi jeden z detektywów. Mówi powoli i przeciągle, głosem sugerującym: „niewiele mnie to obchodzi”. — Wyglądało to tak, jakby kierował się na dworzec, ale go tam nie ma.

— Sprawdźcie jego dom — mówi Hoskins. — Na Wynkoop jest bar, do którego lubi chodzić. Dlaczego muszę wam mówić, jak macie wykonywać swoją pieprzoną robotę? — Hoskins rozłącza się, nie czekając na odpowiedź, bo jeśli będzie musiał spędzić choćby jeszcze minutę, słuchając bezużytecznego paplania tych durniów, to trafi go szlag. Wszystko jakoś mu ucieka, tonie w chaosie. Nie chciał się już zajmować Lorenem, tylko został do tego zmuszony. Zadzwoił do Teda, by dzieciak upewnił się, gdzie przebywał Loren w czasie, gdy zaginęły ofiary, i okazało się, że Loren jest czysty. Nie jest Zabójcą z Drugiej Ręki, ale na pewno nie ma całkiem w porządku w głowie. Hoskins zadzwonił do Blacka i podzielił się z nim swoimi uwagami na temat Lorena — ubiera się jak Seever, śledzi Sammie, a

teraz zniknął, ale szef nie był zaniepokojony. Powiedział, że taki jest Loren i że tego należało oczekiwać. Zabójca z Drugiej Ręki wciąż jest na wolności, może więc Hoskins powinien skoncentrować się raczej na nim, a nie na byciu niańką swego partnera? Słowa te wkurzają Hoskinsa do tego stopnia, że ma ochotę powiedzieć szefowi, żeby się pieprzył, bo on zdejmuje swoją odznakę, odkłada pistolet i kończy z tym wszystkim. Za długo tkwił w tym szaleństwie. To nie miał być jego problem, a jednak jest. Loren zniknął, w worku leżą zwłoki dzieciaka, a Sammie jest niezadowolona, bo sprawą zajmuje się inny reporter. Hoskins zaś ma ochotę iść do domu i odespać czas, który poświęcił na umieszczenie Joe w szpitalu. To był bardzo długi dzień, tak długi, że kiedy myśli o krzykach, przerażeniu i płaczu Joe, wydaje mu się, że zdarzyło się to parę tygodni temu, a nie dwanaście godzin wstecz.

Hoskins upewnia się, że Jimmy Galen został zabrany z miejsca, w którym go znaleziono, po czym wsiada do swego auta i odjeżdża. Kieruje się na dworzec, ale w końcu ląduje przy barze z kawą. Nie podjeżdża blisko, tylko parkuje i obserwuje sytuację. Trixie jest przy okienku. Ma na sobie żółte bikini w kropki, jak w piosence, a jej skóra jest opalona i idealnie gładka, choć panuje zima. Hoskins zaopatrywał się w barze przedwczoraj i na ramieniu Trixie zobaczył nowe siniaki, tuż pod ramiączkiem stanika. Wyglądało to tak, jakby ktoś ją mocno uderzył. Zbyt mocno.

— Masz chłopaka? — zapytał Hoskins, a ona nagle się wycofała, zamknęła w sobie. Jej spojrzenie było dokładnie takie samo, jakie mają kobiety, które boją się mężczyzn obecnych w ich życiu, zawsze niespokojne, że trafiły w pułapkę.

— Tak — odparła natychmiast, a Hoskins wiedział, że jeśli będzie naciskał, Trixie powie, że jej chłopak jest opiekuńczy. Ale on znał ten kod, bo nie byłby gliną, gdyby nie stykał się z takimi sytuacjami i nie wiedział, że

istnieją mężczyźni, którzy sądzą, że kobiety należą do nich jak domy czy banan. Hoskins siedzi w samochodzie i oczy zaczynają mu się zamykać ze zmęczenia. Wyobraża sobie, że Trixie idzie do domu, do tego faceta, ale to Hoskins nim jest. Szturcha ją, uderza w twarz i dusi, wkłada sobie jej palce do ust i gryzie je, aż delikatne kości zaczynają pękać.

Skąd mu się do diabła biorą takie myśli?

Wysiada z samochodu i przemierza parking w tę i z powrotem; okrąża Walmart<sup>1</sup>, skłaniając głowę przed wiatrem. Chodzenie jednak nie pomaga tak, jak zawsze; Hoskins jest wciąż na skraju, czuje się, jakby chodził po szkle, więc w końcu wraca do samochodu i przygląda się Trixie, która podaje kawę, wydaje resztę i wsuwa do czytnika karty kredytowe. Hoskins przysypia, głowa opada mu na klatkę piersiową — no ale nic dziwnego, bo jest wyczerpany. Przez całą noc był w szpitalu z ojcem, a rano spędził w towarzystwie Lorena. Napędzała go tylko adrenalina i kawa, a to wystarcza na krótko.

Ale sny — Boże, te sny. Robiono mu laskę, jednak — choć to nic niezwykłego, większość jego snów jest o seksie, tak było odkąd skończył trzynaście lat — coś tu nie jest w porządku. A kiedy Hoskins patrzy w dół, widzi, że jego fiutem zajmuje się Seever, który ma w ustach cygaro. Pali je w dziwny, charakterystyczny sposób — mocno je przygryza, tak że Hoskins widzi, iż na filtrze pozostają wgłębienia.

— Co ty, kurwa, robisz? — pyta Hoskins, ale nie odpycha Seevera. Jest mu zbyt dobrze, by chciał, aby to się skończyło, niezależnie od tego, kto robi mu laskę.

— A wygląda, że co robisz, cymbale? — warczy Seever, szczerząc zęby w uśmiechu i nie wypuszczając cygara z ust. Poprawia okulary. — Czasem zastanawiam się, dlaczego jesteś tak powolny.

— Boże — mówi Hoskins i jest już bliski orgazmu, tak bardzo bliski. Seever działa dwiema rękami, naprawdę przykłada się do roboty, a potem nagle przestaje i fiut Hoskinsa stoi sztywno, twardy niczym skała. To zabawne, jak powiewa na wietrze oburzony.

— Jesteś jak ja — mówi Seever, odpychając ręce Hoskinsa, który chce dokończyć sprawę. — Jeśli raz zaczniesz, ciężko ci się zatrzymać.

— Czego chcesz? — pyta Hoskins, prawie krzycząc. Jeden dotyk, oto czego potrzebuje, i dojdzie, wytryśnie niczym jakiś pieprzony gejzer. — Nie jestem taki jak ty.

A potem się budzi.

Pierwszą rzeczą, jaką widzi, jest Trixie, która wychodzi z baru i idzie w kierunku starego samochodu zaparkowanego na poboczu. Nie widzi go, i Bogu dzięki, bo gdyby podeszła do okna i przyjrzała się uważniej, zobaczyłaby faceta z podkrążonymi oczami o wyglądzie chorego człowieka, faceta, który jest na skraju spuszczenia się we własne majtki. Pewnie uciekłaby, krzycząc. Ale Trixie go nie zauważa, siada za kierownicą i uruchamia silnik. Słysząc, że nie działa on w pełni sprawnie, Hoskins mógłby się założyć, że nigdy dobrze się nie rozgrzewa i w najbliższej przyszłości po prostu zgaśnie. Ale na co innego stać Trixie, zważywszy, ile zarabia? Hoskins chciałby jej jakoś pomóc.

„Pomóc jej? — odzywa się gdzieś w głębi jego mózgu głos Seevera. — Tak, stawiam, że chcesz jej pomóc. Pomóż jej schylić się i wypiąć tyłek”.

— Zamknij się, zamknij się! — krzyczy Hoskins, waląc ręką w kierownicę i nie zauważając przestraszonych spojrzeń, które rzucają mu ludzie. — Zostaw mnie, kurwa, w spokoju.

Powinien wrócić do domu, ale nie może przestać myśleć o Seeverze. Ale



to nie był Seever, mówi sobie Hoskins, to był Loren. A może nie? Wszystko to miesza się Hoskinsowi w głowie, zawodzi go nawet pamięć. To był Loren ubrany jak Seever, śledzący Sammie, ale to znowu nie wydaje się słuszne, bo to Seever pieprzył Sammie, to jego głosu Hoskins nie mógł się pozbyć z głowy. Zawsze Seever, ten skurczybyk jeździł mu na plecach przez ostatnich siedem lat, szepcząc mroczne sekrety, nawet jeśli Hoskins nie chciał słuchać.

— Nie jestem złym facetem — mówi Hoskins, nawet nie zdając sobie sprawy, że wypowiada te słowa ani do kogo je mówi. Myśli o kobiecie, która zabiła swoją córkę i jak dobrze było słyszeć jej krzyk, i o Joe, który zamilkł natychmiast po tym, jak Hoskins go uderzył. To zła rzecz ranić ludzi, Hoskins wie to już od przedszkola, ale teraz wszystko wygląda inaczej. Nie jest jednoznaczne. — Pokażę wam. Nie jestem złym facetem.

Włącza światła, skręca w ulicę. Mocno ściska kierownicę, paznokcie wbijają się w skórzane obicie. Samochód Trixie jedzie z przodu.

Trixie mieszka w domu, który w dużych miastach nazywany jest czynszowym, ale tutaj, w centrum Denver w USA, skąd widać góry i zasrany park nieopodal, nazywa się to „apartamentami dla ludzi mających ambicje”, jakby ludzie spodziewali się, że kiedykolwiek przyjdą lepsze dni. Budynek ma sześć pięter, a jedyne wejście prowadzi przez korytarze wijące się przez cały budynek, w których czuć zapach stóp, moczu i curry. Hoskins patrzy, jak Trixie wysiada z samochodu i wchodzi do środka. Jest tuż za nią, blisko, choć nie depta jej po piętach. Jeśli zgubi ją w labiryncie drzwi, nie będzie już szansy jej znaleźć. Na szczęście to proste. Trixie mieszka na pierwszym piętrze. Hoskins widzi otwarte drzwi z numerem 15 A. Trixie ich nie zamknęła — nie widać, aby zasunęła zasuwkę. Coś każe Hoskinsowi zaczekać, nie wpadać od razu, idzie więc korytarzem z rękami w kieszeniach, jakby tutaj mieszkał. Widzi kilkoro ludzi, ale nikt na niego nie patrzy ani nie

zadaje mu pytań — to jedna z dobrych stron miejsc takich jak te. Może jedyna dobra rzecz tutaj.

Po piętnastu minutach Hoskins wraca pod drzwi mieszkania Trixie i naciska klamkę. Ustępują łatwo, a on wchodzi do środka. Jest w mieszkaniu dopiero parę minut i panuje tu cisza — z jednym wyjątkiem. Słysząc kobiecy krzyk. Hoskins wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi. Na jego rękach jest krew — niedużo, ale jednak — i to nie jest jego krew.

# SAMMIE

Dwie godziny pracy na jej zmianie i gdyby ktoś wręczył Sammie nóż, prawdopodobnie by kogoś zasztyletowała. Albo siebie. Sammie pamięta czasy, gdy uważała, że robienie świątecznych zakupów jest przyjemnością, a chodzenie w tłoku i wyszukiwanie prezentów to rodzaj gry, ale teraz Sammie jest po drugiej stronie barykady. Ciemna, paskudna strona świata sprzedaży detalicznej. Napisałaby o tym artykuł, gdyby to kogokolwiek interesowało, ale wszyscy chcą tylko przemocy i śmierci. Jacky'ego Seevera i Zabójcy z Drugiej Ręki. A Sammie czuje, że tkwi w zastoju. Spędziła godzinę w towarzystwie Seevera, zadając mu pytania, jakie tylko przyszły jej do głowy, ale Corbin nie tego chce. Weber pracuje w terenie, węsząc na miejscu zbrodni, a potem montuje z tego dobry materiał. Tymczasem ona tkwi w sklepie, czekając na telefon od Simona z galerii, który być może nigdy nie zadzwoni. Sammie nie potrafi już myśleć o tym, co ma jeszcze zrobić i do kogo się zwrócić.

— Jakiś facet chce się z tobą widzieć — mówi jedna z dziewczyn, a Sammie lawiruje między klientami, starając się nie nawiązywać kontaktu wzrokowego, tak by nikt jej nie zatrzymywał i nie zadawał pytań. Dociera do sklepowego wejścia i rozgląda się, myśląc, że to może Loren na nią czeka. Loren w stroju Seevera. Najpierw nie zauważa więc Hoskinsa, jakby wcale go tu nie było. A potem jej wzrok spoczywa na jego postaci i Sammie wreszcie go dostrzega.

— Co tu robisz? — pyta. — Co się stało z twoją twarzą?

Na policzku Hoskinsa widnieje siniak, jego powieki wyglądają na

spuchnięte i czerwone, jakby płakał, choć Sammie nie umie sobie tego wyobrazić. Hoskins zbliża się ku niej powoli, jak gdyby szedł przez wodę, a ona chwyta go za ramię. Rękaw jego płaszcza jest zimny, pokryty na wpół stopniałymi płatkami śniegu.

— Czy on tu jest? — pyta Hoskins, a Sammie musi się pochylić, by usłyszeć jego słowa. Hoskins rozgląda się, jego spojrzenie błądzi po kątach, jak gdyby czegoś szukał.

— Kto? — pyta zaniepokojona, bo Hoskins wygląda tak, jakby się ukrywał, jakby ktoś go gonił, a on przestraszony uciekał.

— Seever — szepcze Hoskins. — Powiedziałaś, że cię śledzi. Czy on jest tutaj?

— Czy ty piłeś? Powinieneś coś zjeść. Mamy jakieś ciastka na zapleczu. — Sammie próbuje się odwrócić, ale Hoskins chwyta ją za łokieć tak mocno, że Sammie zaskoczona z trudem łapie dech.

— Przepraszam, że nie zadzwoniłem do ciebie, kiedy pojawiła się nowa ofiara — mówi Hoskins drżącym głosem. — Powinienem był to zrobić. Kocham cię, powinienem był zadzwonić.

— Już dobrze — mówi Sammie, starając się wycofać, ale wokół jest tylu ludzi, że nie ma dokąd. Nie da się podkulić ogona i uciec.

— Wszystko, co chciałem zrobić, to po prostu pomóc — mówi Hoskins. Chwyta ją za ramiona, a jego palce zagłębiają się zachłannie w jej skórze. Próbuje przyciągnąć Sammie bliżej, co przypomina jej sposób, w jaki dotykał ją, gdy byli razem w łóżku. Czuje, że jej dłonie robią się gorące i wilgotne. — To wszystko, co zawsze próbuję robić.

Hoskins nie jest pijany. Jest wyczerpany, chwieje się na nogach.

— Pomóc w czym? — pyta Sammie, starając się wywinąć z jego uścisku.  
— To, co mówisz, nie ma sensu.

— Tak — odpowiada Hoskins. Wciąż usiłuje ją przytulać, chce dotknąć jej twarzy, ale Sammie się uchyla. Hoskins ma poranione, krwawiące kłykcie.

— O mój Boże. Co ty, do cholery, sobie zrobiłeś?

— Chodź tutaj. — Hoskins wyciąga ramiona, a Sammie, nie bardzo myśląc, co robi, obejmuje go. Czuje jego znajomy zapach. Jest na tyle niewysoka, że jej głowa znajduje się na wysokości jego mostka i Sammie słyszy bicie jego serca. — Niech cię przytulę.

— Hoskins? — słyhać czyjś męski głos i Sammie odwraca się. Widzi umundurowanego policjanta w czapce na głowie, a za jego plecami drugiego. Obaj są młodzi, wyglądają tak, jakby dopiero niedawno zaczęli się golić, ale dziś wszyscy wyglądają młodo w oczach Sammie. Obaj są lekko skonfundowani. — Detektyw Hoskins?

— Tak? — Hoskins przesuwą ręką po twarzy. — Hej, Craig. Mark.

— Słuchaj, robię to z niechęcią — mówi jeden z policjantów.

— Tak. Tak, wiem — odpowiada Hoskins z zakłopotaniem.

— Co się dzieje? — pyta Sammie.

— Mam nakaz aresztowania — zwraca się do Hoskinsa policjant. Patrzy w dół, na krew na rękach Hoskinsa. Wydaje się, że ze smutkiem. — Nie chcę tego robić w stosunku do jednego z nas, ale nie mamy wyboru.

— Co zrobiłeś? — pyta Sammie, wysuwając się z objęć Hoskinsa.

Ten ignoruje jej pytanie i wyciąga rękę.

— Nie potrzebujemy kajdanek — mówi młody policjant, krzywiąc się. —

Nie wygląda na to, byś miał zamiar uciec.

— Zróbcie to — oświadcza Hoskins. Ruchem głowy pokazuje na tłum gromadzący się wokół nich. Ludzie wyciągają komórki i nagrywają całe zdarzenie. — Dajcie tym ludziom trochę ekscytacji.

— Co zrobiłeś? — pyta ponownie Sammie, chwytając Hoskinsa za ramię. Widzi, jak wokół jego nadgarstków zamykają się kajdanki. Potem w jej głowie pojawia się straszna myśl. — Nie jesteś Zabójcą z Drugiej Ręki, prawda?

Hoskins wybucha śmiechem.

— Czyż nie byłaby to niesamowita historia? Już widzę ten nagłówek — detektyw ujęty po tym, jak unieszkodliwiono Seevera. Powinnaś już zabierać się za napisanie artykułu.

Kiedy policja znika, a tłum zaczyna się rozpraszać, Sammie zastanawia się, dlaczego Hoskins przyszedł do niej. Zakłada ręce na piersi, jak gdyby było jej zimno albo coś ją bolało, a potem widzi stojącego nieopodal Deana, który się w nią wpatruje. Widział, że była świadkiem aresztowania Hoskinsa. Podejście do męża zabiera jej króciutką chwilę, ale w tym czasie Sammie myśli, jak długo on tutaj stoi, co widział i co wyczytał z jej twarzy. Z jakiegoś powodu czuje się winna, choć nie wie dlaczego. Znalazła się w ramionach Hoskinsa i choć nie był to uścisk dwojga kochanków, mógł na taki wyglądać. Prawdopodobnie tak wyglądał.

— Co tutaj robisz? — pyta. — Nigdy nie odwiedzasz mnie w pracy.

Dean trzyma w ręku bukiet kwiatów. Czerwonych róż. Triumf miłości, myśli Sammie. Ale ze sposobu, w jaki na nią patrzy, nie można wyczytać miłości. Dean wygląda na zniesmaczonego, jak gdyby powąchał coś, co nieładnie pachnie.

— Chciałem ci zrobić niespodziankę — mówi ponuro. — Dostałem awans. I podwyżkę.

— Nie wspominałeś o tym wcześniej.

— Chciałem, żebyś miała niespodziankę — powtarza Dean.

— Nie wiedziałam.

— Wielu rzeczy nie wiesz — mówi gorzko Dean. — Nie wiesz o połowie rzeczy, które robię, żeby cię uszczęśliwić.

Wpycha bukiet w jej ręce.

— Zobaczymy się w domu — mówi.

Nie całuje jej na pożegnanie.

Sammie obawia się wrócić do domu. Nie boi się Deana, bo wie, że on jej nie skrzywdzi, ale nie wie, co on powie. Przez ostatnich siedem lat przysięgała, że nie jest w kontakcie z Hoskinsem i przez większą część tego czasu faktycznie tak było. A teraz wyszła na kłamcę. Mogłaby powiedzieć Deanowi prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, ale tym bardziej wyszłaby na kłamcę, bo coś przed nim ukryła. Nigdy nie powiedziała mu, że pojechała w ślad za Hoskinsem do domu Simms, że zjedli razem posiłek, a gdyby Dean sam tego nie zobaczył, nie powiedziała mu również o tym, że Hoskins przyszedł do jej pracy. Zatrzymywanie informacji dla siebie nie jest kłamstwem. A może jest — a ona znowu serwuje kolejną nieprawdę?

Dlatego nie wraca do domu. Po pracy siada za stolikiem w części restauracyjnej centrum handlowego i powoli sączy letnią kawę. W centrum wciąż jest pełno klientów, a w powietrzu czuć zapach frytek i pizzy. Ktoś mógłby pomyśleć, że nie można czuć się samotnym, gdy wokół jest tylu ludzi, ale nie miałby racji. Można być samotnym wszędzie.

— Coś nie tak? — mówi Ethan, odsuwając stojące obok Sammie krzesło. Nie unosi go, więc nogi krzesła szurają po podłodze. Koszmarny dźwięk sprawia, że Sammie zaciska zęby. Zdaje sobie sprawę, że czuje się tak samo jak wtedy, gdy jest chora albo kiedy nie śpi dostatecznie długo. Tak jakby świat był zrobiony z nadmuchiwanego szkła, a ona chciała przebić ręką jego ostatni ocalały kawałek.

„Trzymaj się, kurwa, z daleka ode mnie — ma ochotę powiedzieć. — Wracaj do robienia kanapek i wycierania stołów i zostaw mnie, do cholery, w spokoju”. Ale zamiast tego Sammie otwiera usta i opowiada Ethanowi o wszystkim. Musi mówić, musi to z siebie wyrzucić, wszystko jedno, kto będzie słuchaczem, byleby tylko zechciał usiąść i posłuchać, kiwać głową w określonych miejscach opowieści i wyglądać na współczującego. Ethan jest młody i prawdopodobnie nie zrozumie wszystkiego, ale Sammie i tak mówi mu o Corbinie, który nie chciał wydrukować jej artykułu, o Weberze, który jest lepszym reporterem niż ona, o wizycie u Seevera i spotkaniu Glorii, o Deanie, o swej pracy. Mówi cicho i szybko, robiąc przerwy tylko po to, by wziąć oddech między słowami, bo jeśli zamilknie na chwilę, to się rozplacze, załamie pośród tych wszystkich ludzi, a to ostatnia rzecz, której pragnie. Nie chce, by ludzie patrzyli na nią, zastanawiali się nad powodem jej płaczu i kiwali jeden do drugiego głowami, mówiąc: „Popatrz na nią. Nie umie się zebrać do kupy”.

— Detektyw Hoskins, glina, o którym ci mówiłam, został aresztowany wcześniej, na moich oczach — mówi, wolno potrząsając głową. — Jestem pewna, że to nie on jest Zabójcą z Drugiej Ręki, ale może zlekceważyłam jakieś znaki. Myślę, że on mógłby...

— Opowiedz mi o facecie, który pracuje dla gazety — prosi Ethan. — Weber, tak się nazywa?



— Tak. Chris Weber. Boże, nienawidzę go. Gdyby go nie było, wszystko szłoby o wiele bardziej gładko.

— Przykro mi, że przechodzisz ciężkie chwile — mówi Ethan i kładzie rękę na dłoniach Sammie. Stara się być miły i troskliwy, ale jego dłonie są wilgotne i ciepłe, i Sammie wolałaby, żeby jej nie dotykał. Udaje, że swędzi ją nos i odsuwa się, a potem składa ręce na kolanach.

— Dziękuję, że mnie wysłuchałeś — mówi w końcu. Jest późno, a stoły wokół nich już uprzątnięto. Młoda kobieta w fartuchu odsuwa krzesła, tak by mogła pozamiatać. W kilku sąsiednich restauracjach pogaszono już światła i pozasuwano metalowe kraty. — Potrzebowałam wyrzucić to wszystko z siebie. Jestem twoją dłużniczką.

— Wiem, jak mogłabyś to zrobić — mówi Ethan. Sammie odchyła się w tył, przestraszona, spodziewając się, że Ethan zasugeruje coś, na co Sammie nie będzie miała ochoty: wspólny obiad lub seks. — To nic niezwykłego, naprawdę. Piszę trochę i chciałbym, żebyś to przeczytała i oceniła.

— Oczywiście — odpowiada słabo Sammie. Czuje ulgę, ale ma także poczucie winy, bo jakie życie prowadziła, aby natychmiast zakładać, że każdy mężczyzna poprosi w ramach okazania mu wdzięczności o to, by rozłożyła przed nim nogi? Może, myśli Sammie, tak ma każda kobieta, a może tylko ona? Kogo zresztą oszukuje? Pewnie, że ona. — Daj mi swój telefon, wstukam ci mój numer, a ty mi dasz swój. Moglibyśmy się czasem spotkać i mieć dwuosobowe warsztaty pisania.

— Podoba mi się to — mówi Ethan, uśmiechając się tak słodko, że Sammie może sobie wyobrazić, jak wyglądał, gdy był małym dzieckiem. — A potem ja ci będę coś winien.

---

<sup>1</sup> Walmart — amerykańska sieć supermarketów.

# DWIE PIECZENIE NA JEDNYM OGNIU

Gdyby to był film, wiedziałbyś, że zdarzy się coś złego, bo muzyka stawałaby się cichsza i niepokojąca, zaś twoje serce zaczynałoby bić w jej rytm, nawet jeśli podjadałbyś tłusty popcorn, czując koszmarny zapach perfum kobiety siedzącej dwa rzędy dalej. Wiedziałbyś, że sprawy toczą się w złym kierunku, bo kamera pokazuje obraz porannego nieba, które jest błękitne, co stanowi miłą odmianę w zimowej aurze. Kamera zjeżdża w dół, na samochód zaparkowany przy dystrybutorze stacji benzynowej. To ładny SUV, który spala benzynę szybciej, niż to napisano na dealerskiej nalepce, a Chris Weber naciska dźwignię i nalewa benzynę do baku, klnąc, że jej galon kosztuje 3,49 dolara. Ma nadzieję, że to się zmieni na lepsze, zanim przyjdzie gorsze — choć sprawy nigdy nie toczą się takim torem. Jeśli ceny benzyny pójdą w górę, będzie musiał albo sprzedać samochód i kupić rower — nie motorower, ale rower z pedałami — albo zmienić pracę. Chris chce pisać, uwielbia to zajęcie, ale pensja jest kiepska. Jego ojciec wciąż mu radzi, by zdobył licencję pośrednika nieruchomości, bo tam się robi prawdziwe pieniądze. Ojciec zaoferował się nawet, że opłaci mu kurs, ale Weber wciąż się przed tym wzdryga. Nie chce sprzedawać domów, ale historie, a historia o Zabójcy z Drugiej Ręki mogłaby poprowadzić go do większego sukcesu, na przykład do napisania książki — a za tym idą duże pieniądze. Jeśli napisałby książkę, jego ojciec darowałby sobie wykłady o agencji nieruchomości i dałby spokój. Przekonałby się, że pisanie do gazety nie jest cczą zabawą.

Nawet teraz ludzie rozpoznają Chrisa, jak facet, który tankował przed nim. Przyglądał mu się przez chwilę, po czym zagadnął.

— Nie pisuje pan czasem do gazety? — zapytał. — Weber, prawda?

— Tak — odparł zaskoczony. Starał się ukryć zdumienie, bo nigdy wcześniej nikt go nie rozpoznał. — Tak, to ja.

— Super — powiedział facet, po czym zamknął drzwiczki swego samochodu i ruszył w kierunku sklepu spożywczego. Gwiżdżąc, przemierzył parking, kręcąc kółka kluczykami zawieszonymi na palcu w taki sposób, że Weberowi przyszedł na myśl strażnik kołyszący swoją pałką. Weber obserwował go oszołomiony. Tak to jest, gdy ludzie zaczynają cię rozpoznawać, pomyślał. Nie mógł zdecydować, czy podoba mu się to, czy nie. Skończył tankować — zapłaciwszy 75,84 dolara! — i włączył się do ruchu na drodze. Dziś ma wywiad z Glorią Seever. Ciężko się napracował i musiał ją przekonywać, by nie zamknęła mu drzwi przed nosem.

— Gloria Seever? — powiedział Corbin, gdy Weber poinformował go o swoim pomysle. Nie umiał powiedzieć, czy Corbin był pod wrażeniem, czy raczej się zdziwił. — Tak jak ci już mówiłem, artykuły nie mają być tylko o sprawie Seevera.

— Wiem — odparł Weber szybko. — Ale jestem pewien, że ona wie coś na temat Zabójcy z Drugiej Ręki. Myślę, że mógłbym to z niej wycisnąć.

To nie całkiem była prawda, ale Weber uważał, że małe kłamstewko nikomu nie zaszkodzi. Ze sposobu, w jaki działał Zabójca z Drugiej Ręki, Weber wnioskował, że w jakiś sposób musi się kontaktować z Seeverem — ale tak mógł podejrzewać każdy. Gliny milczały na ten temat, zresztą zawsze byli mało pomocni. Sammie zaś pojechała spotkać się z Seeverem w Sterling. Corbin zadzwonił do Webera dzień wcześniej, by mu to powiedzieć, bo taka

rozmowa z Seeverem mogła się okazać dużą sprawą. Takim właśnie typem reportera jest Sammie — ogryzie mięso do kości, sięgnie do tętnicy szyjnej. Do diabła, takim reporterem i on chciałby być. Póki co rywalizują z Sammie, która nadal jest dobra w swoim fachu, choć od ponad roku była poza grą. Sammie zna gliniarzy, ma poparcie, dała radę spotkać się z Seeverem. On natomiast pojechał do Idaho Springs, usłyszawszy o Jimmym Galenie, ale gliniarze zawrócili go na autostradę, a potem do miasta. Gdyby był Sammie Peterson, wykorzystałby swe kontakty i pojawił się na miejscu zbrodni.

Boże, nienawidził jej. Wszystkiego, co jej dotyczyło. Zanim wpadła na pomysł, by z nim rywalizować, bo zajął się tym, o czym pisała wcześniej, miał nadzieję, że mu pomoże, jeśli zabierze ją na lunch i trochę jej się podliże. Ale potem Corbin zadzwonił do niej i wszystko diabli wzięli. Ale tak to było w tym fachu — jeśli nie zrobiłeś kroku do przodu, musiałeś podać tyły.

Nie znosił też Glorii Seever, ale zarazem jej współczuł, bo kiedy poszedł do jej domu, mając nadzieję, że z nią porozmawia, na drzwiach zobaczył dwa napisane sprayem słowa: „wiedziałaś, suko”. Pomyślał, że musi być trudno żyć z poczuciem, że wszyscy uważają cię za winnego i tobą pogardzają. Ale to nie oznaczało, że Gloria Seever musiała zamknąć mu drzwi przed nosem, kiedy zapukał i powiedział, że jest z „Posta”. W efekcie musiał stać na schodach, przytykać nos do szpary między drzwiami a futryną i wrzeszczeć, powodowany desperacją bardziej niż czymkolwiek innym.

— Proszę! — krzyczał. — Potrzebuję tego wywiadu!

Drzwi otworzyły się znowu. Może to frustracja w jego głosie sprawiła, że Gloria jednak zdecydowała się do nich podejść. Nie znosił kobiet kierujących się współczuciem, takich, które zrobiłyby wszystko, jeśli będzie im Ciebie żal.

— Proszę wrócić dziś wieczorem — powiedziała. Miała usta zaciśnięte w linijkę. Weber zdał sobie sprawę, że kobieta ma na sobie szlafrok i kapcie, a na włosach wałki. — Około siódmej. Porozmawiam z panem.

I oto Weber zjawia się w jej domu. Jego bak jest napełniony, a ręce świeżo umyte, tak by nie było czuć zapachu benzyny. Siedzi na kanapie w czyściutkim salonie Glorii Seever. Ta kobieta jest bardzo sztywna. Siedzi ze skromnie skrzyżowanymi kolanami, a na szyi ma ciężki sznur pereł. Na ścianie za jej plecami, nad stolikiem, wisi lustro w srebrnej ramie i dzięki temu Weber widzi samego siebie oraz miejsce na tyle głowy jego rozmówczyni, w którym włosy się rozdzieliły i widać skórę. Przycupnąwszy na kwiecistych poduszkach, wygląda na bladego i przestraszonego. Ma dziwną, nieodpartą chęć chwycić jedną z poduszek, które leżą obok niego, i przytulić ją do okolic żołądka, jak to robił wówczas, gdy był młodszy i nieustannie miewał erekcje. Teraz co prawda nie ma erekcji, ale pobyt w tym domu sprawia, że Weber czuje się tak, jakby już nigdy nie miał jej mieć.

— Ma pan ochotę na coś do picia? — pyta Gloria, a on nie ma szansy udzielić odpowiedzi, bo kobieta zaczyna przynosić napoje z kuchni. Weber pamięta, jak mówiono, że była obecna na procesie Seevera każdego dnia. Nigdy nie płakała, nigdy nie okazywała emocji. Była zimna. Jacky Seever był pieprzonym skurwysynem, a Weber zastanawiał się, jakim typem człowieka była kobieta, którą poślubił.

— Nie wiem nic na temat nowych morderstw — oświadcza Gloria, nim Weber zdążył zadać pierwsze pytanie. Kobieta pochyla się nad stołem, nalewając herbaty do porcelanowych filiżanek, wyjmując ciasteczka z puszki i układa je na talerzyku. — Jeśli przyszedł pan po to, by mnie o tę sprawę zapytać.

— Ja nie...

— I nie wiem nic na temat rzeczy, które zrobił mój mąż.

— Nie?

— Nie. — Gloria odstawia filiżankę dokładnie na środek spodka, czemu nie towarzyszy najdelikatniejszy choćby dźwięk. Gloria Seever jest staranną kobietą.

— W takim razie dlaczego zgodziła się pani spotkać ze mną?

— Powiedział pan, że tego potrzebuje. I ja czegoś potrzebuję. — Gloria bierze z talerzyka ciasteczko — waniliowe z różową polewą — i zbliża je do ust. Wygląda to tak, jakby nie miała ugryźć ciastka, lecz je pocałować. — Chcę, żeby napisał pan o mnie, że jestem niewinna. I że nigdy nie wiedziałam o żadnej rzeczy, której dopuścił się mój mąż.

Weber naciska miejsce pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, tak jak to robiła jego matka. Mawiała, że jest to punkt, który trzeba naciskać, by uwolnić się od bólu głowy, ale on nigdy tego nie kupił. Mimo to wciąż tak robi.

— W porządku — mówi wreszcie, wzdychając, i otwiera swój notatnik. To jest kompletnie bez sensu, bo nikt nie uwierzy, że Gloria Seever nie miała o niczym pojęcia, a Weber w dodatku wątpi, czy kogoś to w ogóle interesuje. Musi jednak wykonać jakiś ruch, ponieważ bywa, że historia zaczyna się dosłownie od niczego. — Zobaczmy, od czego powinniśmy zacząć? Odwiedza pani męża w więzieniu, prawda?

— Tak — odpowiada Gloria, wygładzając spódnice.

— I jak przebiegają te odwiedziny?

— Rozmawiamy, nadrabiamy zaległości.

— O czym rozmawiacie?

Ramiona Glorii unoszą się w lekko drżącym, nerwowym ruchu.

— O niczym specjalnym. Opowiadam mu, co się u mnie zdarzyło. Jacky opowiada mi o innych więźniach i o strażnikach. O tym, co czyta. Co maluje.

— Nie wiedziałem, że pani mąż wciąż maluje.

— O tak. — Gloria podrywa się na nogi. — Jest bardzo twórczy. Parę miesięcy temu ktoś się włamał i skradł większość obrazów, które przywiozłam do domu. Ale pokażę panu, co mi zostało.

— O, to nie jest konieczne — zaczyna Weber, ale ona już poszła do innej części domu, do jednej z sypialni. Słysząc, jak czymś szeleści, szpera w jakichś pudełkach albo papierach. Weber pochyla się, by wziąć ciasteczko i wtedy dotyka czegoś czubkiem buta. Najpierw myśli, że to noga od stołu, ale jest to drewniana rama z rozpiętym wewnątrz niej płótnem. To obraz, który wsunięto pod stół. Weber wyciąga go i podnosi.

— O mój Boże — mówi Weber. Spodziewał się zobaczyć krajobraz, może kilku tańczących kłownów, ale nie to. Malowidło przedstawia nagą kobietę, leżącą na boku z rękami ułożonymi obok głowy. Jej włosy spływają aż do podłogi — włosy syreny, myśli Weber — i możliwe, że kobieta śpi lub jest martwa, bo na obrazie widać krew. Na lewej ręce kobiety brakuje dwóch palców, a z jej dłoni sączy się struga krwi. W końcu Weber kieruje wzrok na twarz kobiety — jest piękna, mimo że ma zamknięte oczy. Wygląda znajomo, jak ktoś, kogo Weber zna...

— To Samantha Peterson — mówi Gloria. Stoi tu Bóg wie jak długo, trzymając pod pachą parę płócien. — Kiedyś ona i mój mąż mieli romans. Możliwe, że Jacky się w niej zakochał.

Weber patrzy na nią zaszokowany, a potem znowu przenosi wzrok na obraz. To rzeczywiście Sammie, teraz to widzi.



— Wie pan, on nigdy nie namalował mnie — mówi Gloria, siadając. Jest smutna i zazdrosna, i trudno ją o to winić. Ta kobieta przez tak długi czas wspierała męża we wszystkim, a on ma obsesję na punkcie innej. — Lubi ją malować. Ten obraz namalował dość dawno temu, a ja trzymałam go w domu. Przez cały ten czas miałam go tutaj.

— Przykro mi — mówi Weber. Wie, że brzmi to głupio, ale nic innego nie przychodzi mu do głowy.

Z głębi gardła Glorii wyrywa się zduszony dźwięk. Zdumiona, na wpół podnosi się z kanapy; wygląda tak, jakby była czymś zszokowana, dostała wylewu, ataku serca czy pękł jej tętniak. Weber nie wie, co się dzieje. Gloria ma szeroko otwarte usta i oczy. Weber zauważa w lustrze jakiś ruch i podnosi wzrok. Najpierw to wszystko wydaje się nie mieć sensu, bo za jego plecami stoi jakiś mężczyzna. To facet ze stacji benzynowej, ten, który go rozpoznał. W obu rękach trzyma kij golfowy, który zatrzymał się nad głową Webera niczym topór. Wygląda to tak śmiesznie i głupio zarazem, że Weber się uśmiecha. Policzki zastygają mu w uśmiechu, jakby zrobione ze sztywnej skóry. Weber widzi, że jego odbicie w lustrze robi to samo. Potem słyszy, że mężczyzna coś mówi — może tak mu się tylko wydaje, bo to jakieś nonsensy o ptaszkach — a po chwili opuszcza kij z taką siłą, że aż napinają mu się ścięgna, a metalowe zakończenie kija trafia w czaszkę Webera i rozbija ją z trzaskiem.

Gdyby to był film, ekran zrobiłby się teraz całkowicie czarny.

# W PORZĄDKU, W PORZĄDKU, W PORZĄDKU

## GLORIA

— Czas się obudzić. — Gloria jęczy, starając się odsunąć, tak by uniknąć uderzeń po twarzy, ale jest przywiązana. Kiedy powoli otwiera oczy, kilkanaście centymetrów od swojej twarzy widzi twarz Jacky’ego. Usiłuje krzyczeć, ale on zasłania jej usta ręką. Jej nos także jest przygnieciony, więc nie może oddychać. Gloria usiłuje się uwolnić, ale nie ma dość sił. On jest zbyt silny. Zawsze był. — Obudź się, słodziutka.

Gloria rozpaczliwie porusza głową, bo potrzebuje powietrza, a w pole jej widzenia zaczyna się wkradać ciemność. A on dotrzymuje obietnic. Kiedy tylko Gloria przestaje się bronić, puszcza ją. Gloria bierze głęboki oddech. Czuje zapach Jacky’ego — męski, podniecający zapach jego potu, ale to nie ma wielkiego znaczenia. Liczy się tylko to, że ona może oddychać.

— Grzeczna dziewczynka — mówi Jacky, przesuwając palcami pomiędzy jej włosami. Gloria leży na kanapie z głową na ramieniu i jedną stopą opartą na drugiej. Wydaje się jej, że ostatnią osobą, która siedziała na tej kanapie, był Chris Weber, miły młody człowiek z gazety, ale co się z nim stało? A potem sobie przypomina — świst kija golfowego i trzask kości. Gloria krzyczała, krzyczała tak, że miała wrażenie, iż pęknie jej klatka

piersiowa, a potem zapadła miłosierna ciemność. Zamyka oczy, starając się przywołać obraz ostatnich chwil Webera, ale Jacky uderza ją lekko w oba policzki. — Nie, nie. Chcę, żebyś na mnie patrzyła.

Gloria podnosi powieki. To nie może być Jacky. W pokoju jest ciemnawo, zasłony są zaciągnięte i to musi być jakiś trick światła albo sztuczka jej umysłu. Patrzy na Jacky'ego, ale to nie on. Jacky jest teraz stary i gruby, lata jego młodości dawno już minęły. Poza tym siedzi w więzieniu, nie można o tym zapominać. Dzielą ich godziny drogi. Jacky siedzi samotnie w celi, za zamkniętymi drzwiami, otoczony betonowymi ścianami. To nie jest Jacky, ale w jakiś sposób to on. Ten człowiek wygląda jak Jacky w młodości, kiedy dopiero co się pobrali, tak jak w pierwszych latach małżeństwa, gdy wszystko było jeszcze takie nieznane i ekscytujące. To Jacky, ale potem Gloria mruga i widzi, że to nie on, tylko chłopak, który ma na sobie znoszone dżinsy i bluzę, a włosy zaczesane na prawą stronę, tak jak to robił Jacky.

— Co ty zrobiłeś? — szepcze, a chłopak się uśmiecha. W jego spojrzeniu czegoś brak, coś jest martwe, a tego u Jacky'ego nigdy nie widziała. Ale potem myśli o tym, co znalazła w garażu. Tamta dziewczyna z zawiązanymi oczami, która wiedziała, że Gloria jest blisko, i prosiła o pomoc. Gloria zaś odwróciła się i wyszła, wróciła do domu, zamknęła drzwi i trzymała usta zamknięte na kłódkę. Gloria nigdy nie widziała Jacky'ego takim, jakim jest ten chłopak, ale tamta dziewczyna — owszem. I co się teraz stanie?

— To będzie nasz mały sekret — mówi Jacky-chłopak i wsuwa rękę pod jej spódnicę. Gloria uderza go w twarz, wbija paznokcie w jego skórę, ale on nie odpuszcza i jest silny. W jakiś sposób jest tak, jak kiedyś, gdy skrzywdził ją Jacky. Jednakże jest też inaczej — gorzej, bo wtedy myślała, że jest bezpieczna i że coś takiego już nigdy się nie zdarzy. Teraz jednak wie.

To nigdy nie będzie koniec.

# SAMMIE

Deana nie było w domu, gdy Sammie wreszcie wróciła. Dom był pusty i zimny, i miał zapach miejsca, w którym przez cały dzień nikogo nie było. Czuć tu kurzem, pomyślała Sammie. Czuć zapach wody stojącej w muszli klozetowej. Kiedy otworzyła drzwi, przechylił się piecyk i Sammie krzyknęła zaskoczona, a potem zaśmiała się sama z siebie, co prawda odrobinę za głośno. Wszystkie odgłosy domu zawsze działały jej na nerwy, nawet jeśli nie była zdenerwowana. Mruczenie lodówki, podmuch wiatru uderzającego w ściany budynku. I jakiś trzask, który przypominał odgłos powstający wtedy, gdy Dean obcinał sobie paznokcie. Sammie spędziła godzinę, włączając się po pokojach i usiłując wykryć, co to za dźwięk.

Próbowała dzwonić na komórkę Deana, ale on nie odpowiadał. Nie wiedziała, do kogo miałaby jeszcze zadzwonić ani co robić. Jeśli nie wiesz, gdzie jest twój mąż, jak postępujesz? Szukasz go? Prawie to zrobiła, poszła do samochodu z kluczykami w ręku, ale potem zawróciła do domu. Denver to duże miasto, a Dean mógł być wszędzie. Sammie nie wie, od czego zacząć. W mieście są setki, tysiące miejsc, w których można się ukryć, i szukanie Deana byłoby tylko stratą czasu. Dean był zły i zraniony, więc może najlepszym wyjściem jest pozwolić mu odreagować, poczekać, aż wróci do domu. Wiedział, gdzie ją znaleźć.

Położyła się więc do łóżka. Pościel była lodowato zimna i Sammie nie mogła się rozgrzać aż do momentu, gdy przewróciła się na brzuch z rękami na wysokości żołądka i twarzą skierowaną ku dużym cyfrom elektronicznego zegara. Tak zasnęła, a kiedy się ocknęła, była pewna, że to już rano, choć

minęło dopiero dziesięć minut. Znowu spróbowała połączyć się z Deanem, ale włączyła się automatyczna sekretarka.

— Cholera — powiedziała Sammie, usłyszawszy sygnał sekretarki. — Wiem, że jesteś zły, ale nie rób tego. Wracaj do domu i pogadamy.

Dwadzieścia minut później nagrała się znowu.

— Spotkałam się z Hoskinsem parę razy, ale tylko ze względu na ten artykuł, który piszę do prasy. Jednak do niczego nie doszło, Dean. Przysięgam. Nic się nie stało.

A potem jeszcze raz.

— Pieprz się.

Nie wstaje, dopóki przez rolety nie zaczyna przeświecać szarawe słońce, choć tak naprawdę nie śpi już od kilku godzin. Nie słyszy odgłosu auta parkującego na podjeździe ani szczęku klucza w drzwiach. Sammie wlecze się do łazienki i siada na zimnej muszli klozetowej. Skłania głowę do kolan. Prawie. Nie jest tak giętka, jak kiedyś.

Potem nastawia ekspres do kawy i siada na kanapie. Świąteczna choinka wciąż leży w pudełku, na wpół wepchniętym pod podręczny stolik. Sammie czubkiem palca u nogi wsuwa je głębiej. Zazwyczaj ustawiają choinkę w Święto Dziękczynienia. Otwierają pudełka z ozdobami, które zgromadzili przez lata, i składają plastikowe gałązki w całość. W tym roku jakoś o tym zapomnieli. Zjedli indyka z nadzieniem i sosem z borówek o galaretowatej konsystencji, tak samo jak co roku, ale zamiast rozkładać choinkę, poszli spać i dopiero parę dni później Sammie stwierdziła, że o czymś zapomnieli. Trudno wprowadzić jakąś tradycję, stworzyć coś, do czego będzie się wracać każdego roku, a tak łatwo jest ją porzucić. Zrezygnować, pozwalając, by zniknęła, jak gdyby nigdy jej nie było.

Sięga po telefon i znów dzwoni do Deana. Nie ma odpowiedzi. Dzwoni do galerii, ale tam też odzywa się sekretarka. Telefonuje do stanowego więzienia, na posterunek policji i do Hoskinsa, chcąc zdobyć jakieś nowe informacje, ale albo nikt się nie zgłasza, albo nie chce nic jej powiedzieć. Nie ma nic bardziej frustrującego niż siedzenie w domu, wystukiwanie numerów telefonicznych w oczekiwaniu na pozytywny rezultat i natrafianie na kamienny mur. Nie pozostaje jej nic innego niż siedzieć i czekać; nie może wyjść, bo Dean może wrócić. Jednak powinna wyjść, bo wciąż musi zdobyć jakieś materiały do artykułu dla Corbina, a w ścianach własnego domu raczej nie znajdzie informacji.

Wszystko to ją wkurza — Dean, Corbin, Weber, Hoskins i cała ta sytuacja, a na dodatek choinka wciąż jest w pudełku. Gdyby Dean był w domu, mogliby ją rozłożyć, ale on jest zły za coś, czego w ogóle nie zrobiła.

Rozlegający się dźwięk sygnalizuje, że przyszedł sms. Sammie sięga po komórkę i czyta wiadomość. To od Deana.

„Moja żona to dziwka”, brzmi jej treść. To wszystko, bo Dean wie, że zrani ją tym jednym słowem. Użył go już kiedyś podczas cotygodniowej sesji terapii małżeńskiej. Sammie nie płakała, lecz była smutna. Teraz słowa Deana wprawiają ją we wściekłość, bo nie jest niczemu winna i nie może nawet się wytłumaczyć. Wie, że jeśli spróbuje zadzwonić albo napisać do niego, zostanie zignorowana.

Ekspres piszczy, dając znać, że kawa gotowa, ale Sammie nie zwraca na to uwagi; idzie do sypialni, wbija się w parę dzinsów i buty oraz sweter. Nie myśli o Zabójcy z Drugiej Ręki, Hoskinsie czy Corbinie ani o tym, że za chwilę musi iść do pracy — jest tak zła, że wszystko wylatuje jej z głowy. Nie umie się skoncentrować na niczym poza słowem „dziwka”. Tak myśli o niej mąż, więc być może udowodni mu, że ma rację, tak by zobaczył, że ona

nie dba o to, co on myśli. Pokaże mu.



# HOSKINS

Spędził noc w policyjnej celi, leżąc na pryczy przymocowanej do lodowatej betonowej ściany i śniąc o Sammie. To nic niezwykłego, bo często o niej śni, ale nigdy tak jak teraz. Zazwyczaj Sammie śmieje się albo z nim walczy, albo trzyma w ręku jego fiuta, powoli wsuwając go do ust. Ale tym razem Sammie jest martwa. Leży na podłodze, a jedna strona jej czaszki jest rozbita, więc jej głowa wygląda jak zniekształcona piłka futbolowa, z której zeszło powietrze. Z głowy wypływa nie tylko krew, ale także jakaś żółta substancja, a kiedy Hoskins widzi, że odcięto jej kilka palców, otwiera usta, by zacząć krzyczeć. Nagle jednak ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu i potrząsa nim, aby go obudzić. To ten sam policjant, który go aresztował, Craig. Jest przejęty i marszczy brwi, które schodzą się nad jego orlim nosem.

— Obudź się — mówi Craig, potrząsając nim mocniej. — Miałeś zły sen. Obudź się.

Hoskins siada, ale kręci mu się w głowie.

— Co się dzieje?

— Możesz wyjść — oświadcza Craig. — Wpłacono za ciebie kaucję. Proszę, przyniosłem ci trochę wody. Wyglądasz jak zbity pies.

— Gdzie byłeś? — w chwili gdy winda zjeżdża do suterenu, Hoskins natychmiast spotyka Teda. — Dzwoniłem chyba ze dwadzieścia razy.

— Dokładnie trzydzieści jeden — mówi Hoskins, idąc do biura i rzucając teczkę wprost na biurko. Ted idzie za nim. — Spędziłem noc w celi.

— Zostałeś aresztowany?

— Nie zatrzymałem się na pobyt w czterogwiazdkowym hotelu.

— Dlaczego tam byłeś?

— Nieważne. Co się tutaj działo?

Ted obserwuje go ze współczującym wyrazem twarzy. Patrzy na jego pogniecione spodnie i ślady krwi na rękach. Wygląda na to, że ma więcej pytań, ale zamiast je zadawać, zaciska usta na znak dezaprobaty.

— Przeszukiwałem sieć, szukając jakichś wzmianek o Seeverze, o tym, że obcinał swoim ofiarom palce.

— I co znalazłeś?

— Nic — mówi Ted. — Przekopałem się przez tysiące linków i wizerunków Seevera, ale nigdzie nie napisano o palcach.

— Cholera — Hoskins ciężko siada na biurku. Mimo że ma za sobą przespaną noc, nie był to komfortowy sen i teraz czuje kości przy każdym ruchu. — Byłem pewien, że coś masz.

— Jest strona, o której słyszałem — mnóstwo zdjęć miejsc zbrodni, porno z torturami. Ludzie sprzedają na tę stronę koszmarnie rzeczy za grube pieniądze. Ale nie mogłem się na niej zalogować.

— Dlaczego nie?

— Żeby być członkiem, musisz zapłacić. Nie mam własnej karty kredytowej, a moja mama przegląda wszystkie rachunki. Gdyby się dowiedziała, że płaciłem za coś takiego, zabiłaby mnie.

Hoskins mruga. Czekają, że Ted powie, iż żartował, ale dzieciak jest śmiertelnie poważny. Ma dwadzieścia lat i obawia się, że matka przyłapie go na robieniu czegoś nieodpowiedniego.

— A tak z ciekawości — wchodzisz na jakieś strony porno?

— Tylko na te darmowe — mówi Ted ostrożnie. — Jesteś zainteresowany tą stroną czy nie?

— Tak, a jaki jest adres?

— To alltheprettyflowers.com.

Hoskins unosi brew.

— I to jest strona, na której możemy znaleźć coś, co doprowadzi nas do Zabójcy z Drugiej Ręki?

— Tak — odpowiada Ted. — Mnóstwo stron ma niewinnie brzmiące adresy. Więc jeśli ktoś wchodzi w twoją historię przeglądarki, nic go nie zaniepokoi.

— Ale na wyciągu z twojego konta pojawi się jako strona porno?

— Tak — Ted uśmiecha się z zakłopotaniem. — Sam się o tym przekonałem. Nie umiem ci nawet opisać, jak moja mama była wściekła.

— W porządku, podaj mi adres tej strony jeszcze raz.

Telefon Hoskinsa dzwoni, a on gestem pokazuje Tedowi, żeby poczekał sekundę.

— Halo? — pyta, marszcząc brwi. — Halo? Kto mówi?

Trwa długa cisza, a potem odzywa się poirytowany Loren.

— To było, kurwa, dziwaczne. Ten skurczybyk nawet nie zadzwonił.

— Loren?

— Tak. Jesteś już wolny, jak sądzę? Z powrotem w robocie?

— Tak. — Hoskins zamyka oczy i pociera powieki tak mocno, że aż

robią się fioletowe. — Gdzie do diabła byłeś?

— Spędziłem cały rano, zbierając pieniądze na kaucję za ciebie — odpowiada Loren ubawiony. — Tak swoją drogą dobra robota. Zawsze lubię, jak skurczybyk dostaje w dupę za bicie kobiety. Jak ona się miewa?

Hoskins wzdycha, pocierając pięściami o podbródek. Zafundował chłopakowi Trixie parę złamanych kości i siniaków, tak żeby dostał nauczkę, ale Trixie nie wydawała się za to wdzięczna. Nalegała, by Hoskins wyszedł, płakała, a łzy i smarki mieszały się na jej twarzy.

— Ma się dobrze — odpowiada Hoskins. — Ale mam poczucie, że nie chciała mojej pomocy.

— To kobieta dla ciebie — raz zimna, a za chwilę znów gorąca. Albo taka, co w ogóle nie chce się pieprzyć. — To żart, co prawda kiepski, ale tak czy inaczej Loren się nie śmieje. Hoskins też nie.

— Dlaczego wczoraj zniknąłeś? — pyta Hoskins. — Opuściłeś miejsce zbrodni i nikt nie wiedział, dokąd poszedłeś.

— Tak, taki już mam styl — oświadcza Loren. — Nie każ chłopakom mnie więcej śledzić, Paulie. To nigdy się nie skończy tak, jak tego chcesz.

— Wystarczy tych głupot! — krzyczy Hoskins, nagle rozzłoszczony. Widzi, jak Ted się cofa. — Zachowujesz się jak szaleniec, Loren. Musisz mi powiedzieć, co się dzieje. Teraz, zaraz.

— Alan Cole nie żyje. Zmarł w zeszłym roku, dostałem oficjalne potwierdzenie. Serce wysiadło.

— Co?

— To nie Cole, Paulie. To Sammie.

— Zostaw ją w spokoju.

— Nie mogę. Odkąd pojawiła się w domu Simms, nie mogę przestać o niej myśleć.

— Przestań.

— Kiedy odwiedzam Seevera, mówi o niej przez cały czas. Nie o swojej żonie ani o jakiejś innej kobiecie. Tylko o Sammie. Wiedziałaś, że Seever maluje jej portrety? Natknąłem się na nie w więzieniu, a paru strażników rozpoznało ją jako osobę sportretowaną. Mówią, że na tych obrazach jest zazwyczaj naga albo martwa.

— Do czego zmierzasz, Loren?

— Wydaje mi się, że jedno takie malowidło wpadło w ręce żony Seevera, ale jej to na chrzan. Teraz, kiedy Seever maluje Sammie, strażnicy wyrzucają takie obrazy do śmieci. Niszczą je.

— Nie miałem o tym pojęcia — mówi Hoskins, wyjmując portfel i podaje go Tedowi, delikatnie popychając go w kierunku komputera.

Alltheprettyflowers.com. Strona, która wyskakuje, jest prosta — rysunkowy nagrobek z napisem „POKÓJ TEJ DUSZY”. Ze skrawka trawy przed nagrobkiem wyrasta samotna stokrotka. To kojarzy mu się z Seeverem w stroju kłowna, który miał stokrotkę wetkniętą w kieszeń stroju.

— Seever ma obsesję na punkcie Sammie i to dało mi do myślenia, bo z kolei Zabójca z Drugiej Ręki ma obsesję na punkcie Seevera. Przynajmniej tak to wygląda.

— A teraz to ty masz obsesję na jej punkcie? — Hoskins przygląda się, jak Ted wpisuje informacje z jego karty kredytowej. Opłata dwieście dolarów na miesiąc plus opłata za rezygnację, jeśli taka nastąpi — Ted przegląda na ekranie warunki umowy, wpisuje nazwę użytkownika i gotowe. Strona jest prosta, nie ma na niej nic specjalnego, nawet reklam pojawiających się po

prawej lub lewej stronie. W okienku wyszukiwania Ted wpisuje dwa słowa: Jacky Seever.

— Uważam, że Sammie jest w tym wszystkim wspólnym mianownikiem — oświadcza Loren, a Hoskins równocześnie słucha jego słów, jak i buczenia komputera, który wyświetla tysiące obrazów, wrzucając na stronę wszystko, co ma związek z Seeverem. Niektóre z obrazów nie mają z nim nic wspólnego, ale większość — owszem. — Pisała o ofiarach do „Posta”, a teraz one nie żyją. Pieprzyła się z Seeverem. Jej kariera ruszyła z miejsca z powodu tego, co on zrobił.

— Sammie nikogo nie zabiła — mówi tępo Hoskins. Jego oczy z przerażeniem błędzą po ekranie komputera. Są tam zdjęcia z korytarza w domu Seevera, Hoskins poznaje to miejsce — do diabła, sam robił niektóre z tych fotografii. Znalazły się potem w plikach policyjnego komputera i sądził, że są bezpieczne. I oto są jako odpowiedź na jego domysły — zdjęcia rąk ofiar, zrobione z bliska i wykadrowane. Widać kikuty po obciętych palcach.

— Nie powiedziałem, że to zrobiła — mówi Loren. — Ale Zabójca z Drugiej Ręki mógł zacząć to wszystko ze względu na nią. Może przejął od Seevera obsesję na jej punkcie i zdecydował się kontynuować. Sammie znowu pisze do prasy, prawda?

— Popatrz na to — szepcze Ted, przesuwając stronę w dół. Wydaje się, że ta strona nie ma końca, a najnowsze dodane posty są na dole. Według podanego czasu ich zamieszczenia w ciągu ostatnich dwunastu godzin dodano tuzin nowych zdjęć. Wszystkie zamieścił w tym samym czasie jeden użytkownik. Jego login to Zabójca z Drugiej Ręki, oczywiście, że tak. Chciał pokazać efekty ostatnich działań, bo pragnie podbudować swoje ego. Być może uważa, że nie poświęcono mu dostatecznie dużo uwagi, co zapewnią mu dopiero użytkownicy tej strony o równie chorych upodobaniach, może

nawet zgotują owację na stojąco.

Pierwsze dodane zdjęcie przedstawia Carrie Simms leżącą na kuchennej podłodze, z twarzą zalaną krwią. Zdjęcie to bardzo przypomina tę fotkę, którą Hoskins zrobił własnym telefonem. Hoskins szybko przegląda kolejne zdjęcia — Abeyta i Brody; chłopak, którego ciało znaleźli — Jimmy Galen. Widać go na dwóch zdjęciach, choć nie wykonano ich w lesie, gdzie znaleziono ciało. Chłopak leży związany na betonowej podłodze. Ma szeroko otwarte usta, krzyczy. Jeszcze żyje. Hoskins krzywi się i klika na ostatnie zdjęcie.

— Jeśli mordował dla Sammie, to teraz już tego nie robi — mówi Hoskins. Czuje narastającą presję i ma nadzieję, że znajdzie się z Zabójcą z Drugiej Ręki sam na sam przez parę minut. Nie szkodzi, że ręce ma spuchnięte i obolałe. Da skurwielowi lekcję, której ten nigdy nie zapomni. — Musimy ją znaleźć. Jest w niebezpieczeństwie.

Ostatnie zamieszczone zdjęcie to Sammie, ale jednocześnie nie ona. To portret Sammie wiszący na ścianie, z podpisem Seevera w rogu. Jest naga, ma zamknięte oczy, a krew sączy się z miejsc po dwóch odciętych palcach. Ale to nie obraz niepokoi Hoskinsa najbardziej, ale podpis pod nim.

„Ona jest następna?”, napisał Zabójca z Drugiej Ręki, zaś po tych słowach umieścił coś jeszcze gorszego: J.

Sammie przepadła. Hoskins zastał pod jej domem patrol policji. Stukano do drzwi domu, ale nikt nie otwierał. Przeszukano posesję, ale nikogo nie było. Hoskins dzwonił na jej numer, dzwonił do jej pracy, do ochroniarzy w centrum handlowym, ale nikt z nich nie widział Sammie. Zespół pracujący na komendzie usiłował skontaktować się z Deanem i z jej rodzicami. Z kimkolwiek, kto mógłby wiedzieć, gdzie ona jest.

Hoskins wychodzi z domu Sammie, gdy dzwoni jego komórka.

— Znaleźliśmy kolejną ofiarę — mówi Loren. — Około trzydziestu minut temu.

— Czy to Sammie? — pyta bezbarwnie Hoskins.

— Chryste, nie. To niejaki Chris Weber. I nigdy nie uwierzysz — to Gloria Seever zawiadomiła nas o tym. Ubiegłego wieczoru odwiedził ją w domu. Gloria twierdzi, że chciał przeprowadzić z nią wywiad do gazety, pytał o Seevera i Zabójcę z Drugiej Ręki. Mówi, że wyszedł po zakończeniu rozmowy, a ona nie zauważyła, że jego samochód wciąż stoi zaparkowany obok jej domu. Aż do dzisiejszego ranka. Weber tkwił na tylnym siedzeniu auta ze zgruchotaną połową twarzy, a przy prawej dłoni brakuje mu pięciu palców.

— Wierzysz w to, co ona mówi?

— Nie wiem, w co wierzyć, Paulie. Poszedłem tam, ale z nią nie rozmawiałem — wychodzi na to, że jak tylko mnie zobaczyła, nabrała wody w usta. Teraz są z nią detektywi i usiłują wydobyć z niej prawdę, ale wiesz, jaka to małowówna suka. Raczej nie powinniśmy traktować jej jako podejrzanej. Nie sądzę, by miała dość siły, by zamienić twarz tego faceta w miazgę. Tak to wygląda, chłopie.

— Myślałem, że to Sammie pisała o Zabójcy z Drugiej Ręki dla „Posta”.

— Bo tak było. Ale ten facet także. Rywalizowali ze sobą, jak sądzę. Tak mi przynajmniej powiedział Dan Corbin.

Hoskins wyjmuje z kieszeni długopis oraz kawałek papieru i pisze: Chris Weber. Zakreśla te słowa. Rysuje linię, potem pisze na kartce imię Sammie. Ted jest w pracy, próbując nawiązać kontakt z właścicielami strony alltheprettyflowers.com. Być może wiedzą, kto kryje się za loginem Zabójca



z Drugiej Ręki, ale póki co nie wygląda to obiecująco. Ludzie, którzy prowadzą strony takie jak ta, wolą pozostawać anonimowi, a w stosunku do swoich klientów zachowują uprzejmość. Hoskins uważa, że Ted trzodzi się na próżno, ale muszą spróbować.

— Żadnych wieści o Sammie? — pyta Loren.

— Nic — odpowiada Hoskins. Coś ociera się o jego kostki i Hoskins aż podskakuje. To zabłąkany kot, miauczający w nadziei, że ktoś go zabierze. Zdenerwowany Hoskins kopie zwierzaka. — Gdzieś przepadła, jej męża również nie można znaleźć. To nie wygląda dobrze.

# SAMMIE

— Nie myślałem, że zechcesz przyjechać do mnie — mówi Ethan, odsuwając się, tak by Sammie mogła wejść do środka. — Mogliśmy spotkać się gdziekolwiek, wiesz.

— To miła okolica — mówi Sammie, odwijając szalik i rzucając go na stół stojący obok oprawionej w ramkę fotografii starszej pary. Zdjęcie wykonano w studiu, a para ma na sobie niedzielne stroje. Mężczyzna jest ubrany w elegancki garnitur i wygląda na wykształconego gentelmana, natomiast kobieta sprawia wrażenie miłej. Jej siwe włosy ułożone są w loczki, które spływają wokół twarzy. — Kto to?

— O kim mówisz?

— O tym zdjęciu. — Sammie pokazuje na zdjęcie. — Twój dziadkowie?

— Tak. Mieszkają tutaj.

— Gdzie są teraz?

— Na wakacjach na Florydzie. Opiekuję się ich domem.

— Och. — Sammie zagląda do salonu. To miły, nieduży dom. Jest w nim mnóstwo ozdóbek, koronkowych serwetek i tapet w róże. — Dziwnie tutaj pachnie.

Ethan pociera kark.

— Muszę wynieść śmieci.

Sammie idzie dalej w głąb domu, a Ethan zmierza krok w krok za nią, niczym szczeniak. Jest zdenerwowany, Sammie niemal czuje płynące od

niego fale emocji. Jeszcze zanim włączyła silnik swego auta, próbowała znowu dzwonić do Hoskinsa, żeby sprawdzić, gdzie był. Jeśli został już zwolniony z więzienia, pojechałaby do niego, może nawet by się przespali. Dean myśli przecież, że ona to robi, więc dlaczego nie? Hoskins jednak nie odbierał, a ona zastanawiała się, co robić. Wracać do domu i czekać czy może pojechać na posterunek policji. I wtedy zadzwięczała jej komórka. To był Ethan, który zadzwonił wtedy, gdy najbardziej tego potrzebowała. Zaprosił ją na pogaduszki i oto Sammie przemierza teraz dom jego dziadków.

Siadają obok siebie na kanapie. Jej boki są przykryte plastikowymi osłonami, tak by się nie wycierały. Sammie przesuwa ręką po jednej z osłon. Ethan siedzi tak sztywno, jak gdyby miał kij przywiązany do pleców, a na jego czole lśnią krople potu. Kiedy to ostatnio mężczyzna tak bardzo się denerwował w jej towarzystwie? Chyba w szkole średniej, Sammie już nie pamięta. To miłe — wywierać na mężczyźnie takie wrażenie. Zapomniała już, jak to jest odczuwać specyficzne oczekiwanie na seks z nową osobą.

— Wszystko w porządku? — pyta Sammie, a kiedy dotyka jego kolana, Ethan podskakuje, jak gdyby oparzony gorącym tłuszczem. — Chcesz, żebym sobie poszła?

— Nie. Ja... Nikt nigdy nie chciał tutaj przyjść.

— A Kelly?

Ethan mruga, odwraca wzrok.

— Rozstaliśmy się — mówi. Sammie czeka, sądząc, że Ethan zechce powiedzieć coś więcej, ale on milczy.

— Przykro mi.

— W porządku. Tak jest lepiej. Nie interesują nas te same rzeczy. — Ethan odchrząkuje. — Wezmę swój notatnik, żebyś mogła przeczytać, co do

tej pory napisałem.

— Poczekaj.

Sammie nigdy nie była dobra w inicjowaniu tego typu rzeczy. To zawsze mężczyzna zaczynał, dotykał ją, całował. Ale Ethan jest tak młody i nerwowy, tak bardzo przestraszony. Sammie widzi to w jego oczach. Nigdy jej nie dotknie i jeśli ona nie zrobi szybko pierwszego kroku, to skończy się na tym, że wróci do domu. Sammie co prawda czuje, że jej decyzja zaczyna wydawać się jej mylna. Ta małosłowna zemsta jest głupim pomysłem, ale potem przychodzi jej na myśl Dean, który posądzał ją o to, czego nie zrobiła. Chce wziąć na nim odwet, nawet jeśli Dean nigdy się nie dowie, gdzie była i co robiła. Ona będzie to wiedziała i to jej wystarczy. Przesuwa rękę z kolana Ethana po jego udzie i przez spodnie dotyka jego penisa. Ten już jest twardy.

— Sammie — mówi słabo chłopak, a ona kładzie mu delikatnie rękę na ustach. Jeden z łuków brwiowych Ethana jest przecięty, co prawda płytko, ale nie wygląda to dobrze.

— Cicho — mówi Sammie. Ethan jęczy, gdy Sammie odpina jego spodnie i sięga do penisa. Przewraca oczami i drży, unosi biodra tak, by Sammie mogła wziąć całego penisa do ręki. — Siedź spokojnie, nie ruszaj się. Ja to zrobię.

Ale jest już po wszystkim, zanim zdążyła zrobić coś więcej. Penis Ethana wiotczeje w jej ręce, a chłopak płacze. Ethan łka zawstydzony, chwytając jej dłoń i wyciera ją w swoją koszulkę. Na materiale pozostaje lśniący ślad.

— Przepraszam — mówi. — Nie byłem z nikim w taki sposób.

Sammie nie jest pewna, czy ma na myśli, że nikt nie zaspokajał go ręcznie, czy też to, że jeszcze nigdy nie uprawiał seksu.

— W porządku — mówi. — To się czasem zdarza. Naprawdę, nic się nie

stało.

Niezręcznie klepie go po plecach, chcąc być miłą, ale tak naprawdę zastanawia się, jak stąd wyjść, jaką wymówkę znaleźć, by zamknąć za sobą drzwi. A potem dzwoni jej telefon. Idealnie. Wyjmuje komórkę z torebki i patrzy na ekran. To policja z Denver. Może wreszcie dowie się, co przytrafiło się Hoskinsowi i gdzie on jest.

— Przepraszam — mówi. — Muszę odebrać.

Wstaje i wychodzi z pokoju, obciągając bluzkę i przykładając telefon do ucha. To śmieszne, jak szybko sprawy mogą potoczyć się w złą stronę, choć nigdy nie widziała, by potoczyło się to w tak ekspresowym tempie.

— Halo? — mówi, ale nie słyhać nic poza szumami.

— Musisz wyjść na zewnątrz, jeśli chcesz słyszeć rozmówcę — odzywa się z salonu Ethan. — Tutaj jest słaby zasięg.

— Och. Okay. Umyję ręce, a potem wyjdę na zewnątrz i oddzwonię.

Za głównym korytarzem znajduje się damska toaleta. Obok umywalki leżą mydełka w kształcie muszelek. Ręczniki są zawieszane na haczykach za pomocą pętelek z rafii, zawiązanych na kokardkę. Przypomina to Sammie dom Seevera, bo Gloria urządziła go podobnie — w sposób przemyślany i staranny. Sammie myje ręce jednym z mydełek, tak że powstaje piana, po czym wyciera ręce o spodnie.

Wychodzi z toalety i na chwilę przystaje przy zdjęciach zawieszonych na ścianie. Jest ich mnóstwo — fotografia dziadka w służbowym garniturze, babci wiosłującej po jeziorze. Wygląda na to, że dziadkowie Ethana są podróżnikami, ale na zdjęciach nie ma dzieci. Mają chyba wielu przyjaciół, z którym przyjemnie spędzają czas. Sammie przypatruje się z bliska kilku zdjęciom, szukając na nich Ethana, jednak nigdzie go nie zauważa. Ale on

jest nieśmiały i może nie lubi, gdy robi mu się zdjęcia.

Ściana pełna fotografii sprawia, że Sammie zaczyna myśleć o domu Seevera. Znowu. Dość długo nie wspominała czasu, jaki w nim spędziła, a teraz, w ciągu ostatnich minut, myśl ta pojawiła się aż dwa razy. Dlaczego? Ten mały domek w niczym nie przypomina domu Seevera.

Telefon dźwięczy w jej dłoni, gdy przygląda się zdjęciom, ale tym razem to sms. Przysłany przez kogoś, kogo numeru nie zna.

„Zapomniałem, że zapisałem numer klienta, który był zainteresowany obrazami Seevera, w kontaktach w mojej komórce. Oto jego numer”.

Sprzedawca z galerii sztuki. Simon. Myślała, że już się nie odezwie, a ona będzie musiała szukać nowego haczyka. Wygląda jednak na to, że sprawy zaczynają przybierać korzystny obrót. Pieprz się, Weber, myśli Sammie, wbijając numer, który przesłał jej Simon i zaczynając pisać wiadomość.

„Cześć. mówiono mi, że jesteś zainteresowany obrazami Seevera. proszę, zadzwoń albo wyślij smsa”.

Kończy pisać wiadomość i naciska „wyślij”. Potem gdzieś w pobliżu słyszy stłumiony odgłos.

„W porządku, w porządku, w porządku”. Rozpoznaje ten dźwięk — to dzwonek z komórki, taki, który wgrywany jest zamiast standardowego. Słyszała już takich setki, zazwyczaj w pracy — bożonarodzeniowe kawałki, odgłosy wybuchów, a nawet pracy silnika samochodu wyścigowego. Ten dzwonek słyszała już nawet w telefonie pewnej kobiety, która zrobiła się czerwona, gdy z jej torebki dobiegł dźwięk męskiego głosu. „To z *Uczeniowskiej balangi* — powiedziała kobieta. — Uwielbiam tego aktora, ale nigdy nie pamiętam jego imienia”.

— Czy to twój telefon? — zapytała Sammie.

— Musiałem dostać sms — odparł Ethan.

Sammie słyszy, jak Ethan kręci się po pokoju, przesuwa poduszki i książki, szukając swego telefonu.

— Och. Okay.

„Chciałabym się z tobą spotkać”, pisze Sammie. Naciska „wyślij”.

„W porządku, w porządku, w porządku”.

— Nie wiedziałam, że masz taki dzwonek — mówi Sammie powoli. To nie może być przypadek, że ona wysłała sms, a komórka Ethana natychmiast się odzywa. A może jednak? Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy i być może Sammie jest szalona, że o czymś takim w ogóle myśli, jednak nie przestaje ostrożnie skradać się ku drzwiom wyjściowym.

— Właściwie mam dwa. Ja płacę za jeden, a moja mama za drugi.

— Nigdy nie słyszałam o kimś, kto by miał dwie komórki — mówi.

A może jest szalona, bo wcześniej o tym nie pomyślała.

— To pomaga mi rozdzielać pewne sprawy — tłumaczy Ethan. — Inaczej by mi się mieszały.

„mam pytanie”.

Wiadomość wysłana.

„W porządku, w porządku, w porządku”.

Ethan. Sammie nie zna nawet jego nazwiska i wie o nim tyle, że chłopak zarabia na życie, robiąc sandwicze. Natomiast on wiedział o niej wszystko, od samego początku, bo czytał wszystkie artykuły zamieszczone w „Poście”, a interesowały go zwłaszcza te o Jackym Seeverze. A jej podobało się jego

zainteresowanie, opowiedziała mu wiele o sprawie Seevera — więcej niż powinna. Ethan był dobrym słuchaczem — uprzejmym i zainteresowanym tym, co ona pisze. Był też nią zauroczony, a to bardzo miłe, gdy jest obok ciebie ktoś taki, nawet jeśli jest tylko nieszkodliwym dzieciakiem.

Tylko czy naprawdę nim był?

— Może powinnam popatrzeć na to, co piszesz, innym razem? — mówi Sammie, wciąż stukając na klawiaturze swej komórki. Nie może przestać, nie teraz. Musi wiedzieć.

„Czy jesteś zabójcą z drugiej ręki?”

Wiadomość wysłana.

„W porządku, w porządku, w porządku”.

Sammie powinna uciekać, ale nie może się ruszyć. Gdyby to był film, myśli Sammie, krzychałabym do tej ślepej suki, żeby nie stała jak idiotka, tylko uciekała. W sąsiednim pokoju znajduje się zabójca i trzeba zwiewać. Dobra rada, tyle że nieraz życie bardziej przypomina film. Bardziej, niż można to sobie wyobrazić. Sammie stoi jak przymurowana, obserwuje swój telefon i czeka. Telefon wibruje w jej ręku, a ekran rozbłyskuje. Przyszła odpowiedź.

„tak”. A potem następna wiadomość: „zrobiłem to dla ciebie”.

Sammie ledwie ma czas przeczytać wiadomość, bo z pokoju wypada Ethan. Sammie wreszcie rusza ku drzwiom, ale jest już odrobinę za późno. Ethan jest szybki, a korytarz krótki. Ethan chwyta ją i ciągnie w głąb domu. Sammie krzyczy i broni się. I dopiero wtedy zdaje sobie sprawę, dlaczego myślała o Seeverze. To zapach. W tym domu pachnie tak, jak w domu Seevera, gdy rozkopywano pamiętny korytarz.



# HOSKINS

Złóż do kupy informacje o tym, co robiła ofiara morderstwa. To właśnie powtarza sobie Hoskins, podczas gdy wskazówka pokazująca minuty przesuwa się na jego zegarku. Dowiedz się, gdzie był Chris Weber kilka godzin przed śmiercią. Nawet minut. Powtarza to sobie, mruczy pod nosem, aż ludzie patrzą na niego jak na szaleńca.

Wciąż nie można znaleźć Sammie.

— Nie myśl o niej teraz — radzi Loren. — Pewnie poszła na zakupy. Albo do salonu piękności. Wyłączyła telefon. Musisz się skoncentrować. Weber nie żyje od niespełna dwunastu godzin. On jest naszą szansą na odnalezienie Zabójcy z Drugiej Ręki. Może ktoś widział ich razem, zanim Weber został zamordowany.

Ale Loren wiedział tyle, co i Hoskins — Sammie nie była w salonie kosmetycznym ani na zakupach. Prawdopodobnie nie żyła, odcięto jej palce i roztrzaskano głowę. Seever może i podkochał się w Sammie, zależało mu na niej, namalował jej obraz i pozwolił, by widniała na liście osób, które mogły go odwiedzać. Zabójca z Drugiej Ręki to podchwycił, być może również zakochał się w Sammie. Nienawiść jest straszną rzeczą, to Hoskins wiedział, ale miłość bywa jeszcze gorsza.

Chris Weber żył na kartach kredytowych. Używał ich do wszystkiego. Płacił kartami za czynsz, jedzenie, zakupy przez Internet. Był bliski maksymalnego wyczyszczenia kilkunastu z nich, ledwo unikając popadnięcia w debet. Nie żeby Hoskins to oceniał — sam miał na swoim koncie różne finansowe spłaty, nawet dziesięć lat po rozwodzie.

Ale debet miał jedną dobrą stronę: gdy tylko banki zaczęły kooperować i nadsyłać wyciągi, można było prześledzić poczynania Webera. Zgodnie z tym, co powiedział policji jego szef, Weber spędził większą część dnia w redakcji „Posta” w centrum miasta, którą opuścił po południu, nie mówiąc nikomu, dokąd jedzie. Ale udało się dowiedzieć, co robił, bo wiadano już, gdzie wydał pieniądze. Trzydzieści dwa dolary poszły na obiad w meksykańskiej restauracji, a siedemdziesiąt pięć na benzynę.

— To ostatnie miejsca, które odwiedził, zanim poszedł do domu Glorii — mówi Loren. — Spotkajmy się na stacji benzynowej i tam spróbujmy dowiedzieć się czegoś o Weberze.

Kiedy Weber tankował na stacji, jedyną osobą z obsługi był młody chłopak, Davey. Kiedy Hoskins i Loren wchodzi, Davey wyjmując hot dogi z opiekacza i wyrzuca je wprost do kosza, po czym zabiera się za robienie nowych.

— Czy ktoś jada takie rzeczy? — pyta Hoskins, krzywiąc się.

— O tak. Jest cała grupa miłośników fast foodu ze stacji benzynowej. Podziemny ruch. — Davey przygląda się Hoskinsowi, który ma na sobie luźne spodnie, wyprasowaną koszulę, a w kaburze pistolet. Potem zerka na Lorena, który wciąż ubrany jest w stylu Seevera. — Jestem pewien, że wy, panowie, o takich rzeczach nie macie pojęcia.

Hoskins uśmiecha się. Lubi wyszczekane dzieciaki.

— Widziałeś tego mężczyznę wczoraj? — pyta Loren, pokazując mu ekran komórki. Jest na nim zdjęcie Webera, ściągnięte wprost ze strony „Posta”.

— Większość ludzi płaci przy dystrybutorze i nigdy ich nie widzę — mówi Davey. — Nie pamiętam tego gościa.

— Macie tu kamery?

— O tak. — Davey robi się podekscytowany i szybko idzie na zaplecze, powiewając pomarańczowym kitem. — Mamy najnowocześniejszy sprzęt. Właściciel zamontował go parę miesięcy temu. Najlepszy, jaki jest.

— Chciałbym zobaczyć to, co nagrano przy dystrybutorze. Musimy zobaczyć, czy ten człowiek rozmawiał z kimś albo dziwnie się zachowywał.

— On nie żyje?

— Dlaczego tak myślisz? — pyta Hoskins.

— Bo gliny człowiek widuje, gdy chodzi o morderstwo albo narkotyki — odpowiada Davey. Zdejmuje wiszące mu na szyi nieporęczne słuchawki i przewiesza je przez przedramię. — Czy ma to coś wspólnego z Zabójcą z Drugiej Ręki?

— Nie możemy tego powiedzieć.

— Okay, okay. Ale chcę, żebyście wiedzieli, że mam alibi na ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

— Nie oskarżamy cię o nic.

— Nie, proszę pana. Pan nie.

— Boisz się nas, dzieciaku? — pyta Loren.

— Nie — mówi Davey. — Ale moja mama mówi, że jeśli zjawia się glina i zadaje pytania, powinienem trzymać usta zamknięte na kłódkę i ładnie się uśmiechać.

# GLORIA

Gloria włącza prysznic, czekając, aż polecą ciepła woda, i patrzy na odbicie swego nagiego ciała w lustrze. W nadchodzącym roku skończy pięćdziesiąt sześć lat — nieźle, dobry wiek. Jeszcze nie tak stara, by tracić rozum, ale już w pewnym wieku. Starzenie się najpierw zaczęło być widoczne po jej piersiach — kiedyś sprężyste, teraz przemieniły się w obwisłe worki. Gloria mogła sobie zrobić operację plastyczną i na zawsze poprawić wygląd piersi. Byłoby to kosztowne, ale Glorii chodziło bardziej o to, że nie chciała iść pod nóż. Wybrała więc kupowanie odpowiednich biustonoszy, kremów i specyfików, choć żaden nie działał zgodnie z oczekiwaniami. Jej brzuch zawsze był płaski, niemal wklęsły, a teraz jest wystający i zaokrąglony, choć Gloria nigdy nie urodziła dziecka i nigdy nie była otyła. Ale tak wygląda starzenie się, myśli Gloria. Widzi coraz gorzej, usta zrobiły się pomarszczone. Wydała tysiące dolarów, żeby wyglądać lepiej, ale co z tego? Nic to nie dało. Patrzy w lustro i widzi tylko siebie.

Dziś jednak jej odbicie różni się od codziennego. Wrażliwe miejsce pod nosem, tam, gdzie Jacky w chłopięcym wydaniu położył swoją rękę, jest spuchnięte, zaś na lewym policzku widać siniak. To jednak nie tak wiele, można to przykryć makijażem. Wystarczyło muśnięcie pudrem i Gloria wyglądała dobrze; detektywi, którzy zadawali jej mnóstwo pytań na temat Chrisa Webera, nie odezwali się słowem na temat śladów na jej twarzy. Ale tacy są mężczyźni — widzą tylko to, co chcą zobaczyć, lekceważą drobiazgi. Tak jak siniaki na jej twarzy czy sposób poruszania się — powolny i ostrożny, by nie urazić prawego biodra. Gloria była obolała i zmęczona — częściowo z powodu tego, co zrobił jej chłopak, ale bardziej z powodu tego,

że musiała po wszystkim posprzątać. Najłatwiej byłoby pozostawić Chrisa Webera na podłodze, w miejscu, w którym upadł; mogła wezwać policję i powiedzieć im dokładnie, co się stało. Musieliby jej uwierzyć. Przesłuchaliby ją i wiedzieliby, że powiedziała prawdę. Ale ona nienawidzi policji. Nienawidzi sposobu, w jaki ją traktują, gdy dowiadują się, kim ona jest. Dlatego bez zastanowienia sama zaczyna rozwiązywać sprawę — zawsze tak postępowała. Wyciągnęła z kieszeni Webera kluczyki od jego wozu i odprowadziła samochód do garażu, upewniwszy się najpierw, że drzwi domu są starannie zamknięte. Umieściła ciało Webera na starej kołdrze i zaczęła ją ciągnąć po podłodze. Przesunięcie ciała o dziesięć metrów zabrało jej trzy godziny. Z tuzin razy miała ochotę zrezygnować, ale myśl o tym, że w jej salonie spoczywa nieboszczyk, była tak odpychająca, że Gloria nie mogła tego zaakceptować. Poza tym było już za późno, by dzwonić na policję — chcieliby wiedzieć, co zrobiła z ciałem, dlatego je przesunęła. Tak więc ciągnęła kołdrę ze spoczywającym na niej ciałem, ściskając materiał w rękach i krzywiąc się, gdy głowa Webera uderzała o stopnie prowadzące w dół, do garażu. Wreszcie zdołała go umieścić na tylnym siedzeniu samochodu i choć jej plecy pękały z bólu, a ona sama nigdy, przez całe życie nie czuła się tak zmęczona, zdołała jeszcze posprzątać w domu. Wrzuciła kołdrę do pralki i przygotowała środki czyszczące. Wytarła krew — nie było jej dużo, z wyjątkiem miejsca, w którym upadł Weber. Gloria zdołała usunąć większość z drewnianej podłogi, poza niewyraźnym bordowym śladem, który można było wziąć za plamę po rozlanym winie. Na wszelki wypadek zakryła go dywanikiem. Oczywiście, gdyby policja zdecydowała się zbadać ślady na podłodze, odkryłaby prawdę w minutę — Gloria była dobrą gospodynią domową, ale nie aż do tego stopnia. Potem wyprowadziła samochód Webera z garażu, planując przejechać nim przez miasto i porzucić go na jakimś parkingu albo na bocznej drodze, lecz w końcu zaparkowała go dokładnie w

tym miejscu, w którym zrobił to Weber. Nie uważała się za leniwą kobietę, ale była zmęczona. Nie sądziła, że jest w stanie powziąć w tej chwili jakiś rozsądny plan. Nie teraz, gdy była wyczerpana. Przed padnięciem na łóżko i zaśnięciem pomyślała o Jackym — jakim cudem uprzętał swe ofiary przez tak długi czas.

Kiedy się obudziła, zadzwoniła na policję. Plamy krwi na kanapie ukryła, zarzucając na nią aksamitną narzutę. Dwaj policjanci siedzieli dokładnie w tym miejscu, gdzie znajdowały się dowody, których potrzebowali. Jeden z nich nawet pochwalił fakt, iż narzuta była taka miękka, i Gloria z trudem powstrzymała się od śmiechu. To było jak żart — niekoniecznie bardzo zabawny, ale jednak żart. Byłoby łatwiej darować sobie dzwonenie na policję, ale myśl o tym, że ktoś mógłby znaleźć ciało Chrisa Webera w aucie — dziecko, uchowaj Boże — sprawiła, że wzięła słuchawkę do ręki i jednak zadzwoniła. Policjanci przyjechali, rozejrzeli się wokół i wydawali się zadowoleni z jej wyjaśnień. Gloria powiedziała, że zawsze była prześladowana z uwagi na Jacky'ego — „popatrzcie, panowie, co ktoś wypisał sprayem na drzwiach mojego domu” — i że być może Zabójca z Drugiej Ręki próbował przesłać wiadomość. Wiedziała, że policja znowu będzie ją przesłuchiwać, ale ona nie jest podejrzana. Nie taka stara kobieta jak ona.

Gloria patrzy w lustro, przeciąga palcami po policzku i naciąga skórę. Ma już swoje lata, ale to nie znaczy, że jej odbicie w lustrze różni się od tego widzianego w nim wczoraj czy przedwczoraj. Nie, prawdziwe zmiany nie są tak oczywiste. Nie chodzi o worki pod oczami czy bruzdy przy ustach. Po raz pierwszy w życiu wygląda staro. Nigdy nie wyglądała tak wcześniej, nawet gdy Jacky został aresztowany i gdy przeżywała te straszne miesiące procesu, nie będąc pewna, co się z nią dalej stanie.

Łazienka jest teraz pełna pary, która wydostaje się ponad zasłonę zawieszoną przy wannie. Gloria lekko uderza ręką o powierzchnię lustra, pozostawiając na niej ślad w kształcie wachlarza. Kiedy było po wszystkim, Jacky o wyglądzie chłopca pocałował ją delikatnie w brew i z roztargnieniem poklepał po policzku. „Wkrótce wrócę”, powiedział, a potem wyszedł. Przez chwilę leżała na kanapie, przytulając do piersi podartą spódnicę i czując gorąco pomiędzy nagimi nogami. Gdy wpatrywała się w sufit o teksturze popcornu, dotarło do niej, że Jacky w taki czy inny sposób zawsze będzie częścią jej życia. Tak będzie do końca jej życia.

„To będzie nasz mały sekret”, powiedział chłopak, a ona zawsze była w tym dobra. Dochowała sekretów Jacky’ego i dzięki temu był bezpieczny. Możliwe, że tylko to jej w życiu wyszło. Trzymała jego sekrety w tajemnicy przez całe ich małżeństwo, aż pewnego dnia zobaczyła tamtą dziewczynę w garażu, związaną i z zasłoniętymi oczami. Ale nawet wtedy zachowała milczenie, była gotowa stać przy mężu, dopóki śmierć ich nie rozłączy. Tamtej nocy śniła, że znowu idzie do garażu, podchodzi do dziewczyny i ściąga jej opaskę z oczu. Później jednak dostrzegła, że to nie była dziewczyna, i że ona, Gloria, wpatruje się we własne oczy.

W szafce z lekami znajdują się tabletki. Niektóre zostały kiedyś przepisane Jacky’emu i Gloria nigdy nie odważyła się ich wyrzucić. Zabierała je ze sobą z miejsca na miejsce, z jednego domu do drugiego. To trochę zabawne, zabierasz tabletki, trzymasz je w szafce, nawet jeśli nie pamiętasz, jakie mają działanie, nawet jeśli termin ich przydatności już minął — masz je tak na wszelki wypadek. A teraz ich potrzebuje, wyjmuje wszystkie pomarańczowe buteleczki i ustawia rzędem na muszli sedesowej. Napełnia wodą kubek do zębów, po czym wysypuje parę tabletek na dłoń. Połyka je, popijając wodą z kubka tak szybko, że aż czuje ukłucie bólu w głowie, a jej brzuch robi się pełny. Kiedy połyka gorzkie proszki, myśli o

garażu, o pomieszczeniu, w którym Jacky robił imprezy, o dziewczynie ze sznurami na nadgarstkach i kostkach oraz w opasce na oczach. Wiedziała, że Gloria jest w garażu, i prosiła o pomoc. Tymczasem ona wyszła, przygotowała obiad i położyła się do łóżka, zaś następnego ranka poszła prosto do biblioteki, prosząc, by pozwolili jej skorzystać z telefonu. Nie wiedziała, dokąd mogłaby pójść — od lat nigdzie nie widziała budki telefonicznej i nie miała pojęcia, gdzie ją znaleźć. Nie chciała dzwonić z domu, nie w tej sprawie. Kobieta w bibliotece bardziej niż chętnie udostępniła jej telefon, bo Seeverowie hojnie dotowali bibliotekę. Gloria uśmiechnęła się, poczekała, aż bibliotekarka się oddali, i wybrała numer.

— Mam informacje na temat sprawy, w której prowadzicie śledztwo — powiedziała cichym i uprzejmym głosem, tak by nikt nie pomyślał, że coś jest nie tak, i nie zaczął podsłuchiwać. Nieopodal przebiegł mały chłopiec i uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech, przebierając nerwowo palcami. Starła się udawać, że wszystko jest w porządku, że to po prostu kolejny normalny dzień, ale jeszcze nigdy nie czuła takiego chłodu wewnątrz, takiej pustki. — Chodzi o tych zaginionych ludzi, których poszukujecie. Widziałam, jak wchodzili do pewnego domu i nigdy z niego nie wychodzili. Tak, znam adres. Jest tylko jedna kwestia — chciałabym pozostać anonimowa.

Gloria otwiera kolejną buteleczkę z lekami, wysypuje na dłoń więcej tabletek. Więcej i jeszcze więcej, aż cała garść się nimi wypełnia.

— Kochasz go, prawda? — zapytał chłopak, zapinając spodnie. Potrząsnął głową, z respektem albo z podziwem. — Wszystko, co zrobiłaś, zrobiłaś dla niego. Jesteś idealną żoną.

Tamta dziewczyna w garażu była bardzo zmarznięta. Na gołej skórze miała gęsią skórę. Miała na sobie tylko majtki i T-shirt, a jej usta były



fioletowe.

Gloria przyciska twarz do ręcznika wiszącego na haczyku. Ręcznik jest z tych bardziej szorstkich i włókna ocierają jej policzki. Zwykle wykorzystywała go do wycierania zacieków i nie wie, jak to się stało, że znalazł się na haczyku. Ale to nie ma znaczenia.

Tamta dziewczyna błagała o pomoc. Gloria zaś wróciła do domu, z powrotem umieszczając kłódkę na swoim miejscu. Potem zrobiła obiad. A teraz dziewczyna nie żyje. W końcu nie żyje. Gloria widziała to w wiadomościach nie tak dawno temu.

Odsuwa zasłonkę i powoli wchodzi do wanny. Woda jest maksymalnie ciepła i Gloria zanurza się w niej najpierw po same ramiona, a potem całkowicie.

# SAMMIE

Sammie klęczy na podłodze, we własnych wymiocinach.

— Co do diabła mam teraz zrobić? — pyta Ethan, chodząc naprzeciwko niej. Trzy kroki w lewo, potem powrót. Znajdują się w salonie, w którym nie tak dawno gotowi byli na seks, a teraz wszystko idzie w zupełnie inną stronę. Podręczny stolik został przesunięty, a tam, gdzie stał, klęczy Sammie, z jednym kolaniem wetkniętym w wyrwę w dywaniku. Nogi ma rozstawione szeroko, ręce związane za plecami i przywiązane do kostek za pomocą sznurka, który Ethan miał w kieszeni. Był przygotowany. — Dlaczego wsadzałaś nos w nie swoje sprawy?

— Szukałam materiałów do artykułu — mówi krótko Sammie. Nie płacze. Ma raczej wrażenie, że jej oczy są gorące i suche niczym kulki zrobione ze szkła. — Poza tym policja złapie cię prędzej czy później.

— Policja — śmieje się dziko Ethan. — Ci idioci nie potrafią znaleźć dziury we własnym tyłku. Nie boję się ich.

Sammie nie знаła Ethana od tej strony. W jej towarzystwie zawsze był uprzejmy, słodki i mówił spokojnym głosem. Nie tak jak teraz. Ale może ma rację. Możliwe, że Hoskins i Loren nigdy go nie złapią. Będzie jeszcze długo mógł działać, tak jak Seever.

— Dlaczego to robisz? — pyta Sammie. — Jesteś dobrym chłopakiem.

Ethan przestaje nerwowo chodzić i patrzy na nią jak na idiotkę. Tak jakby odpowiedź była oczywista.

— Wszystko to robiłem dla ciebie.

— Co takiego?

Ethan klęka na dywaniku, tak że ich twarze są teraz obok siebie. Dzieli ich kilkanaście centymetrów. Z tak bliska Sammie widzi, że Ethan ma zaskórniki na nosie i to, że jeden włos w jego brwi jest dłuższy od pozostałych. To zabawne, że nie dostrzegła tego wcześniej, gdy usiłowała się z nim przespać, a teraz ją od niego odrzuca. Próbuje odsunąć się od niego, zrobić między nimi jakąś przestrzeń, ale to trudne, bo jest mocno związana.

— Zawsze mówiłaś tylko o pracy dla „Posta” — mówi powoli Ethan. Jego oczy błyszczą gorączkowym światłem, a kiedy Sammie próbuje odwrócić wzrok, Ethan chwyta jej twarz i zmusza ją, by na niego spojrzała. — O twoich artykułach o Seeverze. Wiedziałem, że jeśli ludzie będą myśleli, że Seever powrócił, gazeta znowu będzie zainteresowana twoim pisaniem. I tak było, prawda? Tak się właśnie stało.

— Nie musiałeś. Nikt cię nie prosił, byś to robił.

— Nie, nikt nie prosił — odpowiada Ethan, szczerząc zęby w uśmiechu i przewracając oczami. — Ale ja i tak to zrobiłem. A ty znowu zaczęłaś pisać, prawda? Nigdy nie widziałem cię tak szczęśliwej. I to ja uczyniłem cię taką. To ja.

Włosy Ethana są sztywne od żelu i sprayu, a między nimi widać białą skórę głowy. Tak samo czesał się Seever. Kiedy Ethan zaczął go naśladować i dlaczego Sammie tego nie zauważyła?

Sammie odrzuca głowę tak daleko, jak to możliwe, aż ścięgnięta w szyi zdają się krzyczeć w proteście. Być może, myśli Sammie, Seever planował ją zabić. Zapytała go, dlaczego pozwolił jej żyć, a on nie odpowiedział. Może to nie tak, że pozwolił jej żyć, tylko jej śmierć opóźniła się w czasie. Udało się jej odsunąć to o parę lat, lecz śmierć była jej pisana. Człowiek może się skryć

przed przeznaczeniem na pewien czas, ale go nie uniknie.

Być może, myśli, zawsze należała do Seevera, i zawsze będzie.

— Kocham cię — mówi Ethan, przeciągając kciukiem po jej gardle. To sprawia, że Sammie drży z obrzydzenia i strachu. Ale jest jeszcze inny powód. Oczekiwanie? — Kocham cię bardzo, więc dałem ci temat do artykułów. Pozbyłem się Chrisa Webera. Nienawidzisz go, mówiłaś mi to. Zrobiłem to dla ciebie. Wszystko to zrobiłem dla ciebie.

Podnosi podbródek niczym dziecko, które chce pokazać, że nie pozwoli się ze sobą spierać. Sammie nie ma takiego zamiaru.

— To nie jest dom twoich dziadków, prawda? — pyta. Usiłuje nie myśleć o Weberze, Carrie Simms i innych. Nie będzie o nich pytać, nie da Ethanowi satysfakcji.

Chłopak mruga dwa razy pod rząd.

— Skąd wiesz?

— Nie ma cię na żadnej fotografii.

Jej słowa sprawiają, że Ethan się uśmiecha.

— Przyłapałaś mnie — mówi. — Przebywam tutaj tylko przez chwilę.

— Gdzie są ludzie, którzy tu mieszkają?

— Och, gdzieś w pobliżu — mówi Ethan z roztargnieniem i Sammie musi przygryźć wargę, by nie jęknąć. To stąd wziął się ten zapach, powinna była wiedzieć.

— Jeśli mnie kochasz, puść mnie — mówi zamiast tego. — Rozwiąż mnie i pozwól mi odejść.

— Kocham cię — mówi Ethan. — Seever też. Wczoraj widziałem jeden z

jego obrazów przedstawiający ciebie. Widziałaś go?

— Nie.

— Namalował cię jako piękność. — Ethan skłania głowę i uśmiecha się. Jego uśmieszek przyprawia ją o drżenie. Potem Ethan przestaje się uśmiechać i wszystko staje się ponure. — Martwą piękność.

— Proszę, puść mnie. Chcę iść do domu.

— Nie. — Ethan rzuca jej chytre spojrzenie. — Jeśli pozwolę ci odejść, pójdziesz na policję i wszystko im powiesz.

Pochyla się niżej. Czuć od niego potem, moczem i niestrawionym jedzeniem. To zapach szaleństwa, jak gdyby otworzyły się jego pory i taki zapach mógł się wydostać.

— Powiedziałaś im o mnie, prawda? — pyta. — Wydałabyś mnie?

Czeka na jej odpowiedź. Od tego zależy jej życie. Mogłaby skłamać i powiedzieć mu, że nie, tak się nie stanie, i podziękować mu za wszystko. Przez całe życie kłamała, tkła swe historie na krosnach i ciasno splatała wątki. Jest w tym dobra, mogłaby sprawić, że Ethan by jej uwierzył, może pozwolił jej odejść. Ale możliwe, że by tego nie zrobił. Patrzy na nią z ciekawością w oczach. Czeka, że ona coś powie, że oświadczy, że go kocha, że będzie błagać o życie, bo on ją kocha. Tak przecież sam powiedział. Ethan ma spojrzenie chłopca. Jest to desperackie spojrzenie człowieka, który boi się odrzucenia. Jednak pod tą czarującą powierzchnią coś się kryje, schowane głęboko i wystające delikatnie spoza krawędzi, ale to wystarczy, by Sammie to dostrzegła.

To nic. Zupełnie nic. Krzycząca pustka, która pochłania wszystko, co może. Ethan użył Sammie jako wymówki. Mówił, że zabijał dla niej, że ona chciała, by tak się stało. Być może sam w to wierzy, ale tak naprawdę zabijał

dla siebie. Najprawdopodobniej fantazjował na temat zabijania od dłuższego czasu i potrzebował usprawiedliwienia, by ukoić wyrzuty sumienia, które mógł mieć — i znalazł je w osobie Sammie. I nawet jeśli ona skłamie, to i tak nic nie zmieni. On jej nie kocha. To on do niej zadzwonił, wiedział, że ona przyjedzie, miał sznurek w kieszeni. Był przygotowany. Jemu jest wszystko jedno. Chce, by Sammie płakała i błagała go, ale koniec i tak będzie taki sam. „Chcesz, by stało się to szybko czy powoli?” Seever zadał jej kiedyś to pytanie, a ona wtedy uznała je za zabawne. Ale teraz słowa te brzmią strasznie, mając kompletnie inne znaczenie.

Sammie nie zawraca więc sobie głowy kłamstwami. Nie dlatego, że jest bohaterką, nie dlatego, że pragnie umrzeć, ale dlatego, że jest tym wszystkim śmiertelnie zmęczona. Jest zła, że się w to wszystko wplątała, że nie miała pojęcia, co się dzieje. A teraz jest w tarapatkach i pragnie zranić Ethana.

— Poszłabym prosto na policję i powiedziałabym im wszystko — mówi.  
— Powiedziałabym, że zabiłeś tych wszystkich ludzi. Że jesteś chorym skurwielem. — Mruga powoli. — Powiedziałabym wszystkim, że nie chciał ci stanąć, chociaż robiłam ci laskę ręką.

Ethan rumieni się od czubka głowy po szyję, schyla się, otwiera szufladę stolika i wyjmuje przecinak z żółtymi rączkami. Jest nowy, poza tym, że widać na nim ślady krwi. To mogłaby być rdza. Mogłaby. Ale komu przyszłoby na myśl, że to żart? Przecinak wygląda na ostry i Sammie wie, że Ethan nie będzie miał problemu z tym, by pociąć jej ciało i kości.

# HOSKINS

— Zatrzymaj to, tutaj — mówi Hoskins, pochylając się, by z bliska spojrzeć na ekran telewizora. Od dwóch godzin siedzą przy sprzęcie wideo, przewijając nagranie z poprzedniego dnia w przód i w tył, przyglądając się zwłaszcza dziesięciominutowej sekwencji, na której widoczny jest Weber. Powinno to być stosunkowo proste zadanie, ale właściciel zainstalował wiele kamer, a dystrybutorów paliwa też było sporo — w sumie dwanaście. Wyciąg z karty kredytowej pozwolił im uzyskać informację, kiedy Weber pojawił się na stacji benzynowej, ale nie było w nim mowy, gdzie dokładnie się znajdował. Mieli sporo materiału do przejrzania. W końcu jednak Davey znalazł coś interesującego.

— To on. To ten gość.

Weber na nagraniu jest żywy i ma się dobrze. Od roztrzaskania jego głowy dzieli go parę godzin. Wkłada dozownik do wlewu auta i uruchamia dystrybutor. Patrzy w niebo, osłaniając oczy ręką. Wygląda na zde gustowanego, jakby kompletnie rozczarowanego zimową pogodą, a potem odwraca się i wchodzi do swego samochodu.

— Z nimi nie rozmawiał — zauważa Loren. Zatankował i odjechał.

— Przewiń to trochę — mówi do chłopaka Hoskins. Davey kręci pokrętłem i naciska guziki. — Popatrz. Tutaj. Zatrzymaj na chwilę. Widzisz, jak obrócił głowę? Jakby kogoś słuchał. Jakby ktoś stojący przy sąsiednim dystrybutorze coś powiedział, a Weber przytaknął. Możliwe, że coś powiedział, ale pod tym kątem nie widzimy jego twarzy.

— Możemy się temu przyjrzeć na taśmie z innej kamery? — pyta Loren.

— Mogę pokazać znacznie więcej niż to — Davey uderza w klawiaturę. Jego palce uderzają tak szybko, że Hoskins nie może za tym nadążyć. Nagle na ekranie pojawia się nowa postać. To młody mężczyzna, ciemnowłosy i ciemnooki. Jego twarz na nagraniu jest zamazana. — To facet, z którym rozmawiał Weber. A to rejestracja jego wozu.

— Widziałem go już wcześniej — oświadcza Loren, niemal dotykając nosem ekranu. Postać z daleka jest zamazana, ale Loren jest tego pewien. — Był z Sammie w centrum handlowym. Jedli razem obiad. To jeszcze dzieciak.

Davey podsuwa Hoskinsowi kartkę z widniejącym na niej numerem rejestracyjnym wozu chłopaka.

— Dobra robota — mówi Hoskins, poklepując go po ramieniu. — Powinieneś zacząć pracować dla policji.

Davey wzrusza ramionami i uśmiecha się. Hoskins dokładnie wie, co taki uśmiech znaczy: „Dziękuję za propozycję, ale nie skorzystam”.



# DEAN

Ubiegłej nocy Dean wyłączył telefon, aby nie mieć pokusy odebrać, gdyby dzwoniła Sammie. Wynajął pokój w motelu. To jedno z tych miejsc, w których można się zatrzymać na dłuższy pobyt, z umeblowanym salonem i małym stolikiem kuchennym. Ekspres do kawy ma najmniejszy dzbanek, jaki Dean kiedykolwiek widział, a w łazience stoją maleńkie buteleczki z szamponem i balsamem — takie, których zawsze jest za mało. Życie w miniaturze. W takim miejscu jest coś rozpaczliwie smutnego, bo hotel nie ma być domem ani nawet jego namiastką, ale Dean i tak tu wylądował, zameldował się, a potem poszedł do baru obok i zamówił skrzydełka kurczaka w panierce. Zabrał posiłek do pokoju i zaczął przeskakiwać po kanałach telewizyjnych, ale nie mógł znaleźć nic interesującego, bo albo nie było dobrego odbioru, albo nie były to te programy, które lubił. W końcu położył się do łóżka. Nie bardzo mógł spać, bo Sammie nie było obok. Mieli swoje problemy, ale zawsze spali w jednym łóżku. Tak było od początku ich małżeństwa. Dean przyzwyczyił się do jej obecności przy swoim boku i zapachu jej perfum.

Wszystko to — fakt, że Sammie była nieszczęśliwa, jej niewierność — było spowodowane brakiem wesela. Tak uważa Dean. To nie jest jedyny powód, ale jedna ze składowych problemu. Gdy się oświadczył, spotykali się od ośmiu miesięcy. Sammie była bardzo podekscytowana, gotowa wybierać sukienkę i tort. A Dean musiał jej powiedzieć, że nie stać ich na wesele i że to głupie wydawać pieniądze na jedną imprezę, która trwałaby kilka godzin. Sammie przyznała mu rację i Dean uważał, że to koniec sprawy. Podpisali papiery, zjedli wspólnie obiad i oboje następnego dnia poszli do pracy.

Sądził, że wszystko jest w porządku. Małżeństwo było czymś innym niż randkowanie i to mu się podobało. Nie było już wybojów na drodze. Jednak później, dwa lata po ślubie, Sammie zaczęła przynosić magazyny ze zdjęciami sukien ślubnych i aranżacji kwiatowych. Oświadczyła, że mogliby wziąć ślub w kościele i jeszcze raz złożyć przysięgę, lecz Dean wciąż uważał, że to strata pieniędzy, i Sammie w końcu zarzuciła pomysł. Nie zrzędziła; kiedy była zła, w ogóle się nie odzywała, tylko chciała być sama. Dean nie umiał czasem powiedzieć, czy coś jest nie tak — aż było za późno. Sammie zaczynała wrzeszczeć, jej twarz robiła się czerwona i Dean wiedział, że nie dała już rady się opanować.

Sammie była nieszczęśliwa, że nie mieli wesela, ale nie chodziło tylko o to. Rzecz w tym, że to on był dla niej rozczarowaniem. I jego praca. Przez ostatnich dziesięć lat pracował w tej samej firmie i nigdy nie zaproponowano mu awansu. On też się tym nie interesował, bo był dobry w swoim fachu, był szczęśliwy i nie uważał, że praca ma być wszystkim w życiu. Zdawał sobie jednak sprawę, że żona uznawała takie podejście za wadę. Sammie miała przyjaciółki, których mężowie zarabiali mnóstwo pieniędzy. Byli prawnikami, lekarzami albo pracowali na stanowiskach kierowniczych, a ich żony jeździły na wspaniałe wakacje i miały znakomite auta. Sammie nie skarżyła się, to nie było w jej stylu, ale Dean widział to w jej oczach. Rozczarowanie.

Sammie poruszyła ten temat tylko raz, gdy leżeli razem w łóżku. Wszystkie światła były włączone, a oni się nie dotykali. Byli przykryci kocami, które ich od siebie oddzielały.

— Kiedy wychodziłam za ciebie, myślałam, że jesteś inny — powiedziała. — Nie spodziewałam się, że sprawy tak będą wyglądały.

Nie chciała być okrutna, mówiąc te słowa, stwierdzała tylko fakt. Potem

odwróciła się na bok, odsunęła od niego i zasnęła. Miał ochotę chwycić ją za ramię, zobaczyć zaskoczenie w jej oczach. Chciał zapytać, co dokładnie miała na myśli, mówiąc, że był inny i czego oczekiwała.

Ale tego nie zrobił.

A potem Sammie zaczęła sypiać z tym gliną. Później powiedziała mu, że to nie było z jego powodu i że to nie on uczynił ją nieszczęśliwą. Chodziło o jej pracę. Presja tworzenia dobrych artykułów popchnęła ją do tego. Dean wybaczył jej romans, ale zapomnienie o całej sprawie było już kompletnie czymś innym. Czasem pytał ją o Hoskinsa, jak to było, gdy uprawiali seks, czy on szybko dochodził i czy ona lubiła kłaść nogi na jego ramionach, i czy zgadzała się na seks analny. Sammie nigdy nie odpowiadała, tylko odwracała twarz, a Dean myślał niekiedy, że płacze, ale kiedy przesuwał palcami po jej policzkach, były suche. Dlatego wreszcie poprosił o awans — bo jego żona była nim tak rozczarowana, że nie miała już nawet siły płakać.

Dean wstaje po niespokojnie przespanej nocy, bierze prysznic i goli się. Woda lecąca z kranu ma dziwny smak, a wokół sitka zasłaniającego dziurę odpływową kręcą się mrówki.

Może to wszystko moja wina, myśli Dean. Zawsze przywołuję osobę Hoskinsa, a to sprawiło, że Sammie o nim myśli. Włącza telefon. Mnóstwo nieodebranych połączeń i parę wiadomości głosowych.

„Do niczego nie doszło. Przysięgam”.

A potem: „Pieprz się”.

Dean decyduje się wrócić do domu. Będą się spierać, a potem się pogodzą. Rzeczy wrócą do poprzedniego stanu, a może Sammie mówi prawdę. Znowu pisze dla „Posta” o sprawie Zabójcy z Drugiej Ręki i może dlatego Hoskins pojechał zobaczyć się z nią w jej pracy. A nawet jeśli tak nie

było, mogą przecież jakoś rozwiązać swoje problemy, tak jak to zawsze robili. Są małżeństwem od tak długiego czasu, że przecież nie mogą wszystkiego tak przekreślić.

Ale Sammie nie ma w domu. Nie ma jej też w pracy. Jej telefon nie odpowiada.

Toteż Dean robi to, co robi. Loguje się do komputera i lokalizuje jej telefon. To niesamowite, co potrafi technologia w dzisiejszych czasach i Dean lokalizuje Sammie natychmiast — a właściwie nie ją, ale niebieski punkcik, który wskazuje miejsce jej pobytu. To nie tak, że Dean nie ufa swojej żonie, ale jest uzależniony od sprawdzania, gdzie ona przebywa. Lubi to robić o różnych porach, loguje się i ma okazję obserwować, jak precyzyjnie można określić, gdzie jest Sammie. Cholerne urządzenie jest niesamowicie skuteczne, Dean o tym wie. Nawet jeśli Sammie kręci się po sklepie z telefonem w kieszeni, on może usiąść przed komputerem i obserwować niebieski punkcik.

Jego komórka dzwoni, gdy Dean kończy się logować. Sammie jest w jakimś domu, niedaleko stąd. Dean ma wrażenie, że krew uderza mu do głowy i tętni mu w żyłach. Sammie jest z Hoskinsem, Dean to wie. Nie pojawił się w domu, a ona miała okazję, żeby wskoczyć do łóżka z tamtym...

Komórka, którą trzyma w ręku, dzwoni.

— Cholera, Sammie...

— Pan Peterson? Mówi Jenna z komendy policji w Denver. — Kobieta mówi szybko, tak że Dean ledwo rozumie, co mówi. — Usiłowałam się skontaktować z pana żoną...

— Ona jest z tym cholernym detektywem — wrzeszczy Dean. — Oto gdzie jest. Z pieprzonym detektywem Hoskinsem.

Zapada dłuższe milczenie, a potem kobieta znowu się odzywa, a jej głos brzmi dziwnie.

— To właśnie detektyw Hoskins prosił, bym się z panem skontaktowała.

— Ona nie jest z nim? — Dean ma wrażenie, że na piersiach spoczywa mu wielki ciężar i że powoli zaczyna się dusić. Dzieje się coś bardzo złego, bo inaczej policja by do niego nie dzwoniła. To wie od Sammie — nie jest dobrze, gdy policja się z tobą kontaktuje. „Gdybym została zamordowana, natychmiast by do ciebie zadzwonili”, powiedziała mu kiedyś. Żartowała, a on kazał jej się zamknąć. Nie chciał mówić o takich rzeczach, bo mogą się spełnić. Jeśli o czymś mówisz, to może się zdarzyć. „Prawdopodobnie zapytaliby cię, czy wiesz, gdzie jestem, bo mężowie zawsze są głównymi podejrzanymi, przynajmniej na początku”.

— Nie, proszę pana. To bardzo ważne, żebyśmy ustalili, gdzie przebywa pana żona. Czy może wie pan coś na ten temat?

Ten migający błękitny punkt.

— Proszę pana? — mówi kobieta. — Jeśli wie pan, gdzie ona jest, proszę mi powiedzieć.

„Gdybym została zamordowana”. Sammie śmiała się z takich rzeczy, obracała je w żart, nawet wtedy, gdy Dean prosił, by przestała. Nie uważał, że takie rzeczy są zabawne. „Natychmiast by do ciebie zadzwonili”.

Dean rozłącza się. Niebieski punkcik nie porusza się, ale miga. Dean ma zamiar odnaleźć żonę.

Błękitny punkt doprowadza go do domu, który jest mały i zbudowany z cegły, położony nieco na uboczu. Przed budynkiem stoi zaparkowany samochód Sammie, czarne auto z pękniętą po lewej stronie przednią szybą. Chciał ją wymienić, ale Sammie się nie zgodziła, twierdząc, że nie

przeszkadza jej to w prowadzeniu auta i że nie ma zamiaru płacić za naprawę. Dean jest przerażony, żołądek ma w gardle, ale zatrzymuje samochód na podjeździe i wysiada z niego, nie zwracając sobie głowy wyłączaniem silnika. Drzwi wejściowe są zamknięte i Dean otwiera je pchnięciem. Spodziewa się, że ktoś powita go z pistoletem w dłoni; zostanie zastrzelony, bo wszedł na cudzy teren. „To jest teren prywatny, synu, wynocha” — i Dean zastanawia się, dlaczego przyszedł tutaj bez broni. Nie posiada co prawda pistoletu, ale mógłby przecież wziąć nóż albo kij golfowy, który Sammie kupiła mu parę lat temu. Żałuje, że nie ma w rękach czegoś takiego. Poczucie, że ma ze sobą coś cięższego, byłoby krzepiące. Jediną rzeczą, którą Dean ma przy sobie, jest portfel. Trzymanie przed sobą skózanego portfela wzorem znerwicowanej kobiety w żaden sposób nie mogłoby pomóc. Koniec końców Dean wkracza do domu bez niczego, z duszą na ramieniu. Przy drzwiach jednak nikt na niego nie czeka. Czuć tylko zapach, tak wstrętny, że Dean zasłania nos ręką, by nie zwymiotować. Z całych sił stara się powstrzymać odruch wymiotny, więc początkowo nie słyszy tego głosu. To głos Sammie. Płacze i znajduje się bardzo blisko, w sąsiednim pokoju. Dean biegnie korytarzem. Kiedy widzi, co dzieje się w salonie, na moment zamiera w progu. Obok Sammie klęczy jakiś mężczyzna. Jest tak zajęty, że na nic nie zwraca uwagi. Dean nie wie, co ma robić. Jest tu mnóstwo krwi, a on nie jest człowiekiem okrutnym. Nie jest zbyt skory do działania, bo należy raczej do typu intelektualistów, którzy siedzą za biurkiem i piszą z prędkością dziewięćdziesięciu słów na minutę. Tacy ludzie nie bardzo wiedzą, jak radzić sobie w sytuacjach podobnych do tej, w jakiej on się znalazł.

Okazuje się jednak, że Dean nie musi wiedzieć, jak sobie radzić, bo instynkt bierze górę i Dean chwyta za stojącą obok drzwi lampę. Takie lampy preferują starsze panie — jest to sprzęt w kolorze matowego złota, z grubą

żarówką i abażurem zakończonym kryształkami. Dean chwytając lampę niczym kij do bejsbola, opierając stojak na ramieniu. W college'u otrzymywał stypendium za grę w drużynie bejsbolowej i wtedy nazywano go Wielkim D. Kołysze lampą z łatwością, bo jest ona znacznie lżejsza niż drewniane kije bejsbolowe, których używał podczas treningów. Jego mięśnie pamiętają dobrze znany ruch i pozwalają go wykonać, choć od czasu, gdy uderzał piłkę, minęły lata. Dean zamierza się lampą z taką siłą, że czuje ból wewnątrz barku. Ten moment zapamięta na całe życie. Czas jak gdyby zwalnia, prawie się zatrzymuje, a kryształki z abażuru rozpryskują się w powietrzu. Podstawa lampy trafia mężczyznę w skroń, w idealnym punkcie. A potem wszystko przyspiesza, niczym guma, którą najpierw napięto, a potem puszczono, zaś mężczyzna leży z twarzą skierowaną ku podłodze i nie rusza się.

Opinia lekarza: Ethan Hobbs nie żył, zanim uderzył o podłogę.

Dawny trener Deana byłby dumny z tego uderzenia, krzyczałby i skandował na ten widok, a z radości zerwałby czapkę z głowy i wyrzucił ją w górę. „Co za rozmach i jakie uderzenie”, przebiega Deanowi przez myśl, gdy zgięty upada na ziemię obok żony — i to nie tylko za sprawą bólu, ale ze względu na to, że zdał sobie sprawę, co zrobił. Dotrzymał słowa danego kiedyś Sammie, gdy oświadczył, że zabiłby dla niej, gdyby musiał.

# HOSKINS

Samochód jest zarejestrowany na Glena i Ruby Wachowski. Nikt nie zgłosił kradzieży auta, ale właściciele byli starszymi ludźmi, emerytami, nie mieli bliższej rodziny — a takie osoby często padają ofiarą złodziei. Hoskins myśli o bladej, niewyraźnie widocznej twarzy człowieka, który rozmawiał z Weberem na stacji benzynowej. Ta twarz może być twarzą Zabójcy z Drugiej Ręki.

Hoskins i Loren jadą razem do domu małżeństwa Wachowski samochodem Lorena, jak za dawnych czasów. Parę razy o mało nie powodują stłuczki i Hoskins, klnąc, chwyta za klamkę, bo Loren prowadzi jak wariat. Ma chyba zamiar zabić ich obu. Loren potrząsa tylko głową i śmiejąc się, nazywa Hoskinsa starą babą.

— Dzięki takiej jeździe czujesz, że żyjesz — oświadcza radośnie.

Na podejździe stoi jakiś samochód — to auto Sammie, jej mitsubishi. Nie zawracają sobie głowy pukaniem. Hoskins otwiera drzwi kopniakiem i wpadają do środka z wyciągniętymi pistoletami, gotowi naładować delikwenta ołowianymi kulkami. Przybyli jednak za późno, bo najbardziej ekscytująca część sprawy już się odbyła. Nie ma szans, by mieli odegrać rolę bohaterów. Na ziemi leży martwy mężczyzna, a Sammie ma nieprzytomne oczy i blade usta i przyciska rękę do piersi. Hoskins myśli, że doznała szoku. Nadjeżdża ambulans, do domu wchodzą sanitariusze i zabierają ją, a także jej męża, który płacze cicho i musi zostać wyprowadzony na zewnątrz, jak dziecko.

Martwy mężczyzna leży na brzuchu. Sanitariusze nie mogli już nic dla



niego zrobić, bo zajmują się żywymi. Hoskins i Loren przewracają go na plecy — przychodzi im to z większym trudem, niż sądzili, choć facet nie jest szczególnie postawnym mężczyzną — i przyglądają się jego twarzy. Hoskins czuje, że to absolutnie surrealistyczne — widzieć stojącego nad chłopakiem Seevera, który patrzy na kogoś, kto chciał kontynuować jego dzieło.

— Ty skurczybyku — mówi Seever, a Hoskins zdaje sobie sprawę, że to nie Jacky, lecz Loren, zaś mężczyzna na podłodze to Zabójca z Drugiej Ręki. I że nie żyje.

To koniec.

TO, O CZYM NIE WIESZ

Gdyby to był film, pojawiłyby się napisy końcowe, a światła w kinie zostałyby włączone. Ty zaś musiałbyś zdecydować, czy pozostać na sali, czekając, aż opuści ją tłum ludzi, czy może przedrzeć się przez ciżbę — bo kolejka do toalety będzie długa, droga do domu jest wyboista, a ty wypiełeś podczas seansu dużą colę. Szczerze mówiąc, nawet nie tę dużą, a tę ekstraduzą, na widok której cudzoziemcy pękają ze śmiechu i opowiadają dowcipy o grubych Amerykanach. Ale ty czekasz, jakoś wytrzymując to, że pęcherz ci dokucza, bo czasem po końcowych napisach na ekranie pojawia się coś ekstra — jak na przykład scena, gdy wszyscy superbohaterowie siedzą i jedzą razem lunch po tym, jak ocalili planetę. Nikt się nie spodziewał, że coś takiego pokażą, prawda? A tak naprawdę chcesz wiedzieć, co się stało z tymi wszystkimi ludźmi, gdy wszystko już zostało powiedziane i zrobione. Chcesz to wiedzieć, więc zostajesz w kinie, o mało co nie robiąc w majtki, ale zostajesz i nie jesteś rozczarowany.

Jego pełne imię i nazwisko brzmiało Ethan Rhodes Hobbs i takie dane powinny zostać wyryte na jego nagrobku — gdyby został pochowany w grobie. Zamiast tego jego ciało skremowano, a matka przyjechała z Minnesoty, by zabrać prochy syna do domu. Matka Ethana — Patty Hobbs, z domu Haven — zawsze uważała, że jej syn źle skończy, choć nie spodziewała się, że w taki sposób. Przez cały okres szkolny Ethan miał tendencje do przemocy i depresji. Zdarzył się pewien niemiły incydent z dziewczyną, a także z psem sąsiadów — ale matka zawsze winała za to jego kolegów. Mówiła, że Ethan był podatny na wpływy i tylko próbował znaleźć swoje miejsce w życiu. Kiedy jednak opowiedziano jej o wszystkim, co zrobił podczas pobytu w Denver, Patty była zmuszona zmienić zdanie.

Prochy chłopaka przekazano więc jego matce. Tamtą noc spędziła w hotelu, a gładka ceramiczna urna stała na szafce nocnej obok łóżka.

Planowała, że będzie to ostatnia noc spędzona z synem, podczas której się z nim pożegna, a potem zabierze jego prochy do domu i rozrzuci je na wietrze. Nikt dokładnie nie wiedział, co naprawdę stało się tamtej nocy, ale gdy Patty wymeldowała się z hotelu następnego ranka, poszła do pierwszej napotkanej restauracji z fast foodem i wysypała zawartość urny do kosza przy okienku, przez które sprzedawano fast food kierowcom samochodów. Tego samego dnia wyjechała z Denver i podążyła wprost do Minnesoty z pustą urną. Kiedy jednak przybyła do domu, urna znowu była pełna. Może jej zawartość stanowił piasek, a może niedopałki papierosów, a może to w ogóle nie ma znaczenia.

A Ethan? Większa część jego prochów wylądowała dwadzieścia mil od Denver na składowisku odpadów, pośród brudnych pieluch, pustych kartonów po mleku i spleśniałych gazet pogrzebanych pod warstwą ziemi, piasku i skał. Nim jednak przyjechali śmieciarze, część prochów Ethana porwał zimowy wiatr, tak że wirowały nad miastem. Ta część Ethana Hobbsa wciąż tam jest i zawsze będzie tańczyć na ulicach Denver, bo zło możesz spalić, wyciąć je, rozbić i sądzić, że zostało wyplenione, ale nigdy się go całkiem nie pozbędziesz.

Jest coś, o czym Dean nigdy nikomu nie powie. Częściowo dlatego, że mu wstyd, a częściowo dlatego, że nie wie, jak to ubrać w słowa: prawie pozwolił, by Ethan Hobbs zabił jego żonę. Zawahał się, gdy zobaczył Sammie na podłodze i Ethana klęczącego obok niej i odcinającego jej palce — och, Dean nie zostawiłby jej zupełnie; mógłby pójść do samochodu, wezwać policjantów i czekać, ale do czasu ich przybycia Sammie byłaby już martwa. Co do tego nie było wątpliwości. Był to tylko jeden krótki moment zawahania, który trwał nie dłużej niż uderzenie serca, ale Dean wciąż o tym myśli. Nawet teraz, gdy Ethan nie żyje, Sammie dochodzi do siebie w szpitalu, a ludzie nazywają go bohaterem, który uratował własną żonę, Dean

czuje się jak tchórz, czuje się winny — i tak będzie do końca jego dni. Nigdy nie powie o tym Sammie, bo ją kocha, i tym razem jej nie rozczarował.

Trzy dni po śmierci Ethana policja wyważa drzwi domu Glorii. Policjanci pojawiają się, by zapytać ją jeszcze o parę szczegółów i poinformować, że zabójca Chrisa Webera został odnaleziony. Gloria jednak nie podchodzi do drzwi ani nie odpowiada na telefony. W domu czuć zapach czegoś zepsutego, jak stwierdzają policjanci. Mogło się zdarzyć, że Gloria upadła, złamała biodro i nie może wstać, a nie ma nikogo, kto by się o nią zatroszczył. Takie rzeczy często się zdarzają. Wyważyli więc drzwi.

Nie spodziewali się jednak, że dywan będzie przesiąknięty wodą, zaś na powierzchni stojącej wody będzie się unosić jakiś tłusty osad. Potem lekarz powie im, że to skóra, a właściwie cienkie warstwy naskórka, które oderwały się od ciała pod wpływem strumieni wody ze słuchawki prysznicowej. Woda w łazience wciąż leci, mogą to słyszeć dość wyraźnie, a kiedy otwierają drzwi, jeden z oficerów potyka się i wymiotuje na podłogę własnym śniadaniem. Chodzi nie tyle o zapach, który w łazience jest jeszcze silniejszy, ile o to, jak wygląda Gloria. Napuchła jak balon, jej skóra jest szara i luźna, rozchodzi się w kawałkach, w których zagnieździły się już larwy. Zasłona prysznicowa jest rozerwana — jak później stwierdził lekarz, kobieta upadła. Gdy tabletki zaczęły działać, straciła równowagę. Spoczywa do połowy zanurzona w wannie, nieruchoma i spuchnięta niczym kłoda drewna. Ale najgorszą, absolutnie najgorszą rzeczą są jej usta, szerokie, popękane i na w pół otwarte. Nie wyglądają właściwie jak usta, lecz jak bezdenna przepaść, żadna pokarmu i zła.

Trzeba będzie zidentyfikować ją po zębach, bo reszta ciała jest zbyt wzdęta i pomarszczona, by można było stwierdzić, że to Gloria Seever. Kobieta nie wygląda już nawet jak istota ludzka, a raczej jak potwór. I może

— to całkiem prawdopodobne — znalazłaby w tym nawet jakieś zadowolenie.

W posiadaniu Ethana Hobbsa znajdowało się trzydzieści jeden obrazów Seevera. Ethan przekształcił jadalnię małżeństwa Wachowski w prywatną galerię. To on włamał się do domu Glorii Seever i skradł malowidła. Gdyby policja potraktowała jej doniesienie o kradzieży poważnie, gdyby przeprowadzono solidne dochodzenie, być może udałoby się aresztować Ethana Hobbsa wcześniej. Ale tak to bywa w życiu — są ścieżki, które wybierasz, i te, które pomijasz. Obrazy przedstawiały kłownów, których Seever tak bardzo lubił. Kłowni swawolili, szczerzyli zęby w uśmiechu i nadmuchiwali balony w kształcie zwierzątek. Niektóre obrazy przedstawiały krajobrazy, a jeden niebo nocą. Ich treść nie była przerażająca, a obrazy nie miały żadnej wartości. Bardziej okrutne malowidła sprzedano w galerii albo zostały zabrane przez policję. Gloria znajdowała się w posiadaniu obrazu przedstawiającego Sammie i trzymała go w ukryciu. To obróciło się na korzyść Sammie, bo gdyby Ethan zobaczył jej obraz na samym początku swej działalności, gdyby zorientował się, jakie plany miał w stosunku do niej Seever, mogłaby być jego pierwszą ofiarą, a nie ostatnią.

Do takiego przynajmniej wniosku doszli Loren i Hoskins.

Sammie nie ma małego i serdecznego palca u lewej ręki. Zwykle jej to nie przeszkadza aż do momentu, gdy widzi, że ktoś przygląda się jej okaleczonej dłoni, zastanawiając się, jaka historia musi się za tym kryć. Sammie chowa wtedy rękę za plecy, tak by nikt jej nie widział. Palce niekiedy ją bolą, mimo że już ich nie ma. Ból fantomowy, mówią lekarze, a Sammie ma dość, że prześladowuje ją coś, czego już nie posiada.

Powinna napisać książkę, twierdzi Corbin. I artykuły. Wszystko, gdy tylko będzie w stanie. Nie ma już rywalizacji, bo Weber nie żyje, a poza tym

Sammie ma już historię roku. Była kochanką Seevera, odwiedziła go w więzieniu, była jedyną osobą, której udało się uniknąć śmierci. Dziewczyną, która przeżyła.

Jednak słowa się ulotniły.

Dean wrócił do pracy, zaś ona jest w domu, ogląda telewizję i dużo śpi. Dean przeniósł do garażu kuchenny stół i w wolnym czasie szlifuje go papierem ściernym. Chce go odnowić, a krzesłom zafundować nową tapicerkę. Chce, by sprzęty były znowu piękne, lecz to wymaga czasu. Wszystko, co dobre, wymaga czasu, mówi Dean, patrząc na żonę. Na skroniach Deana pojawiły się pierwsze siwe włosy.

Sześć miesięcy po śmierci Ethana Sammie siada przy komputerze. Powoli wpisuje jedno słowo, stukając w klawiaturę palcem wskazującym. „Seever”. Wszystko kręci się wokół tego człowieka, zaczęło się od niego i na nim się skończyło. Sammie myśli, że nadszedł czas, by wysać truciznę z rany i pozbyć się Seevera raz na zawsze. Będzie pisać o Seeverze i Ethanie, aż obaj znikną z jej życia. To będzie powolny proces, ale takie jest życie, czyż nie? Jednorazowo jesteś w stanie naciągnąć tylko jedną nogawkę rajstop i wziąć tylko jeden oddech.

A Sammie leczy się póki co dzięki jednemu słowu.

Możecie zapytać — a co z odciętymi palcami ofiar? Ethan i Seever pozbawili palców wielu ludzi, do śmierci których się przyczynili. Co się z nimi stało? To, niestety, pozostanie na zawsze tajemnicą, bo nie wygląda na to, by dwaj znający prawdę mężczyźni mieli jeszcze kiedykolwiek o tym opowiedzieć.

Glena i Ruby Wachowski odnaleziono w piwnicy, obok pieca. Policja znalazła dowody, że Ethan przetrzymywał tam również inne ofiary — Abeytę

i Brody oraz Jimmy’ego Galena. Przekształcił to miejsce w prywatną salę tortur, gdzie mógł robić, co tylko mu się podobało, bez niczyjej interwencji.

W tej piwnicy Ethan zajmował się także sztuką. Rozstawił sztalugi i kupił akwarele. Pozostawił po sobie tuziny obrazów, ale nie mogą się one równać z pracami Seevera. Są niedojrzałe i niestaranne. Przedstawiają głównie domy w kształcie brązowych prostokątów, z kominów których wydobywają się pióropusze dymu, wielkie pierzaste chmury na niebie i uśmiechnięte słońce w rogu. Te obrazy to rysunki dziecka.

Frank Cho — właściciel domku, w którym zamordowano Carrie Simms — kazał go zburzyć niedługo po jej śmierci. Jak stwierdził, to była pechowa decyzja, by go wynajmować, i chyba miał rację. Trzydzieści minut przed tym, jak budynek został zburzony, Cho przeszedł się po nim ostatni raz, ostrożnie krocząc po plamach krwi na podłodze. Zatrzymał się, by przeczytać słowa napisane na ścianie sypialni.

To nigdy nie będzie koniec.

Dla Cho słowa te nie znaczą nic, ale policja dosyć się nad tym nagłowiła. Cho słyszał, jak policjanci spierali się o to, jak to się stało, że ktoś napisał je na ścianie, ale w końcu zarzucili temat. Żaden z nich nawet nie przypuszczał, że zrobiła to Carrie Simms. Umieściła ten napis nad łóżkiem, balansując na materacu, niedługo po tym, jak wprowadziła się do domku. Seever po raz pierwszy powiedział do niej te słowa w garażu, choć Carrie tego nie pamiętała. Jakaś część jej osobowości jednak musiała te słowa zapamiętać, bo pojawiały się one w jej snach i doprowadzały ją do szaleństwa — aż wreszcie wyrzuciła je z głowy, umieszczając na ścianie. Za każdym razem, gdy patrzyła na napis, miała dziwne przeczucie, jakby czegoś oczekiwała, choć nie wiedziała czego.

Ethan po raz pierwszy przeczytał te słowa, gdy Carrie Simms straciła



przytomność. Siedział wówczas na jej klatce piersiowej i wsłuchiwał się w rżący oddech, czekając, aż Carrie znowu się ocknie. Gapił się na ten napis, a potem zupełnie o nim zapomniał. Był zajęty czymś innym, sami wiecie.

Tak więc mały domek został zburzony, a gruz wywieziony, zaś Frank Cho sprzedał posiadłość za cenę znacznie poniżej jej wartości. Czuł presję, by opuścić to miejsce i pragnął być bliżej rodziny. Zwłaszcza swej ładnej dziewięcioletniej wnuczki, która nazywała go Po-Po. Kiedy rok później dziewczynka zaginie w drodze ze szkoły, Frank będzie słuchał rozpaczliwego płaczu córki, patrzył na swe drżące ręce i wówczas przypomni sobie słowa napisane na ścianie. Pomyśli, że były one prawdziwe. Nigdy nie będzie końca. Cierpienie nie ma końca.

Ale tę historię opowiemy innym razem.

Detektyw Ralph Loren wreszcie przestał ubierać się jak Seever. Zdjął trzyczęściowy garnitur i pozłacane okulary, wyrzucił żel do włosów. Loren wrócił do normalności, choć ta wcale normalnością nie jest. Jednak po raz pierwszy w życiu Hoskins jest za to wdzięczny.

Pewnego wiosennego popołudnia Hoskins jedzie do zakładu karnego Sterling. Seever przebywa na oddziale szpitalnym i nie wstaje z łóżka — miał atak serca niedługo po tym, jak dowiedział się o Glorii, Zabójcy z Drugiej Ręki i jego zbrodniach, których on, Seever, nie popełnił, lecz które miały z nim wiele wspólnego. Od tej pory nie opuszcza szpitalnego łóżka. Do jego egzekucji pozostał rok, jeśli nic się nie zmieni w decyzjach prawnych i sprawa nie zostanie odsunięta w czasie. Ale Hoskins ma poczucie, że Seever nie będzie zabiegał o odroczenie egzekucji. Jest człowiekiem stojącym na drodze wylotowej, którego serce jest coraz bliżej finalnego uderzenia. W szpitalnym łóżku Seever bardziej przypomina jedną z własnych ofiar wyciągniętych z korytarza z węzłami sanitarnymi niż dawnego siebie.

— Hej, ty tłusty popaprańcu — mówi Hoskins, a Seever odwraca spoczywającą na poduszce głowę, lecz w jego oczach nie ma błysku rozpoznania. Ten człowiek to nie Seever, ale widmo, które oddało siebie po kawałku Hoskinsowi, Lorenowi, Sammie i Ethanowi. Odłamki jego jestestwa utkwily w nich jak zardzewiałe igły, wraziły się w ich serca i nie chciały wyjść — i nie zostało wystarczająco dużo, by Seever mógł być jeszcze w pełni człowiekiem. Już nie. — Przyszedłem się pożegnać. Nie mam już zamiaru tracić czasu na myślenie o tobie.

Wargi Seevera się poruszają. Próbuje coś powiedzieć, a może majaczy, lecz Hoskins nie przystaje, by się w to wsłuchiwać. Już go to nie interesuje. W ciągu ostatnich lat zmarnował zbyt wiele czasu, by poradzić sobie ze spustoszeniami, jakich dokonał w jego życiu Seever.

Opuszcza więzienie i kieruje się z powrotem do Denver. Chce sprawdzić, co u ojca, ale Joe świetnie przywykł do warunków domu spokojnej starości. Od dłuższego czasu ma się całkiem dobrze i jest szczęśliwy. Hoskins wpadnie i odwiedzi go, a potem pojedzie do domu i z założonymi na stół nogami poogląda telewizję. Zdrzemnie się i pójdzie na drinka z Tedem, trochę popracuje. Chciałby zapomnieć o Seeverze, o widoku Sammie leżącej na podłodze tamtego domu, o jej oczach dalekich i błyszczących, o krzyczącym Deanie i o leżącym Ethanie Hobbsie, któremu z nosa ciekła pojedyncza strużka krwi. Chciałby o tym wszystkim zapomnieć, ale będzie zadowolony, jeśli wspomnienia staną się mgliste i wyblakną jak fotografia pozostawiona na słońcu. To by wystarczyło.

# NIKNAĆ W MROKU

JACKY

Lato 2007

Latem Jacky urządza wielkie przyjęcie. Odbywa się ono w ogrodzie za domem. To miejsce świetnie nadaje się do tego, by zgromadzić w nim gości. Kiedy się tutaj wprowadzali, zamiast ogrodu były tylko kamienie i piasek. Ich usunięcie, położenie darni, posadzenie drzew i wykopanie stawu zabrało parę lat i kosztowało mnóstwo pieniędzy, ale jeżeli chce się osiągnąć zadowalający efekt, konieczne są nakłady finansowe. Jednak nawet jeśli posiada się perfekcyjny ogród, przygotowanie corocznego letniego przyjęcia grillowego zabiera dużo czasu. Trzeba ustawić stoły na trawnikach, zawiesić lampki na gałęziach krzewów, wkopać w ziemię latarnie, puścić na wodę stawu pływające świece. No i jedzenie — musi być go więcej niż dostatecznie dużo, bo jeśli jest coś, czego Jacky nie znosi, to myśl o ludziach niemających wystarczającej ilości jedzenia, o ludziach, którzy wychodzą z jego domu, nie pękając z przejedzenia.

Zaproszenia na przyjęcie są rozsyłane trzy tygodnie wcześniej. W tym roku tematem przewodnim są Hawaje. Gloria ma na sobie zieloną spódnicę i rozdaje przy wejściu naszyjniki z kwiatów. Jest prosię na metalowym ruszcie

wbitym w jego ryjek i wychodzącym przez zadek. Prosię wydaje się uśmiechać i pękać z dumy, że zostało włączone w organizację przyjęcia. Jest wreszcie grill dla tych, którzy nie lubią wieprzowiny. Stoi przy nim Jacky i przewraca hamburgery i hot dogi oraz udka kurczaka w sosie barbecue. Każdy zatrzymuje się, by z nim porozmawiać, przynajmniej przez chwilę, bo Jacky jest mistrzem ceremonii, gwiazdą wieczoru, wielką szyczą. Wszyscy mówią mu, jak bardzo podoba im się przyjęcie i jak bardzo czekają na nie przez cały rok. Ściskają Jacky'ego, klepią po ramieniu. A Jacky promienieje zadowoleniem. Ci ludzie spędzają przyjemnie czas dzięki niemu, dzięki temu, co on zrobił. Stoi przy grillu ze szpachelką w jednej ręce i butelką piwa w drugiej. Przygląda się zaproszonemu tłumowi, ładnym dziewczynom tańczącym w rytm muzyki, ludziom, którzy siedzą blisko siebie i śmieją się. Jacky nie myśli o tym, jak będzie się czuł jutro, jak zamknie się w pokoju gościnnym i będzie leżał w ciemnościach przez dwa następne dni. Nie myśli o tym, że schował już pod łóżkiem trzy paczki chipsów ziemniaczanych i słodkich kulek, bo tylko na to będzie miał ochotę. Przechodził już przez to, wie, czego ma się spodziewać. Teraz o tym wszystkim nie myśli, bo świeci słońce, a wiatr jest przyjemnie chłodny. Nie ma żadnych nieprzyjemnych zapachów, nikt się nie skarży. Jedyne zapach, jaki go dobiega, to woń pieczeni, a Gloria macha mu ręką uśmiechnięta. W jej obrączce odbija się światło słońca. Wkrótce jednak popołudnie mija, słońce chowa się za horyzontem, a wiatr się wzmacnia. Wciąż jednak przychodzą kolejni goście, którzy tarasują samochodami trzy sąsiednie ulice, ale Jacky się tym nie martwi. Gestem zaprasza wszystkich, mówiąc, że każdy jest mile widziany i zawsze znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby.

# Podziękowania

Moje najgłębsze podziękowania dla Stephanie Cabot, Amy Einhorn, Christine Kopprasch, Ellen Goodson, Rachelle Mandik, Jamisona Stoltza, Marka Haskella Smitha, Toda Goldberga i przyjaciół z UCRPDMFA oraz dziewczyn ze sklepu 133. A przede wszystkim dziękuję Cade, Jacobowi, Lauren, Gunnerowi i Beau, którzy wiedzieli, kiedy oderwać mnie od pracy, i mojemu mężowi, który nigdy nie czyta, ale zawsze słucha. Dziękuję także wszystkim, których zapomniałam wymienić: przepraszam, przyjmijcie moje najszczerze podziękowania.